



**TALGAT
JAISSANBAYEV**

SLYTNE ZARODNIÉ W ZSRR

10 NAJGŁOSNIĘJSZYCH PRZESTĘPSTW W ZWIĄZKU RADZIECKIMI

W kraju,
który opisywano jako raj na ziemi
i w którym nie miało dochodzić
do żadnych przestępstw,
także trafiali się seryjni mordercy.

Oto mroźce krew w żyłach
historie tych najsylniejszych!



NOVAE RES

TALGAT
JAISSANBAYEV

SŁYNNE ZBRODNI E W ZSRR
10 NAJGŁOŚNIEJSZYCH PRZESTĘPSTW
W ZWIĄZKU RADZIECKIM



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

MUZYCY TERRORYŚCI

TOŃKA CEKAEMISTKA

KULTURALNA KRADZIEŻ

KOMNATA TORTUR W GARAŻU

RADZIECKI KUBA ROZPRUWACZ

WŁAMANIE DO BANKU PAŃSTWOWEGO ARMENII

KAZACHSKI KANIBAL

PUK, PUK. Z GAZOWNI, PROSZĘ OTWORZYĆ

TEATR ŚMIERCI

STRZELANIE W KURSKU

BIBLIOGRAFIA

MUZYCY TERRORYŚCI

Wasilij – dumny, arogancki, zły.

Oleg – co za charakter! Wszystko robi do końca.

Dmitrij – niespokojny, łatwo się denerwuje.

Sasza – milczący, tajemniczy.

Igor – zbyt pewny siebie, cwaniakowaty.

Charakterystyka synów napisana przez Ninel Owieczkinę

TRAGEDIA W NIEBIE

8 marca 1988 roku samolot TU-154 wykonujący lot nr 3739 na trasie Irkuck-Kurgan-Leningrad¹ został uprowadzony przez niezwykłych porywaczy. Terrorystami okazali się członkowie 11-osobowej rodziny: matka Ninel Owieczkina i jej dziesięcioro dzieci. W trakcie lotu jej starsi synowie przekazali stewardesie notatkę z żądaniem lotu do Wielkiej Brytanii. Na dowód tego, że nie żartują, wyciągnęli dwa obrzyny zrobione ze strzelb myśliwskich. Jeden z synów podniósł i pokazał wszystkim rękę, w której trzymał samodzielnie zrobioną bombę – stalową rurkę ze sznurem. Pozostali członkowie rodziny – trzech malutkich chłopaków i dwie dziewczynki – nie wtrącali się, siedząc na swoich miejscach razem z matką.

Rodzina ta była słynna w całej Syberii. Szczególne uznanie zdobyła w swoim rodzinnym mieście Irkucku, który często wskazywał ją jako swoją wizytówkę. Wszyscy chłopcy z rodziny – siedmiu braci Owieczkinów – grali we własnym jazzbandzie o nazwie Siedmiu Simieonów. Jeździli oni z koncertami po całym ZSRR, pisały o nich gazety, o cud-rodzinie nakręcono nawet film dokumentalny. Została ona hojnie obdarowana przez partię: instrumentami, mieszkaniami, protekcją w nauce. Zespołowi pozwolono nawet wyjechać za granicę – i to do kraju kapitalistycznego.

Jak to się stało, że słynna i utalentowana, kochająca się 11-osobowa rodzina muzyków została uznana za winną tragedii, w wyniku której zginęły 4 osoby, a 36 było rannych?

8 marca, w Dzień Kobiet 1988 roku, 51-letnia Ninel Owieczkina (jej imię to przykład tzw. imion radzieckich², w tym przypadku to „Lenin” napisany od końca) i jej dzieci: 28-letnia Olga (była w pierwszym trymestrze ciąży), 26-letni Wasilij, 24-letni Dmitrij, 21-letni Oleg, 19-letni Aleksander, 17-letni Igor, 14-letnia Tatiana, 13-letni Michaił, 10-letnia Uljana i 9-letni Siergiej – przyjechali na lotnisko w Irkucku. Tego dnia ubrali się elegancko, ponieważ mieli lecieć przez Kurgan na festiwal do Leningradu. Mieli ze sobą bagaż – walizki i instrumenty. Wśród instrumentów znajdował się duży futek na kontrabas.

Podczas kontroli – co za pech – futek ten okazał się za duży, by mogła go objąć aparatura prześwietlająca.

Funkcjonariuszka bezpieczeństwa poprosiła o podanie przedmiotu. Otworzyła go – instrument był na miejscu. Podniosła go – nie znalazła niczego podejrzanego. Pokazała ręką i powiedziała: „Przechodźcie”. Owieczkinowie już nieraz przechodzili przez kontrolę na lotniskach i wiedzieli, że na tym w Irkucku, gdzie kontrola kojarzyła już jazzband, nie sprawdzano ich szczegółowo. Tym razem futerał zawierał podwójne dno – Dmitrij się postarał. Dlatego bagaż nie mieścił się w aparaturę. Na drugim dnie przyszli porywacze schowali broń, bombę i kilkadziesiąt naboii. Instrument został przeniesiony na pokład. Wtedy jeszcze można było wziąć ze sobą duży bagaż.

Ninel miała jeszcze jedną córkę – 32-letnią Ludmiłę. Jednak ona już dawno wyszła za mąż i mieszkała osobno w górniczym miasteczku Czeremchowo, blisko Irkucka. Nie brała udziału w porwaniu i nic nie wiedziała o planach swojej matki i rodzeństwa.

W samolocie było sporo wolnych miejsc. Starsi bracia usiedli na końcu maszyny, młodsze rodzeństwo i matka nieco z przodu. W samolotach radzieckich w przypadku lotów wewnętrznych nie było klasy biznesowej ani pierwszej, a jedynie pierwsza i druga sala, wyposażone w takie same fotele.

Pierwsza połowa lotu minęła zgodnie z planem. Aleksander i Oleg grali w szachy, Dmitrij gawędził ze stewardesami i pokazywał im zdjęcia rodziny. Samolot spokojnie wylądował w Kurganie, żeby zatankować, część pasażerów zeszła z pokładu, weszli nowi. Wolnych miejsc

wciąż było dużo. Tu-154 ponownie wystartował i obrał kierunek na Leningrad. Jeden z pasażerów, Dmitrij Ordinow, wspominał później, że w tej chwili jeden z braci powiedział coś, co wzbudziło jego podejrzenie. Wyciągając pamiątkę kupioną na lotnisku w Irkucku, powiedział do brata, że kupił ją, by pamiętać o ojczyźnie.

Około godziny 15:00, kiedy samolot przelatywał w rejonie Wołogdy (około 450 km na wschód od Moskwy), na wysokości 10 km starsi z Owieczkinów wcisnęli przycisk wzywający stewardesę. Podeszła do nich Irina Wasiljewa, szczupła, wysoka, młoda dziewczyna. Najstarszy, Wasilij, przekazał jej złożony kawałek papieru. Stewardesa pomyślała, że to życzenia z okazji 8 marca, jednak notatka zawierała groźną treść: *Kierunek - Anglia, Londyn. Nie zmniejszać wysokości, inaczej wysadzimy samolot. Jesteście pod naszą kontrolą.* Stewardesa burknęła: „Co to za żarty!?”. Ironii sytuacji dodawał fakt, że kilka tygodni wcześniej załoga przeszła szkolenie na wypadek porwania samolotu. Ćwiczebne porwanie też zaczęło się od przekazania przez „terrorystów” notatki. Irina udała się do kapitana. Bracia, co dziwne, nie poszli za nią.

Tego dnia oprócz porywaczy na pokładzie było 8 członków załogi i 65 pasażerów. W kokpicie znajdowały się 3 osoby: kapitan Walentin Kuprianów, drugi pilot Aleksander Anisimow i mechanik pokładowy Innokientij Stupakow. Kiedy stewardesa weszła do kabiny, przekazała im notatkę i ponarzekła, że chyba po wylądowaniu trzeba

będzie wezwać milicję, reakcja pilotów była taka sama: „Czy to są jakieś żarty...?”.

Postanowili jednak, że lepiej tego samodzielnie nie wyjaśniać i zachować się zgodnie z przepisami odnoszącymi się do takich przypadków. Nadali kod, że samolot został porwany. Ziemia odpowiedziała, żeby czekali na rozkazy i działali zgodnie z instrukcją. Kapitan poprosił Irinę, by wróciła do chuliganów i rozejrzała się, czy mają jakąś broń i na ile poważnie traktują swoje zamierzenia. Irina podeszła do Owieczkinów wraz z koleżanką – 28-letnią Tamarą Żarką, zgrabną, uśmiechniętą brunetką, starszą zmiany. Tamara tego dnia miała nie lecieć, ale zgodziła się na zastąpienie kolegi. Na widok stewardes, na potwierdzenie powagi swoich gróźb, starsi Owieczkinowie otworzyli futerał na kontrabas i wyciągnęli obrzyny oraz bombę. Irina powoli cofnęła się i przez łączność wewnętrzną powiedziała kapitanowi:

- Nie żartują, są uzbrojeni.

Kapitan odpowiedział jej:

- Więcej do kabiny pilotów nie wchodzić, rozmawiać tylko przez telefon.

W kokpicie rozpoczęła się dyskusja o tym, jak postępować dalej.

Zgodnie z kodeksem lotniczym ZSRR załoga mogła użyć siły przeciwko każdej osobie, która stanowiła bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa lotu. Piloci posiadali na pokładzie broń palną. Po porwaniu samolotu w 1970 roku przez uzbrojonych ojca i syna Brazinskasów³ piloci

radzieckiego lotnictwa cywilnego zostali wyposażeni w pistolety i przechodzili kursy strzeleckie⁴. Mechanik pokładowy Innokientij Stupakow proponował stawienie oporu – załadowanie broni, otwarcie drzwi i powystrzelanie porywaczy. Z tego planu zrezygnowali – strzelanina na pokładzie to zbyt wysokie ryzyko dla pasażerów – pistolety jednak załadowali. Bezpieczniej byłoby udać, że zgadzają się z żądaniami, jak stanowiły przepisy. Zgodnie z instrukcją w przypadkach, kiedy porywacze żądali lotu do kraju poza granicami ZSRR, należało potwierdzić, że samolot faktycznie leci za granicę. Jednak w rzeczywistości trzeba było wybrać lotnisko radzieckie pasujące do wybranego przez porywaczy kraju. Dalej, po wylądowaniu, należało czekać na uwolnienie przez rodzime służby. A gdyby nie udawać i wbrew instrukcji naprawdę polecieć poza granice kraju? Tam porywacze przecież na pewno wszystkich uwolnią. Piloci szybko jednak zrozumieli, że to się nie uda – paliwa wystarczyłoby maksymalnie do Finlandii, na pewno nie do Wielkiej Brytanii.

W tej chwili ponownie odezwała się ziemia. Głos z ziemi przedstawił się jako Tichomirow. Starał się on zebrać informacje o porywaczach. Pytał, czy byli agresywni, jak się zachowywali, o ich uzbrojenie. Zapytał, czy wyglądali jak weterani Afganistanu, gdzie ZSRR już dziewiąty rok toczył wojnę. Powiedział, że chce nadać wiadomość do porywaczy, i poprosił o to, by mógł być słyszany na pokładzie. Tichomirow zaryczał:

- Uwaga, porywacze! Mówi dowództwo Północno-Zachodniego Okręgu Pogranicznego. W zamian za zakładników gwarantujemy tankowanie i lot do Helsinek. Bez odbioru. - Następnie ponownie zwrócił się do pilotów: - Kapitanie, bardzo cię proszę, teraz głównie grajcie na czas, 20-30 minut. Podawajcie jakiegokolwiek powody - boeing południowokoreański⁵, brak papierów, paliwa. Ale dajcie nam 30 minut. Czy zgodzą się, czy nie - to nieważne. Niech myślą, dyskutują. My potrzebujemy czasu, wszystkie siły już są gotowe, o nic się nie martwcie. Załatwimy wszystko w ciągu 30 minut... Powiedzcie im, że jak zaczną strzelać, to postawią siebie poza prawem i my ich powystrzelamy jak wściekłe psy! A wy nie strzelajcie, nie ma takiej opcji. A tak to grożą im w warunkach demokratyzacji⁶ 2-3 lata, nie więcej.

Po tej rozmowie z ziemią podjęto decyzję o działaniu zgodnie z przepisami i tankowaniu w niedługim czasie na terenie ZSRR. Piloci postanowili, że najstarszy i najbardziej solidnie wyglądający mechanik pokładowy Stupakow pójdzie przekonywać porywaczy w rozmowie *tête-à-tête*. Miał powiedzieć im, że paliwa do Londynu nie wystarczy i trzeba lądować na tankowanie gdzieś niedaleko. Przed opuszczeniem kokpitu Stupakow umówił się z kolegami, że kiedy on ponownie zapuka, a oni przez wizjer zobaczą krawat na jego prawym ramieniu, będzie to znaczyło, że terroryści ukrywają się obok i wtedy nie wolno im otworzyć drzwi do kabiny. Kiedy mechanik pokładowy wyszedł z kabiny pilotów, Owieczkinowie ponownie przegapili

moment, w którym można było przejąć ostatecznie kontrolę nad samolotem.

W imieniu wszystkich Owieczkinów ze Stupakowem rozmawiał starszy, Wasilij. W trakcie dyskusji bracia zaczęli dyskutować między sobą, czy Finlandia to kraj wystarczająco kapitalistyczny i czy nie ma umowy z ZSRR o ekstradycji. Mechanik przekonywał Wasilija, że samoloty nie latają bez paliwa i że powinni pójść po rozum do głowy. W końcu Owieczkinowie się zgodzili. Na razie byli spokojni. Postawili jednak warunek: tankowanie w dowolnym kraju poza blokiem socjalistycznym. Stupakow wrócił do kabiny i zamknął drzwi.

Kapitan ogłosił na pokładzie, że kierują się do fińskiego miasta o nazwie Kotka. Tam zatankują i polecą dalej, do Londynu. Dla pewności, że tak się właśnie stanie, Owieczkinowie powiedzieli do stojących obok nich stewardes – Iriny Wasiljewej i Tamary Żarkiej – żeby jedna z nich cały czas stała obok nich. Jeśli coś pójdzie nie tak, tę właśnie zabiją. Na ochotnika zgłosiła się Tamara.

Władze radzieckie nie zamierzały wypuścić porwanego samolotu za granicę. Ziemia najpierw kazała pilotom lecieć do Tallina, po kilku minutach poprosiła jednak, żeby kapitan sam wybrał miejsce lądowania. Dała mu wybór jednego z pobliskich lotnisk. Miało to być albo lotnisko Siwierskaja, albo zapasowe wojskowe lotnisko Wieszczewo. To były małe obiekty położone pośród lasów i mogły z powodzeniem udawać krajobraz innego kraju. Kapitan wybrał Wieszczewo. Fakt, że było to lotnisko wojskowe, dodawał

nadziei. Ponadto znajdowało się ono niedaleko wody i otwierało możliwość udawania przelotu nad Zatoką Fińską.

O 16:10 samolot wylądował w punkcie docelowym. W marcowe dni na radzieckiej północy wcześniej robiło się ciemno. Na to liczyli organizatorzy operacji. Plan był taki: samolot miał wylądować na terenie radzieckim, następnie należało rozpocząć negocjacje, uśpić czujność porywaczy i zdobyć samolot szturmem. Z Moskwy w tym celu wylecieli już antyterroryści. Jednocześnie z Wyborgu i Leningradu na lotnisko Wieszczewo udali się funkcjonariusze milicji łącznie ze sztabem operacyjnym, na czele którego stanął pułkownik milicji Anatolij Bystrow. Byli oni na miejscu tuż przed lądowaniem samolotu. Na antyterrorystów natomiast trzeba było jeszcze poczekać.

Organizatorzy operacji starali się zamaskować wojskowe lotnisko Wieszczewo tak, by wyglądało na zachodnie. Postawili personel stacjonującego tam pułku lotniczego. Żołnierze mieli na to pół godziny. Schowali pojazdy, zamalowali czerwone gwiazdy i napisy w języku rosyjskim. Na hangarze napisali *AIR FORCE*. Na tym prawidłowości się skończyły i do głosu doszło słowiańskie niedbalstwo. W pośpiechu zapomnieli o zamaskowaniu na cysternie obok napisu *Огнеопасно!*. Także dowódca widocznie nie do końca rozumiał, co dokładnie się dzieje, bo na wszelki wypadek rozkazał żołnierzom otoczyć pas startowy. Z tego powodu doszło do katastrofy.

Po wylądowaniu bracia Owieczkinowie natychmiast rozpoznali radzieckie mundury, sprzęt, uzbrojenie i rodzime wojskowe przekleństwa. Plan poszedł z dymem zaledwie po kilku sekundach od wylądowania samolotu.

Gdy rodzina Owieczkinów zrozumiała, że została oszukana, wpadła w szal. Ninel Owieczkina, która wcześniej siedziała spokojnie, wstała z miejsca i przejęła inicjatywę. Rozkazała synom, żeby atakowali kabinę pilotów. Terroryści zaczęli strzelać do drzwi z obrzynów i bić w kabinę 50-kilogramową żelazną pokładową drabiną. Jednak opancerzone drzwi na razie się trzymały. Piloci zawiadomili ziemię, że plan się nie powiódł, że ich atakują, strzelają do drzwi i uderzają czymś ciężkim. Ziemia poleciła, że jeśli przebiją się do kabiny, należy zabić porywaczy, a wcześniej próbować negocjować, postarać się im wytłumaczyć, że wylądowano w ZSRR z powodów technicznych. Na te próby zza drzwi odpowiadał głos matki: „Żadnych negocjacji! Brać ich!”. Następnie posypały się groźby, że zaraz zaczną zabijać pasażerów. A ci przez cały czas siedzieli w milczeniu. Steward Aleksander Dwornikow wspominał potem, że wśród pasażerów byli wojskowi w mundurach i próbowali oni porozumiewać się wzrokiem z kilkoma innymi dorosłymi mężczyznami. Chodziło widocznie o zaatakowanie porywaczy. Steward szeptem poprosił ich, by tego nie robić.

Aby rozładować sytuację, sztab poprosił pilotów, by powiedzieli Owieczkinom, że cysterna z paliwem została wysłana i zaraz rozpocznie się tankowanie. Kapitan

przekazał dobijającym się do drzwi Owieczkinom informację, że ich żądania zostaną spełnione, cysterna już jedzie. Na końcu dodał, że koniecznie trzeba wypuścić mechanika pokładowego na skrzydło, aby mógł on rozpocząć tankowanie. Stupakow znów wyszedł z kabiny, a Owieczkinowie go przepuścili. Drzwi do kokpitu zamknęły się szybko, a porywacze ponownie nie pomyśleli o tym, aby zdobyć otwartąabinę. Mechanik otworzył drzwi samolotu i wyszedł. Żołnierze otaczający pas startowy zobaczyli wychodzącego człowieka i myśląc, że zaraz coś nastąpi, zaczęli zbliżać się do samolotu.

Jednego z nich, w hełmie i z karabinkiem, zobaczył pod skrzydłem przez okienko Dmitrij Owieczkin. Opanował go gniew, pomyślał, że rozpoczął się szturm i że jego i jego rodzinę znów oszukano. Spełnił on groźbę. W gniewie wystrzelił z bliska w twarz stojącej obok Tamary Żarkiej, która przez cały czas starała się uspokajać porywaczy, mówiąc, że wszystko jest dobrze, że są w Finlandii, że zaraz zatankują i polecą dalej. Strzał i upadające bezwładnie ciało koleżanki widziała Irina Wasiljewa. Powiedziała przez słuchawkę do kapitana, że zabili Tamarę. Kapitan przekazał sztabowi, że pozbawiono życia zakładnika, członka załogi.

W tej sytuacji szefowie operacji postanowili nie czekać już na grupę z Moskwy, lecz działać natychmiast własnymi siłami. Rozpoczęto przygotowania grupy szturmowej. Tylko z kogo ją stworzyć? Miała się ona składać... ze zwykłych wyborskich i leningradzkich milicjantów, którzy byli obok. Ich główna praca polegała wcześniej na patrolowaniu ulic

i wyłapywaniu chuliganów. Mimo tego milicjantom wydano hełmy i kamizelki kuloodporne. Mieli walczyć własną bronią – pistoletami. Na czele 10-osobowej grupy szturmowej stanął starszy lejtnant milicji Lagodicz. Plan szturmu był następujący: pod osłoną cysterny z paliwem grupa miała zbliżyć się do samolotu, a następnie podzielić się na dwie mniejsze grupy. Pierwsza miała za zadanie wejść do samolotu przez okienko kabiny pilotów, a druga przez luk bagażowy w dolnej część kadłuba.

Cysterna z paliwem podjechała do samolotu. Pod jej osłoną milicjanci podeszli do pokładu. Jedna grupa otworzyła dolny luk i weszła do „brzucha”, pod podłogę kabiny. Dwóch funkcjonariuszy weszło do kabiny pilotów, korzystając z lin awaryjnych, które znajdowały się w kabinie na wypadek, gdyby piloci musieli opuszczać pokład przez okno. Milicjanci powiedzieli pilotom, że sygnałem do ataku ma być ruszenie samolotu do przodu.

Kapitan włączył silniki i skierował samolot naprzód.

HISTORIA RODZINY OWIECZKINÓW

Ninel wiodła trudne życie. Kiedy miała 5 lat, do niej i jej mamy przyszło zawiadomienie, że ojciec zginął podczas wojny radziecko-niemieckiej. Następnego roku jej mama została zabita przez ochroniarza podczas próby kradzieży ziemniaków z pola kołchozowego. W ten sposób Ninel trafiła do domu dziecka.

9 lat później zabrał ją stamtąd kuzyn. W wieku 20 lat wyszła za mąż za Dmitrija Owieczkina, kierowcę ciężarówki. W 1957 roku urodziła swoje pierwsze dziecko – Ludmiłę. Jej drugie dziecko, córeczka Larisa, umarło niedługo po porodzie. Nad jej malutkim grobem Ninel przysięgła, że nigdy nie będzie używała antykoncepcji ani dokonywała aborcji i urodzi tyle dzieci, ile Bóg jej da. Bóg dał jej jeszcze dziesięcioro dzieci: 7 synów i 3 córki. Za tylu nowych obywateli, potencjalnych żołnierzy, konsumentów i podatników władza radziecka nadała jej tytuł honorowy „Matki-bohaterki”⁷.

Matka-bohaterka trzymała w swojej dużej rodzinie srogą dyscyplinę. Owieczkinowie żyli w odizolowaniu, nie mieli przyjaciół. Sąsiedzi porównywali ich z sektą. Natomiast autorytet matki był niepodważalny. Dzieci bezwzględnie jej słuchały. Nikt z nich nie pił ani nie palił. Jednocześnie matka nie biła swoich dzieci, nie podnosiła na nie głosu, a wszystkie kłopoty były rozwiązywane wspólnie. Wszystkie młodsze dzieci chodziły do tej samej szkoły – nr 66. Mieściła się ona na północnym przedmieściu miasta, w dwupiętrowym ceglanym budynku obok stacji kolei podmiejskiej. Synowie po osiągnięciu wieku poborowego po kolei szli do wojska na dwa lata.

Owieczkinowie mieszkali w domu na przedmieściach Irkucka, w wiosce Roboczeje, przy ul. Dietska (Dziecięcej). Obecnie wioskę tę włączono w obręb miasta i Roboczeje stało się częścią Irkucka. Duża rodzina miała swój ogród, trzy krowy, pięć świń, a także hodowała króliki i kury.

Pilnowanie gospodarstwa, które mieściło się na działce o areale 800 metrów kwadratowych, zajmowało cały ich wolny czas. Mimo ciężkiej pracy kilku osób rodzina żyła w nędzy. Zdrowie u matki było słabe z powodu licznych porodów; cierpiała z powodu wady serca. Żeby sobie poradzić, Owieczkinowie hodowali warzywa na ziemi poza swoją działką. Robili cukierki ze smażonego cukru i handlowali nimi. Kilka razy donieśli na nich sąsiedzi. Wtedy przyjeżdżała milicja i konfiskowała produkcję. Mimo że niechęć do prywatnych gospodarstw w latach 80. osłabła, to jednak ciągle istniała – w kraju nadal obowiązywał socjalizm. Nikt nie miał prawa się bogacić, szczególnie na wsi.

Przez prawie całe życie Ninel pracowała w sklepie monopolowym. W jego zimnym pomieszczeniu zachorowała na astmę. Kiedy w 1985 roku rozpoczęła się antyalkoholowa kampania Gorbaczowa⁸ i alkoholu, którego i tak brakowało, nie można już było dostać, Ninel zaczęła handlować podrobioną wódką. Na to sąsiedzi nie narzekali.

Do jej zawodu idealnie pasował jej mąż. Dmitrij Owieczkin, mimo że był kierowcą, miał wyjątkowe zamiłowanie do rosyjskiego trunku narodowego. Pił on dużo i często, do nieprzytomności. Mógł tygodniami nie wychodzić z ciągów. W ogrodzie nie pomagał. Mało tego, był agresywnym alkoholikiem. Będąc pod wpływem, rzucał się na rodzinę z krzykiem i pięściami. Dzieci pojawiały się w szkole posiniaczone, tłumaczyły się, że upadły, uderzyły się itp. Jedną z ulubionych pijackich zabaw ojca było

zdejmowanie ze ściany nabitej strzelby i wymachiwanie nią przed pozostałymi domownikami. Czasami, w przypiływie wściekłości, strzelał w powietrze nad głowami dzieci lub pod ich nogi. Jeśli dzieci pracowały w ogrodzie, pijany ojciec strzelał do nich przez okno. W takich momentach Ninel krzyczała do dzieci: „Padnij!”, aby nikt nie został postrzelony przez odurzonego alkoholem ojca, a one chowały się po kątach. Mężczyzna w końcu doprowadził się do takiego stanu, że w 1982 roku sparaliżowało mu nogę. Pić jednak nie przestał. Atakowania rodziny również nie zaniechał.

Po roku od sparaliżowania doszło do tragedii. Podczas jednego z pijackich wybryków ojciec zapomniał, że jego synowie już wyrosli i nie są wobec niego tacy bezbronni. Wasilij i Dmitrij, na tamten moment będący w wieku 22 i 20 lat, po odbyciu służby wojskowej, pewnego dnia nie znieśli zachowania pijanego rodzica. Mocno stłukli ojca tyrana. Jak się okazało – za mocno. Pobity konał przez trzy dni, po czym 3 maja 1983 roku zmarł. Wobec synów zostało wszczęte postępowanie karne. Uznano jednak czyny Wasilija i Dmitrija za obronę konieczną i uniknęli oni więzienia.

Po pochowaniu ojca zapewne żyliby oni zwykłym życiem. Jednak pewnego dnia dzieci oświadczyły, że chcą zajmować się muzyką. Nie była to niespodzianka. Dzieci od małego coś śpiewały, pukały w wiadra i łyżki, gwizdały, grały na niewidzialnych perkusjach i gitarach. Starszy, Wasilij, a za nim reszta chłopaków dostali się do szkoły muzycznej. To stało się nowym celem w ich życiu. Poczuli

wiatr w żaglach. W 1983 roku synowie jeden za drugim poszli do Irkuckiej Obwodowej Wyższej Szkoły Muzycznej na wydział instrumentów dętych. Dziewczynki natomiast zostały w domu. Matka przygotowywała ich do roli kucharek, praczek i sprzątaczek.

Nauka muzyki szła Owieczkinom nieźle. Również w 1983 roku – wedle pomysłu Wasilija i z pomocą szefa wydziału instrumentów dętych Władimira Romanienki – powstał jazzband Siedmiu Simieonów. Został on oficjalnie zatrudniony w Związku Parków Miejskich w Irkucku „Dosug” (Odpoczynek). Nazwę grupy wzięto od tytułu rosyjskiej bajki ludowej o siedmiu braciach, którzy wykonali polecenie cara o znalezieniu mu żony, pokonali wiele przeszkód, a on każdego szczerze obdarował.

Los sprzyjał Owieczkinom. Oprócz tego, że nieźle grali, również dobrze prezentowali się wizerunkowo. Siedmiu braci z Irkucka, proletariackiego pochodzenia, skromnych, wysportowanych, grających w jednym jazzbandzie. I co za dzielna kobieta ta ich matka-bohaterka! A jakie śliczne siostry im pomagają! W tym czasie ten gatunek muzyki amerykańskiej nie był już uważany za muzykę wrogów klasowych, nie mówiono, że „od saksofonu do noża jeden krok!” ani że „dzisiaj grasz jazz, jutro sprzedasz ojczyznę!”.

Kariera chłopaków szybko się rozwijała. Dawali koncerty. Uczestniczyli w festiwalu „Jazz-85” w Tbilisi. Grali w Telewizji Centralnej w programie „Szyrie Krug!” (Szerzej Krąg). Koncertowali w Kemerowie, w krajach bałtyckich, zostali przedstawicielami Irkucka na XII Światowym

Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie w 1985 r. Bardzo szybko zdobyli sławę w całym Związku Radzieckim. Nagrano o nich dokument *Siedmiu Simieonów*. Podczas wyjazdów towarzyszyła im ich siostra Olga – pomagała ona braciom w codziennych obowiązkach: gotowała, prała, prasowała, robiła zakupy.

Obecnie uważa się, że sława niezwyklej grupy została po prostu rozdmuchana przez media, a młodzi muzycy byli w rzeczywistości średnio utalentowani. Upadającej władzy radzieckiej potrzebny był jakiś nowy symbol, nowi bohaterowie – duża kochająca się socjalistyczna rodzina, na której czele stoi proletariuszka matka-bohaterka, to było właśnie to, co trzeba. Podobno najbardziej utalentowanym spośród braci był mały Michaił, którego jego nauczyciel Władimir Romanienko za talent jazzowy nazywał „Murzynem”. Dobrze na scenie wyglądał mały Siergiej, który wzrostem był równy z bandzo, na którym grał.

Sami Owieczkinowie uważali inaczej. Zaczęli gwiazdorzyć, sława zrobiła swoje. Patrzyli na ludzi z pogardą. Ekipa filmowa, która nagrywała dokument o Owieczkinach, podkreślała później szczególnie aroganckie zachowanie matki i jej wtrącanie się we wszystko. Kobieta była cały czas niezadowolona: a to źle ustawiono oświetlenie, a to nie otrzymała całego wynagrodzenia, lecz tylko zaliczkę. Ponadto żądała, by na koszt studia filmowego wstawić jej zęby, które straciła z powodu licznych porodów (i zrobiono to). Groziła, że film

nie powstanie, że nie będzie grała i nie pozwoli zagrać w filmie dzieciom, jeśli nie będzie tak, jak ona chce.

Inny poważny epizod miał miejsce wtedy, gdy młodzi Owieczkinowie dostali się na prestiżową uczelnię muzyczną im. Gniesinych w Moskwie, gdzie przyjęto ich bez egzaminów wstępnych jako protegowanych partii. Z pogardą odrzucili tę życiową szansę i po 4 miesiącach nauki wrócili do Irkucka. Uważali siebie za samouków geniuszy. W tym samym czasie żądali od władzy coraz więcej ulg i darowizn. Sama Ninel podsycała w swoich synach wiarę w to, że nikogo nie potrzebują.

Mimo wszystko muzyczna rodzina otrzymywała podarunki od władzy, przede wszystkim instrumenty. Wasilij grał na perkusji, Dmitrij na trąbie, Oleg na saksofonie, Aleksander na kontrabasie, Igor na pianinie, Michaił na puzonie, Siergiej na dziwnym dla Syberii amerykańskim bandzo. To były wartościowe prezenty. Każdy z instrumentów, który otrzymali, kosztował od 100 do 1000 rubli. Działo się to w kraju, gdzie średnia miesięczna pensja wynosiła 100 rubli. Oprócz instrumentów i protekcji w nauce w 1986 roku partia podarowała Owieczkinom dwa trzypokojowe wyposażone i umeblowane mieszkania w Irkucku. Co więcej, pozwoliła im także zatrzymać dom za miastem, w którym mieszkali wcześniej. W jednym z nowych mieszkań Owieczkinowie zamieszkali, a w drugim urządzili coś w rodzaju studia muzycznego.

TO PECH URODZIĆ SIĘ W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Koniec lat 80. ubiegłego wieku to paskudny okres w historii ZSRR: powszechny brak towarów, nawet tych podstawowych, jak makarony czy ziemniaki, kolejki po wszystko, totalna korupcja, rozkwit przestępczości zorganizowanej, ogólna atmosfera apatii i desperacji. Panowało w tych latach poczucie pogardy wobec swojego kraju i władzy. Chłopcy nie marzyli już, by zostać kosmonautami, pilotami, milicjantami, naukowcami. Marzyli o zostaniu bandytami albo skorumpowanymi partyjniakami. Dziewczyny natomiast chciały być kochankami bandytów lub dewizówkami – prostytutkami walutowymi, czyli takimi, które nie oddawały swojego ciała za ruble i nie zadawały się z „sowkami”⁹, to znaczy z mieszkańcami kraju radzieckiego, lecz z cudzoziemcami i za dolary, funty, marki, franki. Szczytem marzeń było rozkochać w sobie klienta, by zabrał on radziecką ślicznotkę na kapitalistyczny Zachód.

Zniknął jeden z podstawowych fundamentów reżimu – strach przed systemem. Niedawna polityka „jawności” pozwoliła obnażyć prawdę o absolutnie zakłamanej i krwawej historii ZSRR oraz czarnej rzeczywistości. Można było pisać i nagrywać filmy o tym, jak w tym kraju jest źle, a jak na Zachodzie dobrze. Jednym z takich filmów stał się obraz *Tak żyć nie można* Stanisława Goworuchina, który pokazywał, gdzie znalazło się społeczeństwo radzieckie po 70 latach swojego istnienia. I porównywał to z krajami Zachodu, które tak potępiała radziecka propaganda. Po

obejrzeniu tego filmu ludzi denerwowało, że w Niemczech Zachodnich, w kraju, który został pokonany przez ZSRR podczas drugiej wojny światowej, zwykły funkcjonariusz policji miał samochód i własne dwupokojowe mieszkanie. Radziecki kapitan milicji (analogicznie do polskiego komisarza policji) gniótł się natomiast z żoną i dziećmi w małym pokoju w mieszkaniu zbiorowym, które dzielił z innymi rodzinami. Irytowało, że człowiek radziecki nie mógł wejść do radzieckiego hotelu, że na lotnisku w Moskwie w strefie duty free nie przyjmowali opłaty w ojczystych rublach, że ludzi nie wpuszczają do niektórych sklepów, bo są tylko dla cudzoziemców lub posiadaczy odpowiedniej waluty. Widzom nie mogło się pomieścić w głowie, jak w rzeczywistości biednie żyli ludzie radzieccy i jak dobrze było poza granicami ZSRR. I to kiedy przez te wszystkie lata prasa trąbiła, że jest odwrotnie. Fundamenty, na których stało państwo, runęły jak domek z kart.

Owieczkinów irytował ponadto jeszcze jeden fakt: ich sława, oprócz darmowych wyjazdów po kraju i podarunków od partii, nie zapewniała im, jak im się wydawało, żadnych poważnych pieniędzy. Uważali, że zasługują na znacznie więcej. W państwie socjalistycznym nie mogli oni legalnie występować prywatnie za wynagrodzenie. Z chwilą kiedy Owieczkinowie przenieśli się ze wsi do miasta, do dwóch podarowanych mieszkań, nie mogli już poświęcać tyle czasu swojej hodowli i ogrodowi. Muzyka wymagała coraz więcej wydatków, a przychody spadły. Był okres, w którym cała rodzina mogła liczyć tylko na rentę matki -

w wysokości około 50 rubli. Marzyła im się w tym czasie własna restauracja, gdzie bracia graliby na scenie, a matka i dziewczynki obsługiwałyby klientów i odpowiadałyby za kuchnię. Teoretycznie pod koniec lat 80. mogli oni już zrealizować swoje plany, jednak z olbrzymimi przeszkodami i ograniczeniami¹⁰.

Czarę goryczy przelał u Owieczkinów ich wyjazd do Japonii – do Kanazawy, miasta partnerskiego Irkucka. Jazzband Siedmiu Simieonów spędził tam trzy tygodnie, dając koncerty. To, co tam zobaczyli, ostatecznie przekonało ich, że mieli wielkiego pecha, przychodząc na świat w ZSRR. Japonia to przecież kraj przyszłości. Lśniące szyby, półki pełne towarów – i to jakich: najnowocześniejsza elektronika – bez talonów i kolejek! Absolutna rozpusta gastronomiczna, piękne ubrania, jasno oświetlone ulice, wysokie budynki ze szkła, czyste, myte na mokro chodniki, reklama, dobrze ubrani i uprzejmi ludzie. Można chodzić, dokąd masz ochotę, i mówić, co chcesz. Porównanie z radzieckimi blokami, ciemnotą, brudem, brakiem towarów i kolejkami, powszechnym chamstwem na tle pustych półek w sklepach – wypadało zdecydowanie na niekorzyść ich ojczyzny. Bracia gotowi byli natychmiast poprosić o azyl polityczny.

Aleksander, którego z powodu jego dobrej znajomości języka angielskiego nazywano „Amerykaninem”, pobiegł nawet po taksówkę i prosił kierowcę, by w zamian za pierścioneńkę zawiózł go do Tokio, aby tam mógł udać się do ambasady amerykańskiej. Drugą próbę przekonania

cudzoziemców, żeby zawieźli go do japońskiej stolicy, podjął po koncercie. Nikt się jednak nie zgodził.

Zgodnie z radziecką tradycją część rodziny, a mianowicie w tym przypadku kochaną matkę i siostry, zostawiono w kraju „jako zakładników”. Nie pozwolono im wylecieć razem z Siedmioma Simieonami. Troska o dalszy los żeńskiej części rodziny przekonała braci do porzucenia próby ucieczki w Japonii i powrotu do domu.

Elektronikę zakupioną za granicą szybko sprzedali i nieźle na tym zarobili. Nie mieli już wątpliwości, że „sowok” trzeba opuścić. Matka wysłuchiwała opowieści synów o bogatej zagranicy. Wymęczona ciężką pracą i nędzą powoli zaczęła zgadzać się z synami, że w tym kraju nic dobrego ich nie czeka. A na Zachodzie mogą być bogaci i sławni.

Po dyskusjach Owieczkinowie uznali, że jedyny sposób na szybkie opuszczenie kraju to porwanie samolotu. Legalny wyjazd z wciąż zamkniętego kraju wydawał się prawie niemożliwy. Nie było dla takowego podstaw – nie mieli za granicą ani pracy, ani krewnych, ani studiów. Ponadto w niedługim czasie Aleksander, a potem Igor mieli iść na dwa długie lata do wojska. Trzeba było działać szybko.

Szykując się do ucieczki, Owieczkinowie sprzedali podarowane meble, instrumenty, sprzęt AGD, dywany, wszystko, co można było spieniężyć. W mieszkaniach zostały puste ściany. Kupili sobie drogie, eleganckie ubrania, żeby „tam” wyglądać jak najlepiej. Pozostało

jeszcze dużo pieniędzy – około 3000 rubli (czytaj: ok. 90 000 złotych), które rodzina zabrała ze sobą.

Starsi synowie, którzy byli głównymi propagatorami pomysłu dotyczącego ucieczki, zrobili ze swojej strzelby obrzyn. Drugą strzelbę pożyczili, bez zamiaru oddania, od sąsiada. W niej też odpiłowali kolbę i lufę. Za dychę zamówili u jednego tokarza elementy do bomby. Powiedzieli mu, że są to części do instrumentów. Jedną ze swoich bomb przetestowali w pobliskim lesie.

Na koniec Owieczkinowie umówili się, że jeśli coś pójdzie nie po ich myśli, nie pozwolą się zamknąć w więzieniu, prędzej się pozabijają. Po prostu nie będą dłużej egzystować w ZSRR. Albo będą żyć w ludzkich warunkach za granicą, albo w ogóle.

SZTURM

Około 19:00 samolot ruszył do przodu, ale milicjanci zamarli przed drzwiami kabiny pilotów. Drugi pilot, Aleksander Anisimow, poklepał jednego z funkcjonariuszy po ramieniu:

– Hej, sygnał do ataku, hej!

Milicjanci otworzyli drzwi i od razu wystrzelili kilkakrotnie z pistoletów. Widocznie mocno się denerwowali. Wyszedł ich brak przygotowania do takich operacji. Wszystkie kule trafiły w czterech pasażerów, którzy siedzieli przed drzwiami kokpitu. Owieczkinowie,

stojący w korytarzu, nie zostali nawet lekko ranni. Później okazało się, że milicjanci wchodzili do samolotu z takim hałasem, że bracia zaczęli podejrzewać, że nie są już sami i zaraz coś się wydarzy. Owieczkinowie mieli lepsze oko niż milicjanci. Bracia oddali po salwie z obrzynów i trafili w cel. Postrzeleni funkcjonariusze upadli na podłogę i zamknęli za sobą drzwi.

W tym samym czasie do akcji przystąpiła druga grupa szturmowa, przebywająca pod pokładem. Miała ona według planu wejść do kabiny przez luki w podłodze. Luki były, ale na podłodze kabiny leżała puszysta wykładzina. Uwidoczniło się tu po raz kolejny zwyczajne niedbalstwo, ponieważ w wykładzinie nie wycięto wlotów dla luków, żeby się otwierały. Ruch wykładziny, która za sprawą milicjantów podnosiła się i opadała, też został zauważony przez Owieczkinów. Próbując uporać się z lukami i nie mogąc już czekać dłużej, druga grupa zaczęła po prostu walić na oślep z pistoletów przez podłogę.

Sytuacja ta trwała kilka minut: krzyki, wrzaski i strzały spod podłogi oraz – w odpowiedzi – ogień ze strony braci.

W końcu Owieczkinom pozostały ostatnie naboje. Byli otoczeni, amunicja prawie się skończyła. Zrozumieli, że to koniec.

Matka zawołała synów.

Mając w pamięci umowę, że można umrzeć, lecz nie wolno się poddać, starsi bracia i Ninel zgromadzili się wokół Aleksandra, który przez cały czas nie wypuszczał z rąk bomby. Wszyscy oprócz Igora. On przestraszył się

i schował się w toalecie obok kokpitu, a na okrzyki braci: „Igorze, chodź! Będziemy umierać!”, nie odpowiadał. Aleksander w końcu podpalił sznur, nie czekając dłużej na młodszego brata. Synowie i mama pożegnali się, stanęli dookoła bomby i przytulili się do siebie.

Bomba wybuchła. Nikt nie zginął. Wszystkie odłamki poszły w górę i przebiły dach samolotu. Wybuch był jednak wystarczająco mocny, żeby w samolocie powstał pożar i kabina wypełniła się dymem. Widząc, że nikomu nic się nie stało, matka i synowie postanowili doprowadzić sprawę do końca. Mieli jeszcze broń i kilka naboí. Jako pierwszy Dmitrij naładował obrzyn i przystawił lufę do głowy. Zastrzelił się na oczach matki i braci. Potem w ten sam sposób zabił się Aleksander. Następnie, pożegnawszy się, w głowę strzelił sobie Oleg. Mama nie zabiła siebie sama, lecz poprosiła swojego starszego syna Wasilija, aby do niej wystrzelił. Ninel podstawiała głowę pod lufę i syn zabił matkę. Zanim Wasilij strzelił do siebie, kazał starszej siostrze Oldze zabrać młodszego rodzeństwo i uciekać, ponieważ młodszym, ze względu na wiek, nic się nie stanie. Powiedziawszy to, ostatni z aktywnych porywaczy przystawił sobie lufę do głowy i pociągnął za spust.

W tym czasie komuś z załogi udało się otworzyć drzwi samolotu i pasażerowie w panice zaczęli przebijać się do wyjścia, gdzie nie było schodów awaryjnych. Zakładnicy spadali z wysokości 4-5 metrów na betonowy pas startowy na siebie nawzajem. Łamali ręce, nogi i żebra, tracili przytomność. Po tym twardym lądowaniu na ludzi, którzy

myśleli, że już po wszystkim, zamiast pomocy czekało ich milicyjne: „Nie ruszać się! Ręce za plecy!”, groźby, przekleństwa i strzały w powietrze. Milicjanci i żołnierze połamane ręce skuwali kajdankami. Jeśli ktoś nie podporządkowywał się natychmiast, kopali i bili kolbami karabinków. Jeden nawet strzelił pasażerowi w plecy. Biedak został inwalidą. Ci z pasażerów, którzy upadli i zdołali odbiec kilka metrów od samolotu, też zostali postrzeleni. Funkcjonariusze nie mogli bowiem wiedzieć od razu, kto jest zakładnikiem, a kto porywaczem.

Sytuacja stopniowo zaczęła się uspokajać. Wszystko zakończyło się o 20:00.

Bezpośrednio z rąk terrorystów zginęła jedna osoba. Trzy kolejne udusiły się dymem podczas pożaru, a dwóch milicjantów zostało rannych. Wielu ludzi na ziemi oraz podczas szturm w samolocie skrzywdzili milicjanci. Sam samolot całkowicie się spalił. Innymi słowy, szturm nie należał do udanych.

Następnego dnia z wraku samolotu wyciągnięto dziewięć spalonych ciał: trzech zakładników, stewardesy Żarkiej, którą zidentyfikowano dzięki roztopionemu zegarkowi, oraz pięciu członków rodziny Owieczkinów.

Tamarę Żarką pochowano z honorami w Irkucku. Pośmiertnie została odznaczona jedną z najważniejszych nagród: Orderem Czerwonego Sztandaru.

SĄD, WYROK, NIEŁATWY LOS POZOSTAŁYCH

Wasilij miał rację. Młodszym Owieczkinom nie postawiono zarzutów ze względu na ich wiek. Kodeks karny RFSRR przewidywał odpowiedzialność karną dopiero powyżej 14. roku życia – i to jedynie za ciężkie przestępstwa, np. zabójstwo lub gwałt. Nieinformowanie o przygotowywaniu przestępstwa nie było tu brane pod uwagę.

We wrześniu 1988 roku w Irkucku delegatura Leningradzkiego Sądu Obwodowego rozpoczęła rozprawę przeciwko pozostałym przy życiu starszym Owieczkinom: Igorowi i Oldze. Tylko oni, ze względu na swój wiek, mogli ponieść odpowiedzialność. Sądzone ich na podstawie art. 213 (porwanie statku powietrznego). Groziło im od 8 lat do 15 lat pozbawienia wolności lub kara śmierci z konfiskatą.

Olga podczas rozprawy sądowej była już w zaawansowanej ciąży i składała wyjaśnienia na siedząco. Przyznała się do winy. Mówiła, że cały czas starała się przekonać matkę i braci, by nie porywać samolotu. Jako dowód pokazywała na brzuch, nie chciała bowiem ryzykować ani opuszczać ojca dziecka, którym był mężczyzna pochodzący z Kaukazu. Zaznaczyła ona, że jej bracia, którzy służyli w wojsku i byli poddani fali zorganizowanej przez kaukaskich poborowych, grozili, że gdy urodzi „czarnego”, uduszą w nocy jej dziecko.

Igor natomiast cały czas zmieniał wyjaśnienia: to przyznawał się do winy, to odwoływał przyznanie. Twierdził, że to ich nauczyciel Romanienko pchnął ich do podjęcia próby ucieczki. Śledztwo wykazało, że było to kłamstwo.

Wyrok zapadł 23 września. Olga Owieczkina została skazana na 5 lat pozbawienia wolności. Najwyraźniej sąd wziął pod uwagę okoliczność ciąży oskarżonej oraz przyznanie się do winy i potraktował ją łagodnie, wymierzając karę poniżej dolnego progu. W więzieniu Olga urodziła córkę. Dała jej na imię Larisa, na cześć dawno już zmarłej siostry. Dziecko zabrała do siebie starsza siostra Olgi – Ludmiła. Później Olga została przeniesiona do więzienia w Taszkencie w Uzbekistanie.

Jej brata Igora sąd skazał na 8 lat pozbawienia wolności, z odbyciem kary w kolonii poprawczo-wychowawczej pod Angarskiem. Kiedy osiągnął pełnoletność, został przeniesiony do więzienia w Bozoju. Tam Igor stworzył więzienną orkiestrę i nią kierował. Oba miasta znajdują się w obwodzie irkuckim.

Najmłodszych: Michaiła, Siergieja, Tatianę i Uljanę, sąd umieścił w domu dziecka.

Wobec najstarszej siostry Ludmiły postępowanie zostało umorzone, ponieważ udowodniono, że nie wiedziała nic o planach pozostałych i nie brała udziału w porwaniu.

Sąd wyraził także niezadowolenie z załogi samolotu, że tamci nie spieszyli się z gaszeniem pożaru, a mieli to uczynić zgodnie z instrukcją. Piloci również oberwali za to, że w płonącym samolocie zostawili powierzoną im broń i dokumentację pokładową.

Milicjanci i wojskowi za swój nieprofesjonalizm nie ponieśli kary.

Największa ironia losu polegała na tym, że trzy lata po usiłowaniu porwania samolotu ZSRR upadł i wyjazd za granicę stał się czymś naturalnym i prostym. Wystarczyło tylko mieć na to pieniądze.

Z 11 Owieczkinów, którzy usiłowali porwać samolot, zginęło 5. Ich szczątki złożono we wspólnym grobie pod Wyborgiem.

Z biegiem czasu Ludmiła, mimo że miała już trójkę własnych dzieci i zajęła się Larisą, wyciągnęła najmłodsze rodzeństwo z domu dziecka i przygarnęła je. Obecnie Ludmiła ciągle mieszka w Czeremchowie. O swoich młodszych braciach i matce mówi tylko dobrze.

Igor Owieczkin po wyjściu z więzienia próbował odbudować życie i grać w różnych orkiestrach i kawiarniach. Ożenił się i przez jakiś czas mieszkał w Sankt Petersburgu. Później zaczął nadużywać alkoholu. W 1999 roku został skazany za handel narkotykami, a w sierpniu tego samego roku w zakładzie karnym, na zlecenie zwierzchników, zabił go za niezapłacony dług karciany współwięzień (rosyjska etyka kryminalna niespłacone długi, zaciągnięte w szczególności podczas gry w karty, traktuje bardzo ostro).

Siergiej, najmłodszy z braci, gwiazda grupy, też próbował grać. Przez jakiś czas występował z bratem Igorem w restauracji. Próbował dostać się na studia. Nie udało mu się. Później ślad po nim zaginął.

Michaił także przeniósł się do Sankt Petersburga. Dostał się do Państwowego Instytutu Kultury i również grał.

Następnie przeprowadził się do Hiszpanii, na Zachód, o którym tak marzyli wszyscy Owieczkinowie. Grał w knajpach i na ulicach. W 2012 roku przeszedł wylew. Obecnie mieszka w ośrodku pomocy społecznej w Barcelonie. Prawie nie może grać, a nawet mówić.

Olę Owieczkinę, która do tragicznego 1988 roku była dla braci podczas ich wyjazdów drugą mamą, spotkał trudny los. Po wyjściu z więzienia zamieszkała w jednym z podarowanych przez partię mieszkań w Irkucku i zajmowała się handlowaniem na rynku rybą. Swoją córkę Larisę zabrała do siebie, jednak później ta z powrotem trafiła do Ludmiły, ponieważ Olga wpadła w nałóg. Rozpiła się. Rozeszła się też z ojcem Larisy. Następnie zamieszkała z nowym mężczyzną, również nałogowym alkoholikiem. Ona i jej kochanek wynieśli wszystko z domu i przepili. Podarowane mieszkanie Olga sprzedała i przeniosła się do mniejszego lokalu na przedmieściu. Pomimo nędzy i nadużywania alkoholu urodziła jeszcze jedno dziecko, któremu dała imię Wasilij – na cześć starszego brata. W tym czasie w jej nowym domu nie było prawie nic oprócz ścian. Dziecko płakało nagie i niekarmione na brudnym materacu, dopóki rodzice leżeli w kącie pijani. W 2004 r., podczas kłótni w trakcie spożywania alkoholu, Olga została zabita przez kochanka. Małego Wasilija także zabrała do siebie Ludmiła.

Mała Uljana również się rozpiła. W wieku 16 lat urodziła dziecko. Próbowwała popełnić samobójstwo. Nie udało jej się to, została jednak osobą niepełnosprawną.

Obecnie mieszka w Irkucku i żyje z zasiłku państwowego. Mówi, że tamten lot zrujnował jej życie.

Tatiana Owieczkina wie teraz skromne, zwykłe życie w Czeremchowie, w pobliżu starszej siostry. Wyszła za mąż. Okres swojego życia do 1988 r., kiedy żyli jej bracia, matka, a jedyną pijącą osobą był ojciec, nazywa najszcześliwszym.

¹ Obecnie Sankt Petersburg.

² Rewolucja październikowa zmieniła nie tylko układ ekonomiczny i polityczny kraju. Był to również zamach na kulturę ludu aż do tego stopnia, że wdrażano nowe radzieckie imiona. Za przykład mogą posłużyć: Lenż od Lenin Żyje, Dileż – Dzieło Lenina Żyje, Kapitalina od *Kapitału* Karola Marksa, Idlen od Idei Lenina, Wladlen od Wladimir Lenin, Jarek od *jadiernyj reaktor* (reaktor nuklearny), Komintern, Barykada, Stalina itd. Arcydziełem imion radzieckich jest dziewczęce imię Dazdrapierma od *Da zdrowstwuje Pierwoje Maja* (Niech żyje Pierwszy Maja) i Dazdasmygda od *Da zdrowstwuje Smyczka Goroda i Dieriewni* (Niech żyje połączenie Miasta i Wsi).

³ To było pierwsze w powojennej historii ZSRR porwanie cywilnego samolotu, które skończyło się powodzeniem dla porywaczy. 15 października 1970 r. 45-letni Pranas Brazinskas i jego syn Algirdas, uzbrojeni w pistolet, obrzyn i granat, porwali samolot i odlecieli do tureckiego miasta Trabzon. W trakcie porwania została zabita 19-letnia stewardesa Nadieżda Kurczenko, która próbowała zatrzymać porywaczy. Po przylocie do Turcji Brazinskasowie zostali skazani przez sąd turecki na 8 i 2 lata pozbawienia wolności. Po odbyciu dwóch lat kary wyszli na wolność po amnestii. W końcu, przy wsparciu tamtejszych władz, znaleźli się w USA. ZSRR, który uważał Brazinskasów za terrorystów i morderców, nie udało się zmusić władz amerykańskich do ekstradycji porywaczy. Stany Zjednoczone natomiast uznawały Brazinskasów za wojowników o wolność Litwy i emigrantów politycznych. Historia zakończyła się w 2002 r., kiedy podczas kłótni syn zabił swojego ojca, uderzywszy go kilka razy w głowę hantlem, za

co trafił do amerykańskiego więzienia. Ucieczka Brazinskasów spowodowała, że w liniach wewnętrznych na radzieckich lotniskach zaczęto przeszukiwać bagaże i pasażerów, a w samolotach pojawili się zakamuflowani milicjanci z bronią.

⁴ Przez jakiś czas na pokładzie byli także zakamuflowani funkcjonariusze milicji. Jednak z tej praktyki z czasem zrezygnowano. Ponadto wydarzyła się historia, w której jeden z takich milicjantów w 1973 r. stał się pośrednim winowajcą wybuchu samolotu Tu-104, kiedy został on porwany przez niejakiego Czingisa Junus-ogly Rzajewa, uzbrojonego w bombę. Milicjant Jeżykow niespodziewanie wystrzelił do porywacza, jednak tamten, umierając, zdążył wcisnąć przycisk i samolot eksplodował w powietrzu nad Czytą.

⁵ Tichomirow mówił o katastrofie lotu Korean Air 007. W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1983 r. pasażerski samolot zboczył z kursu i wleciał na teren radziecki. Został zestrzelony przez radziecki myśliwiec Su-15 nad Półwyspem Sachalińskim. Zginęło 269 osób.

⁶ Jedno z haseł sekretarza generalnego KC KPZR Gorbaczowa w ramach jego polityki „przebudowy”. Obok demokratyzacji postawili również na procesy „przyspieszenia” i „jawności”. Uobecniło się to między innymi w krążących wśród ludzi dowcipach: *Przychodzi Gorbaczow do baru mlecznego, zamawia pierogi. – Dlaczego są kwadratowe? – Przebudowa! – A dlaczego są surowe? – Przyspieszenie! – A dlaczego są nadgryzione? – Kontrola państwowa! – A dlaczego tak otwarcie o tym mówicie? – Jawność!*

⁷ Przysługiwał on kobietom, które urodziły dziesięcioro lub więcej dzieci pod warunkiem, że wszystkie one dożyły 1. roku życia i że matka je wychowywała. Posiadaczki tytułu dekorowano srebrno-złotym orderem.

⁸ Dwa lata po dojściu Gorbaczowa do władzy w ZSRR konsumpcja alkoholu w kraju osiągnęła niewyobrażalny wcześniej poziom 14 l czystego spirytusu w rok na każdego człowieka (np. za cara Mikołaja II było to 5 l). Rozpoczęła się kampania antyalkoholowa. Mimo że sprzedaż produkcji alkoholowej stanowiła istotną część budżetu państwa (około 30% sprzedaży wszystkich towarów spożywczych), kampania była bardzo rygorystyczna. Zamknięto około 3/5 sklepów monopolowych, czas handlu alkoholem ustalono od godziny 14:00 do

19:00, cenę podwyższono z 4,7 do 9,1 rubla za butelkę wódki. Propagowano bezalkoholowe wesela wśród młodzieży. Jednak przy odpowiedniej zmowie z administracją restauracji i kelnerami wódkę oraz koniak podawano w czajnikach i samowarach. Kampania nie ominęła też obszaru kultury: z filmów, piosenek i książek usuwano sceny ze spożywaniem alkoholu. W rolnictwie zniszczono setki tysięcy hektarów winorośli. Kampania miała pozytywny wpływ na poziom śmiertelności, traumatyzm, współczynnik urodzeń, alkoholową przestępczość. Z drugiej strony kampania antyalkoholowa, która miała za zadanie uzdrowić moralnie społeczeństwo, osiągnęła odwrotny efekt – została przyjęta jako antyludowa. Partyjniacy i handlarze nadal mieli dostęp do alkoholu, a zwykli ludzie, którzy i tak stali po wódkę w kilometrowych kolejkach, mieli ją teraz zdobywać jak jakiś narkotyk (jednym z miejsc, gdzie można było nabyć alkohol, były postoje taksówkarzy – mafia alkoholowa sprzedawała przez nich wódkę po 25 rubli za butelkę). W kraju odbyło się kilka „alkoholowych” zamieszek. Rozkwitło bimbrownictwo i pojawiły się alkoholowe grupy przestępcze. Zwiększyła się sprzedaż kleju, perfum, rozpuszczalników i innych środków chemicznych, które konsumowała zdesperowana część alkoholików. Ze sprzedaży zniknął cukier, który szedł na potrzeby bimbrownictwa. Ucierpiał budżet państwa, który nie otrzymał ok. 30 mld „pijanych” rubli. Intensywność kampanii osłabiono w 1987 r., a w 1990 r. ostatecznie ją odwołano. Sam Gorbaczow za tę kampanię otrzymał przezwiska: „Sekretarz Mineralny” i „Lemoniadowy John”.

⁹ Pejoratywne określenie ZSRR, ludzi radzieckich i wszystkiego, co radzieckie, przez własnych obywateli, dosł. „szufelka”; popularne od końca lat 80. ubiegłego wieku.

¹⁰ W 1986 r. została przyjęta ustawa o indywidualnej działalności gospodarczej. W ZSRR znów zalegalizowano biznes, ale z ograniczeniami. Biznesem można było zajmować się wyłącznie poza pracą etatową i zatrudniać tylko członków rodziny. Co więcej, nieco później przedsiębiorców opodatkowano tak, że jeśli ich zysk stanowił więcej niż 2,5 średniej pensji w kraju, państwo zabierało pozostałe pieniądze dla siebie. Dopiero w 1988 r. podjęto skromne kroki w celu legalizacji spółek, pierwszy raz od czasów NEP – lat 20. XX wieku.

TOŃKA CEKAEMISTKA

Ja tylko wykonywałam pracę, za którą mi płacono. Tak samo jak inni żołnierze. Musiałam rozstrzeliwać nie tylko partyzantów, ale również członków ich rodzin – kobiety, nastolatków. Ale tak robili wszyscy, przecież to była wojna.

Nie wiedziałam, kogo rozstrzeliwuję. Oni mnie też nie znali. Nie mam wyrzutów sumienia.

Co za bzdura, że niby potem masz wyrzuty sumienia. Że niby tamci, których zabiłeś, przychodzą do ciebie w snach. Mnie żaden się nie przyśnił.

Z protokołu przesłuchania Tońki Cekaemistki

JAK ZBRODNIARKA WOJENNA UKRYWAŁA SIĘ PRZEZ 35 LAT

Rok 1943. Front wojny radziecko-niemieckiej przesuwał się na zachód. Po zwycięstwie na Łuku Kurskim Armia Czerwona wyzwalała własne tereny spod okupacji niemieckiej. Na ziemiach, z których przepędzono Niemców, zbierano zdobycze, odbudowywano gospodarstwa i administrację, oczyszczano teren z min. Jednocześnie polowano na miejscowych kolaborantów, którzy

współpracowali z okupantami i nie zdążyli uciec wraz ze swoimi zleceniodawcami. Cel stanowili żołnierze oddziałów antypartyzanckich, policjanci, urzędnicy. Władza radziecka nie pieściła się z nimi. Po szybkich i symbolicznych procesach sądowych skazywano ich na długie lata w obozach lub na śmierć.

5 września pod Briańskiem w zachodniej Rosji zostało wyzwolone miasteczko Łokoć. Podczas okupacji niemieckiej istniała tu tzw. Republika Łokocka, a malutka, prowincjonalna Łokoć stała się jej stolicą. Na niewielkim terenie, o rozmiarze jednej trzeciej powierzchni Belgii, została przez Niemców utworzona parapaństwowa jednostka administracyjna z miejscowymi na czele – w celu lepszego zorganizowania okupacji, a także pokazania, jak wolno i dostatnio żyje się bez komunistów.

W trakcie wyzwalań Łokoci czerwonoarmiści odkryli w okolicy miejsce masowych mordów. W jamach znaleziono ponad 1500 zwłok. Na pierwszy rzut oka nic niezwykłego – Niemcy wszędzie mordowali radzieckich cywili w sposób zorganizowany i systematyczny. Jednakże według słów lokalnej ludności te półtora tysiąca osób zabili nie Niemcy, a jedna osoba – Rosjanka. Miała na imię Antonina. Zniknęła tuż przed nadejściem Armii Czerwonej, jeszcze zanim Niemcy zdążyli się wycofać.

Funkcjonariusze Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwowego (NKGB), którzy zajmowali się badaniem podobnych spraw, zaczęli szukać zbrodniarki od razu po wyzwoleniu Łokoci. Jednak mieszkańcy

miasteczka nie bardzo umieli pomóc organom. Opowiadali tylko straszne historie i podawali rysopis: młoda, o nieprzyjemnym, przenikliwym wzroku, z wgłębieniem nad nosem. Przywoływali także jej przezwisko – Tońka Cekaemistka. Rozstrzeliwała rodaków ze słynnego radzieckiego cekaemu Maxim.

Toczyła się największa wojna w historii ludzkości, organy bezpieczeństwa miały więc dużo pracy: wywiad, kontrwywiad, dywersje, sabotaże. Sprawa Tońki wyglądała na zawiłą i trudną – jak pośród trwającej rzezi znaleźć jedną kobietę, znając zaledwie jej imię i niepełny rysopis? Przypuszczano, że los okaże się sprawiedliwy i Tońka prędzej czy później zginie. Śledztwo więc wstrzymano, a funkcjonariusze bezpieki przez lata przekazywali teczkę w spadku swoim następcom. Czasami przy aresztowaniu kolejnego kolaboranta sprawę wyciągano na światło dzienne w nadziei na uzyskanie nowych informacji, ale działo się to coraz rzadziej.

Mijały lata. Wojna się skończyła, umarł Stalin, nastała epoka Chruszczowa. Gdy zrzucano go z radzieckiego tronu, powołano Breżniewa, który samym swoim wyglądem – stary, gruby, powoli mówiący dziadek z krzaczastymi brwiami i masą orderów na piersi – sygnalizował, że w kraju nic się nie zmienia; w kraju wszystko dobrze.

Przez 33 lata sprawa Tońki nie ruszyła z miejsca. Wyrosło w tym czasie pokolenie obywateli radzieckich nie pamiętało wojny. Kraj przyzwyczaił się do życia w pokoju. Aż raz wydarzyło się coś, co na pierwszy rzut oka nie miało

nic wspólnego z wojennymi wydarzeniami – doszło do bójki dwóch osób na ulicy.

WIĘCEJ NIŻ RYSOPIS

Nadszedł rok 1976. Był zwykły dzień. W Briańsku obywatel Czugunow przechodził przez plac. Nie wiedział, co wydarzy się za chwilę, a już tym bardziej nie mógł podejrzewać, że wpłynie to na rozwój historii związanej z Tońką Cekaemistką. W idącym naprzeciwko mężczyźnie Czugunow rozpoznał kogoś znajomego. Przyjrzał mu się i rzucił się na niego z pięściami. Bił go mocno, z czystą nienawiścią. Dźgnął też mężczyznę kilka razy nożem, który nosił ze sobą. Podbiegła milicja i zabrała napastnika na posterunek, poszkodowanego natomiast odesłała do szpitala.

Podczas składania wyjaśnień Czugunow stwierdził, że mężczyzna, którego zaatakował, to niejaki Nikołaj Iwanin, były naczelnik więzienia w Republice Łokockiej. Właśnie stamtąd pochodził Czugunow.

Informację sprawdzono i okazało się, że ofiarą napaści faktycznie był poszukiwany kolaborant z czasów wojny.

Do szpitala, w którym przebywał domniemany były naczelnik więzienia, pojechała grupa śledcza w celu przesłuchania podejrzanego. Czugunow się nie pomylił. Były naczelnik zrozumiał zaś, że go rozpoznano i nie ma sensu się wypierać. Szczegółowo opowiedział o swojej

działalności w łokockim więzieniu. Wspomniał też o bliskiej współpracownicze, która wykonywała wyroki – niejakiej Antoninie. Analizując wydarzenia z dawnych lat, przypominano sobie o kobiecie kacie z Łokoci i sprawę Tońki Cekaemistki ściągnięto z zakurzonej półki.

Iwanin, jak się okazało, miał w tamtych latach przelotny romans z Tońką, czyli – jak podał – Antoniną Anatolijewną Makarową, urodzoną w Moskwie. Pozyskanie tych danych pozwoliło na nowy ruch w sprawie, o której już prawie zapomniano. Z akt starto pajęczyny i rozpoczęto pracę. Szykowała się nowa faza śledztwa w sprawie sprzed ponad 30 lat¹¹. Śledczy tym razem mieli nie tylko rysopis, przezwisko i listę przestępstw, ale również imię, nazwisko i wykaz miejsc, w których można było szukać śladów Tońki. Należy jednak zaznaczyć, że informacja podana przez byłego naczelnika więzienia nie była do końca prawidłowa.

Na czele zespołu śledczego stanął major KGB (sukcesora NKGB) Piotr Gołowaczow. Gołowaczow specjalizował się w poszukiwaniu zbrodniarzy wojennych. Dzięki jego pracy po wojnie znaleziono i skazano dziesiątki kolaborantów. Oprócz obowiązku zawodowego kierował nim także motyw osobisty. Jego ojciec zginął na froncie. Kiedy do miasteczka, w którym mieszkał, przyszli Niemcy, by zabrać ludzi do pracy w Niemczech, matka się ukryła. Zdradził ją ktoś z miejscowych i kobietę wywieziono. Po wojnie Gołowaczow znalazł człowieka, który wydał matkę – był to Kolia, miejscowy kowal.

Grupa śledcza z Briańska udała się do Moskwy, gdzie według Iwanina urodziła się Tońka. Wśród około 5 milionów osób, które mieszkały w obwodzie moskiewskim, i około 7 milionów mieszkających w samej Moskwie trzeba było znaleźć wszystkie Antoniny Makarowe i sprawdzić ich dane. Nie było wtedy jeszcze komputerów ani elektronicznych baz danych. Cała praca odbywała się ręcznie w licznych archiwach i urzędach, pomiędzy zakurzonymi regałami. Taki proces był długi, nudny, trudny i bardzo niewdzięczny. Często też nie przynosił rezultatów. W tym przypadku praca trwała kilka miesięcy, ale zakończyła się powodzeniem. Znaleziono około 300 Antonin Makarowych. Wytypowano spośród nich jedną. Tę, w której przypadku wszystko pasowało: imię, nazwisko, wiek. 55-letnia podejrzana mieszkała w 100-tysięcznym mieście Sierpuchow, w odległości 90 kilometrów od Moskwy. Pracowała w sklepie jako ekspedientka.

Na okazanie do Sierpuchowa zabrano aresztowanego rok wcześniej Iwanina. Miał on obserwować podejrzaną Antoninę i dokonać jej identyfikacji. Umieszczono go w hotelu i zamknięto drzwi pokoju na klucz.

Iwanin został sam. Miał dużo czasu, żeby zastanowić się nad własnym losem. Nie mógł nie wiedzieć, co go ostatecznie czeka: głośny i haniebny proces, a później egzekucja przez strzał w potylicę. Postanowił odejść na własnych warunkach, nie oddając się w ręce sędziów i radzieckich katów. Tego samego dnia w pokoju hotelowym były naczelnik więzienia w Łokoci popełnił samobójstwo.

Skręcił sznur z prześcieradła, przywiązał go do łóżka, założył pętlę na szyję i tak długo turlał się po podłodze, aż się udusił.

Śledczy niedługo martwili się stratą głównego świadka, znaleźli bowiem wielu innych, bezpośrednio na miejscu dawnych wydarzeń. Z Łokoci przywieziono kilku mieszkańców, którzy podczas wojny widzieli twarz Tońki. Wchodzili oni jako klienci do sklepu, gdzie pracowała podejrzana, jednak po wyjściu każdy z nich twierdził, że to nie ona.

To oznaczało, że cała kilkumiesięczna praca poszła na marne i trzeba rozszerzyć krąg poszukiwanych. Zaczęto od nowa zbierać informacje o Antoninach Makarowych, tym razem w całym 250-milionowym ZSRR.

BRAT WSKAZUJE SIOSTRĘ

ZSRR był krajem zamkniętym. Pierwsze na świecie państwo socjalistyczne bardzo pilnowało, kogo wypuszcza za granicę. Aby popatrzeć na świat, choćby jako turysta, człowiek radziecki w latach 70. musiał się poddać długiemu i trudnemu procesowi biurokratycznemu, przechodząc przez kilka filtrów. A do lat 50. ubiegłego wieku turystyka zagraniczna dla obywateli ZSRR była niemal całkowicie niedostępna.

Od początku lat 60. do końca 80. nikt nie mógł wyjechać sam, by zwiedzać świat. Było to możliwe tylko

w grupie. Nie krążyły jednak w wolnej sprzedaży miejsca w grupowych wycieczkach turystycznych. Co więcej, paszport zagraniczny obywatelowi też się nie należał. Nie dało się tak po prostu pójść po niego do urzędu – wymagano uzasadnienia.

Najczęściej świat można było zobaczyć w ramach premii za pracę. W latach powojennych *homo sovieticus*, któremu powiedziano w miejscu pracy, że został wytypowany do udziału w wycieczce za granicę, nie miał łatwo. Najpierw musiał złożyć podanie do podstawowej, lokalnej organizacji partyjnej (swojego zakładu pracy, uczelni itp.). Tam odpowiedzialni towarzysze oceniali wnioskodawcę i jeśli niczego nie mogli mu zarzucić (nie nadużywał alkoholu, nie bił żony, był aktywistą, nie był rozwodnikiem itp.), zatwierdzali wniosek z wydaniem odpowiedniej rekomendacji i charakterystyki. Charakterystyka zwykle mówiła, że kandydat jest wykształcony politycznie, posiada skromny dobytek, w pracy jest zdyscyplinowany i szanowany wśród kolegów, pozostaje moralnie stabilny oraz popiera politykę partii i przyjaźń pomiędzy narodami. Ojczyzna miała być pewna, że za granicę trafią jej najlepsi reprezentanci.

Następnie dokumenty przyszłego turysty trafiały do rejonowego bądź miejskiego komitetu KPZR lub do komisji ds. wyjazdów za granicę przy Komitecie obwodowym, gdzie ostatecznie zatwierdzano kandydaturę. Na kolejnym etapie zapraszano go do jednostki partyjnej na egzamin, podczas którego miał wykazać się wiedzą polityczną. Treść pytań

zależała od kierunku wyjazdu. Jeśli pracownik jechał do NRD, pytano go na przykład o to, jakie podstawowe tezy zawarł w przemówieniu towarzysz Honecker na ostatnim zjeździe SPJN. Istniały także pytania ogólne dotyczące ZSRR i historii ruchu komunistycznego: należało wymienić 10 nazwisk członków Biura Politycznego KC KPZR, 10 wielkich marksistów, opowiedzieć o walce z frakcjami w partii itp. W przypadku udających się na wycieczkę do krajów kapitalistycznych (lub do Jugosławii, którą zrównywano z krajami kapitalistycznymi) proces selekcji był szczególnie surowy, a traktowanie bardziej rygorystyczne.

Oprócz nienaganej biografii i wiedzy trzeba było cieszyć się dobrym zdrowiem. Rozporządzenie Ministerstwa Zdrowia ZSRR nr 696 z 26 września 1969 roku o ulepszeniu organizacji badań medycznych osób wybierających się w długo- oraz krótkoterminowe wyjazdy służbowe lub turystyczne zawierał listę 114 chorób, które uniemożliwiały przekroczenie granicy. Wśród nich znajdowały się: cukrzyca, nowotwory, gruźlica, dyskopatia, narkomania, alkoholizm, słaby słuch, wzrok poniżej 0,3 dioptrii lub z korekcją powyżej 6 dioptrii, kiła, hipertonia, padaczka, nietrzymanie moczu.

Osobną procedurę przeprowadzało KGB, które sprawdzało obywateli własnymi metodami. Na koniec, jeśli wszystkie instancje zgodziły się na wyjazd obywatela radzieckiego za granicę, otrzymywał on odpowiednie rekomendacje od organów partyjnych i bezpieczeństwa, w tym

takie dokumenty jak: charakterystyka z miejsca pracy z zatwierdzeniem związku zawodowego i zaświadczenie o stanie zdrowia z przychodni, które wymieniał na pismo pozwalające na opuszczenie kraju (tzw. wizę wyjazdową) i paszport zagraniczny.

To jednak nie był jeszcze koniec. Po bieganinie za papierami należało odbyć serię dodatkowych rozmów, szkoleń i spotkań z partyjniakami, a także urzędnikami w OWIR¹², gdzie pouczano turystę, jak ma zachowywać się za granicą, aby nie przynieść wstydu krajowi i nie zostać zwerbowanym przez obce wywiady. Jednym z narzędzi, które miały pomóc obywatelom radzieckim, by nie wpadli w sieci obcych wywiadów, była specjalna książeczka: *Podstawowe zasady zachowania obywateli radzieckich udających się do krajów kapitalistycznych i rozwijających się*¹³. Kandydata uczono też historii i zwyczajów kraju, który miał odwiedzić, zachowania w restauracjach i innych miejscach publicznych, tak aby Wańka górnik i Maszka traktorzystka swoimi prostymi manierami i wycieraniem rąk w obrus nie narobili wycieczce.

Wszystkie wyjazdy turystyczne z ZSRR odbywały się grupami i przy pośrednictwie Państwowej Spółki Akcyjnej „Inturist”, jedynej organizacji uprawnionej do wysyłania turystów radzieckich za granicę i przyjmowania turystów zagranicznych w ZSRR. W wysyłaniu za granicę „Inturistowi” pomagały jednostki Wszechzwiązkowej Centralnej Rady Związków Zawodowych (WCSPS, to taki

związek związków zawodowych) oraz związki młodzieżowe, w szczególności Biuro Turystyki Młodzieżowej „Sputnik”.

Funkcjonowało to tak: informacje o przyznanych miejscach w wycieczkach zagranicznych dla najlepszych pracowników kraju „Inturist” rozsyłał do przedsiębiorstw i instytucji, na przykład na duży zakład z tysiącami robotników przypadało 1 lub 2 miejsca na wycieczkę do bliskich ZSRR krajów kapitalistycznych (głównie do Włoch, Francji i Finlandii) i do 10 miejsc na wycieczkę do europejskich socjalistycznych młodszych braci. Osoby, które dostały się na wyjazd do ciekawego miejsca, jak USA, Kanada, Japonia lub na rejs po Dunaju albo Morzu Śródziemnym, mogły uważać to za wygraną na loterii. Zasięg zagranicznej turystyki radzieckiej był ograniczony i uzależniony od polityki. Na przykład po rozłamie chińsko-radzieckim i albańsko-radzieckim na początku lat 60. do Chin i Albanii przestano wysyłać turystów. Pojawiły się za to wycieczki do zbliżających się politycznie do ZSRR: na Kubę, do krajów arabskich, Afryki Zachodniej i Indii. Po otrzymaniu przydziału wycieczkowego administracja zakładu pracy razem z przedstawicielem partyjnym bądź związek zawodowy wybierali spośród robotników kandydatów, którzy mieli złożyć podania o wyjazd. Jeśli ktoś wyjeżdżał za granicę po raz pierwszy, to zazwyczaj tylko do krajów socjalistycznych. Zwykły *homo sovieticus* nie mógł liczyć na odwiedzenie zagranicy częściej niż raz na 5 lat. W ten sposób w 1975 roku z 250 milionów mieszkańców

ZSRR za granicę podróżowało około 2,5 miliona osób, czyli mniej więcej 1 procent ludności.

Radziecka wycieczka turystyczna składała się zazwyczaj z 20–30 osób pochodzących z różnych miejsc pracy i różnych miast. Miała ona swojego kierownika, wyznaczonego przez komitet partyjny, KGB lub związek zawodowy. Do pomocy kierownik grupy wybierał spośród uczestników zastępcę, skarbnika i odpowiedzialnego za suweniry radzieckie. Oddzielną grupę w grupie tworzyli członkowie partii, czyli osoby najbardziej odpowiedzialne. Tylko ci towarzysze mogli rozmawiać z cudzoziemcami, gdyby zachodziła taka potrzeba, pozostawiać wpisy w księgach gości i jedynie oni mogli odpowiadać na pytania cudzoziemców. Dla nich drukowano dodatkowe ulotki, takie jak: *ZSRR: 100 pytań i odpowiedzi*. Ulotka zawierała rozwinięte odpowiedzi na prowokacyjne pytania, które mogły zostać zadane turyście radzieckiemu, np.: *Co daje człowiekowi socjalizm? Czym można wytłumaczyć, że carska Rosja eksportowała zboże, a ZSRR je importuje? Kto jest głową w rodzinie radzieckiej?* [14](#). Mieli oni także przerywać lokalnym przewodnikom i tłumaczyć im, jak było naprawdę, jeśli opowieści różniły się od radzieckiego poglądu na historię. Za granicą grupy turystyczne odwiedzały nie tylko obiekty światowej sławy, jak np. wieżę Eiffla, ale także miejsca związane z ruchem komunistycznym, np. mieszkanie-muzeum Lenina w Paryżu, zakłady i fabryki, robotnicze dzielnice, wsie. Takie wizyty

niejednokrotnie kończyły się przemowami do grupy turystycznej i wymianą prezentów.

Po powrocie do ZSRR kierownik grupy składał raport odpowiednim organom, kto i jak się zachowywał. Podkreślał błędy rodaków w zachowaniu podczas pobytu za granicą. Niepoprawny turysta mógł wówczas zapomnieć o ponownym wyjeździe przez długi czas. „Obywatel Iwanow na 20 minut zgubił grupę i spacerował sam”. „Obywatelka Pluszkinina zbyt mocno zachwyciła się zachodnią architekturą”. A jeśli, nie daj Boże, dał się przyłapać na picciu alkoholu, opuszczeniu hotelu, stosunku płciowym z autochtonem, pójściu na striptiz lub do kasyna – był skreślony. Natomiast jeśli kierownik miał dobry humor, wpisywał do raportu, że wycieczka „nie dała się uwieść zachodniemu sposobowi życia i za lśniącymi szybami kapitalizmu zobaczyła prawdę: życie na kredyt i stałe zagrożenie bezrobociem”.

Za wycieczkę trzeba było płacić. W kraju, w którym za bardzo dobrą pensję uważano 150 rubli miesięcznie (tyle otrzymywał np. doświadczony inżynier, dobry lekarz lub szef ekipy budowlanej), cena wycieczki do Francji mogła wynosić około 1000 rubli. Demoludy natomiast były tańsze – od 100 rubli do 200 rubli. Mając na uwadze, że za możliwość zobaczenia świata należało dać co najmniej jedno miesięczne wynagrodzenie, a także ze względu na olbrzymią papierologię, wytypowany do wycieczki szczęściarz mógł nieraz powiedzieć: „A idźcie wy w cholere z waszą zagranicą. Ja ojczyznę mam gigantyczną”. Jeśli

turysta nie pochodził z Moskwy, Leningradu (a stamtąd zwykle odlatywały samoloty, odjeżdżały pociągi i odpływały statki na zachód) lub Odessy (podstawowy port dla statków odpływających w kierunku południowym), trzeba było doliczyć koszt dojazdu do jednego z tych miast. Czasami część wydatków na wycieczkę, do 50 procent, pokrywał związek zawodowy lub zakład pracy.

Dokumentami, takimi jak wizy, także zajmował się związek zawodowy lub zakład pracy. Do krajów bratnich wizy nie wymagano; konieczne było jednak pozwolenie na opuszczenie kraju.

Na wyjazdy nie pozwalano brać ze sobą żadnych dokumentów, jak: legitymacja partyjna, książeczka wojskowa, legitymacja komsomolska. Tylko paszport zagraniczny. Na czas posiadania przez obywatela paszportu zagranicznego zabierano mu paszport wewnętrzny (czyli dowód osobisty).

Trzeba było również zabrać coś na drobne wydatki. Na wywóz gotówki istniały jednak poważne ograniczenia. Turystom wybierającym się na 14-dniową wycieczkę pozwalano wymienić na zagraniczną walutę około 30 rubli, co w przeliczeniu dawało wartość około 2 dolarów na dobę. Pieniądze wydawano po zameldowaniu się w hotelu. A przecież chęć przywiezienia czegoś dzieciom i współmałżonkowi (za granicę nie wysyłano z najbliższymi; podróżowanie całą rodziną było możliwe tylko w ramach turystyki wewnętrznej) była ogromna. Liczni krewni i znajomi, dowiedziawszy się o wyjeździe poza ZSRR,

natychmiast narzucali się z listą zakupów. Biedni turyści radzieccy radzili sobie, jak mogli, i zabierali nieliczne ojczyście towary, które można było sprzedać za granicą: wódkę, zegarki, żelazka, aparaty fotograficzne, matrioszki, suweniry z sierpem i młotem, noże. A także konserwy, żeby zaoszczędzić na obiadach. Zagraniczni miejscowi wiedzieli, że prawdziwą *russian vodka*, która jeszcze wczoraj stała na półce w sklepie za żelazną kurtyną, można nabyć w hotelach od radzieckich turystów. Jeśli tym na koniec wyjazdu zostawała w rękach jakaś waluta, musieli ją koniecznie wydać przed powrotem do domu, inaczej na granicy celnicy odbierali pieniądze. Wśród suwenirów kupowano: coca-colę dla dzieci, karty z nagimi kobietami dla kolegów, piwo w puszcze dla siebie, buty dla żony oraz wszystko, co można sprzedać w domu – jeansy, materiał na garnitury, elektronikę.

Po powrocie „podróżnik” przez miesiące stanowił główny obiekt zainteresowań rodziny i przyjaciół. Na człowieka, który był „tam”, patrzono, jakby regularnie pił z sekretarzem komitetu obwodowego; słuchano go z zachwytem i zazdrością. Uważano, że towarzysz znalazł się blisko spełnienia radzieckiego wyobrażenia o idealnym życiu: „mieszkanie, dacha, samochód, wyjazd zagraniczny”.

Najmniej problemów z wyjazdami mieli obywatele, których wysyłała ojczyzna: dyplomaci, handlarze, wojskowi, piloci, marynarze, sportowcy, artyści, specjaliści, no i oczywiście szpiedzy. Ich też sprawdzano, nie musieli jednak kombinować z przewozem towarów ani walczyć

o wycieczki. Mieli też szerszy zasięg dostępnych terytoriów – przodujące kraje kapitalistyczne i egzotyczne kraje trzeciego świata. W przypadku pracy za granicą dopuszczano wyjazdy z rodziną. ZSRR gwarantował specjalne przedszkola, szkoły, kierowców, ochronę, sklepy itd.

Obywatel Parfionow w 1976 roku był wojskowym, pracował w Ministerstwie Obrony ZSRR i szykował się do wyjazdu służbowego. Był jednym ze szczęściarzy, których wypuszczono za granicę. Nie uniknął ankiety, która obejmowała wypisanie wszystkich znanych mu krewnych, w tym zmarłych, wraz z ich zawodami i zajęciami podczas wojny. Uczciwy wojskowy wskazał w ankiecie swoją siostrę i wśród wielu Parfionowów wpisał: *Antonina Makarowa Ginzburg (urodzona jako Makarowa)*. Sumienny brat zaznaczył też miejsce zamieszkania siostry – *miasto Lepel, Białoruska SRR...* Nie wiedział, że tą właśnie informacją skierował na siostrzyczkę uwagę KGB.

Wiadomość o tym, że jakiś wojskowy wymienił w kwestionariuszu Antoninę Ginzburg, z domu Makarową, która była na liście poszukiwanych za zbrodnie wojenne, trafiła na biurko Gołowaczowa. Obywatela Parfionowa wezwano na dodatkową pogawędkę do OWIR, aby opowiedział więcej o krewnych i wyjaśnił, dlaczego wszyscy w rodzinie to Parfionowie, a jedna z urodzenia Makarowa, mimo że ma tych samych rodziców. Podczas rozmowy byli obecni funkcjonariusze KGB. Otrzymawszy raport ze spotkania, grupa śledcza udała się na Białoruś, do Lepelu.

Zbyt dużo było podobieństw między siostrą obywatela Parfionowa a poszukiwaną Tońką Cekaemistką.

Gołowaczow postanowił działać ostrożnie. Jeszcze nie miał 100-procentowej pewności, że to właściwa Tońka. Mógł to być fałszywy trop, jak z kobietą w Sierpuchowie. Wstydem byłoby odwalić kawał roboty i oskarżyć o straszne przestępstwa niewinną osobę.

Po wstępnym rozpoznaniu okazało się, że lepelska Antonina Makarowa to wzorowy pracownik, a jej zdjęcie wisi na lokalnej tablicy przodowników pracy i weteranów wojny z nagrodami. Ponadto to matka dwójki dzieci. Czy taka kobieta mogła być zdrajczynią i morderczynią? Zarządzono obserwację podejrzaną i postanowiono przeprowadzić mały eksperyment śledczy.

9 maja podczas koncertu w Dniu Zwycięstwa w Lepelu do podejrzaną, zaproszoną wśród innych weteranów, podszedł dziennikarz. Był to przebrany funkcjonariusz bezpieczeństwa. Uśmiechnięty, gadatliwy, pytał o to i owo, a w szczególności interesowały go detale z jej przeszłości, zwłaszcza zaś to, co robiła podczas wojny, jaką drogę przeszła, gdzie służyła. Śledczy widzieli, że właściwa Antonina będzie miała kłopoty ze szczegółowymi odpowiedziami na te pytania tak, żeby nie wzbudzić wątpliwości. Ale w rozmowie z funkcjonariuszem podejrzana Antonina plątała się już nawet przy prostych pytaniach: w jakich jednostkach służyła, gdzie stacjonowała, kto był dowódcą batalionu, a nawet kto był dowódcą jej dywizji. Mówiła, że nie pamięta i że to było tak dawno. Czy

jednak naprawdę rzeczywista Tońka Cekaemistka nie wymyśliłaby przez te 30 lat przekonującej historii?

To wszystko skłoniło Gołowaczowa do jeszcze jednego eksperymentu, bardziej konkretnego, który miał dać pewność, czy to ona, czy nie. Do Lepela przywieziono ludzi z Łokoci, którzy pamiętali Tońkę.

W lipcu 1978 roku obywatelkę Antoninę Ginzburg wezwano do lokalnego wydziału ubezpieczenia socjalnego pod pretekstem przeliczenia jej emerytury. Weszła do gabinetu urzędnika, rolę którego odgrywał funkcjonariusz bezpieki, usiadła i rozpoczęła rozmowę. W tym samym czasie zza sąsiedniego biurka Antoninę obserwowała świadek – mieszkanka Łokoci – zaś obok niej siedział major KGB, Gołowaczow. Świadek nie zdecydowała się na zasygnalizowanie, że rozpoznała w podejrzanej Tońkę. Gdyby tak się stało, miała nastąpić Gołowaczowowi na but. Minuty leciały bardzo powoli. W końcu obywatelka Ginzburg wstała, pożegnała się i wyszła. Gołowaczow kłął w duchu, na czym świat stoi – znów pomyłka!

Kiedy jednak drzwi się zamknęły i minęło kilkę sekund, świadkowi puściły nerwy:

– Ona! To ona! To była ona! Towarzyszu, łapcie ją, bo znów ucieknie! No, co siedzicie, zróbcie coś!

Podejrzana nie usłyszała krzyków świadka.

W tym samym czasie na ulicy w towarzystwie funkcjonariusza KGB czekał inny świadek. Miał przyjrzeć się twarzy Antoniny, kiedy będzie opuszczała budynek,

a funkcjonariusz rozpocznie z nią rozmowę. Ten świadek też rozpoznał w podejrzanej Tońkę.

Zidentyfikowano ją nie tylko na podstawie twarzy, ale również głosu i pewnego charakterystycznego gestu, który nie zmienił się przez dziesiątki lat – ciągle poprawiała włosy.

Żeby ostatecznie uniknąć pomyłki, poproszono o pomoc jeszcze jedną osobę z Łokoci. Trzeci świadek obserwował Antoninę przez okno podczas jej pracy w zakładzie krawieckim. Po trzykrotnym okrzyku: „To ona!” śledczy nie mieli już wątpliwości.

Później wspominali, że choć minęło ponad 30 lat, świadkowie panicznie bali się Tońki. Drugi świadek, gdy tylko rozpoznał w wychodzącej z budynku kobiecie „kata w spódnicy”, zasłonił twarz rękami i się odwrócił.

„KAT W SPÓDNICY”

Antonina Makarowa (czyli imię ojca to Makar) Parfionowa urodziła się 1 marca 1920 roku we wsi Małaja Wołkowka w guberni smoleńskiej. Była najmłodszą z ośmiorga rodzeństwa. W czasie jej dzieciństwa nie zaszło nic niezwykłego. W wieku 7 lat poszła do szkoły. Nie lubiła matematyki, preferowała historię i geografę. Gdy nadszedł czas, gdy dzieci miały otrzymać własne dokumenty tożsamości, zdarzył się przypadek, za sprawą którego Antonina nieoczekiwanie zmieniła nazwisko. Miejscowy

urzędas, wypełniając dokumenty, pomylił się i jako nazwisko Antoniny zamiast Parfionowa wpisał Makarowa. Rodzice nie skorygowali błędu. Uznali, że w radzieckim królestwie biurokracji szkoda zachodu.

Po upływie lat rodzina Parfionowów przeniosła się do Moskwy. Tam Antonina zdała maturę i dostała się na uniwersytet medyczny.

Nadszedł rok 1941. Wraz z nim w życie Antoniny i wszystkich obywateli radzieckich wkroczyła wojna. Początek konfliktu radziecko-niemieckiego był dla ZSRR prawdziwą klęską. Jedną z największych porażek w historii wojen. Armia Czerwona poniosła olbrzymie, milionowe straty. Rozbita została prawie cała armia kadrowa, a wrogowi oddano gigantyczne tereny, prawie całą europejską część ZSRR: obecną Ukrainę, Mołdawię, Białoruś, Estonię, Łotwę, Litwę i zachodnią część Rosji. Jeńców, trofeów i zdobytych ziem było tak dużo, że Niemcy mieli poważny problem z ich kontrolowaniem.

Jednym z rozwiązań były samorządy kierowane przez lokalną ludność. 15 listopada 1941 roku na skrzyżowaniu obwodów briańskiego, orłowskiego i kurskiego powstała Republika Łokocka – inaczej: Samorząd Łokocki – z prawie 600 000 mieszkańców. Latem 1942 roku republika została przemianowana na okręg łokocki. Na czele nowo powstałego tworu stanął 46-letni starosta Konstantin Woskobochnik. 8 stycznia 1942 roku został on zabity przez partyzantów radzieckich, którzy dokonali ataku na koszary lokalnych kolaborantów i dom starosty. Woskobochnika

zastąpił 43-letni Bronisław Kamiński. Obaj ucierpieli przez władzę radziecką i nienawidzili jej z całego serca.

Republika rozwijała się stosunkowo niezależnie od administracji okupacyjnej. Miała swoją religię państwową, własne siły zbrojne – Rosyjską Armię Narodowo-Wyzwoleńczą (RONA) z około 20 000 żołnierzy, 15 czołgami oraz około 60 działami i moździerzami. Wspierała ona porządek i broniła republiki przed partyzantami. Łokoć zbudowała własny system prawny z odrębnym kodeksem karnym. W republice zniesiono ustrój kołchozowy, przywrócono instytucję własności prywatnej i pozwolono na działalność gospodarczą. Działały cerkwie, szpitale, szkoły, drukowano własną gazetę – „Głos Ludu”. Walutą pozostał rubel radziecki, chociaż uznawano także reichsmarkę. Na terenie republiki stacjonowały jednostki niemieckie i węgierskie.

Jednocześnie zabroniono swobodnego przemieszczania się po terenie samorządu. Obowiązywała godzina policyjna, a o wszystkich nowych osobach na terenie republiki należało meldować władzom lokalnym.

Republika Łokocka miała swój wkład również w historię Polski – wtedy wraz z RONA Niemcy zostali w końcu wyparci przez nacierającą Armię Czerwoną. Bronisław Kamiński i siły zbrojne Łokoci zapisali się w historii Warszawy swoimi czynami podczas powstania warszawskiego w 1944 roku. Rzuceni do walk przez Niemców żołnierze Kamińskiego od pierwszego dnia uczestnictwa w pacyfikacji wyróżniali się szabrownictwem, maruderstwem, grabieżami, pijactwem,

gwałtami i masowymi mordami cywilów. Ich ofiarami padło około 25 000 warszawiaków. Z tego powodu Kamiński otrzymał od mieszkańców stolicy przezwisko Rzeźnik. Zaangażowanie tzw. kamińców zaskoczyło nawet Niemców z SS. 28 sierpnia 1944 roku skazali oni Kamińskiego za przestępstwa wojenne i rozstrzelali go w Łodzi.

Jednak w 1941 roku wojsko radzieckie stale cofało się na wschód. Do ponoszącej klęskę za klęską Armii Czerwonej od pierwszego dnia wojny powoływano kobiety mające wykształcenie, które mogło się przydać na wojnie: medyczne, techniczne, weterynaryjne. Poboru nie uniknęła moskwianka Antonina Makarowa, która studiowała medycynę. Trafiła do wojska jako sanitariuszka i od razu znalazła się w centrum wydarzeń – w kotle wiaziemskim pod Moskwą.

Nacierający na Moskwę w październiku 1941 roku Niemcy zdołali otoczyć pod miastem Wiaźma dwa radzieckie fronty, Zachodni i Rezerwowy, czym doprowadzili Sowietów do kolejnej wielkiej porażki, której wynikiem było 380 000 zabitych i rannych; dodatkowe 600 000 trafiło do niewoli. Inaczej mówiąc, Armia Czerwona straciła prawie milion żołnierzy, wskutek czego pod Moskwą już prawie nie było wojsk zdolnych do obrony miasta. Jedynie desperacki opór otoczonych i wyczerpanie przez moskwian ostatnich sił nie pozwoliły Niemcom od razu zdobyć radzieckiej stolicy. Wśród otoczonych pod Wiaźmą znalazła się 20-letnia przestraszona sanitariuszka Antonina Makarowa.

Przez kilka dni z resztkami swojego oddziału błądziła po lasach, dopóki nie schwytali ich Niemcy. Złapanych jeńców Niemcy zgromadzili na polu otoczonym drutem kolczastym. Pilnowali ich bardzo słabo. Antonina i jeszcze jeden żołnierz, Nikołaj Fiedczuk, wykorzystali chwilę nieuwagi strażników i zdołali uciec. Postanowili odejść od horroru przegranej wojny, już nie walczyć i udać się do domu Fiedczuka, który znajdował się w obwodzie briańskim, 320 kilometrów na zachód od Wiaźmy. Przez kilka tygodni, do stycznia 1942 roku, wędrowali przez Rosję, ukrywając się. Jedli śnieg, zgniłą trawę i korę z drzew. Czasami ktoś wpuszczał ich do siebie na noc, dawał ciepłe ubrania i posiłek, ale rano prosił o opuszczenie domu. Ukrywanie u siebie zbiegłych jeńców wojennych było bardzo niebezpieczne. Proponowano im też nieraz dołączenie do lokalnych partyzantów, jednak Nikołaj i Antonina odmawiali. W końcu, głodni i przemarznięci, dotarli do rodzimej wioski Fiedczuka o nazwie Krasnyj Kołodiec (Czerwona Studnia).

Antoninę czekało tam wielkie rozczarowanie. Fiedczuk w końcu znalazł w sobie dość odwagi i przyznał, że ma tu żonę i dwójkę dzieci, więc Antonina, która zdążyła zostać jego kochanką, musi odejść.

Trudno sobie wyobrazić, co przeżyła wtedy 20-letnia młoda kobieta. Głodna, po długiej, wielokilometrowej pieszej wędrówce przez okupowane tereny, w ciągłym strachu, liczyła na zakończenie tułaczki, możliwość najedzenia się i ogrzania. Coś się w niej załamało. Panicznie

nie chciała umierać i zostać sama. Fiedczuk był jednak stanowczy. Powiedział: „Wybacz, jeśli potrafisz”. A kiedy Antonina wczepiła się w jego nogę, mocno ją uderzył.

Antonina rozpoczęła więc samotną podróż bez jakiegokolwiek konkretnego celu. Po drodze od czasu do czasu zatrzymywała się w różnych wsiach. Podrywała w nich lokalnych mężczyzn, by dostać się do jakiegoś domu; zwyczajnie wpraszała się na nocleg albo po prostu kradła. Z każdej miejscowości w końcu ją przepędzano.

Wreszcie znalazła się w Republice Łokockiej. Tam schwytał ją lokalny patrol kolaborantów i zabrał na przesłuchanie. Rozglądając się po Łokoci, Antonina zauważyła, jak wyjątkowo dostatnio w porównaniu z innymi miejscowościami żyło się ludziom pod władzą samorządu. Szczególnie dobrze zaś powodziło się tym, którzy ściśle współpracowali z Niemcami. Zmęczona i wygłodzona Antonina opowiedziała swoją historię i wprosiła się na służbę u kolaborantów.

Na początku przydzielono ją do lokalnej policji. Z wielkim zaangażowaniem torturowała pojmanych partyzantów i przesłuchiwała podejrzanych. Widocznie wyhodowała w sobie złość na czerwonych za klęskę wojenną, przez którą musiała znieść tyle cierpienia. Za przegraną wojnę, która zrujnowała jej młodość.

Jej zaangażowanie docenił sam starosta, przydzielając ją do wykonywania wyroków. Widocznie kolaboranci sami nie chcieli brudzić sobie rąk. W tym celu Antoninie przedzielono słynny cekaem Maxim. Oddano jej do

dyspozycji do zamieszkania osobny pokój w miejscowej stadninie.

Gdy nadszedł pierwszy dzień nowej „pracy”, rozkazano jej rozstrzelanie grupy ludzi. Jednak Antonina nie była w stanie strzelać do rodaków. Wtedy to dobrzy Niemcy, obserwujący egzekucję, porządnie ją upili. Po bimbrze sprawa poszła już łatwo. W ten sposób dziewczyna rozpoczęła „karierę” kata.

Mijał tydzień za tygodniem, rosła liczba straconych. Czasami miały miejsce trzy egzekucje dziennie. Najczęściej rozstrzeliwano ludzi grupami, po 27 osób. Akurat tylu mieściło się na stojąco w celi lokalnego więzienia, które również zostało zorganizowane w stadninie. Rozstrzeliwano partyzantów, współpracujących z nimi lub po prostu osoby podejrzane, ich krewnych i znajomych, radzieckich jeńców wojennych. Na egzekucje Tońka chodziła w radzieckiej wojskowej bluzie i w spódnicy. Czasami można było zauważyć za jej paskiem chłyst. Swoją pracę Tońka często wykonywała na gazie, bo zwykle przed egzekucją wypijała szklankę bimbrow. Po strzałach z cekaemu Tońka chodziła między ofiarami i jeszcze żyjących dobijała strzałem z pistoletu.

Płacono jej 30 reichsmarek za każdą egzekucję. Tońka zostawiała sobie także niektóre rzeczy zabitych. Według świadków przed rozstrzelaniem długo badała tłum skazanych wzrokiem, wypatrując wartościowych, ładnych rzeczy. Nieraz potem marudziła, że jakieś ubranie na kimś z zabitych było takie ładne, ale musiała je zostawić na

trupie, ponieważ było zbyt zakrwawione i podziurawione. Czasami obserwowała swoje przyszłe ofiary w więzieniu, przechadzając się pomiędzy celami. Nie gardziła obręczkami.

Z czasem wśród ludzi pojawiły się plotki – mówiono, że zdarzają się przypadki, gdy egzekucje przeżywają dzieci. Kule przelatowały im nad głowami, a dzieci wpadały do jamy wykopanej na zwłoki i udawały martwe. W nocy uciekały i trafiały do partyzantów, krewnych lub po prostu chowały się u nieznajomych ludzi. Kiedy stało się jasne, co się dzieje, Tońka zaczęła rozstrzeliwać dorosłych i dzieci oddzielnie. Na wszelki wypadek dzieci zabijała nie z cekaemu, lecz z pistoletu, strzałem w głowę z bliska. Dla pewności.

Ciężka praca, horror wojny i wspomnienia z przeszłości widocznie nie dawały Tońce spokoju. W lokalnym klubie muzycznym często i dużo piła oraz wdawała się w romanse z Niemcami lub miejscowymi. Była bardzo popularna wśród wojskowych. Amantów miała wielu i często ich zmieniała.

Jako „kat w spódnicy” stała się słynna we wszystkich okolicznych obwodach. Lokalna partyzantka radziecka poprzysięgła, że ją dopadnie i publicznie powiesi. Jednak nie udało im się to, gdyż samorząd w tamtych czasach był dość silny.

W ten sposób minęło 15 miesięcy, podczas których Tońka zabiła ponad 1500 osób.

JAK TOŃKA CEKAEMISTKA STAŁA SIĘ Z POWROTEM ANTONINĄ

Powoli stawało się jasne, w jakim kierunku zmierza wojna. Niemcy w 1941 roku przegrali pod Moskwą, w 1942 ponieśli dotkliwą porażkę pod Stalingradem, a ostatecznie stracili inicjatywę strategiczną na Łuku Kurskim. Front zbliżał się do Łokoci. Latem 1943 roku Niemcy odesłali ukochaną Tońkę na tyły, by wyleczyć ją z chorób wenerycznych, których nabawiła się podczas libacji. To uratowało ją od zemsty rodaków. Gdy zbliżała się Armia Czerwona, kolaboranci razem z rodzinami i resztkami majątku opuścili miejscowość. Antonina oczywiście nie powróciła do Łokoci. Wdała się w romans z niemieckim żołnierzem – kucharzem. Razem z nim i cofającymi się wojskami niemieckimi wyjechała na Ukrainę. Potem znalazła się w Polsce. Tam niemiecki kochanek zginął, a niepotrzebną już nikomu Antoninę wysłano do obozu jenieckiego w okolicy Królewca.

W kwietniu 1945 roku Armia Czerwona po krwawym szturmie zdobyła miasto. Wyzwoliła obóz, w którym przebywała Antonina. Tońka zrozumiała, że jeśli wyjdzie na jaw, czym się zajmowała, będzie po niej. Tak jak w 1941 roku, tak również w 1945 postanowiła przetrwać za wszelką cenę, tym bardziej że koniec wojny był już bliski. A los jej sprzyjał. Udało jej się wszystkich oszukać. Opowiedziała, że trafiła do niewoli niedawno, w 1944 roku, w walce. Uwierzono jej i skierowano ją do dalszej służby w mobilnym szpitalu wojskowym.

Los dał jej możliwość ukrycia swojej prawdziwej tożsamości jeszcze skuteczniej. W szpitalu poznała ранego żołnierza Wiktora Ginzburga. Młody żołdat tak zakochał się w nowiutkiej sanitariuszce, że tydzień później się jej oświadczył. Oblubienica bardzo szybko się zgodziła i przyjęła nazwisko męża. Po wojnie Wiktor zabrał Antoninę na Białoruś, do swojego niewielkiego rodzinnego miasteczka – Lepela.

Tak więc z nowym nazwiskiem, w cichej, małej miejscowości, gdzie nikt jej nie znał, Antonina rozpoczęła nowe życie. Ani mąż, ani nowi krewni, ani sąsiedzi nie poznali prawdziwej przeszłości Tońki Cekaemistki. Wiktor pracował jako mechanik, co gwarantowało rodzinie dostatnie życie, ponieważ w ZSRR osoby potrafiące cokolwiek robić rękami (zresztą jak dziś) zawsze mogły dodatkowo zarobić i miały wiele znajomości. Przyjaźni z mechanikiem szukali lekarze, pisarze, partyjniacy, dyrektorzy – wszyscy właściciele samochodów. Sama Tońka też nie siedziała w domu – znalazła pracę w zakładzie krawieckim, gdzie doszła do stanowiska kontrolera jakości. Dzięki temu miała dostęp do deficytowych tkanin. Z biegiem czasu odnowiła kontakt ze swoją rodziną i nieraz wraz z mężem gościła u nich w Moskwie.

W Lepelu Ginzburgowie byli szanowanymi ludźmi, nagradzanymi weteranami wojennymi. Otrzymywali należne weteranom ulgi, dostali poza kolejką mieszkanie¹⁵ i mieli dostęp do towarów¹⁶. Antoninę z mężem zapraszano do miejscowych szkół na pogadanki o wojnie. Na tych

zebraniach Antonina opowiadała dzieciom, jak ważne jest, by nie bać się śmierci, nauczała o męstwie i o miłości do ojczyzny.

Z czasem Antonina urodziła dwie córki. Stała się przodowniczką pracy, szanowaną pracownicą. Tylko koledzy często zaznaczali, że była skryta, nie lubiła mówić o sobie, o przeszłości i o wojnie. Podczas obchodów świąt i imprez starała się nie pić.

Trwało to do momentu, w którym w końcu, po prawie 35 latach, Gołowaczow trafił na ślad morderczyni i znalazł się w Lepelu.

WYROK

W piękny wrześniowy poranek Antonina wyszła ze swojego zakładu pracy. Szła do wydziału kadr, dokąd została wezwana. Plan dnia zrujnowali jej barczyści mężczyźni ubrani po cywilnemu, którzy ją otoczyli. Jeden z nich wyjął z kieszeni czerwoną legitymację funkcjonariusza KGB z tarczą i mieczem oraz nakaz aresztowania.

- Komitet Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR. Proszę z nami. Jest pani aresztowana - powiedział.

- To jakaś pomyłka - odpowiedziała Tońka, ale poszła posłusznie za funkcjonariuszem do samochodu. Nie pytała, o co chodzi.

Po kilku minutach jazdy spytano ją:

- Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Tońka wetchnęła:

– Widocznie nie bez powodu niepokoiłam się ostatnio. – Wszystko zrozumiała. Była jednak spokojna, poprosiła o papierosa. W drodze pomagała jednemu z funkcjonariuszy odpowiadać na pytania w łamigłówce z gazety, którą ten czytał.

Antoninę zabrano do Briańska, 300 kilometrów od Lepela, do budynku lokalnego urzędu KGB. Podczas przesłuchania od razu opowiedziała o wszystkim, o swoich życiowych przygodach, o tym, jak została katem, jak zabijała ludzi. Śledczy w trakcie rozmowy z morderczynią odnieśli wrażenie, że nie rozumiała, co zrobiła i po co aż tak się dla niej fatygowano – przecież nic strasznego nie uczyniła. Była święcie przekonana, że nic jej się nie stanie, zrzucała wszystko na okoliczności wojny.

Tońka czekała na sąd w budynku lokalnego aresztu śledczego. Obawiając się, że Antonina, jak poprzednio Iwanin, popełni samobójstwo w celi, przydzielono do niej więźniarkę współpracującą z administracją. Miała ona nie tylko obserwować aresztowaną, ale również przy okazji ją rozgadać.

Wrażenie, jakie odnieśli śledczy, że Tońka nie pojmuje ciężaru swojej odpowiedzialności, potwierdziły się. Mówiła, że raczej na długo jej nie skazą, może na 3 lata, że liczy na zawieszenie. Przecież trwała wówczas wojna i robiła tylko to, co jej kazano. Nie z własnej woli. A czy mogło być inaczej? Przecież, gdyby się nie zgodziła, zginęłaby, będąc w kwiecie wieku. Ponadto jest już starą kobietą, matką,

sumiennie pracowała dla dobra kraju, współpracowała z organami i do wszystkiego się przyznała. No i w końcu to działo się 30 lat temu! Skarżyła się, że narobili jej wstydu na starość, że teraz będzie musiała wyjechać z Lepela i zacząć życie od nowa. Tak bardzo nie wierzyła w surową karę, że wypytywała pracowników aresztu, czy przypadkiem nie znajdzie się dla niej jakaś praca, ona przecież zna się na tym zawodzie.

Spokojnie i pewnie zachowywała się również na wizji lokalnej w Łokoci. Ze stoickim spokojem opowiadała i pokazywała, jak, kiedy, gdzie i kogo zabijała. Zupełnie nie rozumiała krzyków, przekleństw i plucia jej w twarz, które spotkały ją na miejscu.

Mąż Tońki, Wiktor Ginzburg, żądał zwolnienia żony – weteranki, uczciwej kobiety. Pisał listy do różnych instytucji, do prokuratury, do KC Partii Komunistycznej Białorusi. Opowiadał na spotkaniach ze śledczymi, jak poznał Antoninę: że jako smarkacz leżał ranny, gdy ujrzał ją, taką piękną, niewinną i czystą, jakby nie toczyła się żadna wojna, i od razu się zakochał. Twierdził, że to jedna wielka pomyłka, że to nie mogła być ona. Groził, że pójdzie do samego Breżniewa, a nawet do ONZ. W końcu śledczy przedstawili mu dowody, w tym napisane własnoręcznie przez żonę przyznanie się do winy i opisane w szczegółach zabójstwa. Wiktor Ginzburg, zapoznawszy się z dowodami, postarzał się na oczach funkcjonariuszy. W następnym tygodniu wyjechał i nigdy więcej nie wrócił do Lepela.

Zresztą żona też nie prosiła o spotkanie z mężem ani z dziećmi. Nawet do nich nie pisała.

Podczas procesu z ponad 1500 zabójstw udowodniono 168. Tożsamość akurat tylu straconych udało się ustalić. 20 listopada 1978 roku Briański Sąd Obwodowy (odpowiednik polskiego sądu okręgowego) na podstawie art. 64 k.k. RFSRR z 1960 roku (zdrada ojczyzny) ust. „a” (przejście na stronę wroga... udzielenie pomocy obcemu państwu w działalności przeciwko ZSRR) skazał Antoninę Ginzburg na najwyższą przewidzianą karę – śmierć przez rozstrzelanie. Podczas odczytywania wyroku skazana pozostała spokojna.

Postępowanie karne w ZSRR było jednoinstancyjne. Inaczej mówiąc, jeśli przegrało się sprawę, zasadniczo był to koniec procesu. Sąd radziecki się nie mylił! Kasacja możliwa była jedynie w przypadkach naruszenia przepisów postępowania karnego i rażącej niewspółmierności kary. W radzieckiej procedurze karnej istniała także instytucja nadzoru sądowego (skorzystać mogła z niej jednak bardzo wąska grupa osób – głównie sędziowie i prokuratorzy wyższego szczebla). Nadzór sądowy polegał na zbadaniu przez sąd wyższej instancji prawomocności i uzasadnienia wydanego wyroku. Nadzór częściowo kompensował brak apelacji i miał za zadanie gwarantować nieomyłność ślepej Temidy i jej sędziów. W Polsce Ludowej podobna procedura w procesie karnym nazywała się rewizją.

Skazani na śmierć mieli jeszcze jedną możliwość złagodzenia wyroku: złożenie wniosku o ułaskawienie do

komisji przy radach najwyższych odpowiednich republik związkowych bądź Rady Najwyższej ZSRR. Niekiedy tego rodzaju wnioski zatwierdzano i karę śmierci zamieniano na następną najsurowszą karę: 15 lat pozbawienia wolności. Kara dożywotniego pozbawienia wolności w ZSRR nie istniała.

Tońka Cekaemistka taki wniosek złożyła w dniu ogłoszenia wyroku. Po zapoznaniu się z dokumentem Komisja ds. Ułaskawień przy Radzie Najwyższej RFSRR nie znalazła podstaw do ułaskawienia i wniosek oddaliła.

Po bataliach papierowych, które trwały niecały rok, o 6.00 nad ranem 11 sierpnia 1979 roku Tońka stanęła po innej stronie celownika niż ta, do której się przyzwyczaiła. Została stracona w briańskim więzieniu.

W postalinowskim ZSRR skazany na śmierć nie wiedział, kiedy zabierają go na egzekucję. Wiedział, że został skazany, ale istniała możliwość ułaskawienia. Mógł myśleć, że właśnie biorą go na spotkanie z adwokatem, krewnymi albo na spacer, a może na odczytanie ułaskawienia. Miejscem wykonania kary był zazwyczaj ślepy pokój na końcu korytarza lub piwnica w oddzielnym skrzydle. W specjalnym miejscu z drewnianymi panelami lub workami z piaskiem na ścianach umieszczonymi w celu uniknięcia rykoszetu skazanego stawiano pod ścianą i ogłaszano, że wniosek o ułaskawienie (o ile go złożono) został oddalony, a wykonanie wyroku nastąpi teraz. Następnie skazanemu kazano uklęknąć i strzelano z pistoletu w potylicę. Jeśli skazany, otrzymawszy

wiadomość, że mają go zaraz zabić, stawiał opór, strażnicy używali siły. Skazanego rzucono wówczas na podłogę i strzelano, gdzie popadnie, przez co pomieszczenie i wszyscy obecni często byli ubrudzeni krwią i fragmentami ciała. Przy egzekucji musieli być obecni: naczelnik więzienia, prokurator (który miał się upewnić, że rozstrzelano właściwą osobę), a także lekarz, który stwierdzał zgon.

Sprawa Tońki Cekaemistki była ostatnim dużym procesem o kolaborację z okupantem w ZSRR i ostatnim zakończonym wyrokiem śmierci dla kobiety. Co do zasady, w ZSRR nie stosowano najwyższego wymiaru kary wobec przedstawicielek płci pięknej. Antonina Ginzburg stała się jednym z trzech wyjątków postalinowskiego ZSRR. Pozostałymi dwoma były seryjna morderczyni i korupcjonistka.

Piotr Gołowaczow, który przez całą karierę ścigał zbrodniarzy wojennych i kolaborantów, oceniając Tońkę Cekaemistkę, wspominał później: *Nie bądźcie dla niej zbyt surowi. Wiecie co, jest mi jej nawet żal. To wszystko przez tę przekłętą wojnę, ona ją złamała. Nie miała wyboru. Gdyby pozostała człowiekiem, zginęłaby, mając 20 lat. Ale wolą przeżyć, zostając katem. Z drugiej strony, nie wolno tak po prostu o niej zapomnieć. Jej przestępstwa były zbyt ciężkie. W głowie się nie mieści, ile zabrała życia.*

¹¹ Zgodnie z ustawą z 4 marca 1965 r. o karze wobec osób winnych zbrodni przeciwko pokojowi i ludzkości oraz zbrodni wojennych, w ZSRR nie obowiązywało przedawnienie za zbrodnie wojenne. Ustawa

ta pozwalała skazywać za czyny popełnione przed przyjęciem ustawy, a tym samym stanowiła przykład złamania jednej z podstawowych zasad prawa karnego: niedziałania prawa wstecz.

[12](#) Wydział Wiz i Rejestracji – jednostka MSW ZSRR zajmująca się rejestracją cudzoziemców na terenie ZSRR i obywateli ZSRR udających się za granicę.

[13](#) Na przykład pkt 4 tej książeczki zawierał takie pouczenie: „Będąc za granicą, należy stale wykazywać czujność polityczną, pamiętać o tym, że organy wywiadowcze krajów kapitalistycznych i ich agentura dążą do zdobycia od obywateli radzieckich interesującej ich informacji, dążą do skompromitowania człowieka radzieckiego, kiedy jest im to potrzebne, a nawet do nakłaniania go do zdrady ojczyzny. W tym celu wywiady państw imperialistycznych, korzystając z techniki współczesnej, używają metody podsłuchiwania, szantażu, podrzucania rzeczy i stosowania gróźb. Agenci wywiadów kapitalistycznych często działają pod przykrywką przewodników i tłumaczy, lekarzy i nauczycieli, szewców, handlarzy, taksówkarzy, kelnerów, fryzjerów i innych zawodów świadczących usługi turystom. Organy wywiadowcze krajów kapitalistycznych dążą do wykorzystania w swoich interesach takich słabości jak: skłonność do alkoholu, przelotne związki z kobietami, hazard, konsumpcjonizm i życie ponad stan, nieostrożność, gadulstwo, niedbalstwo i lekkomyślność w pilnowaniu dokumentów służbowych i osobistych”.

[14](#) Odpowiedzi. Pytanie 1: „Lud został rzeczywistym gospodarzem kraju, lud został wyzwolony od wszystkich form eksploatacji, zostały zlikwidowane podziały na klasy i stany, ogłoszono równość powszechną”. Pytanie 2: „W porównaniu z niskimi normami carskiej Rosji ZSRR konsumuje znacznie więcej ze względu na większą ilość bydła i zwiększoną rację na obywatela, która jest uwzględniona w Programie Budowy Komunizmu – 1 tona zboża na człowieka”. Pytanie 3: „Socjolodzy radzieccy wyjaśnili, że w ZSRR istnieją 4 typy rodziny: w pierwszym głową jest mąż, w drugim kobieta bierze udział w podjęciu ważnych decyzji, w trzecim są równi bez wyraźnej głowy rodziny, ale mężczyzna nie pomaga w domu, uważając to za niemęskie, w czwartym typie – występuje pełny podział obowiązków bez względu na stereotypy”.

¹⁵ W ZSRR, jak to w państwie socjalistycznym, mieszkań lub domów, a także niektórych innych dóbr, nie można było kupić. Mieszkania przyznawali obywatelom partia i rząd. Prawie wszystkie nieruchomości należały do tzw. funduszu mieszkalnego kraju (ponad 85%). Wyjątek stanowiły mieszkania należące do zakładów pracy, organizacji społecznych i do spółdzielni zorganizowanych przez obywateli (którzy zmęczeni się czekaniem na swój przydział i postanowili wziąć sprawę budowy we własne ręce) oraz osobne domy mieszkalne do 60 m², stanowiące przedmiot własności prywatnej. Oczywiście darmowych mieszkań nie wystarczało dla wszystkich, więc na swoje nowe lokum czekało się latami w barakach, akademikach lub w pokojach w mieszkaniach zbiorowych.

¹⁶ Jak pokazuje historia, jednym ze skutków socjalistycznej gospodarki planowej jest deficyt, czyli brak towarów, jak również gigantyczne kolejki. Jednak dla ludzi uprzywilejowanych w ZSRR istniały specjalne sklepy lub działy w centrach handlowych, gdzie towarów było więcej, ceny były dwukrotnie niższe i nie trzeba było stać w kolejkach. Istniały również tzw. stoły zamówień, przy których uprzywilejowani mogli zamówić towary deficytowe. Standardowo deficyt w ZSRR stanowiły: dobry alkohol, papier toaletowy, owoce, wyroby mięsne, dobre AGD, materiały budowlane, prawdziwe mleko i masło, meble i hydraulika, modne ubrania, części zamienne do samochodów. Lista deficytowych towarów stale się wydłużała i pod koniec istnienia ZSRR brakowało już wszystkiego, nawet chleba, wódki, cukru, tytoniu machorki, makaronu i ziemniaków. Doszło do tego, że pod koniec lat 80. nawet w Moskwie wprowadzono kartki na towary, a kraje Zachodu zaczęły wysyłać do ZSRR pomoc humanitarną jak do kraju afrykańskiego znajdującego się na krawędzi ubóstwa i powszechnego głodu.

KULTURALNA KRADZIEŻ

W ZSRR, w odróżnieniu od Zachodu, muzeów się nie okrada.

Minister Kultury ZSRR Jekaterina Furcewa

NIEZWYKŁE PRZYGODY EWANGELISTÓW

W 1625 roku Frans Hals, obecnie słynny na cały świat holenderski mistrz portretu, namalował cztery płótna ukazujące ewangelistów: św. Mateusza, św. Marka, św. Łukasza oraz św. Jana. Były to jedne z niewielu jego prac o tematyce religijnej. Przez ponad 150 lat ewangelisci nieustannie zmieniali właścicieli, przechodząc z rąk do rąk w spadkach, jako forma spłaty długów itp. Aż do 1771 roku, gdy płótna, na zlecenie carycy Katarzyny II, nabył na targach jej agent w celu urozmaicenia nowej zabawki jej cesarskiej mości – Ermitażu. Muzeum, które dzisiaj można określić mianem rosyjskiego Luwru. Ewangelisci mieli dostać się do Rosji statkami. Podróż ta nie była łatwa. Miał miejsce sztorm, który zatopił jeden z nich. Do dzisiaj leży na dnie Morza Bałtyckiego wraz ze swoimi skarbami. Jednak ewangelistom udało się przedostać do Sankt Petersburga.

W Ermitażu jednak, gdy przyjrzano się niewielkim obrazom (70 na 50 cm) z namalowanymi na nich ludźmi

o prostych twarzach, w skromnych ubraniach i w niebogatym otoczeniu zajmującymi się prostymi czynnościami – pisanie lub myśleniem – wybrzydzano: *Na co ten agent marnuje carskie pieniądze? A gdzie groteska? A gdzie wielkość? A gdzie jakikolwiek imperialny rozmach?*. I wrzucono owe obrazy na tyły magazynu, gdzie leżały one zakurzone przez 40 lat.

W 1812 roku wnuk Katarzyny II car Aleksander I, aby uczcić przepędzenie Napoleona z mateczki Rosji, polecił przekazać ze składów Ermitażu kilkadziesiąt niepotrzebnych obrazów o tematyce religijnej do Tawrii, na południe Ukrainy, w celu udekorowania prowincjonalnych kościołów i cerkwi. W ten sposób obrazy powędrowały ze stolicy na słoneczne wybrzeże Morza Czarnego.

Kiedy 40 lat później, podczas wojny krymskiej, rządził inny wnuk Katarzyny II Mikołaj I, a Rosja w starciach z koalicją państw zachodnich ponosiła porażkę za porażką i panował istny bałagan, ewangelisci zostali rozłączeni i ostatecznie zgubieni.

Święty Marek wypłynął z powrotem niemal 100 lat później na Zachodzie, gdzie wędrował po kolekcjach prywatnych jako obraz nieznanego autora. Prawdopodobnie dzieło zostało sprzedane do Europy w latach 20–30. XX wieku, podczas industrializacji ZSRR. Bolszewikom, w celu rozpętania nowej wojny światowej, która miała wyzwolić lud pracujący na całej planecie, potrzebne były zachodnie technologie i maszyny. A płacić nie było czym. Rozgrabiano więc kraj, dobra obywateli, radziecką wieś, cerkwie

i muzea. Wszystko odsyłano na Zachód: „Bierzcie – i tak wam niedługo wszystko odbierzemy! Sprzedajecie nam sznur, na którym was powiesimy!”. Jednak wyzwolenie się nie powiodło. Dopiero w 1972 roku zaczęto się domyślać, że ów obraz nieznanego autora w prywatnej kolekcji może być dziełem twórcy holenderskiego realizmu sprzed ponad 300 lat – Fransa Halsy. Obecnie *Święty Marek* znajduje się w Moskwie – obraz w 2013 roku zakupił od Europejczyków rosyjski miliarder.

Święty Mateusz pod koniec lat 20. ubiegłego wieku odnalazł się w magazynie Odeskiego Muzeum Sztuki Zachodniej i Wschodniej.

Święty Jan, tak samo jak *Święty Marek* – nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób – znalazł się na Zachodzie, gdzie również wędrował z rąk do rąk. Jego podróż skończyła się w 1997 roku, gdy w Londynie został podczas aukcji wykupiony dla Muzeum J. Paula Getty’ego w Los Angeles. Wciąż zdobi jedną z jego ścian na ekspozycji.

Święty Łukasz, tak samo jak *Święty Mateusz*, został odnaleziony w Odessie, tyle że nie w muzeum, lecz na rynku – próbowała go sprzedać prawie za darmo jakaś babcia. Przechodził akurat obok niej pewien znawca sztuki, zwrócił uwagę na płótno i natychmiast kupił je od staruszki, słusznie podejrzewając, że to dzieło jakiegoś starego europejskiego mistrza. Odniósł je do Odeskiego Muzeum Sztuki Zachodniej i Wschodniej. W ten sposób *Łukasz* i *Mateusz* znów się połączyli. W 1958 roku ostatecznie zidentyfikowano te obrazy jako prace Fransa Halsy,

również przypadkowo. Płótna zauważyła specjalistka Ermitażu od sztuki holenderskiej, która została służbowo wysłana do Odessy. *Łukasz* i *Mateusz* ujrzeli światło dzienne i słusznie zajęli miejsce w centralnym punkcie muzeum. Niejednokrotnie dzieła były wysyłane na wystawy do innych miast ZSRR.

W 1965 roku *Łukasza* i *Mateusza* po raz kolejny zabrano na ekspozycję do Moskwy, do Państwowego Muzeum Sztuki Pięknej im. Puszkina, na wystawę sztuki zachodnioeuropejskiej XV-XVIII wieku.

9 marca 1965 roku, wczesnym rankiem, gdy już zamierzano otwierać drzwi muzeum dla pierwszych odwiedzających, zauważono, że w miejscu, w którym miał wisieć *Święty Łukasz*... nic nie ma. Pracownicy rzucili się na poszukiwania dzieła do pokoi obok. Za firanką znaleźli pozłocaną ramę - bez obrazu. Jakiś wandal bez skrpułów wyciął płótno z ramy.

DZIEŃ SANITARNY

Natychmiast zawiadomiono milicję. Przed kolejką oczekujących na wejście na drzwiach muzeum zawisła tabliczka: *Zamknięte. Dzień sanitarny*. Wybuchła awantura.

Na miejsce przebyła grupa milicyjna. Stróże prawa, rozejrzawszy się po muzeum, przesłuchali pracowników, od sprzątaczek do dyrektora, i zaczęli kreślić dla siebie wstępny portret pamięciowy złodzieja. Patrząc na to, w jaki

sposób płótno pożegnało się z ramą – wycięte tępym nożem z przodu i w środku ramy – doszli do wniosku, że złodziej to dyletant, nieznający się na sztuce. Zawodowiec i miłośnik dziejów kultury najpierw oddzieliłby blejtram od ramy, następnie dokładnie wyciąłby płótno od tyłu, w innym przypadku obraz stałby się mniejszy.

Po drugie płótno skradziono w nocy z 8 na 9 marca, z poniedziałku na wtorek. A jak wiadomo, muzea w poniedziałki co do zasady są zamknięte. Muzea radzieckie w tej kwestii szły ramię w ramię z całym światem. Mimo jednak zamknięcia dla odwiedzających w muzeum trwały zazwyczaj prace: sprzątanie, inwentaryzacja, odkurzanie, oględziny. To zaś oznaczało, że podejrzany to ktoś ze swoich, z pracowników muzeum – albo sam ukradł płótno, albo wpuszcł złodzieja do środka.

To były pierwsze ustalenia. Żadnych odcisków palców, narzędzi przestępstwa ani innych dowodów. Nikt z przesłuchanych nie wzbudzał podejrzeń.

Skłaniano się ku wersji, że kradzieży obrazu słynnego Holendra dokonano na zlecenie jakiegoś zagranicznego miłośnika malarstwa Fransa Halsa. Moskiewska milicja kryminalna powiadomiła o swoich przepuszczeniach celników i KGB, aby ci „z zimnym umysłem, gorącym sercem i czystymi rękami” mieli na oku przejście graniczne, pilnowali cudzoziemców interesujących się sztuką i nie wypuścili dobra ludowego poza granice kraju.

Równolegle zajęto się związkowym światem kolekcjonerów i miłośników antykwariatu. Był on niewielki

i znany organom. W tamtych latach dzieła sztuki można było nabyć legalnie jedynie przez sieć specjalnych sklepów. Oczywiście istniał handel nielegalny – z rąk bezpośrednich. Przedstawiciele organów odwiedzili wszystkich znanych sobie przedstawicieli półświatka miłośników sztuki, a także zmusili do pracy swoją agenturę.

Nic. Nikt nie wiedział, kto mógł zlecić taką kradzież w jednym z najlepszych muzeów w kraju i kto mógł to zlecenie wykonać.

Nie pomagała osobista ingerencja ministra kultury ZSRR Furcewej, którą z powodu władczego charakteru nazywano Katarzyną III. Na stanowisko ministra kultury spadła ze szczytów władzy – wydalono ją z posady członka prezydium KC KPZR i zdegradowano do szeregowego przytakiwacza – członka KC. Na wieść o degradacji podcięła sobie żyły, jednak ją odratowano. Niektórzy w partyjnych kuluarach plotkowali, że kradzież z muzeum – biorąc pod uwagę zuchwałe oświadczenia wydawane w obecności dziennikarzy, że w ZSRR muzeów nie okradają – to sprawa jej wrogów, którzy chcieli Kat'kę dobić. Teraz Furcewa starała się uratować jedną z perełek dziedzictwa kulturowego i przy okazji siebie. Niemal codzienne męczyła ministra ochrony porządku publicznego RFSRR Wadima Tikunowa: „Wadimie Stiepanowiczu, no co tam? Jak postępy?”. Ten z kolei, żeby dokuczliwa baba odczepiła się w końcu ze swoim obrazem, męczył szefa moskiewskiej milicji kryminalnej Siergieja Burcewa, który dopiero co objął stanowisko. Nowy szef zaś codziennie zapraszał na

dywanik Siergieja Dziarkowskiego, dowodzącego śledztwem w sprawie kradzieży obrazu, i także żądał efektów.

Rozczarowana postępowaniem milicji Furcewa wkrótce zwróciła się do starego koleżki, przewodniczącego KGB Władimira Semiczastnego: „Władimirze Jefimowiczu, gliny nie dają sobie rady, a wy, czekańscy, możecie wszystko! Pomóżcie!”.

I KGB pomogło. Tyle że początkowo niewiele było w tym szpiegowskich sztuczek. Pomógł, jak zawsze, przypadek.

CHCE PAN NABYĆ OBRAZ KLASY REMBRANDTA?

Minęło pięć miesięcy poszukiwań...

Był śliczny sierpniowy dzień. Centrum Moskwy. Do obywatela radzieckiego, który pracował jako kierowca w ambasadzie Niemiec Zachodnich, a więc już dawno został zwerbowany i przeszkolony przez KGB, na Prospekcie Kalinina w pobliżu popularnego sklepu z płytami gramofonowymi „Melodia” – miejsca nielegalnego handlu zagranicznymi rzeczami – podszedł jakiś młody człowiek, z wyglądu zwykły *homo sovieticus*. Mężczyzna zaczął mówić mieszaniną rosyjskiego, niemieckiego i angielskiego; interesował się, czy stojący przed nim obywatel radziecki nie jest przypadkiem Francuzem. Kierowca ambasady poczuł się wprawdzie nieswojo, ale to wzmogło w nim czujność i obudziło poczucie obywatelskiego obowiązku.

Przypomniawszy sobie, czego uczył go kurator z безпеki, nie dał się zwieść, lecz rozpoczął, na wszelki wypadek, operację szpiegowską.

- Jestem Niemcem - powiedział odruchowo ze względu na swoje miejsce pracy, z udawanym akcentem.

- Zachodni przynajmniej?

- No tak... a co?

- Nie chciałby szanowny kupić obrazu klasy Rembrandta? Cena: 100 000 rubli. - Stanowiło to równowartość dwóch i pół miliona współczesnych złotych.

W błąd, że stoi przed nim nie rodak, lecz przedstawiciel kapitalistycznego Zachodu, wprowadził mężczyznę wygląd pracownika ambasady. Jako szczęściarz w królestwie deficytu, bezguścia i szarości prezentował się on bardzo modnie, był zadbany, istny signor, Herr, mister czy monsieur z Mediolanu, Monachium, Londynu lub Paryża - miał dobrą pensję, znajomości oraz dostęp do różnych zagranicznych towarów, w tym do ubrań i akcesoriów niemożliwych do zdobycia dla zwykłego Wańki.

Kierowca odpowiedział, że on nie interesuje się sztuką, ale zna kogoś, kto to lubi. Umówili się, że go przyprowadzi i spotkają się za tydzień, 22 sierpnia, obok stołówki, w pobliżu basenu Moskwa. Obecnie w miejscu tym znajduje się największa cerkiew prawosławna na świecie - Sobór Chrystusa Zbawiciela. Jest to replika tego samego budynku, który stał w tym miejscu przed rokiem 1931, kiedy bolszewicy wysadzili cerkiew w powietrze, by mogła tu powstać ich własna naczelna świątynia - Pałac Rad, ze

stumetrowym kręcącym się na szczycie Leninem wskazującym ręką na słońce. Tej jednak nie zbudowano. Zamiast owego planowanego owocu radzieckiej gigantomanii powstał otwarty całoroczny basen z gorącą wodą, który zimą parował nad Moskwą niemal jak Wezuwiusz nad Pompejami.

Na końcu rozmowy, ściskając dłoń rozmówcy, handlarz dziełami sztuki pogroził:

- Proszę pamiętać: jeśli poczuję, że coś nie tak, od razu zniszczę obraz.

Pożegnawszy się z nieznanym sprzedawcą obrazów „klasy Rembrandta”, kierowca natychmiast pobiegł na plac Dzierżyńskiego¹⁷, by opowiedzieć o zdarzeniu.

Kompetentni towarzysze płaszcza i szpady szybko zrozumieli, że chodzi raczej o *Świętego Łukasza*, czyli skradziony w marcu obraz Fransa Halsa. Opracowali plan: przebrany za bogatego cudzoziemca, miłośnika sztuki funkcjonariusz KGB Leonid Krasnow, posiadający doświadczenie pracy za granicą i świetnie znający język niemiecki, podjedzie wraz z kierowcą na miejsce spotkania nowiutkim mercedesem z dyplomatyczną tablicą rejestracyjną ze specjalnego garażu bezpieki. Tam upewni się, że obraz faktycznie pochodzi z Muzeum im. Puszkina. W identyfikacji miał pomóc numer 1895, namalowany czerwoną farbą w dolnym prawym rogu, oraz niewielka metka z tyłu. Jeśli obraz to rzeczywiście *Święty Łukasz*, funkcjonariusz miał poprosić sprzedawcę o włożenie płótna do pudełka dla lalki. Byłby to znak, że sprzedawcę można

zatrzymywać. Sam Krasnow miał nie dotykać płótna. Przy okazji trzeba było się dowiedzieć, czy handlarz nie jest w posiadaniu innych obrazów wielkich mistrzów, jak również, czy działa sam czy w grupie.

Spotkanie przebiegło według planu. Handlarz i potencjalny kupiec spotkali się we wskazanym miejscu i w wyznaczonym czasie. Kierowca przedstawił swojego „znajomego z ambasady RFN” – przebranego Krasnowa. Szybko stało się jasne, że przedmiotem sprzedaży jest faktycznie obraz Fransa Halsa *Święty Łukasz*, a sam sprzedawca to dyletant i amator w fachu przestępczym; nie ma też na sprzedaż innych obrazów.

- Wie pan co? Nie interesują mnie starzy Holendrzy. Ja bym z chęcią nabył kogoś z Rosjan, np. Kandinskyego.

- To, co ja proponuję, to przecież obraz światowej klasy.

- Nie chcę Halsy.

- No dobra, trochę zejść z ceny...

- Eeee... no nie wiem...

- Jeszcze trochę zejść...

W końcu sprzedający przekonał „kupca” do nabycia dzieła Holendra za 60 000 rubli. Jednak handlarz „obrazami światowej klasy” nie miał przy sobie obrazu. Umówili się więc na następne spotkanie, podczas którego miało w końcu dojść do transakcji, prawie w tym samym miejscu – w okolicy stacji metra Kropotkinskaja, także w pobliżu basenu Moskwa. Spotkanie miało się odbyć 30 sierpnia o 12.30.

Po tym, jak każdy poszedł w swoją stronę, sprzedawcę obserwowali funkcjonariusze bezpieki. Mężczyzna przeszedł przez ulicę Wołchonka, podszedł do budynku Muzeum im. Puszkina i skorzystał z wejścia służbowego.

Jak zakładano od początku, w sprawę był zamieszany pracownik muzeum.

Szybko wyjaśniło się, kto nim jest. Miał na imię Walerij Wsiewołodowicz Wołkow, miał 26 lat i był karany. Pracował w Muzeum im. Puszkina jako renowator.

MY - KGB. MY WIEMY WSZYSTKO

Pamiętając groźby Wołkova o tym, że przy najmniejszym zainteresowaniu jego osobą zniszczy on obraz, nie zajmowali się nim w szczególny sposób – wystarczyło nazwisko. Na następne spotkanie „kupiec” także pojechał nowym mercedesem z dyplomatyczną tablicą rejestracyjną i osobistym kierowcą. Plan był taki sam – należało się upewnić, że obraz jest prawdziwy, następnie poprosić o umieszczenie płótna w pudełku dla lalki, a potem dokonać zatrzymania.

Sprzedawca ponownie przyszedł na spotkanie bez obrazu. Powiedział, że znajduje się on niedaleko i zaprasza ze sobą wyłącznie kupującego. Za oddalającymi się Wołkowem i Krasnowem podążyli koledzy z KGB. Ale w malutkich, wąskich uliczkach starej Moskwy czekali ich... zgubili. Postanowili jednak zachować spokój,

ponieważ – sądzili – mężczyźni i tak na pewno wrócą do samochodu.

Tymczasem Krasnow, udający Niemca, i Wołkow weszli do niskiego piętrowego budynku znajdującego się przy ulicy Arbat, jednej z bocznych uliczek spacerowych w centrum Moskwy. W pomieszczeniu jednego z mieszkań spotkali jakiegoś nastolatka, który bez słowa poszedł w głąb lokalu, a następnie przyniósł stamtąd zawinięte w materiał płótno. To był *Święty Łukasz*. Numer i metka pozostały na miejscu.

Gdy kierownictwu operacją przekazano przez radio, że obiekt 1 i 2 ponownie znajdują się w polu widzenia, dodano także, że pudełko znajduje się w rękach poderzanego. To zaś oznaczało, że obraz został rozpoznany i można zatrzymać sprzedawcę.

– Komitet Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR. Proszę z nami. Jesteście zatrzymani.

Podczas przesłuchania, które rozpoczęło się niemal od razu, Wołkow do niczego się nie przyznawał. Obrazu nie ukradł, lecz przypadkiem znalazł go w kotłowni w muzeum. Do niczego nieprowadząca rozmowa zaczęła męczyć funkcjonariuszy, więc jeden z nich, ten, który kartkował notes zatrzymanego i zauważył napisane tu i tam imię Izolda, zapytał:

– No dobrze, obrazu nie kradłeś... Lepiej opowiedz o Izoldzie.

Przesłuchiwanemu zrzęda mina.

– Jak? Wy i o tym wiecie?

Nie wiedząc nic o Izoldzie, ale mając świadomość, że trafił w punkt, funkcjonariusz odpowiedział:

- My - KGB. My wiemy wszystko.

- Dobrze, powiem prawdę, tylko nic jej nie róbcie. Ona nic nie wie.

WSZYSTKO PRZEZ KOBIETY

Urodzony 4 grudnia 1938 roku w Moskwie Wołkow miał śliczną dziewczynę - Izoldę, w której zakochał się do szaleństwa. Młoda panienka uwielbiała sklepy, restauracje i drogie prezenty. Ale skąd na to wszystko miał wziąć pieniądze w robotniczo-chłopskim raju młody stolarz pracujący w fabryce, ponadto karany za kradzież i przebywający na zwolnieniu warunkowym? Nie zamierzał on jednak ani zrezygnować z pięknej kochanki, ani obniżyć wydatków. W ten sposób z czasem u Wołkova pojawiły się długi i kłopoty.

Poprawić sytuację i wznieść się na wyższy szczebel pomógł mu przypadek. Pewnego dnia w tramwaju ustąpił on miejsca miłemu staruszkowi i zagadał się z nim. Staruszek okazał się kustoszem z Muzeum im. Puszkina. Gdy sympatyczny młody człowiek ponarzekał nieco na życie, dobry dziadek się rozczulił i powiedział, że mu pomoże. Przecież każda starsza osoba wie, że jeśli ktoś ustępuje miejsca w transporcie publicznym i wita się na klatce schodowej, musi być dobrym człowiekiem. Tym

bardziej że stojący przed nim dobry młody człowiek powiedział, że on po pierwsze jest stolarzem, a po drugie (uwaga!) młodym specjalistą od malarstwa, który lada chwila ukończy prestiżowy Moskiewski Państwowy Instytut Sztuki im. Surikowa. Kustosz obiecał napomknąć o nim słowo w dziale kadr w Muzeum im. Puszkina – jednym z najlepszych muzeów w kraju. Wołkow kłamał – ukończenie „Surikowki” było jego marzeniem, jednak z powodu braku samodyscypliny pozostawało jedynie fantazją.

Gdy okazało się, że przypadkowy nowy znajomy z muzeum dotrzymał słowa i naprawdę polecił Wołkova w dziale kadr na stanowisko renowatora, ten nie wyprowadził z błędu nieszczęsnego kustosza, który potwierdził, że mężczyzna jest młodym specjalistą od malarstwa, ponadto stolarzem, kończy „Surikowkę” i niedługo przyniesie swój dyplom do okazania. Kierownik wydziału nagiął zasady i przyjął Wołkova do pracy. Przecież wstawił się za nim ulubiony kustosz.

Fakt, że skłamał i że wcześniej czy później trzeba będzie okazać dyplom, niewiele Wołkova obchodził. Najważniejsze było to, że udało mu się zamienić pracę stolarza w fabryce na posadę renowatora w jednym z najlepszych muzeów w kraju. Choćby tymczasowo. Później coś się wymyśli.

Rozwiązaniem mogło stać się zakupienie dyplomu. W tej kwestii Wołkow poprosił o pomoc swojego kolegę Walerija Aleksiejewa, ksywka „Sztukmistrz”, który handlował dziełami sztuki, a wieść niosła, że maczał też palce w jakichś ciemnych, nie do końca legalnych sprawach.

„Sztukmistrz”, o rok młodszy niż Wołkow, niedouczony filozof (co prawda, uczył się nie byle gdzie, bo w Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym, słynnym MGU), obecnie – przynajmniej oficjalnie – pracował jako ślusarz w zakładzie obsługującym budynki mieszkalne.

Aleksiejew powiedział:

– Żaden problem. Cena pustego dyplomu z pieczętkami i podpisami to tysiąc rubli.

Było to dziesięć średnich pensji. Takich pieniędzy Wołkow nie miał i Aleksiejew o tym wiedział. Podczas rozmowy o dyplomie „Sztukmistrz” jakby przypadkowo stwierdził:

– Ty przecież siedzisz na milionach u siebie w muzeum. Weź stamtąd coś niewielkiego i po sprawie.

Urabianie nieszczęsnego zakochanego, który pogubił się we własnych kłamstwach, trwało kilka tygodni. Okoliczności sprzyjały „Sztukmistrzowi” – pieniądze u Wołkova już dawno się skończyły, nikt mu już nie pożyczał, tymczasem piękna Izolda potrzebowała funduszy na swoje wydatki. Wierzyciele żądali od Wołkova spłaty długów. Ponadto dział kadr w muzeum zaczął się niecierpliwić i żądać okazania dyplomu pod groźbą zwolnienia z pracy. Wołkow odsunął od siebie strach związany z obawą powrotu za kratki i zdecydował, że ukradnie obraz z muzeum.

Na początku marca Aleksiejew pokazał Wołkowowi, o co „niewielkiego” mu chodziło – o *Świętego Łukasza*, którego nie tak dawno przywieziono do Moskwy z Odessy. Podobno

zarówno obraz, jak i jego twórca Frans Hals byli słabo znani w ZSRR, jednak na Zachodzie bito się o płótna tego malarza i rzekomo można było sprzedać obraz z zyskiem. „Sztukmistrz” zapewnił Wołkowa, że on o wszystko zadba.

Na tym spotkaniu pokazał on wykonawcy, jak należy wyciąć kilkusetletni obraz z ramy. Najpierw oddzielić ramę od blejtramu z płótnem. Potem ostrożnie odciąć nożem płótno od blejtramu, konieczne z tyłu. Następnie zwinąć płótno, lecz obowiązkowo farbą na zewnątrz, inaczej obraz popęka. Złodziej potrenował z Aleksiejewem na tanich obrazach z bazaru. Wołkow miał wszystko zrobić w rękawiczkach, aby nie zostawić odcisków palców. Bezpośrednio przed kradzieżą miał też zmienić buty.

Rankiem 8 marca, gdy Wołkow przyszedł do pracy, muzeum było zamknięte, a większość kolegów i koleżanek, schowawszy się w warsztacie renowatorów, już od rana świętowała Dzień Kobiet¹⁸ przy alkoholu i zakąsce. To było złodziejowi bardzo na rękę.

O 11.00 Aleksiejew zadzwonił do muzeum i poprosił Wołkowa do telefonu. Powiedział, że będzie czekał na niego za kwadrans na klatce w budynku mieszkalnym naprzeciwko. Tam przekazał wykonawcy rękawiczki i nowe buty. Wołkow wyraźnie się przed kradzieżą denerwował – pocił się i trzęsły mu się ręce. „Sztukmistrz” był gotów na taką okoliczność i wyciągnął z kieszeni ćwierćlitrowkę czystej. Gorzałka uspokoiła Wołkowa i rozpoczął on skok.

Kamer i sygnalizacji w muzeum wtedy nie było, a jedyne zabezpieczenie obrazów stanowiły... kobiety w wieku

emerytalnym. Stały one w salach i krzyczały na ludzi, gdy ci dotykali dzieł sztuki lub zachowywali się zbyt głośno. Wołkow, ominąwszy prędko strażniczkę, która stała w wejściu do sali, gdzie znajdował się obraz, i rozmawiała przez telefon, a na dodatek była po kilku kielichach, zdjął *Świętego Łukasza* ze ściany i udał się do innej sali – tam nikogo nie było. Zgodnie z instrukcją zaczął oddzielać blejtram od ramy.

Widocznie gorzałki było jednak za mało lub za dużo – blejtram się nie poddawał. A w każdej chwili ktoś mógł wejść. Nie myśląc wiele, nieudany renowator zaczął więc po prostu wycinać obraz z ramy od przodu. Mało tego, zwinął go farbą do wewnątrz, od czego *Święty Łukasz* cały popękał. Włożywszy obraz do rękawa, Wołkow szybko opuścił muzeum, wrócił do klatki, gdzie czekał na niego Aleksiejew, oddał obraz, rękawiczki i buty, po czym wrócił do miejsca pracy.

To, że na wystawie brakuje jednego z obrazów, odkryto dopiero następnego dnia.

Kiedy przyjechała milicja, przesłuchiwała wszystkich pracowników, w tym Wołkova, nie znalazł się on jednak w kręgu podejrzanych.

SZTUKA PRZYNALEŻY LUDOWI!

Ku wściekłości renowatora bez dyplomu jego kolega „Sztukmistrz” przez dłuższy czas nie miał dla niego ani

blankietu dyplomu, ani pieniędzy. Poirytowany Wołkow po tym, jak urządził kolejną awanturę, postanowił sprzedać obraz osobiście i zabrał od zleceniodawcy przestępstwa *Świętego Łukasza*. Czym to się zakończyło, wiemy.

21 lutego 1966 roku Walerijowi Wołkowowi postawiono zarzuty na podstawie art. 93 par. 1 k.k. RFSRR z 1960 roku – kradzież szczególnie wielkiej wagi. Po raz drugi w swoim życiu stanął przed sądem – tym razem przed Moskiewskim Sądem Miejskim, który skazał go na 10 lat więzienia. Ponadto obciążono go kwotą 901 rubli tytułem kosztów renowacji obrazu *Świętego Łukasza*, który został przez Wołkova barbarzyńsko wykrojony z ramy, a tym samym zmniejszony, jak również zwinięty farbą do wewnątrz, co spowodowało poważne pęknięcia obrazu. Dodatkowo Wołkow jeszcze przez pół roku, w czasie gdy go poszukiwano, trzymał płótno za ciepłym piecem, z tego względu *Święty Łukasz* stracił kolory i został niemal całkowicie zniszczony.

Renowacja kilkusetletniego obrazu trwała dwa i pół roku. Obecnie *Święty Łukasz* cieszy odwiedzających wraz ze swoim „rodzeństwem”, *Świętym Mateuszem*, w Odeskim Muzeum Sztuki Zachodniej i Wschodniej.

Walerijowi Aleksiejewowi, ksywka „Sztukmistrz”... nic się nie stało. Podczas śledztwa zeznał on, że Wołkow wszystko zmyślił i że on nie zna w ogóle tego młodego człowieka. Nie będąc w stanie udowodnić mu winy, Aleksiejewa puszczono wolno.

[¹⁷](#) Obecnie plac Łubiański – miejsce siedziby KGB ZSRR, obecnie FSB FR.

[¹⁸](#) W ZSRR 8 marca stał się dniem wolnym od pracy dopiero w 1966 roku.

KOMNATA TORTUR W GARAŻU

Powiedziałem tamtym trzem, że razem z nimi na moim koncie będzie 11 chłopców, oznajmiłem dzieciom kolejność, kto po kim będzie umierał. Szarikowa rozciąłem na oczach Jefriemowa, przy czym pokazywałem narządy wewnętrzne i dawałem komentarze anatomiczne. Chłopak wszystko przeżył spokojnie, bez hysterii, czasami tylko odwracał wzrok.

Maniak opisuje jeden z epizodów zabójstwa

„KRWAWY ZOOTECHNIK”

W ciągu pierwszych 50 lat jego istnienia w społeczeństwie robotniczo-chłopskim przypadki seryjnych morderców można policzyć na palcach jednej dłoni po wybuchnięciu w niej granatu, natomiast w okresie ostatnich 20 lat na Kraj Rad spadł deszcz maniaków: rostowski „Radziecki Kuba Rozpruwacz” (lata aktywności: 1978–1990, 53 ofiary), „Bestia z Żytomierza” (1989–1996, 52 ofiary), „Maniak Pawłogradski” (1980–2005, 37 ofiar), „Witebski Patriota” (1971–1985, 36 ofiar), tadżycki „Powstańca Nekrofil” (1977–1995, 22 ofiary), stołeczny „Hipopotam” (1988–1993,

18 ofiar), kazachski „Maniak Ust-Kamienogorski” (1974–1977, 16 ofiar), „Smoleński Dusiciel” (1978–1981, 13 ofiar), irkucki „Lekarz Zabójca” (1984–1985, 13 ofiar), „Morderca Luberecki” (rok 1975, 12 ofiar) oraz około 20 innych, których zatrzymano, zanim liczba ich ofiar przekroczyła pierwszą dziesiątkę.

W tej grupie maniaków znajduje się jeden moskwianin, który działał w okresie od 1986 do 1992 roku. Na sumieniu miał co najmniej 11 zabójstw, a wyróżniał się tym, że zbudował w swym garażu komnatę tortur, gdzie godzinami pastwił się nad swoimi ofiarami oraz ich ciałami. Osoby te mu ufały, więc zwabienie ich do garażu nie było trudne.

Zabijał wyłącznie dzieci. Chłopców. Mścił się na nich za swoje krzywdy wyrządzone mu przez rówieśników w dzieciństwie i także nieco później.

W historii kryminalistyki człowiek ten znany jest jako „Krwawy Zootechnik”, „Boa” lub „Fischer”.

Jego pierwsza poważna próba dokonania zabójstwa miała miejsce na początku lat 80. ubiegłego wieku. 21 czerwca 1984 roku do wychowawców obozu pionierskiego „Romantyk” – w pobliżu miasteczka Odincowo, na zachód od Moskwy – podbiegł szukany już od kilku godzin trzęsący się podopieczny, 14-letni Andriej. Był nagi, a wokół szyi widoczna była u niego długa bordowogranatowa linia. Miał liczne siniaki i ślady po pogryzieniu przez insekty. Przez długi czas nie można było uzyskać od chłopca informacji na temat tego, co się stało. W końcu z urywków zdań udało się zrozumieć, że kilka godzin temu wyszedł on przez dziurę

w murze poza obszar ośrodka, żeby zapalić papierosa. Interesował się już światem dorosłych. Nie odszedł daleko, stanął pod drzewami obok tamtejszego lasu. Tu ktoś położył mu rękę na ramieniu. Chłopak się odwrócił – zobaczył jakiegoś młodego, wysokiego mężczyznę w zielonej kurtce. Nieznajomy wyciągnął duży nóż i powiedział: „Pójdiesz za mną do lasu, jeśli chcesz żyć”. W gąszczu kazał chłopakowi położyć się na ziemi, związał go i założył mu na oczy bejsbolówkę. Następnie zawiązał mu na gardle pętlę, przerzucił sznur przez gałąź drzewa i mocno pociągnął do siebie – Andriej uniósł się w powietrze. Potem przed jego oczami zapadł mrok.

Gdy odzyskał przytomność, zobaczył, że leży na ziemi. Było ciemno. Nie miał na sobie ubrań, dookoła nie było nikogo. Krążył po lesie półprzytomny, aż rozum zaczął powoli wracać do normalnego stanu. Znalazł drogę powrotną do obozu i odszukał dorosłych.

Po tym zdarzeniu Andriej spędził miesiąc w szpitalu. Później długo leczył się psychiatrycznie.

Milicja, która zajęła się sprawą, nie znalazła wysokiego mężczyzny w zielonej kurtce. W końcu funkcjonariusze rzucili dokonanie tego przestępstwa na niejakiego 40-letniego Gołyszewa, psychicznie chorego byłego nauczyciela, który dawno temu musiał pożegnać się z zawodem za molestowanie seksualne uczniów. Za swoją niezdrową miłość do dzieci posiedział nawet trochę w więzieniu. W czasie, gdy miał miejsce atak na Andrieja, mieszkał ze swoją matką we wsi położonej w sąsiedztwie

wymienionego wyżej obozu pionierskiego. Mężczyzna nie wytrzymał ponownego zainteresowania swoją osobą ze strony organów oraz wytykania go palcami przez sąsiadów, którzy kierowali pod jego adresem wyzwiska: „pedofil jeden, dzieciobójca, jak takich ziemia nosi!”. Rzucił się pod pociąg. Chłopak, który cudem uniknął śmierci, był w fatalnym stanie psychicznym i nie mógł niczego potwierdzić.

Sprawę więc zamknięto – pedofil gwałciciel wiedział, że za rzekomy powrót do poprzednich grzechów potraktują go bardzo surowo, i postanowił opuścić ten świat. No i ma za swoje, lepiej się żyje bez takich.

A tymczasem prawdziwy sprawca mocno przeżywał swoją nieudaną próbę zabójstwa. Miał już za sobą dwie, tylko że w tamtych sytuacjach z góry było wiadomo, że nic nie może się udać. Tu, w trzecim przypadku, w końcu doszło do usiłowania na poważnie, ale czekało go niepowodzenie... Tak długo przygotowywał się właśnie do tego dnia, wyciągnął wnioski z poprzednich prób, wyobrażał sobie, jak gładko tym razem mu pójdzie. Że ciało jakiegoś niegrzecznego chłopaka w końcu zawiśnie na sznurze i będzie walczyło w agonii. Potem miał zamiar się z nim „pobawić”. „Zabawa” polegała na akcie płciowym z ofiarą. A tu mało tego, że chłopak przeżył, to do „przyjemności”, która w fantazjach maniaka towarzyszyła każdemu zabójstwu niegrzecznego chłopca, nie doszło. Kiedy bowiem Andriej został zdjęty z drzewa, zaczął dawać oznaki życia. Sprawca więc przestraszył się i uciekł.

Odbudowanie wiary w siebie u niedosłego zabójcy zajęło dwa lata. Z czasem przekonał się, że go nie ścigają, pochłonęła go ulubiona praca, pojechał do słonecznej Abchazji na urlop, wykąpał się w morzu i wygrzał się w słońcu, podjadł szaszłyków, smażonej ryby, popił wina. I powoli natura zaczęła się upominać o powtórkę wrażeń, których doznał podczas nieudanej próby realizacji swojej od dawna hodowanej zemsty na niegrzecznych nastolatkach. Więcej błędów nowicjusza nie popełni, swoje sprawy będzie doprowadzał do finału. Na końcu ścieżki seryjnego mordercy ostatecznie zmieni się on w głodnego krwi potwora i będzie swoje ofiary zabijał bardzo powoli, zaspokajał swoje potrzeby seksualne, a potem rwał ciała na strzępy.

Tak jak w swoich snach i fantazjach.

POCZĄTEK

Wraz z pierwszymi ciepłymi dniami Słowianie wychodzą do lasu po oskołę, czyli po sok brzozowy. Zdobywa się go bardzo łatwo: na brzozie, najlepiej dojrzałej, nożem robi się niewielkie nacięcie lub otwór o głębokości ok. 2-4 centymetrów. Następnie w otwór należy wstawić plastikową lub aluminiową rurkę, a pod nią postawić kilkilitrowy słoik, do którego będzie, kropla po kropli, kapał sok. W ciągu doby brzoza może dać kilka litrów soku. W odróżnieniu od dzisiejszej Rosji w Kraju Rad lud mógł korzystać z darów

lasu bezpłatnie. Było to bardzo korzystne w ostatnich latach istnienia ZSRR, kiedy półki w sklepach zaczęły świecić pustkami.

19 kwietnia 1986 roku 16-letni Andriej Pawłow, który przyjechał do dziadków do wsi Katuar, w rejonie dmitrowskim¹⁹, na północ od Moskwy, nie wrócił do domu. Po południu pojechał rowerem, żeby sprawdzić swoje słoiki, które ulokował pod brzozaami w pobliskim lesie. Gdy nadchodziła noc, dziadkowie zaniepokoiли się nieobecnością chłopca i zawiadomili milicję.

Znaleziono go następnego ranka. Leżał na brzuchu, z rękami związanymi na plecach, ze spuszczoneymi spodniami. Obok leżał jego rower i słoik, do połowy wypełniony sokiem brzozaowym. Ktoś pastwił się seksualnie nad jeszcze żywym nastolatkiem, potem udusił go sznurem i kilka razy uderzył nożem już w martwe ciało w szyję, pierś oraz w genitalia.

Cztery miesiące później, 11 lipca, z obozu pionierskiego „Zwiozdny” (Gwiazdowy), założonego w pobliżu wioski Ugriumowo, w rejonie odincowskim²⁰, na zachód od Moskwy, zniknął 12-letni Andriej Guliajew. Zwłoki chłopca znaleziono w odległości około 1 kilometra od ośrodka wypoczynkowego. Okrucieństwo, z jakim został zabity, porażało: 23 rany kłute, głowa odcięta od nagiego tułowia (200 metrów dalej, w krzakach, znalazł ją pies milicyjny). Cięcia na głowie wskazywały na to, że zabójca chciał zdjąć z ofiary skalp. Brzuch był rozcięty, organy wyjęte i rozrzucone dookoła po trawie, brak było narządu

płciowego. Ręce związane z tyłu. Rany na ciele świadczyły o tym, że miał miejsce akt seksualny pod przymusem.

Przekonanie o tym, że w okolicy Moskwy pojawił się wyróżniający się okrucieństwem maniak pedofil-dzieciobójca, powstało szybko – przybyło ich ostatnio w Związku Radzieckim, więc w odróżnieniu od lat 60. pojawienie się seryjnego mordercy nikogo już nie przerażało. Przy Odincowskim Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych powołano grupę śledczo-operacyjną, która otrzymała zadanie znalezienia nieznanego maniaka. Sprawą zainteresowała się także prokuratura RFSRR.

Trop został podjęty niemal od razu. Jeden ze znajomych Guliajewa, 14-letni Igor, powiedział śledczym, że widział, jak Andriej oddalał się z jakimś nieznanym mężczyzną w kierunku lasu. Słyszał ich rozmowę. Ten dorosły mówił Andriejowi, że uciekł z kolonii i jest poszukiwany. To najwyraźniej zachwyciło młodą, spragnioną przygód ofiarę. Przede wszystkim jednak mały świadek wymienił znaki szczególne mężczyzny: wysoki, szerokie ramiona, bandycka twarz, około 40 lat, wyraźny akcent północnorosyjski (cecha charakterystyczna to podkreślanie i przeciąganie każdej głoski „o”); zaś na prawej ręce miał on tatuaż w postaci węża owijającego się wokół noża, pod którym widniał napis „Fischer”.

HISTORIA „FISZERA”

Radzieckie tatuaże więzienne – temat bardzo fascynujący. Obecnie w nowej Rosji tradycja pokrywania swojego ciała charakterystycznymi rysunkami ze świata kryminału staje się mniej popularna. Ludzie, którzy wolą losu znaleźli się za kratami, dzisiaj preferują niepsucie sobie skóry nanoszeniem tatuaży w niehigienicznych warunkach, maszynką zrobioną z brzytwy elektrycznej, długopisu, struny gitarowej czy atramentem zrobionym z tłuczonej podeszwy buta wymieszanej z moczem. Po wyjściu na wolność dążą także do ukrycia więziennego etapu swojej biografii przed obcymi.

Natomiast w okresie rozkwitu tej sztuki dzięki tatuażom można było uzyskać o człowieku, który odsiedział wyrok, podstawowe informacje: za co i ile razy siedział, gdzie siedział, czy kogoś zabił, czy ma jakieś nałogi, rodzinę, czy jest religijny, czy ma przekonania polityczne, coś o jego dzieciństwie, orientacji seksualnej, specjalności kryminalnej, poglądach na życie, a także poznać jego miejsce w hierarchii więziennej.

Przykładowo, gwiazdy ośmiopromienne na ramionach oznaczają, że stoi przed tobą więzienny boss, bardzo wpływowy oraz doświadczony koloniami karnymi człowiek. Osobie, która posiada taki tatuaż niezastąpienie, gdy dowiedzą się o tym współwięźniowie (a świat jest mały – z pewnością się dowiedzą), mogą oni w najlepszym przypadku dać kawałek szkła i piętnaście minut, aby zerwał go sobie wraz ze skórą. Taki sam tatuaż na kolanach oznacza: „nie upadnę na kolana przed prawem”. Posiadaczy

takich tatuaży szczególnie lubili milicjanci radzieccy, którzy za pomocą pałek mogli zmusić więźniów, aby jednak złamali zapisaną na swoim ciele zasadę i „upadli na kolana przed prawem”, czyli przed nimi.

Wśród innych klasyków można wymienić tatuaż z wizerunkiem niedźwiedzia. Oznacza on kasiarza bądź kogoś, kto „odbył karę przy rąbaniu lasu”. Uzbrojony lew: „okrutny, lecz sprawiedliwy”. Dżin z butelki – narkoman. Karty przebite strzałą – szuler, z nim grać nie można. Kot (najczęściej w kapeluszu, z kokardą i kluczami) – złodziej bądź „rodowity mieszkaniec więzienia” (ros. *koriennoj obitateľ tiurny*). Matka Boska z małym Jezusem na rękach – popełniam przestępstwa od dzieciństwa. Chrząszcz na ręce – kieszonkowiec (po rosyjsku chrząszcz to „żuk”, znaczy także: życzę udanych kradzieży, *żelaju udacznych kraż*). Cerkiew – liczba kopuł odpowiada liczbie podróży za kratki. Dzwon – odsiedziałem od „dzwonu do dzwonu”, czyli cały wyrok, bez wyjścia warunkowego.

Niektóre tatuaże robione były przymusowo, aby pokazać otoczeniu, że człowiek przynależy do najniższej kasty i trzeba unikać kontaktów z nim, aby nie zostać „zarażonym”, czyli by nie dołączyć do grona, do którego się go zalicza, przez niezachowywanie odpowiedniej ostrożności. Najniższe miejsce w radzieckim więziennym łańcuchu pokarmowym zajmowali homoseksualiści, pedofile, w niektórych przypadkach osoby odsiadujące wyroki za gwałty, mordercy popełniający jakieś wyjątkowo bezsensowne, liczne i brutalne zabójstwa oraz po prostu

ludzie zachowujący się nieodpowiednio – niedbający o higienę, okradający współwięźniów, potajemnie współpracujący z administracją, niespłacający długów. Takie hańbiące tatuaże to np. świński ryj lub kozia głowa. Innymi znakami mogą być oczy na pośladkach, oznaczające więziennego homoseksualistę (w większości przypadków zostawało się nim pod przymusem), lub nuty, które mówią, że ich posiadacz to mistrz, delikatnie mówiąc, seksu oralnego – i im więcej na tatuażu nut i instrumentów muzycznych, tym więcej perwersji można się dopuszczać wobec jego posiadacza.

Do typowo radzieckich rysunków więziennych można zaliczyć portrety Lenina bądź Stalina. Nanoszono je nie z miłości do wodzów, lecz z naiwnego myślenia, że kaci radzieccy nie będą strzelać do portretów swoich przywódców. Sierp i młot na palcu oznacza: „zostałem skazany przez komunistów”. Swastyka albo runy SS, które mogą znajdować się obok poprzednio wymienionego tatuażu, nie zawsze oznaczają bycie zwolennikiem nazizmu, lecz wyrażają myśl: „nienawidzę państwa”.

Nóż i wąż opleciony wokół niego na ręce, o których wspomniał świadek, oznaczają kierownicze stanowisko jego właściciela oraz hasło: „życie to walka”. To wskazywało, że posiadacz tatuażu jest skłonny do brutalnej przemocy. Ugodzić kogoś nożem to dla niego jak napić się wody. Napis „Fischer” określał prawdopodobnie nazwisko lub ksywę. To już zawężało obszar, na którym można było zacząć poszukiwania. A zatem: poszukiwany to

doświadczony kryminalista, skazany raczej niejednokrotnie, w tym bardzo możliwe, że za rozbój lub zabójstwo. Ze słów świadka wynikało, że mógł on także uciec z zakładu karnego.

Na podstawie zeznań świadka poszukiwania „Fiszera” rozpoczęły się w całym ZSRR. Sprawdzono ponad 30 000 osób. W prawie 300-milionowym kraju nie było mężczyzny o nazwisku Fiszer, którego nie odwiedziłaby milicja. Gigantyczną pracę wykonano w licznych radzieckich zakładach karnych, szpitalach psychiatrycznych i ich archiwach – sprawdzano kartoteki, opisy, osobowości, dane o ucieczkach, materiały agentury. Kontrolowano osoby mające skłonności pedofilskie, różne miejsca zgromadzeń homoseksualistów i masochistów. Zajęto się nawet klubami szachistów – może poszukiwany to anonimowy wielbiciel Bobby’ego Fischera, nieco stukniętego szachowego geniusza XX w., którego pozbawiono korony mistrza świata, albowiem nie zjawił się on na turnieju, podczas którego miał rozegrać mecz z radzieckim pretendentem do tytułu Anatolijem Karpowem. Powodem było to, że nikt nie mógł zgodzić się na warunek Fischera polegający na tym, że Karpow, by zdobyć mistrzostwo, musiałby wygrać dwoma punktami, więc mistrz strzelił focha i powiedział, że nie będzie się z nikim bawił, a następnie zerwał kontakt ze światem. Teraz nazwano by go „hikikomori”.

Mimo że cech charakterystycznych było wiele, tytaniczna praca nie dawała pożądanych rezultatów. Jedynie takie, iż w trakcie poszukiwań „Fiszera” rozwiązano kilkadziesiąt

innych spraw. Małego świadka nieraz wzywano ponownie na przesłuchania do Moskwy, do naczelnictwa milicyjnego. Liczono na to, że może coś sobie przypomni, może przyjdzie mu do głowy kolejny szczegół? Chłopak płatał się w zeznaniach, zaczął częściej mówić, że nie pamięta. Potem płakał. W końcu coś w nim pękło. Świadek ze wstydem przyznał, że wszystko zmyślił.

Nie było żadnego „Fiszera”, nie było żadnego tatuażu, dziecko nie widziało, jak ktoś zabiera jego kolegę do lasu, nie słyszało ich rozmowy. On nic nie widział. Nic z tego, co powiedział, nie było prawdą, lecz wyłącznie owocem jego fantazji.

Ale o co chodzi? Dlaczego?

Zwykłe młodzieńcze pozerstwo i podekscytowanie. Świadek chciał po prostu poczuć się potrzebny dorosłym. Ach, a to zainteresowanie, które otrzymywał od kolegów i oczywiście od koleżanek jako czołowy świadek – jaki on dzielny, bohater, dzięki któremu złapią niebezpiecznego bandytę, który zabił naszego Andrieja.

Okazało się, że tysiące funkcjonariuszy ścigało nieistniejącą postać z dziecięcej fantazji. Gigantyczna praca poszła na marne. Trzeba było zaczynać od początku.

Odnotować należy jeden efekt w sprawie poszukiwanego maniaka – do nieznanego zabójcy przylgnęła ksywka „Fischer”. Milicjanci i zwykli obywatele odtąd w rozmowach właśnie tak go nazywali.

A co tam, nawet sam morderca uznał to imię za swoją zbroję. Czytał o rzekomym sobie w gazetach i uśmiechał się

nad swoim nieodzwierciedlającym rzeczywistości rysopisem. Cieszył się, że krążą o nim przerażające plotki, że dorośli straszą nim dzieci i siebie nawzajem, że tę ksywkę wypisują na murach, aby postraszyć okolicznych mieszkańców. Powstała nawet piosenka pod tytułem *Fiszera chodzi tropami leśnymi*. Co prawda podczas poszukiwań „Fiszera” mężczyzna wstrzymał polowanie na chłopaków – było to zbyt niebezpiecznie – ale ksywka „Fiszera” stała się swoistą, wyrazistą marką, którą wszyscy kojarzyli i której się bali. Latem 1987 roku liczba dzieci w podmoskiewskich obozach pionierskich gwałtownie spadła.

Korzystając z owej marki, maniak, gdy w końcu zrzucił maskę dobrego wujaszka, zamykając drzwi i wyciągając nóż, mówił do swoich ofiar z uśmiechem: „Hej, a słyszałeś o takim »Fiszera«? Właśnie stoi przed tobą. To ja...”.

Okazało się, że on dopiero się rozkręca. W 1988 roku kupił sobie niewielki wolno stojący garaż z zielonego metalu. Postanowił wykopać w nim piwnicę.

POWRÓT „FISZERA”

Po tym, jak swoimi zeznaniami świadek zszokował milicję, skoncentrowano się na obszarze, od którego zaczęto – na rejonie odincowskim i rejonie dmitrowskim obwodu moskiewskiego. Szum wokół postaci nieznanego mordercy sprawił, że w ciągu trzech lat od ostatniego zabójstwa nie

przydarzyła się nienaturalna śmierć chłopaka, którą można by powiązać z „Fiszerm”.

Powrócił on 23 września 1989 roku – ze wsi Kriukowo, w rejonie odincowskim, zniknął 11-letni Siergiej. Ostatni raz widziano go na przystanku autobusowym obok rodzinnej wioski – zamierzał jechać do Moskwy. Był to bardzo samodzielny chłopak, odważny, wygadany, łatwo nawiązujący kontakty z ludźmi. Lubił też łamać zasady. W takim młodym wieku już zdarzało mu się zapalić papierosa.

Sprawdzenie kierowców oraz kontrolerów autobusów rejsowych do stolicy nie przyniosło rezultatu. Nikt z nich nie widział chłopaka. A więc nie wsiadł on do autobusu. Taka sama sytuacja miała miejsce w kolei podmiejskiej – konduktorzy go nie widzieli. Jeśli więc chłopak zaczął realizować swój plan udania się do Moskwy, to znaczy, że pojechał autostopem. W ZSRR można było stać na drodze i machać ręką, a kierowcy zatrzymywali się i pytali, dokąd delikwent zamierza dotrzeć. Jeśli kierunek był zgodny, jechało się razem. Ludzie zasadniczo lubili autostopowiczów.

Siergieja – a raczej to, co z niego zostało – znaleziono dopiero po około roku, w lipcu 1990. Spacerowicz w lesie pod Zwienigorodem, w odległości 20 kilometrów na zachód od Odincowa znalazł 30 metrów od drogi resztki ludzkiego szkieletu – czaszkę, szczękę, kręgosłup – i zadzwonił na milicję. Pozostałe kości leżały rozrzucone dookoła; zapewne przyczyniły się do tego zwierzęta.

Eksperci w tym, co udało się zebrać, znaleźli liczne rany kłute, z jednej z kości wyciągnęli duży fragment ostrza noża. Co więcej, odkryli, że ciało ofiary przed porzuceniem go w lesie zostało pocięte na kawałki za pomocą bardzo ostrego narzędzia. Tożsamość zabitego ustalono dzięki zegarkowi marki Sława, znalezionej obok zwłok. Jego opis zawarto w aktach sprawy zaginionego Siergieja.

W sierpniu 1990 roku zniknął 15-letni Paweł, który udał się autostopem do swojej matki chrzestnej (wiara w Boga w późnym ZSRR nie była już tępiona, stała się nawet modna, w dobrym guście było noszenie na szyi krzyżyka, kultywowanie tradycji religijnych czy odwiedzanie cerkwi) – spod Kaługi do wioski Własicha. To dystans około 120 kilometrów.

W odróżnieniu od Siergieja zwłok Pawła nigdy nie znaleziono. Można jednak z perspektywy czasu powiedzieć, że udało się ustalić, co się z nim stało.

W listopadzie zniknęli jednocześnie dwaj chłopcy: 14-letni Sasza i 11-letni Kolia. Uczyli się w tej samej szkole, w Małych Wiaziomach. To 10 kilometrów na zachód od Odincowa. W dzień swojego zaginięcia skończyli zajęcia i poszli razem do domu.

Ich ciała znaleziono 16 czerwca 1991 roku prawie w tym samym miejscu, co zwłoki Siergieja – na odcinku 24. kilometra drogi w okolicy Zwienigorodu, w lesie. Rozcięte na kawałki zwłoki odkryli miejscowi, którzy wyszli na poszukiwanie jagód.

Niespełna rok po Saszy i Kolii, 22 sierpnia 1991 roku, zaginął 15-letni Nikita Bogdanow. Wraz z ojcem przyjechał z Piermi do babci pod Moskwę, do wioski Uspenskoje (10 kilometrów na zachód od Odincowa). Korzystając z ostatnich dni letnich wakacji, nastolatek postanowił sobie nieco popodróżować, może nawet pojechać do stolicy.

Półtora miesiąca później, 13 października, pomiędzy osadą Gorki-10 a Zwienigorodem, w lesie, w okolicy sanatorium Liesnyje Dali, znaleziono pocięte zwłoki. Były pozbawione skóry. Tę znaleziono kilometr dalej, w pobliżu dziecięcego ośrodka zdrowia Poljany – zasoloną. Skóra była w jednym kawałku. Ktoś zdjął ją jak rajstopy – jednym ruchem oddzielił od włosów aż po nogi. Części ciała należały do Nikity.

Po tym zabójstwie ostatecznie zrozumiano, kogo i gdzie należy szukać.

Od razu należy zaznaczyć, że – wbrew właściwemu założeniu detektywów – schwytaniu przestępcy w trakcie analizowania podejrzanych przeszkadzał formalizm.

TROP

2 kwietnia 1992 roku na czele śledztwa w sprawie „Fiszera” stanął starszy śledczy do spraw szczególnie ważnych przy Prokuraturze Generalnej już nie radzieckiej Federacji Rosyjskiej, starszy radca sprawiedliwości Jewgienij Bakin. Połączył on sprawy zabójstw chłopców

z lat 1989-1991 z zabójstwami z 1986 roku, ponieważ typ ofiar okazał się podobny. Pozwalało to stwierdzić, że sprawcą była ta sama osoba. Po szczegółowym przeanalizowaniu materiałów z akt nasunął się jasny wniosek.

Zwłoki znajdowano w lasach w pobliżu dróg, w odległości 20-30 kilometrów od miejsc, w których ostatni raz widziano zabitych. Oznaczało to, że sprawca może przemieszczać się szybko i kiedy zechce, prawdopodobnie ma własny samochód, luźny grafik pracy albo pracuje w transporcie. Trupy były pocięte w sposób, który sugerował znajomość anatomii i umiejętność posługiwania się narzędziami do cięcia, a zatem sprawca to pracownik kostnicy, chirurg bądź rzeźnik. Skóra Nikity Bogdanowa nie została zasolona zwyczajną solą. Eksperci stwierdzili, że taką sól dodaje się do pokarmu bydła. W sklepie spożywczym taka była niedostępna. A zatem sprawca ma do czynienia z hodowlą, tym samym prawdopodobieństwo, że maniak jest z zawodu rzeźnikiem, wzrasta.

I najważniejsze - sprawca to na sto procent ktoś miejscowy. Przemawiało za tym kilka okoliczności.

Po pierwsze, ostatnie znalezione zwłoki nosiły ślady licznych uderzeń ostrymi narzędziami. Aby po prostu pociąć ciało ludzkie na kawałki, potrzebny jest czas oraz specjalne, odpowiednio wyposażone miejsce, ukryte przed wzrokiem ludzi. Oznaczało to, że maniak miał w okolicy swoją „bazę”, do której ofiary przychodzą najprawdopodobniej z własnej woli. Nie można tego

stwierdzić w przypadku dwóch pierwszych morderstw z 1986 roku, ponieważ zabójstwa te zostały dokonane raczej spontanicznie, w lesie. Oznacza to, że w życiu sprawcy mogły mieć miejsce poważne zmiany i obecnie dysponował on możliwością korzystania z jakiejś nieruchomości. Co więcej, na zwłokach Nikity Bogdanowa znaleziono włosy należące do jednego z poprzednio zabitych chłopców. To potwierdzało wersję o „bazie” maniaka. Zabija ta sama osoba i w tym samym miejscu.

Inna okoliczność – wszystkie zwłoki, oprócz jednego ciała, znaleziono na terenie rejonu odincowskiego. Wokół znajdowały się takie miejscowości, jak: Gorki-9, Barwicha, Nowo-Ogariowo, Żukowka, Rublowka. Każdy mieszkaniec obwodu moskiewskiego lub po prostu osoba interesująca się polityką wiedzieli, że to miejsce zamieszkania, pracy oraz odpoczynku dostojników partyjnych, elity naukowej i kulturalnej, a także miejsce goszczenia ważnych zagranicznych gości. Ten zielony, przepiękny obszar został doceniony przez Ojca Narodów – Stalina, jego żelaznego ludowego komisarza Jeżowa, przywódczynię komunistów hiszpańskich na wygnaniu Ibárruri, a następnie przez największą imprezowniczkę Kraju Rad – Galinę, córkę Breżniewa, oraz przez licznych ministrów i innych ważniaków zarówno z ZSRR, jak i z nowej Rosji. A współcześnie mieszka tam sporo po prostu nieziemsko bogatych ludzi. Kiedy po okolicy zaczęły krążyć wiadomości o maniaku, który poluje na chłopców, wszyscy ci wszechmogący obywatele zaczęli się bać o swoje dzieci

i wnuki. Z tego względu liczba funkcjonariuszy różnych służb i ochroniarzy, środków bezpieczeństwa na metr kwadratowy była na tym terenie ponadprzeciętna.

Sprawca był tego świadomy i wiedział, jak uniknąć niepotrzebnego zainteresowania.

Okoliczność, która ostatecznie wykluczała możliwość, że sprawca to jakiś mający wyjątkowe powodzenie zamiejscowy, który ma obsesję na punkcie rejonu odincowskiego, trwała od 18 sierpnia do 21 sierpnia 1991 roku. Był to pucz moskiewski, w historiografii rosyjskiej znany jako pucz sierpniowy.

Konserwatywna część władzy wydającego z siebie ostatni oddech ZSRR spróbowała – za pomocą uzurpowania sobie władzy oraz użycia siły – zatrzymać rozpad Związku, który rozpoczął Gorbaczow, a którego katalizatorem stał się Jelcyn. Partyjny beton, który zjednoczył się w organ o nazwie Komitet Państwowy do Spraw Nadzwyczajnych (GKCzP, w pewnym sensie można porównać go z polskim WRON-em w okresie stanu wojennego), ogłosił, że teraz on jest najwyższą władzą w kraju, zablokował Gorbaczowa w daczach na Krymie, zakazał jakichkolwiek demonstracji oraz strajków, wstrzymał działalność mediów (w telewizji cały czas pokazywano balet *Jezioro łabędzie*; po tym, jak w 1993 roku nastąpiło rozstrzelanie parlamentu rosyjskiego, a w telewizji ponownie emitowano to dzieło sztuki, lud rosyjski żartował, że *Jezioro łabędzie* w telewizji to sygnał do powstania). W Moskwie i w obwodzie ogłoszono stan nadzwyczajny, wprowadzono godzinę

milicyjną, mundurowych postawiono w stan gotowości do ataku na organy RFSRR, które opowiedziały się za Jelcynem. Jednak w odróżnieniu od WRON-u, który składał się niemal z samych wojskowych, puczyści nie wykazywali się zdecydowaniem. Niecałe wojsko przeszło na ich stronę, a moskwianie wyszli na ulicę w celu obrony reformatorów. Sprawa skończyła się zwycięstwem Jelcyna, aresztowaniem oraz samobójstwami niektórych puczystów, a koniec ZSRR został przesądzony. „Niezlomny związek republik swobodnych” upadł oficjalnie za kilka miesięcy – w grudniu.

Lecz stan nadzwyczajny odwołano dopiero w listopadzie. A Nikita zniknął niedługo po zakończeniu walki o władzę pomiędzy Jelcynem a konserwatystami – rodzice złożyli zawiadomienie wieczorem 22 sierpnia. Wtedy nie można było jeszcze z całą pewnością stwierdzić, że to koniec puczu. Widocznie sytuacja stanu nadzwyczajnego była interesująca dla nastolatka. Poruszanie się po Moskwie i obwodzie dla niemiejscowych było niemal niemożliwe – na ulicach stały kolumny wojsk, wszędzie przeszukujące pojazdy posterunki i sprawdzające dokumenty patrole. Osoba spoza rejonu odincowskiego, a tym bardziej spoza obwodu moskiewskiego, nie mogła przyjechać do Odincowa, aby torturować i zabić Nikitę, a potem go pociąć i zostawić ciało oraz skórę w lesie.

Szukać zatem należy miejscowego, który ma samochód, wiedzę anatomiczną bądź rzeźniczą, pracuje w hodowli lub posiada dostęp do pokarmu dla bydła, dysponuje

pomieszczeniem z odpowiednią izolacją dźwięku, jest silny fizycznie i wzbudza zaufanie wśród nastolatków.

Funkcjonariusze chodzili po podwórkach wszystkich domów w rejonie i sprawdzali każdego dorosłego mężczyznę. Badano mapę rejonu milimetr po milimetrze, aby ustalić najbardziej prawdopodobne miejsce zamieszkania bądź zatrudnienia potencjalnego maniaka.

I znaleźli – Moskiewska Hodowla Koni nr 1.

POTRÓJNE ZABÓJSTWO

Przedsiębiorstwo to było słynne wśród miłośników koni w całym Związku. Istnieje do dziś. Ma długą historię. Zostało założone w 1924 roku, aby odbudować zniszczoną po kilku latach wojen oraz rewolucji rosyjską hodowlę koni. W ZSRR pod koniec lat 80. ubiegłego wieku była to jedna z nielicznych placówek, w których odbywał się handel końmi określonych gatunków, w jej wypadku przede wszystkim orłowskimi – i to z zagranicznymi kupcami. Przedsiębiorstwo działało na obszarze ponad 2500 hektarów, opiekowało się kilkoma tysiącami koni, posiadało szkołę jazdy, hipodrom oraz szpital weterynaryjny. Placówka współpracowała z wieloma instytucjami rolniczymi i zatrudniała kilkuset pracowników. Należało ich sprawdzić.

Zanim jednak przystąpiono do weryfikowania pracowników hodowli, w rejonie zniknął jeszcze jeden

chłopiec. U schyłku wiosny 1992 roku na milicję zgłosili się rodzice 14-letniego Siergieja. O tym, jakiego rodzaju to byli rodzice, można było wywnioskować od razu po ich wejściu na komisariat: zielonogranatowy kolor skóry, siniaki pod oczami, od dawna niemyte włosy, pusty wzrok, tanie, wiszące, brudne ubrania, intensywny, wielotygodniowy albo i wielomiesięczny oddech alkoholowy, którego wonią z chwilą pojawienia się owej pary wypełnił się cały korytarz. Ludzie ci oznajmili dyżurnemu, że chcieliby złożyć zawiadomienie o zaginięciu osoby, ponieważ już od półtora miesiąca, chyba od końca kwietnia 1992 roku, nie widzieli swojego syna i trochę się martwią. A tak długo się nie przejmowali... bo imprezowali. A co, nie można? Ponadto pozostawiony bez opieki synek w swym niewinnym wieku już wyhodował w sobie miłość do gorzałki, drak, kradzieży, marihuany i wążania z kolegami jakiejś mocnej chemii. Głównym powodem zniknięcia na tak długi czas mogło być poszukiwanie miłosnych albo kryminalnych przygód. Pewnego razu nawet udał się sam na radzieckie wówczas wybrzeże Morza Bałtyckiego, aby tam dokonać kradzieży. Radzieckie Estonię, Łotwę oraz Litwę określano jako „nasz mały Zachód” i uważano, że tam żyje się najlepiej – no, oprócz Moskwy oczywiście. A więc tam rzekomo jest co kraść.

Póki trwały poszukiwania młodego chuligana, funkcjonariusze przystąpili do sprawdzania pracowników hodowli koni.

Teoria o cechach portretu poszukiwanego maniaka była uzasadniona i bardzo logiczna. Tyle że w Moskiewskiej Hodowli Koni nr 1 nikogo nie udało się powiązać z zakładaną tożsamością mordercy.

Jak to? Może coś zostało przeoczone?

A tymczasem 15 września 1992 roku zniknęło jednocześnie trzech kumpli: 13-letni Jurij Sidiakin, 13-letni Dienis Jefriemow oraz 14-letni Władisław Szarikow. Wszyscy mieszkali we wsi Jurasowo, w rejonie odincowskim, i chodzili do tej samej szkoły. W dniu swojego zaginięcia trójka chłopców pojechała do Moskwy, aby spędzić czas na ulubionej rozrywce – grze na automatach. Uczyli się na pierwszą zmianę, więc zajęcia kończyli około trzynastej, a przez resztę dnia byli wolni.

Jeśli oprócz wódki i broni trzeba wymienić jakąś produkcję „made in USSR”, którą można nazwać udaną, to z pewnością są to radzieckie dziecięce automaty do gier. Pojawiły się one w Kraju Rad w latach 70. ubiegłego wieku. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie: „Snajper”, „Statki”, „Łódź podwodna”, „Atak pancerny”, „Myśliwy”, „Zimowe polowanie”, „Bój powietrzny”, „Magistrala”, „Koszykówka”, „Atak torpedowy” i wiele innych. W Rosji istnieje obecnie muzeum takich gier, a poza tym wciąż można znaleźć salony z radzieckimi automatami, obecnie już w ramach tzw. ostalgii, aby dawny *homo sovieticus* mógł przyjść, uronić łezkę i przypomnieć sobie dzieciństwo. I z dumą mówiło się, że to własnej produkcji, nasze! Słynny żart ludzi radzieckich patrzących na niekomfortowe w użyciu towary

przemysłowe dużych rozmiarów, wykonane z detali, które prawdopodobnie pochodziły z odpadów wojskowego zakładu po produkcji podstawowej, o tym, że „za cokolwiek się u nas nie bierzemy, wychodzi czołg”, tej zabawy nie obejmował. I żadnych automatów do gier hazardowych w Kraju Rad! Tylko rozrywkowe!

Właśnie po tę rozrywkę elektroniczną pojechali przyjaciele. Robili tak prawie codziennie. Aby móc pograć w ulubione gry, zbierali i zdawali puste butelki – całe kieszonkowe przeznaczali na automaty. Droga do nich była jednak trudna i długa – ze swojej wsi dojeżdżali rzadko kursującym autobusem do stacji kolejowej Zaworonki, a następnie koleją podmiejską udawali się do stolicy. Salon gier znajdował się na stacji końcowej – na Dworcu Białoruskim.

Ich zniekształcone zwłoki znaleźli grzybiarze 4 października w lesie w pobliżu wsi Ugriumowo. Ślady zabójstwa świadczyły o tym, że „Fiszer” ostatecznie zwariował. Torturował i zabił trzy ofiary jednocześnie, wcześniej się nad nimi wspólnie pastwiąc. Głowy oraz kończyny były oddzielone od korpusów. Ciała wypatroszone. W przypadku Sidiakina „Fiszer” zdjął jak maskę skórę z twarzy. Resztki po trójce dzieci przeniósł do lasu, wykopał dół, wrzucił do niego zwłoki i przykrył nieco ziemią.

W poszukiwaniu tropu milicja udała się do szkoły w Jurasowie, gdzie chłopcy się uczyli. Do gabinetu, specjalnie wydzielonego przez dyrekcję na potrzeby przesłuchań uczniów, kolejno zapraszali kolegów z klasy

zabitych. Pomocnik prokuratora rejonu odincowskiego Natalia Smoliajewa w obecności dyrektorki prowadziła z nimi rozmowę na temat przyzwyczajzeń, zachowania oraz osobowości zaginionej trójki.

Najciekawsza rozmowa miała miejsce z małym Jewgienijem. On też dołączał się do trójki, aby udać się do Moskwy i tam pograć na automatach. Tylko że rodzice zapisali go na zajęcia pozaszkolne i nie mógł on robić tego tak często, jak by chciał. Jednak czasami szedł na wagary – bez pytania mamy i taty jechał pociągiem do stolicy, żeby bawić się z kolegami. Informacje trzeba było z niego z trudem wyciągać i łapać go za słowo, ponieważ uważał, że dokonał czegoś strasznego i mocno oberwie mu się od rodziców za to, że nie był po szkole na muzyce. Ciocia milicjantka przysięgała jednak: „Nikommu nic nie powiemy”.

Żenia powiedział, że dzień przed zaginięciem trójki przyjaciół był z nimi w Moskwie. W drodze powrotnej powstały pewne trudności. Podróż koleją podmiejską z Dworca Białoruskiego do stacji Zaworonki odbyła się bezproblemowo, jednak ze stacji Zaworonki do domu w Jurasowie dojechać się nie udało – zepsuł się autobus, który i tak kursował rzadko.

– I co zrobiliście? – spytała Smoliajewa.

– No tak, zwyczajnie... eeeeeem przyjechał jednak w końcu inny autobus, zabrał chłopaków i mnie... mnie to właściwie prosto do domu, dowiózł mnie aż pod drzwi, tam się pożegnał... – Chwila ciszy. – Ojejku – powiedział chłopak i zbiegał.

Wygadał bowiem coś, czego jego – jak uważał – przyjaciel, dobry wujaszek Siergiej, nie pozwolił ujawnić.

DOBRY WUJASZEK SIERGIEJ

Tu byłby właściwy moment dla pomocnika prokuratora, by uderzyć pięścią w stół i krzyknąć: „Nie kłam, mała paskudo!”. Zabrzmiało to jednak inaczej:

– Żenio, kochany, wydaje mi się, że czegoś celowo mi nie mówisz. Powiedz w końcu, jak opuściliście Zaworonki? Przecież autobusy nie wożą ludzi pod drzwi ich domów, prawda?

Jewgienij zrozumiał, że dał się złapać, i w końcu opowiedział wszystko.

Od stacji Zaworonki podwiózł ich pewien znajomy dorosły z okolicznej wsi, wujek Siergiej. Spotkali się tego dnia przypadkowo. Jewgienij koło stacji rozpoznał znajomą twarz. Wiedział, że wujek Sierioża to „swój chłop”, więc poprosił go, by podwiózł jego i jego kolegów, jeśli to nie problem, no, chociażby bliżej rodzinnej wsi. I faktycznie, „swój chłop” wujek Siergiej się zgodził. Potem zaczęło się dziać coś dziwnego.

Podczas rozmowy w samochodzie wujek Siergiej niespodziewanie zaproponował chłopakom, by następnego dnia razem okradli kiosk. Widocznie chłopaki też nie były aż takie grzeczne i się, o dziwo, zgodziły. Czas w końcu dorosnąć i zabawić się w gry dla dorosłych, poznać smak

ryzyka! Kto nie ryzykuje, ten nie pije... czy jakoś tam. Przecież nie jesteśmy cykorami!

„Następnego dnia” to był akurat ów 15 września – dzień, w którym cała trójka zaginęła. Mały Jewgienij nie dołączył wtedy do kolegów i zgodnie z nakazem rodziców po szkole poszedł na dodatkowe zajęcia. Opowiedział on, że zgodnie z planem, który koledzy ustalili podczas jazdy z wujkiem Siergiejem, miał on zabrać ich ze stacji Zaworonki o tej samej godzinie, a potem odwieźć na skok. On podobno miał już na oku pewien kiosk i wszystko było obcykane. Jednak ostatecznie, gdy Jewgienij wysiadał z samochodu, mężczyzna bardzo prosił chłopaków, żeby nikomu nic nie mówili, nawet o tym, że on ich podwiózł: „To będzie nasza tajemnica”. On w ogóle lubił ze wszystkiego robić „naszą tajemnicę”.

Zaczęli wyciągać od nastolatka informacje, co to za wujek Siergiej, czym się zajmuje, dlaczego jest taki dobry i dlaczego chłopiec uważa tego dorosłego mężczyznę, który jest od niego o dwadzieścia lat starszy, za „swojego chłopca”, chociaż, jak widać, proponuje dzieciom udział w zwyczajnej kradzieży.

Rozmowa trwała jeszcze długo. Im więcej Smolajewa słyszała od małego świadka o osobowości wujaszka Siergieja, tym bardziej dochodziła do wniosku, że śledztwo powinno zainteresować się tym człowiekiem.

– Dziękuję ci, Żenio. Bardzo nam pomogłeś – skończyła rozmowę ciocia milicjantka.

Wkrótce zarządzono stałą obserwację owego „swojego chłopca”, dobrego wujaszka, 33-letniego Siergieja, starszego zootechnika Moskiewskiej Hodowli Koni nr 1, kawalera, niekaranego, wzorowego pracownika, nawet jednego z najlepszych, jak uważało kierownictwo zakładu pracy, nagrodzonego srebrnym medalem Wystawy Osiągnięć Gospodarstwa Ludowego²¹, absolwenta z wyróżnieniem jednej z prestiżowych rolniczych uczelni wyższych – Moskiewskiej Akademii Rolniczej im. Timiriaziowa. Postanowiono na razie zbierać o podejrzanym informacje, pilnować go.

Kiedy sprawdzano pracowników hodowli, on przeszedł przez milicyjny filtr, ponieważ miał w paszporcie wewnętrzną pieczęć o zameldowaniu w Moskwie. Wszyscy zaś uważali, że morderca to ktoś tutejszy, spod Odincowa. Z tego względu nie tknęli moskwianina. Widocznie milicjanci nie wyjaśnili, że dyrekcja zorganizowała dla swojego stołecznego czołowego pracownika pokój na piętrze w budynku administracyjnym na obszarze hodowli, żeby biedak nie musiał wstawać przed świtem, by dotrzeć do pracy na prowincji na czas, a potem jechać z powrotem do domu, żeby pospać parę godzin. Dlatego po prostu nocował, a w pewnym sensie mieszkał w pracy. Stan cywilny pozwalał mu na to.

Nazywał się Siergiej Aleksandrowicz Gołowkin.

Po kilku dniach obserwacji człowiek ten zaczął dziwnie się zachowywać.

Nad ranem 19 października 1992 roku obserwowany niespodziewanie opuścił miejsce pracy, zatankował do pełna bak swojego samochodu - beżowego WAZ 21-03 „Żyguli”, który w ZSRR, zanim powszechnie pojawiły się używane samochody z Europy, USA i Japonii, uważany był za modny i nieco luksusowy. Następnie udał się nie w kierunku Moskwy, lecz w stronę przeciwną: skręcił na drogę do Mińska - stolicy niezależnej już Białorusi.

Daleko nie odjechał. Nie przekroczył nawet granicy rejonu. Nie pozwolił mu się rozpędzić pociąg towarowy, który zatrzymał go przed szlabanem. Jechał i jechał. Jechał i jechał. Jak można wieźć tyle towaru? Pewnie nowa władza już sprzedaje ojczyznę.

„Puk-puk” - usłyszał kierowca. Ktoś pukał w szybkę. Wystraszył się, ponieważ za oknem zobaczył milicjanta z naramiennikami starszego sierżanta, z tutejszego posterunku.

- Proszę wyjść z pojazdu - usłyszał Gołowkin i podporządkował się. - Dokumenty poproszę - powiedział milicjant. Stróż prawa zerknął do paszportu wewnętrznego i... schował go do swojej kieszeni. - Jest pan zatrzymany, pójdzie pan ze mną.

Kierowca próbował się awanturować, starszy sierżant wraz z kolegami przekonali go jednak i dostarczyli do Odincowa, do urzędu spraw wewnętrznych. Wraz z nim zabrano też jego samochód.

Zarówno starszy sierżant, jak i wielu innych milicjantów w rejonie otrzymali następującą instrukcję: obywatel

Siergiej Gołowkin jest obserwowany w związku z podejrzeniami o dokonanie licznych zabójstw dzieci w rejonie. Ma taki i taki samochód. Podczas spotkania z nim sprawdzić dokumenty, zadać kilka pytań, w szczególnych przypadkach przeszukać go bądź jego samochód. Ale nie zatrzymywać. Jeśli to on, trzeba go złapać na gorącym uczynku – dowodów przeciwko niemu przecież nie ma, są to jedynie podejrzenia nasuwające się po analizie osobowości. Funkcjonariuszowi, który zatrzymał Gołowkina na drodze wylotowej z rejonu, puściły jednak nerwy i kierowany intuicją zaczął myśleć: „No przecież to on! Ucieknie drań! Trzeba działać! A jeśli się co do niego mylę, to co mi zrobią? No, zdejmą mi z ramion tasiemki sierżanckie. Czort z nimi”. Zlekceważył on instrukcję.

W budynku odincowskiego urzędu spraw wewnętrznych zawsze był ktoś z Prokuratury Generalnej od sprawy „Fiszera”. Tego dnia w gabinecie siedział śledczy Walerij Kostariew. Kiedy dowiedział się, że został przywieziony Gołowkin, i w jakich okolicznościach odbyło się zatrzymanie, burknął:

- No kuźwa, miało być na gorącym uczynku.

Przecież nie ma przeciwko niemu dowodów. Nawet początkujący adwokat bez trudu obroni w sądzie takiego oskarżonego, o ile w ogóle dojdzie do rozprawy. W końcu może to nie on. A jeśli on, to teraz jest już pewien, że mamy go na oku i się ukryje, zniszczy dowody, jeśli takowe istnieją, i nie wiadomo jeszcze, co robi. Gdzie wasza zimna krew? W końcu pracujecie w milicji!

No ale co teraz robić, skoro on już tu jest?

Kostariew rozpoczął przesłuchanie. Przesłuchiwany zachowywał się spokojnie, wykazał się znajomością swoich praw, zapytał, o co jest podejrzewany. Śledczy wspomniał jedynie o trzech ostatnich ofiarach, że mają do niego jakieś pytania w tej sprawie, ponieważ on rzekomo podwiózł chłopców, lecz nie nakreślił całego obrazu sytuacji i nie ujawnił informacji, które były do dyspozycji śledczych.

Przesłuchanie trwało ponad siedem godzin. Gołowkin nie wypierał się tego, że faktycznie podwiózł chłopaków, ale zrobił tylko to. W trakcie rozmowy do Kostariewa dołączyli szef śledztwa Jewgienij Bakin oraz szef milicji kryminalnej obwodu moskiewskiego Nikołaj Czekmazow.

Rozmowa z Gołowkinem nie przynosiła oczekiwanych rezultatów. Nie powiedział on niczego nowego. Nie było podstaw do postawienia mu zarzutów. Może to jednak nie on? W końcu oficerowie udali się na małą naradę – co robić dalej? Puścić z zakazem opuszczenia obwodu i kontynuować obserwację czy wsadzić do celi na dziesięć dób, jak pozwala art. 90 k.p.k. RFSRR z 1960 roku²², a w tym czasie sporządzić nakazy przeszukania itp.?

Wybrali to drugie.

Gołowkina umieścili w celi, powiedzieli, że prawo pozwala im zatrzymać go na dziesięć dób bez postawienia zarzutów (gdzie tam do tego tej miękkiej Europie z jej dwiema dobami). Przede wszystkim przeprowadzą w tym czasie wszystkie możliwe analizy związane z mężczyzną

i przeszukają jego mienie. Zaczną od garażu, ponieważ znajduje się w pobliżu, w Gorki-10.

Po tych informacjach zatrzymany długo wiercił się w swojej celi na drewnianym łóżku – bez snu.

W nocy strażnik zauważył, że Gołowkin podciął sobie żyły.

Uratowali go.

A nad ranem otrzymano nakaz przeszukania mienia.

Przeszukanie miejsca, w którym zwykli ludzie trzymają samochody, rozwiało wszelkie wątpliwości odnośnie do tego, czy to on, czy nie on zabijał dzieci w rejonie.

Dowody znajdowały się za zielonymi drzwiami garażu, w odległości zaledwie jednego kilometra od dachy prezydenta Rosji Borysa Jelcyna.

Z protokołu przeszukania garażu Siergieja Gołowkina z dn. 21.10.1992 roku: „...po otwarciu garażu w środku zostały znalezione: siekiera, szmaty, wciśnięte pod deski dachu noże, turystyczna siekiera z bordowymi śladami... Analiza na miejscu pokazała, że to krew. Wśród szmat znaleziono elementy szkolnego chłopięcego munduru. W garażu znajdował się luk, pod którym mieściła się piwnica...

Wymiary piwnicy: 180 × 250 cm, wysokość: 280 cm. Podczas przeszukania piwnicy znaleziono: wannę dziecięcą ze śladami przepalonej organiki i z charakterystycznym zapachem organiki, plamy krwi na ścianie, koryto z elementami przepalonej skóry, dwa haki wmontowane w ścianę wraz z kołem, waciak we krwi, beczkę, biało-

granatowe sznury w skrzynce, drut, lampę lutowniczą, linę, nóż, strzykawki, skalpel, wazelinę, prezerwatywy, igły...”

W tym garażu oprawca wieszał chłopaków za pomocą sznura, liny bądź drutu na hakach wmontowanych w ścianę. Czasami za szyję, czasami za związane ręce. Następnie godzinami ciął ich nożami, siekierą oraz skalpelem. Wtykał w nich igły, podpalał im skórę i włosy. Potem, już martwych, wieszał do góry nogami, nadal się pastwił i patroszył trupy. Krew ofiar powoli spływała do znalezionej tu wanny dziecięcej, do niej także wrzucał narzędzia. Wanna miała kiedyś kolor metalu, teraz przyjęła bordową barwę. Krew i wnętrza ofiar, gdy już nie mieściły się w wanience, były palone w ogniu z lampy lutowniczej, żeby zwolnić miejsce. Zostawał po nich jedynie bordowy proszek. W wannie zgromadziła się kilkucentymetrowa warstwa takiego proszku. A wazelina i prezerwatywy były potrzebne... no, wiadomo.

W obliczu dowodów Gołowkin przestał się wypierać i zaczął współpracować ze śledczymi. Łącznie przyznał się do gwałtów i zabójstw 11 chłopców w wieku 11-15 lat. Dokonał ich w okresie od 1986 do 1992 roku. Dnia 30 października 1992 roku postawiono mu zarzuty na podstawie art. 102 ust. „e” k.k. RFSRR z 1960 roku – zabójstwo z premedytacją, przy okolicznościach obciążających, dokonane w celu ukrycia innego przestępstwa lub ułatwienia dokonania go połączonego z gwałtem.

KOCHAJCIE SWOJE DZIECI

Ojciec Siergieja - Aleksander Gołowkin, tyran domowy, miłośnik gorzałki i damski bokser - miał obsesję, by zrobić ze swojego syna, urodzonego w Moskwie 26 listopada 1959 roku, tzw. prawdziwego mężczyznę. Nie, nie przez dawanie mu możliwości podejmowania własnych decyzji i brania za nie odpowiedzialności. Skądże. Wychowanie odbywało się przez utrzymywanie bycia wiecznie niezadowolonym, „srogiej dyscypliny” i bicie dziecka. Błędy zasługujące na podkreślenie zazwyczaj polegały na tym, że synek zrobił coś nie tak, jak uczyniłby to tatulek. Jeśli natomiast wszystko zostało zrobione tak, jak lubi to rodzic, dziecko dostawało z liścia dla zasady, żeby „przyszły wojownik” przyzwyczajał się, że życie to nie bajka. Jest brutalne! W życiu nikt nikogo nie chwali! Nie ma w nim szczęścia! Chcesz buziaka za każdym razem, kiedy zrobisz coś dobrze!? A co, mnie też rodzice bili i patrzcie, wyrosłem na normalnego faceta. Bez pasa nie da się wychować bachorów!

Kiedy do domu przychodzili w gości koledzy taty - tacy sami kuchenni dyktatorzy - w celu wypicia alkoholu i prowadzenia pogawędek na temat tego, jak właściwie należy zarządzać krajem, że szef to dupek, a Żydzi sprzedali mateczkę Rosję, tatulek wskazywał palcem na syna i mieszał swoje dziecko z błotem przed przyjaciółmi: „Baba u mnie rośnie, nic nie umie, wszystkiego się boi, za mało go biję, zbyt łaskawy i dobry jestem!”. Zatem o piątej nad ranem, wciąż odurzony wódką, był w stanie wyciągnąć swoje nieszczęsne dziecko z łóżka i wrzucić je pod lodowaty

prysznic, nie pozwalając mu wyjść – w celu wychowawczym i hartowania charakteru. Przymusowy zimny prysznic przed świtem – to właśnie tego trzeba, by wyhodować prawdziwego, twardego, zdyscyplinowanego faceta!

W rzadkich okresach, gdy ojciec odstawiał butelkę, nie robił się miłszy i nie wykazywał skruchy, nie prosił domowników o wybaczenie, nie obiecywał, że przestanie pić. Stawał się natomiast nieznośnym perfekcjonistą i pedantem. Dlatego, kiedy od ojca nie cuchnęło już gorzałą, egzekwowanie zachowywania się zgodnie z jego oczekiwaniami poprzez „policzkowanie z miłości” nie ustawało.

Mamusia była „odpowiednim” dodatkiem do ojca. Była to niepijąca, jednak zimna, zamknięta i nie mniej pedantyczna kobieta. Ciągle jakby wyładowywała na swoim synu całą złość za to, że jej życie się tak ułożyło i musi przebywać w czterech ścianach z kanapowym królem, jakim okazał się jej małżonek. Żądała od dziecka posłuszeństwa, również stosując przemoc fizyczną. Syna stawiała do kąta, trzęsła nim, popychała go, biła, czasami do tego stopnia, że Siergiej miał plamy przed oczami.

Jeśli podczas swoich ciągów alkoholowych w domu bez wątpienia rządził ojciec, kiedy on trzeźwiał, chęć do walki budziła się w matce. Wylewała mu ona na głowę wszystkie swoje dotychczas nagromadzone pretensje. A biorąc pod uwagę, że i na trzeźwo głowa rodziny uważała, że to przed nią domownicy powinni chodzić na palcach, na porządku

dziennym były pomiędzy małżonkami awantury z rękoczynami.

A co dzieje się w sytuacji, gdy miłości pomiędzy małżonkami już dawno nie ma, dużych pieniędzy też, ich jedyne dziecko jest niekochane i regularnie bite, a w domu prawie nieustannie albo czuć woń alkoholu, albo słyszeć krzyki awantur i dźwięk bitych naczyń? Dokładnie: rodzi się kolejne dziecko! W 1969 roku u małego Siergieja pojawiła się siostrzyczka. Dopiero w 1988 roku, kiedy niekochany syn został już „Fiszerm”, Gołowkinowie dokonali tego, co powinni byli zrobić dawno temu – rozwiedli się.

Nie trzeba mówić, że małego Sierioży nikt nie tulił, prawie o niego nie dbano, a jeśli dochodziło do prób spędzenia wspólnie czasu, wyglądało to tak, jakby działo się to pod przymusem. Cały czas mówiono mu, jakim jest nieudacznikiem, że umrze jako menel i wspólne spędzanie czasu zawsze kończyło się burdą. Nie wiedział, że tak być nie powinno, że mama i tata mogą być kochającymi ludźmi, którzy przytulają i chwala swoje dzieci, że bywają rodziny, w których nikt na nikogo nie podnosi ręki, nikt nikogo nie poniża, wręcz przeciwnie – każda inicjatywa jest mile widziana, a wszelkie kłopoty rozwiązywane są bez krzyków, że zamiast alkoholu na śniadanie pije się herbatę z miodem.

Jedynym efektem „metod wychowawczych” rodziców stał się strach dziecka przed wszystkim: przed dźwiękami, przed ludźmi, przed światem, przed podjęciem jakiegokolwiek kroku we własnym życiu – przecież on na pewno zrobi coś nie tak, a mama i tata potem się wściekną

i mu dowala. Siergiej stawał się z czasem milczący, garbiący się, zakompleksiony, chudy, nieludzki. Chował głowę w ramionach, rósł samotnie, żył we własnym świecie, unikał kolegów i koleżanek – wolał bawić się sam. Do 17. roku życia sikał w spodnie. Natomiast efektem trzymania go pod zimnym prysznicem było to, że Siergiej znienawidził dbanie o własną higienę. Można więc wyobrazić sobie woń, jaką rozsiewał wokół, czym z kolei nie zyskiwał popularności wśród znajomych.

Kłopotom emocjonalnym towarzyszyły częste choroby fizjologiczne. Siergiej był nieustannie przeziębiony. Ciągłe miał niestrawność – po posiłkach często wymiotował lub bolał go brzuch. Za to dostawało mu się od mamy, kiedy bowiem odbierała go z przedszkola, wychowawczyni pokazywała miejsce, w którym jej syn zwrócił wszystko, co zjadł, i żądała, aby matka posprzątała wszystko po swoim dziecku.

Do nieludzkiego charakteru doszła w rozwoju agresja. Poczucie bezsilności, nienawiści oraz niesprawiedliwości szukało ujścia w umyśle dziecka. Jeszcze w dzieciństwie Sierioża zaczął okazywać stereotypowe oznaki przyszłego maniaka – męczył koty. Dusił je rękami, wieszał na sznurze i patrzył, jak zdychają w drgawkach, odcinał im głowy, rzucał je z wysokości i patrzył, jak zwierzę z krzykiem leci ku ziemi. Potem długo przyglądał się roztrzaskanym o asfalt zwłokom. Bardzo go interesowało, co czują te zwierzęta. To samo pytanie zadawał sobie, gdy zabierał rybom wodę

z akwarium, a zamiast niej wlewał wrzątek i przyglądał się, jak przestraszone rybki szybko pływają i obijają się o szkło.

Z czasem, gdy urósł, stał się nieproporcjonalnie wysokim nastolatkiem. Pogłębiły się kłopoty z plecami, pojawiły się pryszczki. Zaczął dużo palić. Tak dużo, że dopalał za innymi wyrzucone pety. Oprócz własnych rodziców Siergiej nienawidził także siebie za to, że jest wiecznie sam, za to, że jest – tak o sobie myślał – słaby, brzydki, nieśmiały, że trudno mu nawiązywać kontakty z ludźmi, nawet zapytać o godzinę. Przeżywał najmniejszy błąd czy drobiazg. Krótka rozmowa z kimś stanowiła dla niego wydarzenie, które przeżywał cały dzień. Jednocześnie nienawidził on wszystkich, którzy z łatwością nawiązywali relacje – uśmiechniętych, przystojnych, wysportowanych, grających na gitarze kolegów; tych, którzy dobrze się uczyli i byli lubiani przez nauczycieli oraz za którymi uganiały się koleżanki. Innymi słowy, nienawidził tzw. popularnych.

Na tle braku poczucia własnej wartości i nienawiści w jego głowie zaczęły pojawiać się fantazje sadystyczne. W nich Siergiej tych popularnych chwycił, wiązał, następnie powoli palił na stosie, wrzucając pochodnie do oblanych naftą drew, smażył nad ogniskiem, kręcąc różnem, wsadzał im w wątrobę nóż i patrzył na grymasy bólu na twarzach tych przystojniaków. Wyobrażał sobie, że jest gestapowcem w czarnym mundurze, z czerwoną opaską ze swastyką na ręce, który w jakiejś piwnicy torturuje tych popularnych, wyciąga z nich informacje i ich zabija. A oni krzyczą i całkowicie mu się podporządkowują. Ich ból, oczy

wypełnione strachem i ich cierpienia rodziły w nim nieopisaną radość.

A co więcej... zauważył, że te fantazje oprócz radości i uśmiechu wzbudzały u niego bardzo mocny popęd seksualny. Kiedy następowały takie chwile, on z przyjemnością, delikatnie mówiąc, pomagał sobie sam. Zauważył także, że dziewczynki nawet w połowie nie wzbudzały w nim takiego zainteresowania. Jeśli zatem w pewnym wieku chłopcy interesują się już swymi rówieśnikami, Siergiejowi były one obojętne. W jego fantazjach zawsze występowali chłopcy. Dziewczynek się bał i nieco nimi gardził.

Wtedy jednak czasami jeszcze myślał, że tego rodzaju zachowanie oraz myśli są niewłaściwe, chore i trzeba z tym walczyć.

Wtedy jeszcze tak.

Pomagało mu w tym ulubione hobby – konie. Po szkole chodził na hipodrom obok domu i tam pomagał jako ochotnik. Zainteresowanie syna jazdą konną, hipodromami, hodowlą, biologią – jak wszystko – powodowało niezadowolenie ojca. On, prawdziwy proletariusz, nie odpuszczał sobie i kpił z Siergieja, nazywając go debilem. Konie? Biologia? Tylko baby i pedały interesują się takimi rzeczami.

Ale to był jeden z tych nielicznych przypadków, gdy dorastający chłopak upierał się przy swoim – chcę się tym zajmować! To będzie mój zawód! Faktycznie znalazł sobie dodatkowe zajęcia z anatomii i biologii. Po maturze w 1977

roku z powodzeniem zdał egzaminy wstępne na prestiżową w dziedzinie gospodarki rolnej Timiriazewkę. Kierunek: hodowla koni.

Mimo że na studiach też był uważany za wyjątkowo nieśmiałego, a nawet dziwnego, jego problemy z agresją nieco osłabły. Siergiej ostatecznie wyrósł, zmężniał, zniknęły pryszcze, przestał się garbić. Uczył się wyjątkowo dobrze, egzaminy zdawał na same piątki, został szefem komsomolskiej jednostki swojej grupy. W domu rodzice przestali się już na niego, młodego mężczyznę, rzucać. Jednak więzi pomiędzy rodzicami a synem nie udało się odbudować. Z matką Siergiej jeszcze jakoś się komunikował, natomiast między nim a ojcem pozostał szczególnie wysoki mur.

Czasami był zapraszany na imprezy. Tam jednak też siedział cicho i bał się dziewczyn. Ale powoli w jego głowie utrwały się myśli, że zostanie zwykłym, szczęśliwym obywatelem z rodziną, pracą i dziećmi – najlepiej chłopczykiem i dziewczynką. Gdy zaś kolejny raz przekonał się o tym, że koleżanki są mu obojętne, stwierdził: a co tam, widocznie jestem gejem, spotkam przystojnego chłopaka i będę szczęśliwy.

A jednak tak się nie stało. Wydarzyło się coś, co sprawiło, że sadystyczne fantazje powróciły z potrójną siłą, aż do pragnienia, by się spełniły. Co zerwało w rozumie przyszłego „Fiszera” tę smycz, na której była trzymana wewnętrzna bestia?

Jesienią 1980 roku, gdy Gołowkin miał 21 lat, został zaatakowany i mocno pobity przez bandę bardzo młodych chuliganów. Zaczęło się od zaczepki w rodzaju: „Hej, facet, daj ognia. A dlaczego zapalnikami, a nie zapalniczką! Nie szanujesz nas!? Masz za to!” Grupa około dziesięciu piętnastolatków szła ulicą pijana i pod wpływem narkotyków. Zobaczyli samotnego Siergieja, który po zajęciach zmierzał na hipodrom, i postanowili się zabawić. Nastolatki przyczepili się, powalili go na ziemię i długo bili. Kopali go w głowę, w klatkę piersiową, w brzuch, poniżej pasa. Bili wszyscy naraz, nawet kłócili się o miejsce, żeby mocniej dowalić ofierze.

Ocknął się na ziemi. Bardzo bolała go głowa, żebra i w ogóle całe ciało. Nie oddychał przez nos, usta wypełniała krew i jakieś twarde resztki, pomiędzy zębami czuł pustkę. Z powodu opuchniętej skóry wokół oczu, prawie przez nie nie widział. Krocząc jak we mgle, dopełził do hipodromu, a tam w łazience spojrział na siebie w lustro – patrzyła na niego granatowa twarz, trzykrotnie powiększona. Zamiast oczu miał cieniutkie linie, z ust przez napuchnięte czarne wargi lała się krew. Pobity umył się i poszedł do domu, trzymając się ścian. Na szczęście było blisko. Po drodze widziało go wielu ludzi, w tym znajomi, lecz nikt nie zaproponował pomocy – wszyscy trzymali się z daleka od pobitego dziwnego kolegi.

Gdy Siergiej wrócił do domu, ojciec, od razu zrozumiawszy, że syn mocno oberwał na ulicy, nie odpuścił sobie możliwości zakpienia z niego:

- Pfff, oferma jedna.

Matka zabrała dziecko do szpitala.

Siergiej doznał licznych urazów głowy i narządów, pęknięć kości, wstrząśnienia mózgu, miał kilka wybitych zębów i złamany nos. Głównie jednak przepełniała go złość, niepozwalająca spać nieziemska złość, od której trzęsło się ciało. Jak? Za co!? Dlaczego nikt z tych tak zwanych ludzi mi nie pomógł!? Gnoje! Dajcie mi tych niedorozwiniętych zasrańców, a rozerwę ich na strzępy! Razem z ich rodzicami, za to, że tak wychowali swoje dzieci!

Gołowkin, gdy wstawili mu nowe, plastikowe zęby, ustawili na swoim miejscu nos, kiedy głowa przestała go boleć, zdjęto mu gips i z głowy zeszła opuchlizna, nieraz szedł na miejsce swojego pobicia w celu odnalezienia swoich napastników i ukarania ich – chciał ich po prostu zadźgać. Nie znalazł ich jednak. Nie zrobiła tego również milicja.

On nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o swoim pobiciu, o tych, którzy go pobili, o tym, dlaczego tak się stało –

czy on mało zniósł w życiu, aby ono jeszcze tak mu dowalało? Zzerało go to od wewnątrz. Nie mogąc zemścić się w realnym życiu, mścił się w myślach. Na tle tych przeżyć fantazje, w których zabijał nastolatków, uległy zmianom – zmienił się typ ofiary i forma znęcania się nad nią. Idealną ofiarą w jego rękach był teraz chudziutki blond nastolatek w wieku 12-15 lat, chuligan, z papierosem w zębach, już próbujący alkoholu, mający gdzieś naukę

i dobre obyczaje. Podobny do tych, którzy zaatakowali go na ulicy. A on ich teraz w swojej wyobraźni nie po prostu tnie, smaży i wypala im znaki na ciele; on dokonuje dodatkowego upokorzenia, szczególnego z męskiego punktu widzenia – gwałci ich. Na wszystkie sposoby. A oni błagają o litość, o wybaczenie, znoszą poniżania, a ich strach i łzy go podniecają. On się z tego śmieje i mówi: „Nie”. On ich karze. Sprawiedliwości staje się zadość. W końcu ich zabija, a zwłoki tnie na kawałki i rzuca psom na pożarcie.

Takie obrazy w jego głowie zawsze powodowały mocny wzwód.

Fantazje i sny nie ustępowały. Pomaganie sobie rękami i próby zajęcia się czymś nie pomagały. Poczucie nieprawidłowości ustąpiło miejsca pragnieniu i poczuciu słuszności tych fantazji. Ich częstotliwość oraz napięcie, jakie powodowały, tylko wzrastały. Wypełniała go chęć dokonania zemsty na nastolatkach. Gołowkin zrozumiał, że od marzeń trzeba przejść do czynów.

Zaczął chodzić po podmoskiewskich lasach, po wsiach, wokół obozów pionierskich. Z lornetką wypatrywał niegrzecznego chłopca. Robił tak prawie codziennie, przez cały wolny czas.

Pierwsza próba spełnienia fantazji miała miejsce latem 1982 roku. Chociaż do niczego nie doszło, przyszły „Fiszer” przeżył takie emocje i podniecenie, że zrozumiał – to jest to, tędy droga, trzeba spróbować jeszcze raz, ale tym razem tak, żeby się udało.

NARODZINY „FISZERA”

W 1982 roku ukończył akademię i otrzymał dyplom zootechnika. Natychmiast został powołany na zlot wojskowy. W ZSRR prawie przy każdej uczelni cywilnej istniały obowiązkowe katedry wojenne, gdzie przyszłych przedstawicieli pokojowych zawodów nauczano podstaw sztuki prowadzenia walk na szczeblu drużyna-kampania, aby w czasie wojny, gdy armia musiałaby się gwałtownie rozrosnąć, cywile z wyższym wykształceniem mogli objąć stanowiska młodszych oficerów i dowodzić milionami poborowych bezpośrednio na polu walki. Po takich katedrach absolwenci otrzymywali stopień lejtnanta rezerwy. Zawodowi wojskowi takich cywili z oficerskimi naramiennikami pogardliwie nazywali „marynarkami”. Uważano jednak, że w skrajnych przypadkach na stanowisko dowodzące lepiej powołać osobę z wykształceniem wyższym jako *a priori* mądrzejszą. Aby zdobyte umiejętności nie zostały zapomniane, od czasu do czasu organizowano zloty wojskowe, które mogły trwać od kilku dni do kilku miesięcy.

Zlot, na który trafił Gołowkin, trwał trzy miesiące. Nie wyróżniał się wojskową srogością i był urządzony niedaleko domu – pod Kalininem²³, 170 kilometrów od stolicy. Zatem jego i innych mieszkańców stolicy czasami wypuszczano do domu. Sam Siergiej w takie dni przebierał się w cywilne ubrania i szedł szukać celu.

I znalazł.

Był to chłopiec zbierający grzyby w lesie. Niegrzeczne zachowanie tego chłopca w oczach Siergieja polegało w tym wypadku na kaleczeniu matki natury. Gołowkin podszedł do młodziana i poprosił go, by pomógł mu z ciężkim workiem. Wór zostawił rzekomo za drzewami. Chłopak się zgodził. Przez całą drogę Gołowkin myślał i utrzymywał się w napięciu: „Już zaraz... już zaraz... zaraz go uduszę!”. Lecz chłopiec wyczuł niebezpieczeństwo, niespodziewanie zmienił zdanie, odwrócił się i uciekł. Przyszły maniak nie ścigał go – od wszystkich tych emocji był tak podekscytowany, że nie mógł oddychać.

Doszedł do wniosku, że trzeba to powtórzyć... Tylko tym razem przygotować się lepiej pod względem psychicznym.

Trzy tygodnie później dokonał nowej próby. To też był nastolatek zbierający w lesie grzyby. Gołowkin podszedł do niego, trzymając grzyb w dłoni, rzekomo po to, aby zapytać, co to za gatunek i czy nie jest przypadkiem trujący. Gdy chłopak zaczął patrzeć na zwykłego kozłarza czerwonego, Siergiej rzucił się na niego i zaczął go dusić rękami. Zrozumiał jednak, że nie jest w stanie udusić człowieka. Chłopak chrypiał, bronił się i bił go w rękę. Wtedy Gołowkin sięgnął po nóż, przy pomocy którego ofiara zbierała grzyby; leżał obok. W tym momencie chłopiec krzyknął: „Nie zabijaj!”. I przyszły „Fiszer” się zatrzymał. Tym razem nie mógł jeszcze wziąć się w garść i ugodzić kogoś nożem. Wstał. Odszedł. Chłopiec uciekł.

Mocne podekscytowanie zmieniło się w smutek, że nie wystarczyło mu odwagi, by zabić. Następnym razem musi

być gotowy do zabijania za pomocą narzędzi – sznura bądź noża.

Życie toczyło się dalej. Trzeba było dostać się do pracy. W ZSRR, tak jak w prawie wszystkich krajach z socjalistyczną gospodarką planową, to nie człowiek szukał pracy, lecz praca człowieka. Gołowkin został skierowany do Moskiewskiej Hodowli Koni nr 1 jako pomocnik jeźdźca.

Nowi koledzy uważali go za nieśmiałego, dziwnego i skąpego, lecz jednocześnie myśleli o nim jako o pracowitym zawodowcu. Zauważyli także, że unika kobiet, rozmów o nich, dzielenia się doświadczeniem podczas wspólnych pogawędek przy papierosie. Same kobiety uważały, że Siergiej jest jakiś biedny, samotny, niedożywiony i starały się go dokarmiać domowymi potrawami. Równocześnie twierdziły, że jest bardzo cichy. Czasami, gdy musiały załatwić jakieś sprawy, zostawiały z nim dzieci. A on nie odmawiał.

Tak samo myślała o nim dyrekcja zakładu. Wraz z pracownikami śmiali się, że pewnie jest jednym z tych „z napędem tylnym”. Jednak ostatecznie to jego sprawa, z kim sypia. A na pracy swojej się zna i jest zdyscyplinowany. Dlatego szefostwo przychyliło się do rozwoju jego kariery. Gołowkin otrzymał poziom zawodowy zootechnika-selekcjonera 1. kategorii, a w 1989 roku został nagrodzony prestiżowym wśród rolników medalem.

Siergiej naprawdę kochał swój zawód. Tak mocno, że wyglądało to chorobliwie. Jeśli standardowo selekcjoner mógł w ciągu zmiany sztucznie zapłodnić 2-3 kobyły, on

potrafił po stachanowsku zapłodnić 10. Przychodził do nich w dni wolne, nocami, w weekendy. Wsadzając kobyle ręce przy badaniu, uśmiechał się, śpiewał, długo macał wnętrza zwierzęcia. Za długo. W takiej chwili nikogo i niczego dookoła nie zauważał. W odróżnieniu od kolegów z chęcią odzywał się, gdy trzeba było zrobić sekcję zwłok, grzebać w śmierdzących narządach lub zdjąć skórę z martwego konia.

Dzieci, jak wiadomo, kochają różne zwierzęta, a przede wszystkim konie, więc jakieś zawsze kręciły się przy hodowli. Wujaszka Siergieja znały wszystkie miejscowe dzieciaki. On wpuszczał je do stajni, pokazywał, jak jeździć, jak dbać, jak zakładać siodła, opowiadał o słynnych koniach różnych przywódców. W oczach tych nieco starszych dzieciaków wujek Sierioża to był „swój chłop”. Częstoował szlugami, można było obok niego spokojnie palić. Mógł poczęstować szklanką rozcieńczonego spirytusu, a po szklance pokazać, jak konie się kochają. Kiedy Gołowkin otrzymał pokój w pracy, chłopaki wiedzieli, że po zajęciach można się u niego zgromadzić i stworzyć swoisty klub dżentelmenów – mimo że wujek Siergiej miłością do porządku się nie wyróżniał i uczynił z pomieszczenia prawdziwy chlew.

Pewnego razu, na ich prośbę, dał początkującym donżuanom środek, który wstrzykuje się kobyłom, aby zwiększyć ich pragnienie miłości i spłodzenia potomstwa. Chłopaki podczas kolejnej libacji chcieli dosypać go do alkoholu dziewczynom i w końcu poznać, co to jest fizyczny

przejaw miłości. Eksperyment się nie udał – koleżanki rozboleły brzuchy i impreza skończyła się prawie natychmiast.

I cały czas powtarzał: „Tylko szzzz. To będzie nasza tajemnica”.

Równocześnie nie przestawał szukać niegrzecznych chłopców. Pakował do torby noże, sznury, lornetkę, ubrania, czapkę i szedł na poszukiwania ofiary. Z Moskwy jechał głównie na zachód – z Dworca Ryskiego lub Białoruskiego – lub na północ – z Sawiolowskiego.

21 czerwca 1984 roku po raz kolejny wyszedł na polowanie i znalazł się w pobliżu obozu pionierskiego „Romantyk”, na zachód od stolicy. Był tu już kilka razy, wiedział, gdzie w murach znajdowały się dziury, z których korzystały łobuzy. Opuszczając ośrodek, wyciągali papierosy i kopcili. Tylko że zawsze w grupach. Oczekując na właściwy moment, Gołowkin usiadł na „dyżur” z lornetką. Tym razem opłacało się czekać. Około 18:00 przez dziurę wyszedł nastolatek, stanął pod drzewami i wyciągnął papierosa. „Ach, ty jeden, palisz, no ja zaraz ci dam popalić!” – los niegrzecznego dziecka, które odważyło się uciec z obozu i złamać zasadę mówiącą o tym, że „małym palić nie wolno”, został przesądzony. To był Andriej z początku historii. Tym razem maniak był przygotowany, by udusić dziecko sznurem – wnioski z poprzedniej, nieudanej próby zostały wyciągnięte.

Jak wiemy, było blisko, jednak skończyło się to dla niego niepowodzeniem – ofiara przeżyła. Jednocześnie fakt, że na

nogi została postawiona milicja i ona poważnie zajęła się sprawą, spowodował, że Gołowkin się wycofał. Nie robił więcej prób napadów, mógł jedynie popodróżować kolejką podmiejską w celu rozpoznania. Zmienił również kierunek wypraw – teraz jeździł na wschód, z Dworca Kazańskiego. Ale za każdym razem, gdy jechał do pracy z Moskwy, bał się, że zatrzyma go pierwszy lepszy patrol.

Ale wewnętrzna bestia nie odpuszczała. Nocą Gołowkin miał sny z martwymi chłopakami, a w ciągu dnia majaczył o nich. Natura żądała powtórzenia wrażeń i doprowadzenia sprawy do końca – żeby był nareszcie trup, żeby zły chłopiec poniósł zasłużoną karę, a świat stał się czystszy. Maniak nie sypiał, krzyczał w nocy, gryzł wargi, cały czas szlifował w głowie doskonałe zabójstwo.

W styczniu 1986 roku rozpoczął nowy sezon polowania. Po kilku miesiącach rozpoznania, 19 kwietnia 1986 r., Gołowkin spakował się i obrał kierunek północny. Dojechał do stacji Katuar i poszedł do lasu w nadziei znalezienia tam jakiegoś samotnego chłopca zbierającego grzyby. W torbie miał nóż i sznur. Spotkał Andrieja Pawłowa, który sprawdzał swoje słoiki na sok brzozowy i palił przy tym papierosa. „Ach, ty drzewa kaleczysz i jeszcze jarasz... Zły chłopiec” – pomyślał Gołowkin. Rozejrzał się dookoła – nikogo nie było. Podeszedł do Andrieja i poprosił go o ogień. Gdy nastolatek sięgnął do kieszeni po zapalki, Gołowkin wyciągnął nóż, wziął chłopca za kołnierz i odprowadził go sto metrów w głąb lasu. Tam zmusił nieszczęśnika do oralnego seksu. Chłopak nie stawiał oporu i wykonywał

wszystko, co mówił straszny pan z nożem. Nawet ten obrzydliwy rozkaz – tak śmiertelnie się bał. Następnie Gołowkin odwrócił swoją ofiarę, związał i kontynuował gwałt. Później udusił chłopaka sznurem i nożem poderżnął mu gardło.

Marzenie się spełniło. Dzięki niemu chłopiec pożegnał się z życiem.

W kieszeniach u zabitego Gołowkin znalazł zdjęcia z nagimi kobietami. Poczuł olbrzymią satysfakcję i ulgę, że faktycznie ten chłopiec był niegrzeczny i musiał zostać ukarany.

Po pierwszym udanym zabójstwie „Fiszer” był bardzo podniecony. Pragnął powtórek. Zaczął nawet paskudzić tam, gdzie mieszkał – przymierzał się do nastolatków, którzy odwiedzali go w hodowli. W maju do lasu w pobliżu stacji Zaworonki udało mu się zwabić niejakiego Olega, pod pretekstem, że chce mu pokazać swój schron z bronią. „Tylko szzzz, to wielka tajemnica”. Chłopaka uratowało to, że mając dość pytań wujka Siergieja o to, czy naprawdę nikomu nic nie mówił, przyznał się w lesie, że jednak powiedział matce, dokąd idzie. No musiał, ponieważ poprosił ją o pieniądze na bilet kolejowy, a ona zaczęła się interesować, dokąd wybiera się jej syn. Ta wiadomość sprawiła, że spacer jakoś dziwnie natychmiast się skończył i poczłapali z powrotem.

Potem innego chłopaka – Igora – wujaszek Sierioża upił i zaproponował mu nocleg u siebie. W nocy przyszedł do niego nagi. Zaczął obmacywać jego intymne miejsca i go

tam całować. Chłopakowi nie przypadło to do gustu, zabrał swoje ubrania i uciekł. A wujek Siergiej potem mówił tylko: „Oj tam, nie przejmuj się”.

Oczywiście kontynuował on polowania na chłopców poza miejscem zamieszkania. 11 lipca Gołowkin obserwował obóz pionierski „Zwiozdny”. Tak jak poprzednio, przez dziurę w murze wylazł niepełnoletni łobuz – Andriej. Udał się do lasu i zapalił papierosa. Gołowkin podszedł do niego, wyciągnął nóż i zabrał głębiej w gąszcz. Tam rozebrał nastolatka, zgwałcił go, następnie powiesił na drzewie i wypatroszył martwe ciało. Jak prosiaka w rzeźni.

Wszystko odbywało się tak jak w jego fantazjach. Chciało się być obok wiszącego trupa i kroić go dalej. Na koniec odciął dziecku narząd płciowy, głowę, próbował też zdjąć skalp, nie udało mu się jednak, i w końcu zdjął trupa ze sznura. Po wszystkim poszedł do domu. Najpierw chciał zabrać głowę ze sobą i postawić gdzieś na półce, ale po dwustu metrach wyrzucił ją w krzaki. Niektóre organy natomiast wziął ze sobą. W tym penisa. Po powrocie do lokum zasolił je i zakonserwował w słoiku. Przez kilka dni, będąc sam, wpatrywał się w pojemnik z ludzkimi narządami jak w obraz. Potem spalił zawartość – niebezpiecznie przecież trzymać takie rzeczy w pokoju – a słoik wymył i używał go nadal w gospodarstwie.

Kiedy za podmoskiewskiego maniaka wzięli się na poważnie, wystraszył się nie na żarty. Dziękował wszystkim możliwym siłom wyższym, że pojawił się jakiś kłamliwy,

pragnący uwagi smarkacz i dzięki niemu szukali niejakiego „Fiszera” – niebezpiecznego psychopaty, pedofila, doświadczonego kryminalisty z charakterystycznym tatuażem i nietutejszym akcentem, a nie jego – niekaranego, kochającego zwierzęta, cichego, wzorowego pracownika z wyższym wykształceniem z Moskwy.

Na razie, w tych okolicznościach, dusił w sobie pragnienie ponownego wyjścia na polowanie i zamiast mordowania próbował zająć się własnym życiem. Zaprzestał polowania na dwa długie lata. Poszedł na kursy dla kierowców samochodów, otrzymał prawo jazdy, oszczędzał na auto. Dostał dodatkową fuchę – został nauczycielem wychowania pracowniczego w szkole w Uspienskoje. Lekcje wychowania pracowniczego lub po prostu lekcje pracy były to zajęcia, podczas których chłopcy uczyli się, jak posługiwać się narzędziami i maszynami, a dziewczynki zdobywały wiedzę z zakresu gotowania i szycia. Przy czym – ku wściekłości walczących o równość – dzieci radzieckie zasadniczo nie miały prawa wyboru, czego chcą się uczyć. Jeśli zatem dziewczynka chciała się nauczyć, jak wymienić gniazdko, a chłopaka interesowało, jak wypiekać cynamonki, nie można było tego pogodzić, no chyba że ktoś mocno się uparł i razem z rodzicami robił dyrekcji awantury.

Ironia, co? Z pedofila i maniaka dzieciobójcy zrobiono nauczyciela mającego sprawować nadzór nad dziećmi.

Jednak po dwóch latach ukrywania się nie mógł on już wytrzymać i w końcu postanowił powrócić do karania

chłopców. Teraz, żeby urządzać polowania, nie musiał już podróżować koleją. Mógł robić to, używając własnego samochodu, który kupił jesienią 1988 roku. Wyjeżdżał na rozpoznania głównie po zmroku. Z czasem znał rejon jak własną kieszeń. Szukał samotnych, idących wzdłuż drogi dzieci, dyżurował na przystankach autobusowych oraz stacjach kolejowych, wypatrując samotnych nastolatków, wpuszczał do samochodu autostopowiczów. Kiedy miał już kogoś w samochodzie, Gołowkin „Fischer” starał się dowiedzieć, jak mocno chłopiec jest zepsuty. Proponował papierosa i popełnienie jakiegoś drobnego przestępstwa – najczęściej włamania do dachy bądź okradzenia kiosku. Jeśli Gołowkin uświadamiał sobie, że dziecko nie chce palić ani kraść, albo spokojnie podwoził je do celu podróży, albo podróż szybko się kończyła. Próbował również przy okazji wozić ludzi za pieniądze, jednak miejscowi taksówkarze, widząc w nim konkurenta, zagrozili, że jeśli nie przestanie zabierać im klientów, wybiją mu szyby w samochodzie.

Samochód nie był jedynym nabytkiem – Gołowkin miał jeszcze garaż.

To było zwykłe brzydkie pudełeczko z zielonego metalu w osadzie Gorki-10. Garaż stał odseparowany od wszystkiego. Do następnego było ponad 50 metrów. Służył on jednak na razie tylko do trzymania w nim pojazdu.

A polowanie dało nowe rezultaty. We wrześniu 1989 roku, jeżdżąc w okolicy stacji Pierchuszkowo, zobaczył on chłopaka, który próbował złapać autostop. Był to 11-letni uczeń 4 klasy szkoły z Kriukowa, Siergiej. Gołowkin

zatrzymał się i wpuścił go do samochodu. W trakcie jazdy zaproponował dziecku:

- A dawaj, okradniemy pewną daczę, jeden skok i będziesz miał pieniędzy na cokolwiek chcesz. Mam tu jedną na oku.

To był kolejny sprawdzian - czy chłopiec jest zły, czy należy go zostawić przy życiu? Po zastanowieniu chłopak się zgodził. I tym skazał siebie na śmierć. To przecież niegrzeczny chłopiec.

Stwierdzając, że pasażer zasługuje na karę, Gołowkin powiedział, że musi wrócić do swojego garażu po narzędzia, i kazał dziecku wejść do bagażnika, rzekomo po to, żeby przy wjeździe do osady nie zauważył go ochroniarz. Małoletni niedoszły złodziej podporządkował się. Gdy samochód znalazł się w garażu, gospodarz zamknął bramy i poprosił, aby 11-latek usiadł w środku samochodu. Potem rozkazał:

- Rozbieraj się.

Co mogło zrobić 11-letnie dziecko przeciwko dorosłemu, 30-letniemu mężczyźnie? Jak poprzednie ofiary, on też był śmiertelnie wystraszony i wykonywał wszystko, co mu polecił starszy od niego człowiek. Gołowkin go zgwałcił, a potem powiesił na sznurze pod sufitem. Wszystko miało miejsce bezpośrednio za bramą garażu.

Morderca następnie żałował, że wszystko skończyło się szybko - w kilkadziesiąt minut. A można było bawić się dłużej. Wrzucił martwe ciało do wora, potem pojechał do lasu pod Zwienigorodem, dojechał do 24. kilometra

obwodnicy. Tam na widok trupa znów się podekscytował, rozciął martwego chłopaka, wypatroszył i zakopał zwłoki.

Następnie, szczęśliwy, pojechał nieco dalej, rozpałił ognisko i spalił ubrania ofiary.

PIWNICA

W budującym komunizm ZSRR nie zakładano, że ludzie będą mieli na rękach burżujski symbol dostatku – własny samochód. Przecież w nadchodzącym raju powszechnej równości miał być świetnie zorganizowany transport publiczny. A więc odpowiedniej infrastruktury dla posiadaczy samochodów nie budowano. Garaż podziemny? To tylko w Nowym Jorku, który – jak wiadomo – jest miastem kontrastów.

Kiedy jednak samochody prywatne zaczęły się pojawiać w rękach obywateli, złapali się oni za głowę – a gdzie je trzymać? Przecież to strach zostawić swoją wiecznie psującą się perełkę radzieckiego przemysłu samochodowego w deszczu i śniegu, na pastwę chuliganów. W końcu długo na nią oszczędzałeś i jeszcze dłużej stałeś po nią w kolejce. Dlatego na podwórkach zaczęło powstawać coraz więcej brzydkich metalowych pudełeczek – garaży. Najczęściej wznoszono je gdzie popadnie, bez pytania kogokolwiek o zgodę. Trudno sobie wyobrazić radzieckie podwórko lat 80. i 90. bez szeregu takich różnych okropnych wielokolorowych konstrukcji.

W odróżnieniu od mieszkańców, a szczególnie kobiet z wózkami dziecięcymi, którzy nienawidzili garaży z powodu ich brzydoty i tego, że trzeba je było okrążyć szerokim łukiem, nadkładając drogi, właściciele aut i ich koledzy garaże uwielbiali. Nie tylko dlatego, że dzięki nim ich samochody były stosunkowo bezpieczne, lecz również dlatego, że garaż dla *homo sovieticus*a stanowił swoisty salon szlachecki, gdzie w dni wolne można było się zamknąć z buteleczką czystej, puszką szprotek, ogórkami, czarnym chlebem i chowając się przed żonami pod poważnym pretekstem: „idę naprawiać samochód”, mile spędzać czas na grze w karty. Małżonki wiedziały więc, że jeśli mąż zaginął, najpierw trzeba sprawdzić w garażu u sąsiada Waśki, czy nie leży tam śpiące spokojnie pijane ciało ukochanego.

Gołowkin też lubił swój garaż i postanowił go udoskonalić, wykopując pod nim piwnicę, aby zrobić tam warsztat. Przeznaczenie piwnicy natychmiast zostało zmienione: „Po co warsztat, jeśli mogę tam w spokoju zabijać?”. Pamiętał o swoim strachu, kiedy wieszał ostatnią ofiarę, że jeśli, nie daj Boże, chłopiec zacznie krzyczeć, a ktoś to usłyszy, będzie po nim. Brama przecież cieniutka. Spod ziemi przez luk nikt niczego nie usłyszy.

Gdyby Gołowkin żył dzisiaj, pewnie umieściłby w Internecie ogłoszenie o usługach złotej rączki. Wykopał pod garażem wysoką piwnicę (miała prawie trzy metry wysokości), aby ze swoim pokaźnym wzrostem (mierzył prawie 2 metry) mógł swobodnie robić swoje. Wzmocnił

ściany cegłami, zabetonował sufit i podłogę, udekorował ją kamkami, podciągnął prąd i powiesił lampę, wmontował w ściany haki, umieścił na zawiasach mocny, gruby drewniany luk wejściowy z zamkiem od wewnątrz. Odpowiednio wyposażył to miejsce – w dwie lampy lutownicze, ocynkowaną wannę dziecięcą oraz w dziesiątki różnych ostrych narzędzi: noży, sztyletów, puginałów, siekier, skalpeli i kilka rodzajów sznurów i lin. Z pracy przyniósł duże jednorazowe plastikowe rękawiczki, używane podczas badania wnętrza konia.

Pierwszy nastolatek, który doświadczył tam w sierpniu 1990 roku śmierci w mękach, potwierdzał zasadę, że od każdej reguły jest wyjątek. Był to bowiem Paweł – cichy, religijny chłopiec, który jechał autostopem z bukietem kwiatków do swojej matki chrzestnej i nie wpisywał się w typ, na który polował Gołowkin. Jedyne, co pasowało, to wiek, chuda budowa ciała i jasne włosy – takich „Fiszer” uwielbiał. Zabrał go na drodze, zaproponował okradzenie kiosku, a w odpowiedzi usłyszał, że pasażer nie będzie tego robił. Wtedy „Fiszer” powiedział, że tylko żartował, ale musi na chwilę udać się do garażu, żeby sprawdzić hamulce. Zapytał chłopaka, czy mu w tym pomoże. Miał usiąść na miejscu kierowcy i wciskać pedały.

Paweł lubił pomagać ludziom, nawet tym zagubionym, którzy żartują na temat okradania kiosków.

Kiedy znaleźli się za bramą garażu, Gołowkin wyciągnął nóż i kazał Pawłowi zejść do piwnicy i się rozebrać. Tam zamknął luk, dokonał gwałtu, a potem powiesił dziecko.

I tu „Fischer” cieszył się, że znał się na budowlance i wykopał swoją piwnicę, ponieważ w końcu mógł spokojnie, bez strachu oddawać się urzeczywistnianiu swoich fantazji. Nikt go nie zauważy, nikt mu nie przeszkodzi. Przeżywał najlepsze chwile w życiu. Martwego nastolatka powiesił za nogi na hakach i długo pastwił się nad zwłokami. Oddzielił głowę i kończyny od tułowia, sam tułów dokładnie i bez pośpiechu, w ciągu czterech godzin, wypatroszył na czysto, odciął narząd płciowy. Wszystko wrzucał do wanny. Do niej też ściekała krew. Kiedy wanna się napełniała, „Fischer” przerywał i spalał to, co się nagromadziło, lampą lutowniczą. To, co kiedyś było człowiekiem, stało się bordowym popiołem.

Kierowany ciekawością „Fischer” zjadł kawał mięsa z ofiary. Nie posmakowało mu. Więcej tego nie robił.

Zwłoki leżały u niego przez kilka dni. Gołowkin je „odwiedzał” i gapił się na nie, aby poprawić sobie humor. W końcu, gdy smród stał się nie do zniesienia, maniak spakował części ciała i wywiózł je w pobliże tego samego lasu pod Zwienigorodem.

Ich właśnie nigdy nie znaleziono.

Ubrania Pawła „Fischer”, jak poprzednio, spalił w ognisku. Ponadto morderca zaczął zbierać trofea – w tym wypadku były to: dziesięć rubli, zegarek i... głowa, którą zostawił sobie na pamiątkę. Za pomocą lampy lutowniczej oczyścił ją do samej kości i czaszkę umieścił w piwnicy. Później ją wyrzucił.

Zanim jednak się jej pozbył, pokazywał ją swoim następnym ofiarom: „To też kiedyś był chłopczyk. Tak jak wy”.

„Wy”, ponieważ następnym razem zwabił do piwnicy i bestialsko zabił od razu dwoje dzieci.

W przeddzień rocznicy przewrotu bolszewickiego z 1917 roku lub – jak inaczej nazywano to wydarzenie – Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, 6 listopada²⁴ 1990 roku, zgodnie z przyzwyczajeniem jeździł po okolicy w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Około 20:00 Gołowkin zauważył na drodze dwóch chłopaków: 14-letniego Saszę i 11-letniego Kołę, którzy próbowali złapać autostop. To już był pierwszy sygnał: dlaczego dzieci o tej godzinie przebywają poza domem? Gołowkin zatrzymał się koło nich i został poproszony o podrzucenie do tutejszej bazy wojskowej. „Fiszer” rozejrzał się – nikogo dookoła, droga pusta.

– Podrzucę. Tylko macie mi w czymś pomóc. Wsiadajcie, to wam opowiem.

Kierowca poczęstował małoletnich pasażerów papierosem – tamci wzięli. To już był drugi sygnał. Następnie zaproponował chłopcom włamanie do sklepu. Łup – wszystkie kartony z papierosami, które tam będą, i część pieniędzy – dla nich. Jechać na skok mają właśnie teraz. Chłopcy marzyli już od dawna, żeby pokazać, jakimi są zuchami. Chcieli być dorośli, mieć pieniądze na wszystkie zachcianki, więc się zgodzili.

Było po nich.

Gołowkin kazał im wejść do bagażnika. Podczas jazdy 11-latek zasnął. Oczy otworzył już w garażu.

- Szybko, do piwnicy! Tam obgadamy szczegóły!

Kiedy chłopcy znaleźli się pod ziemią, zrozumieli, że coś jest nie tak. Zobaczyli na ścianie i podłodze plamy krwi, wannę z przepalonymi narzędziami i... czaszkę na półce. A w tym czasie nowy znajomy już zamykał luk do piwnicy...

- Hej, a słyszeliście o takim „Fiszerze”...? - Zamknął luk. - Ta czaszka, na którą patrzycie, to też kiedyś było dziecko... tak jak wy... - „Fiszer” wyciągnął nóż. - Ja jestem tym samym „Fiszerem” i zaraz będę was zabijał... Najpierw ciebie, a potem ciebie... Rozbierajcie się!

Przestraszone dzieci wykonały polecenie. Zgadzały się także, kiedy on kazał im przed nim uprawiać wzajemnie ze sobą seks oralny. Potem po kolei ich gwałcił. Wreszcie na oczach kolegi powiesił nagiego młodszego chłopca. Żyjący Sasza nadal doznawał cierpień z rąk maniaka. Po kolejnych ekscesach seksualnych on też został powieszony.

Gołowkin zostawił trupy w piwnicy i poszedł spać do siebie.

Rano wrócił i wykonał swój rytuał sprzątanego zwłok: trupy do worka, następnie wyjazd do lasu pod Zwienigorodem, pocięcie ciał, zebranie pamiątek (tym razem były to klucze), spalenie ubrań w ognisku.

Był szczęśliwy. Dwóch za jednym razem! Tego jeszcze nie doświadczył. A najważniejsza pozostawała zasada: źli chłopcy umierają. Z jego ręki.

Minęło dziesięć miesięcy. Przerwę należy tłumaczyć nie tylko ostrożnością „Fiszera”, lecz także tym, że spadł z konia i poważanie złamał sobie bark. Przez kilka tygodni leżał w szpitalu, potem miał przejść długą rehabilitację. Podczas przymusowego odsunięcia od polowań bardzo pragnął powrotu i mocno się wściekał, że nie może oddać się ulubionemu hobby.

22 sierpnia 1991 roku, kiedy Jelcyn i puczyści w Moskwie kończyli swoją walkę o władzę, jeżdżąc wieczorem samochodem, Gołowkin zobaczył chłopaka – autostopowicza. Zabrał go do samochodu. To był Nikita, który przyjechał wraz z ojcem do babci na ostatnie dni wakacji. Później miał miejsce standardowy przebieg wydarzeń – „Fischer” dociekał, czy to zły chłopiec, czy nie. W trakcie jazdy zaproponował pasażerowi kradzież. Nikita się zgodził. Potem „Fischer” poprosił, aby chłopak schował się w bagażniku. Gdy dojechali, kazał mu wejść do piwnicy, potem zamknął luk i powiedział, kim jest w rzeczywistości. Uwielbiał ten moment. Uwielbiał patrzeć, jak u ofiary zmienia się wyraz twarzy, oczy powiększają się do rozmiaru jednego rubla i pojawia się w nich zwierzęcy strach.

Po dokonaniu na Nikicie gwałtu zarzucił nastolatkowi linę na szyję. Tym razem jednak postanowił posunąć się dalej w swoich zapędach. Pragnął kolejnych, nowych wrażeń. Tym razem nie chciał po prostu powiesić i pociąć martwego ciała. Chciał zmienić kolejność – kroić żywego jeszcze chłopaka, a następnie powiesić trupa.

„Fiszer” kłuł, ciął. Powoli, głęboko, a potem samą skórę, a następnie znów wsadzał ostrze w ciało dziecka z całej siły. Wyciął na jego piersi niecenzuralny wyraz składający się z czterech liter. Z zadowoleniem graniczącym z przeżywaniem orgazmu patrzył, jak chłopak się męczy, jak się boi, jak błaga, jak płacze, a on jest tego sprawcą. On jest panem! Tak jak w snach!

Męka ofiary skończyła się wraz z wybiciem jej spod nóg taboretu. Maniak poprzyglądał się, jak już prawnie nieprzytomny od wykrwawienia chłopak udusił się na białobłękitnej linie, a potem kontynuował swoje. Ciało powiesił do góry nogami i...

Oto jak opisywał na przesłuchaniach to, co nastąpiło później, sam Gołowkin:

Zrobiłem cięcia skóry w okolicach ramion, rąk, kostek nóg i zacząłem zdejmować z niego skórę. Miejscami ciąłem ją od wewnątrz, a miejscami zdejmowałem na siłę. W końcu zdjąłem skórę w jednym kawałku i od wewnątrz posypałem solą, którą specjalnie przyniosłem z hodowli. Zrobiłem to, aby dłużej przechować skórę. Po prostu chciałem zobaczyć, co z tego wyjdzie. Wcześniej w taki sposób zdejmowałem skórę z martwych koni.

Im większą sympatię wzbudzała we mnie ofiara, tym bardziej chciałem manipulować przy ciele, więcej kroić, wycinać [25](#).

Odciął Nikicie głowę, ręce, nogi, rozciął brzuch... Wykonał to, co robił zawsze na końcu ze swoimi młodymi ofiarami.

I zostawił tę krwawą łaźnię na trzy dni. W tym czasie przychodził ją „odwiedzać”.

W celu pozbycia się zwłok tym razem wybrał inne miejsce niż las pod Zwienigorodem. Pojechał innymi drogami do dwóch pobliskich sanatoriów. W jednym miejscu zostawił zwłoki, a w drugim skórę. Ubrania – jak zawsze – spalił w ognisku.

Minęło jeszcze kilka miesięcy. Nadszedł rok 1992. Pojawiła się nowa ofiara. Stał się nią 14-letni Siergiej. W tym przypadku „Fiszer” nawet nie musiał się zastanawiać, czy ten chłopiec jest zły. On sam mu to udowodnił już w pierwszych sekundach znajomości. Pozostawiony bez wychowania i opieki syn wiecznie pijanych rodziców kradł, nadużywał alkoholu, tytoniu i narkotyków, często się bił, długo nie bywał w domu, mieszkał, gdzie mu się zachciało. W takim młodym wieku już dobrze wiedział, co robi się z dziewczynami, gdy pragnie się fizycznej miłości. Wieczorem 21 kwietnia początkujący bandyta wziął ze sobą nóż i postanowił okraść jakiegoś frajera kierowcę samochodu, udając autostopowicza.

Zrządzeniem losu trafił mu się beżowy WAZ 2103, za którego kierownicą siedział seryjny morderca, jego imiennik Siergiej Gołowkin vel. „Fiszer”. Dwóch przestępców spotkało się na ciemnej, pustej podmoskiewskiej drodze.

Gdy tylko małoletni przestępca znalazł się wewnątrz pojazdu, wyciągnął nóż i kazał Gołowkinowi wyskakiwać

z kasy, a potem spadać na drogę – zamierzał mu ukraść także samochód. Kierowca z jakiegoś powodu nie spieszył się, by wykonywać polecenia napastnika. Tylko spojrzał na grożącego mu nożem 14-latkę z dziecinnymi wąsikami i niepewnością w oczach: „Proszę cię...”. Dorosły mężczyzna chwycił napastnika za rękę z nożem, wykręcił mu ją, po czym niedoszły złodziej upuścił broń. Następnie Gołowkin mocno uderzył atakującego w twarz.

Kontynuowali walkę na ziemi obok pojazdu. Gdy Gołowkin powalił młodego przeciwnika i dla porządku dał mu kilka kopniaków, zyskał pewność, że ma przed sobą wyjątkowo złego nastolatka, który musi ponieść karę. Zaczął więc wabić Siergieja do piwnicy:

– Widzę, że twardy jesteś i chcesz prawdziwej akcji. Zapewnię ci taką. Jedź ze mną, to ci opowiem. Źle zacząłeś.

A pokonany złodziej, myśląc, że mentor i opiekun w sprawach kryminalnych mu nie zaszkodzi, zgodził się i wsiadł do samochodu Gołowkina. Do bagażnika.

Gdy Siergiej znalazł się w piwnicy, zanim usłyszał, kim mężczyzna jest naprawdę, pozwolił sobie związać ręce. Gołowkin chciał być pewien, że łobuz jest ostatecznie obezwładniony. Potem nastąpił ulubiony moment maniaka – na scenie pojawił się „Fischer”.

– Wiesz co, ja tu zabiłem wiele osób. Zrobię z tobą, co zechcę... Podniosłeś na mnie rękę. Nikt ci nie pomoże. Nikt z tej piwnicy nie wychodzi żywy.

„Fischer” rozebrał się, a następnie za pomocą noża zdarł ubrania z ofiary. Rozpoczęły się przymusowe akty

seksualne. Po gwałtach nastąpił etap tortur. Jak poprzednim razem „Fiszerowi” zachciało się męczenia żywej jeszcze ofiary. Podniecał się cierpieniami. Powiesił Siergieja za ręce związane za plecami na haku, tworząc coś na podobieństwo średniowiecznego narzędzia tortur – łoża sprawiedliwości. Następnie przywiązał sznur do narządu płciowego nastolatka i mocno oraz z uśmiechem na twarzy ciągnął do siebie. Podwieszony, upokorzony, mający złamane barki nastolatek tak dziko krzyczał z bólu, że potwór kazał mu się zamknąć, jeśli chce żyć. Więcej chłopak nie krzyczał, tylko chrypiał. Miał nadzieję, że uda mu się wyjść z tej piwnicy. Czasami błagał pana, żeby go nie zabijał. Takie błagania bardzo podobały się „Fiszerowi”. Rozkręcał się.

Podniecony maniak lampą lutowniczą swojej wciąż żyjącej ofierze spalił włosy na głowie i skórę na twarzy. To też nie był jeszcze koniec. „Fiszer” zaczął dusić Siergieja, zakładając mu na bardzo poparzoną głowę gigantyczną plastikową rękawiczkę, jakiej używa się do badania wnętrza konia. Kiedy chłopak już prawie przestawał przejawiać oznaki życia, bydlak ją zdejmował. Gdy torturowany łapał powietrze, ponownie zakładał ją i patrzył, jak ona się unosi, a potem się wchłania. Następnie tortury się skończyły – Siergiej został powieszony za szyję na haku w piwnicy.

Potem stało się to, co zawsze. Powieszenie trupa do góry nogami i pastwienie się nad zwłokami przez dzień lub dwa, patroszenie, wanna, lampa lutownicza, las, pocięcie, jama, spalone w ognisku ubrania.

Trofeum tym razem stał się pierścionelek.

APOGEUM „FISZERA”

Apogeum, czyli zniknięcie równocześnie trzech chłopaków, stało się również końcem seryjnego mordercy. Tym razem znalazł się człowiek, który wskazał, kto wioził swoim samochodem trzech kolegów.

Lecz maniak miał swoją ostatnią krwawą ucztę.

Zgodnie z umową, którą zawarł z trzema początkującymi złodziejami, 15 września o 19:00 zabrał nastolatków do swojego samochodu. Ta trójka myślała, że zaraz pojedą okradać kiosk. Trzeba tylko wpaść na chwilkę do garażu po narzędzia i przedyskutować szczegóły. Jednak dwóch musi wejść do bagażnika. Trzeci niech położy się na podłodze pojazdu.

Gdy dojechali, tak jak zawsze skierował wszystkich do piwnicy. Zamknął luk. Wyprostował plecy, pochręścił palcami i przedstawił się. Przerażonym dzieciom oznajmił:

- Z wami będę miał na koncie jedenastu chłopaków... Najpierw zabiję ciebie - rzucił do Sidziakina - potem ciebie - to do Szarikowa - a na końcu ciebie - do Jefriemowa. - Bardzo mi się spodobałeś.

Wymachując nożem, rozkazał nieszczęsnym, błagającym o litość chłopakom pozbyć się ubrań i wykonywać przed sobą czynności homoseksualne. Potem, zgodnie z obietnicą, zabił pierwszego z nich - powiesił Jurę Sidziakina. Następnie - po zgwałceniu - Władzika Szarikowa. Nagiego Dienisa Jefriemowa maniak posadził na taborecie w kącie piwnicy i kazał patrzeć, jak na jego oczach patroszy powieszonych za nogi jeszcze kilka godzin temu żyjących

przyjaciół. Przy tym pokazywał i podtykał Dienisowi pod nos ciepłe, dymiące się narządy: „Patrz!” Podawał ich nazwy i mówił, jaka jest ich funkcja w organizmie – to pompuje krew po całym ciele, a to oczyszcza twój organizm ze złych rzeczy... Chłopak nie krzyczał, tylko czasami zasłaniał twarz rękami lub odwracał głowę. Znęcanie się trwało przez całą noc. Później, gdy znaleźli resztki Jefriemowa, na jego głowie nie było ani śladu blond włosów. Włosy na głowie martwego 13-letniego dziecka były całkowicie siwe.

Nad ranem nadeszła i jego kolej na śmierć. Najpierw został powieszony za ręce i jeszcze żywemu potwór wypalił na ciele lampą niecenzuralny wyraz. Potem powiesił go za szyję. Wszystko skończyło się o 6:00 rano.

Trzeba było iść do pracy. Jednak z powodu bezsennej nocy, pełnej ćwiczeń fizycznych, szło mu w niej kiepsko.

Kiedy jednak „Fiszer” wrócił do swojej piwnicy, odzyskał siły. Zwłoki i części wypatroszonych ciał spakował do worów i wywiózł do lasu. Tam maniak wykopał jamę, jak zawsze obok niej pociął ciała, przy czym jednej z ofiar zdjął jak maskę skórę z twarzy. Wrzucił wszystko do ziemi i zakopał. Na pamiątkę zabrał pieniądze oraz krzyżyk jednego z chłopaków.

„HEJ, FISZER, MAMY JUŻ DATE”

Gołowkin przestraszył się, gdy po potrójnym morderstwie uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu jest śledzony. Z okna swojego pokoju widział, że pod budynkiem cały czas stoi jakiś obcy samochód z ludźmi w środku.

Tym razem wewnętrzna bestia, która nakazywała mu zabijać, krzyczała: „Uciekaj!”.

Nie miał planu. Po prostu trzeba było opuścić obwód moskiewski i więcej tu nie wracać. A gdy już się wydostanie, coś się wymyśli. Nad ranem 19 października 1992 roku zatankował samochód i obrał kierunek na Mińsk. I nie wiadomo, co by się stało, gdyby pewien starszy sierżant na skrzyżowaniu nie postanowił złamać instrukcji i zatrzymać Gołowkina „Fiszera”, którego po długim przesłuchaniu postanowiono umieścić w celi. Przypadek jednak ma w życiu ludzkim istotne znaczenie.

W areszcie, gdy wytłumaczono mu, co nastąpi, że sprawdzą mienie, przede wszystkim garaż, „Fischer” przeraził się nie na żarty i postanowił nie czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Zamierzał uniknąć procesu, strasznej kary i jak najszybciej opuścić ten świat.

Jednak nie pozwolono mu umrzeć.

Podczas pierwszych dni śledztwa, gdy otworzono garaż i wyciągnięto na światło dzienne niepodważalne dowody winy Gołowkina, on tak się bał, że nie mógł sklecić dwóch słów. Potem strach ustąpił miejsca pokorze: „Nareszcie”. Zaczęła się współpraca ze śledczymi i kolejne przyznania do dokonania zabójstw. Spokojnie na przesłuchaniach i podczas wizji lokalnych opowiadał, jak zwabiał,

a następnie gwałcił, zabijał i patroszył dzieci. Nawet żartował. Gdy kazano mu zademonstrować podczas badania kolejnego epizodu zabójstwa, jak dokładnie ciął powieszzone za nogi martwe ciało nastolatka, „Fiszer” odpowiedział:

- Przyprowadź syna, to pokażę.

Biorąc pod uwagę, że w okresie od 1986 roku do 1992 roku w obwodzie zaginęło kilkudziesięciu chłopaków, których losu nie udało się ustalić, detektywi próbowali powiązać zniknięcia dzieci z „Fiszerem”. On sam przyznał się do 11 zbrodni.

2 czerwca 1993 roku ekspertyza psychiatryczna uznała go za poczytalnego, chociaż z oznakami psychopatii. Podczas badania w Instytucie Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego znów próbował opuścić ten świat na własnych warunkach.

I ponownie go uratowano.

Miał stanąć przed sądem.

22 sierpnia 1994 roku w Moskwie rozpoczął się proces Gołowkina. Maniak zachowywał się na nim spokojnie, głównie milczał, a gdy był proszony o wypowiedzenie się na ten lub inny temat, po prostu zgadzał się z wersją oskarżenia. Adwokatowi Paszkowowi, obrońcy mordercy, w tych okolicznościach pozostawało jedynie prosić sąd i sędziego przewodniczącego Aleksandra Dzybana o zastąpienie kary śmierci, której żądał oskarżyciel Anatolij Sokin, dożywotnim pozbawieniem wolności²⁶, kierując się zasadą humanitaryzmu. Oskarżony to przecież człowiek odznaczony medalem, młody, pracowity, w miejscu pracy

i na uczelni oceniany pozytywnie, niekarany, współpracujący ze śledczymi. A patologiczna miłość do chłopców – to choroba spowodowana nieszczęsnymi przeżyciami.

19 października 1994 roku Moskiewski Sąd Obwodowy skazał Gołowkina na karę śmierci. Oskarżony przyjął wyrok ze spokojem.

Poprosił jednak prezydenta Rosji Borysa Jelcyna o ułaskawienie. Głowa państwa przez ponad półtora roku nie rozpatrzyła tego wniosku. Tymczasem bez ostatecznej decyzji w tej sprawie nie można było wykonać wyroku.

W 1996 roku Rosja weszła do Rady Europy, a jednym z warunków dołączenia było zniesienie kary śmierci. Zmieniono zatem rosyjskie prawo karne. W maju 1996 roku Jelcyn podpisał ukaz o stopniowym wygaszaniu stosowania rozstrzelania. Zgodnie z nim w kraju de facto ogłoszono moratorium na najwyższy wymiar kary.

Tylko że pan prezydent, jak by to teraz powiedziano, efektownie zatrolował wszystkich, którzy zostali skazani na śmierć przed wprowadzeniem zakazu, i w listopadzie 1995 roku za jednym zamachem oddalił kilkadziesiąt wniosków o ułaskawienie, które zgromadziły się na jego biurku.

Wśród nich był również wniosek Gołowkina.

Skazańca trzymano początkowo w izolatce w więzieniu Matrosskaja Tiszyna (Cisza Marynarska). Tam dobrze spał, jadł, godzinami się gimnastykował, czytał gazety, komunikował się z innymi celami przez kanalizację. Z krewnymi spotykać się nie chciał, rzadko udzielał

wywiadów dziennikarzom. Zachowywał się wyjątkowo spokojnie, stał się religijny. Zaczął pasjonować się literaturą, którą dostarczali amerykańscy misjonarze. Chętnie z nimi gawędził. Mówił, że błaga Boga o litość i jeśli pozostanie przy życiu, będzie rozpowszechniał Jego słowo.

Podczas kolejnej walki Jelcyna o władzę w 1993 roku, tym razem z parlamentem rosyjskim, „Fiszera” przeniesiono z celi pojedynczej do kryminalistów. Izolatek potrzebowano dla więźniów politycznych – przeciwników prezydenta. Podobno tam, zgodnie z tradycją kryminalną, która nakazuje wyjątkowo gardzić skazanymi za przestępstwa dokonane na dzieciach, za przestępstwa seksualne i liczne brutalne, bezpodstawne morderstwa, był on bity i sam doświadczył tego, czego dokonywał na nastolatkach, zanim ich zabił. Praw w celi nie miał żadnych, tylko obowiązki – zaspokajać pozostałych bytowo i seksualnie, kiedy im się zachce. Mieli go jednak na oku i trzymali w nocy „wartę”. Nikt nie wiedział bowiem, co mu siedzi w głowie.

Później Gołowkin wrócił do mniej zaludnionej celi w innym więzieniu – Butyrskim – i miał już jednego sąsiada.

Od współwięźniów pałeczka dręczenia Gołowkina przeszła do rąk strażników. Oni też mieli z nim swój ubaw. Wbrew instrukcji, która nakazywała trzymać skazanego na śmierć w niewiedzy w kwestii swego losu, zaglądali oni przez judasza i aby dowalić maniakowi, mówili:

- Hej, „Fiszer”! Boria-moczymorda oddalił twoją pisaninę! - powiedzieli to skazanemu 26 listopada 1995 roku, w dniu jego urodzin.

- Hej, „Fiszer”, mamy już datę! Nabierz powietrza, zaraz ci powiem, kiedy wsadzimy ci kulkę...

- Hej, „Fiszer”, siemanko, wiesz, jaki dzisiaj dzień? Jak nie liczysz, to ja ci powiem. Pozostało ci na tym świecie...

- Hej, „Fiszer”, przygotowuj się, już tu są. Zaraz cię załatwią.

- Osądzony Gołowkinie, twarzą do ściany, ręce za plecy! Do wyjścia!

Siergiej Gołowkin „Fiszer”, wiedząc, któredy go zabierają, powiedział sąsiadowi Borisowi Golubiovowi (mordercy trzech osób, który sam był skazany na śmierć, jednak los podarował mu życie i niedługo miał się dowiedzieć, że podpadł pod moratorium na karę ostateczną i pozostanie za kratami do końca swoich dni):

- No cóż, żegnaj.

Przeszedł korytarzem przeznaczonym dla skazanych i został stracony w ciepły wieczór 2 sierpnia 1996 roku w Więzieniu Butyryskim. Podczas jednego z rzadkich wywiadów udzielonych w trakcie oczekiwania na rozstrzelanie, zdążył przekazać światu, że nie myśli o tym, co się stało, że wypiera z głowy wspomnienia. Tak, jakby działało się to w innym życiu, które zakończyło się wraz z wyrokiem.

A do garażu z komnatą tortur, w której zginęło straszną śmiercią kilku chłopców, a która - o ironio - znajdowała się

niedaleko daczy Jelcyna, najpierw miejscowi wrzucali śmieci, potem go spalili, jeszcze później zrobiono tam porządek, a obecnie na tym miejscu rosną drzewa i stoi przepiękny dom jakiegoś rosyjskiego bogacza.

[19](#) Obecnie Dmitrowski Okręg Miejski.

[20](#) Obecnie odincowski rejon samorządowy.

[21](#) Założona w Moskwie w 1935 r. w celu propagandy osiągnięć ustroju socjalistycznego jedna z największych wystaw na świecie. Wszystko, co było dobrego, smacznego, nie do wyobrażenia zaawansowanego w ZSRR wędrowało właśnie na wystawę, aby lud i cudzoziemcy mogli popatrzeć, dotknąć, skosztować, a później podziwiać. Istnieje do dziś pod nazwą Wszechrosyjskiego Centrum Wystaw. Wystawców, którzy potrafili zadziwiać odwiedzających najbardziej, nagradzano medalami.

[22](#) Zanim nowa Rosja stworzyła własne prawo karne, korzystała z przepisów swojego poprzedniego socjalistycznego wcielenia RFSRR – z k.p.k do 2001 r., a z k.k. do 1996 r. Oczywiście z odpowiednimi zmianami, np. rozdział II części szczegółowej k.k przestępstwa przeciwko własności socjalistycznej został całkowicie uchylony.

[23](#) Obecnie Twer.

[24](#) Przedmiot żartów dla ludzi radzieckich, że wszystko w ich kraju jest nie tak, nawet rocznica rewolucji październikowej jest w listopadzie. Ten fakt ma swoje źródło w tym, że po przewrocie bolszewickim nastąpiła zmiana kalendarza z juliańskiego na gregoriański, z różnicą około 2 tygodni.

[25](#) Z protokołu przesłuchania S.A. Gołowkina z dn. 28 października 1992 roku.

[26](#) Kara dożywotniego pozbawienia wolności zdążyła się już pojawić w rosyjskim prawie karnym, jednak tylko w charakterze zastępstwa kary śmierci. Następną karą po rozstrzelaniu, jak w ZSRR, było 15 lat pozbawienia wolności.

RADZIECKI KUBA

ROZPRUWACZ

*Co, najadłeś się mięsa naszych dzieci?!
Żonę twoją, bachory, wszystkich zabijemy!
Jednego się boję: że uznają go za
niepoczytalnego. I nie ukarzą.*

Okrzyki krewnych zabitych podczas rozprawy

*Jakoś od razu nie tak poszło to postępowanie.
Głupota istna. Pisałem do prokuratora
generalnego. Powinno być 70 epizodów
zabójstwa, nie 53.*

Oskarżony na otwarciu rozprawy

KTO ZABIŁ RAZ, BĘDZIE ZABIJAŁ ZAWSZE

24 grudnia 1978 roku na południu europejskiej części Rosji, w obwodzie rostowskim, w 200-tysięcznym ośrodku górnictwa Szachty, na brzegu szerokiej na 3 metry rzeczki o nazwie Gruszewka, w krzakach pod mostem zostało znalezione ciało dziewczynki w szkolnym mundurku. Oczy dziecka były zawiązane szalikiem. W brzuchu – 3 rany kłute.

Była to uczennica drugiej klasy szkoły podstawowej, 9-letnia Jelena Zakotnowa. Dwa dni wcześniej jej rodzice zgłosili na milicji zaginięcie córeczki, która nie wróciła do domu.

Ekspertyza zwłok ustaliła, że dziewczynka została uduszona rękami, kilka razy dźgnięta w brzuch nożem, a następnie wrzucona do wody. Została również zgwałcona – jej pochwa, odbyt oraz odbytnica były rozerwane, znaleziono w nich ślady spermy. Śmierć dziecka miała nastąpić nie później niż o 18:00 w dniu zaginięcia – 22 grudnia.

Szukając sprawcy, zgodnie z regułami, w okolicy sprawdzono wszystkich poprzednio skazanych za przestępstwa seksualne wobec nieletnich. Uwagę milicjantów ściągnął na siebie niejaki 25-letni Aleksander Krawczenko. Osiem lat wcześniej, w 1970 roku, w Chersoniu, miejscu znajdującym się na Ukrainie, 500 kilometrów na zachód od Szacht, został on skazany na 10 lat pozbawienia wolności właśnie za gwałt i zabójstwo dziesięciolatki. Był wtedy pod wpływem alkoholu. Od surowszej kary uratował go fakt, że nie skończył jeszcze wówczas 18 lat.

W 1976 roku, po 6 latach spędzonych w kolonii karnej, Aleksander został warunkowo zwolniony, ale musiał kontynuować odbywanie kary przy pracach poprawczych. Skierowano go na budowy obiektów gospodarstwa ludowego w Szachtach. Tam, w nowym miejscu zamieszkania, Aleksander ożenił się z miejscową kobietą –

Galina. Żyłby tam nadal i spokojnie pracował. Kiedy jednak znaleziono ciało małej Leny, do domu Krawczenki przyszli milicjanci. Aleksandra zatrzymano i przewieziono do lokalnego aresztu śledczego.

Krawczenko twierdził, że nie zabił Zakotnowej. Co więcej, jego żona zapewniła mu alibi – zeznała, że mąż wrócił tamtego dnia przed 18:00, był trzeźwy i spędził w domu całą noc. To samo mówiła ich wspólna znajoma, obywatelka Gusakowa – przed 18:00 Krawczenko był u niej w domu, oddał dług i wyszedł. Sąsiedzi wydali o zatrzymanym pozytywną opinię: Aleksander to facet pracowity, cichy oraz niepijący. Na ciele Krawczenki nie było żadnych śladów walki – zadrapań czy siniaków. Nie mając więcej powodów do zatrzymania, 27 grudnia milicja wypuściła Krawczenkę. Jednak 3 tygodnie później, 23 stycznia, ten „cichy oraz niepijący facet” został złapany na próbie kradzieży w obcym domu podczas nieobecności gospodarzy i znów trafił do aresztu.

Przyznał się do włamania. Funkcjonariusze jednak prawie od razu powrócili do zabójstwa Zakotnowej i postanowili dokładniej popracować z byłym gwałcicielem i dzieciobójcą. Wydawało im się, że Krawczenko specjalnie dał się złapać właśnie po to, żeby przeczekać w więzieniu zamieszanie z powodu sprawy zabójstwa dziecka.

Na pierwszym przesłuchaniu posypały się na niego przekleństwa i żądania, by podpisał przyznanie się do gwałtu i zabójstwa Zakotnowej. Lud mówi przecież, że skoro raz zabił, już nie przestanie. Przeszłość Aleksandra

rzekomo dawała milicjantom przyzwolenie na to, by nie pieścić się z nim. Sięgnięto po nielegalne metody – radzieckie organy ścigania słynęły z tego.

Pod pretekstem podejrzenia o współudział we włamaniu zatrzymano także żonę Krawczenki oraz ich wspólną znajomą – Gusakową. W areszcie biednym kobietom oświadczono, że są tak naprawdę podejrzane o współudział w zabójstwie dziecka oraz ukrywanie przestępcy. Żądano od nich zmiany poprzednich zeznań. Mundurowi w swoich placówkach umieli zastraszać obywateli. Zagrozili, że jeśli nie powiedzą tak, jak chce śledztwo, pójdą wraz z Aleksandrem na „zonę” na 10 lat, a tam kryminalistki zrobią z nimi porządek. Nie poradzą sobie za kratami, bo albo inni je zabiją, albo zdechną na gruźlicę!

Oczekiwany efekt został osiągnięty. Niemające nigdy do czynienia z milicją, nawet w charakterze świadków, zastraszone kobiety zmieniły swoje zeznania: Aleksander wrócił po 20:00, bardzo pijany – tak teraz stanowił nowy protokół z przesłuchania świadków. Gusakowa dodała, że spotkała pijanego Krawczenkę na moście na rzece Gruszewce, tamten rzekomo zapytał ją: „Uwierzysz, że zgwałciłem i zabiłem małe dziecko?”.

Później, ku zdziwieniu Aleksandra, potwierdziły one swoje zeznania na okazaniu. Milicjantom to wystarczyło i wypuścili kobiety do domu.

Nadeszła kolej Krawczenki, który wciąż twierdził, że nikogo nie gwałcił ani nie zabijał.

Był bity. Funkcjonariusze okładali go podczas przesłuchań w ciągu dnia. Kiedy krwawiącego odnosili go do celi, bicie kontynuował specjalnie dobrany sąsiad – współpracujący z administracją narkoman i morderca. Ten przejmował pałeczkę i męczył podejrzanego w nocy – nie pozwalał mu spać. I przez cały czas, kiedy spadały na niego ciosy, Krawczenko słyszał: „Przyznaj się! Przyznaj się!”.

12 lutego Aleksander się złamał – podpisał to, czego od niego żądano, i przyznał się, że to on zgwałcił i zabił Zakotnową:

Na przystanku „Most Gruszewski” siedziałem na ławce. Dopilem jeszcze jedną butelkę wódki... Dziewczynka z tornistrem zapytała mnie, gdzie mieszka tu jakaś Luba czy Luda. Zaproponowałem, że ją odprowadzę, ale byłem bardzo pijany i zrobiło mi się niedobrze. Położyłem się na ziemi. Dziewczynka zaczęła do mnie mówić: „Wstawaj, możesz zamarznąć”. Ja zacząłem ją dotykać, ale ona nie odchodziła. Tu coś się ze mną stało. Zamknąłem jej usta ręką, potem zacząłem zrywać z niej ubrania. Ucisnąłem jej gardło rękami, nie wiem, na jak długo. Nie pamiętam, jak wyciągnąłem nóż i zadałem cios. Ocknąłem się na brzegu rzeki, było mi niedobrze. Poszedłem w tamto miejsce i zobaczyłem ją całą we krwi, wtedy zrozumiałem, że wydarzyło się coś strasznego. Zdjąłem szalik, zawiązałem jej oczy i ubrałem zwłoki. Potem wziąłem ją pod pachy, żeby nie poplamień się krwią, i wrzuciłem ciało do rzeki. Następnie umyłem ręce i wyczyściłem ubranie. Noża szukałem, ale go nie znalazłem²⁷.

Pisemnym zeznaniom towarzyszyły nagrania audio i wideo, na których Krawczenko przyznaje się do gwałtu oraz zabójstwa Zakotnowej.

Kilka tygodni później, w marcu, oskarżony spróbował donieść do prokuratury, że zeznania wymusili na nim biciem milicjanci... Gdy tylko Krawczenko wrócił do celi po spotkaniu z przedstawicielem organów nadzorczych, stróże prawa postarali się, żeby podejrzany więcej nie zbaczał z toru. Po niecałym miesiącu Aleksander znów publicznie nazywał siebie zabójcą i gwałtcielem.

To samo stało się już w sądzie pięć miesięcy później. Krawczenko ponownie spróbował donieść do sędziego i ławników ludowych, że przyznanie się do winy zostało wymuszone na nim torturami, wymieniał też konkretne imiona funkcjonariuszy. Po każdym posiedzeniu sądu nagle jednak uginał się i na kolejnym ponownie przyznawał się do winy.

16 sierpnia 1979 roku Rostowski Sąd Obwodowy skazał Aleksandra Krawczenkę na karę śmierci. Zrozumiawszy, że już nie ma nic do stracenia, Krawczenko znów spróbował poinformować organy, że podczas śledztwa i rozprawy sądowej milicjanci go torturowali, a także, że on nie zgwałcił ani nie zabił Zakotnowej. Do Sądu Najwyższego RFSRR²⁸ została wniesiona kasacja.

Przyniosła rezultaty. W grudniu wyrok śmierci, uznany za zbyt surowy (przecież oskarżony się przyznał), został zmieniony. Rozstrzelanie zastąpiono następną najsurowszą karą – 15 latami pozbawienia wolności. Wydawałoby się, że

gdy człowiek pozostanie przy życiu, może nadal toczyć batalię, udowadniając, że przyznanie się do winy zostało wymuszone torturami. Może kiedyś sprawa zostanie umorzona, a jego przepraszą.

Los jednak chciał inaczej.

Na wieść o tym, że gwałciciel i zabójca będzie żył, a nawet jeszcze kiedyś wyjdzie na wolność, wściekli się krewni zabitej Zakotnowej, a szczególnie jej babcia. Aktywna staruszka zaczęła pisać do wszystkich instancji oraz do prasy o nadmiernym złagodzeniu kary. Upartość kobiety przyniosła skutek. Sprawa z Sądu Najwyższego RFSRR wróciła do Rostowskiego Sądu Obwodowego w celu ponownego rozpatrzenia²⁹.

23 marca 1982 roku Krawczenko przegrał bitwę – sąd ponownie skazał go na śmierć.

Skazany po raz drugi na śmierć rozpoczął z radzieckim wymiarem sprawiedliwości ostatnią walkę: wniósł nową kasację od nowego wyroku.

24 maja 1982 roku Sąd Najwyższy RFSRR podjął ostateczną decyzję w sprawie Krawczenki: *Wyrok Rostowskiego Sądu Obwodowego z dn. 23 marca 1982 r. wobec Krawczenki Aleksandra Pietrowicza pozostawić w mocy, wniesiony środek zaskarżenia w postaci kasacji – oddalić.*

Przewodniczący: R.M Smakow.

Członkowie sądu: G.A. Jerofiejew i N.G. Biełousow³⁰.

W listopadzie jego wniosek o ułaskawienie do Rady Najwyższej RFSRR został oddalony, a rok później, 5

czerwca 1983 roku, Krawczenko został stracony.

Teraz chwila prawdy: tym razem Temida spudłowała w swojej rozgrywce.

Krawczenko nie kłamał, on naprawdę nie miał nic wspólnego z zabójstwem Leny Zakotnowej. Stracony został może nie najlepszy przedstawiciel gatunku ludzkiego, w tej sprawie jednak niewinny.

Prawdziwy zabójca był obok, miał swoją kryjówkę niedaleko. Śledztwo, które rozpracowywało jednocześnie kilka wersji, znajdowało się bardzo blisko rozwiązania zagadki. Już mieli go zatrzymać... Tak by się stało, gdyby Krawczenko nie przyznał się, w ten sposób czyniąc siebie głównym podejrzanym.

Gdyby milicja dołożyła większych starań, nie kierowała się pozorami, horror o najbardziej krwawym seryjnym mordercy ZSRR, którego nazwano „Radzieckim Kubą Rozpruwaczem”, „Czerwonym Partyzantem”, „Obywatелеm X”, „Szatanem”, „Zabójcą z Lasu” oraz „Potworem Rostowskim”, którego nie udało się ująć przez ponad 12 lat, w ogóle by nie powstał. Pierwsze zabójstwo pozostałoby jednocześnie ostatnim.

Radziecki Kuba Rozpruwacz zabił na podłożu pedofilii, nekrofilii, kanibalizmu oraz sadyzmu 53 osoby.

A zatem:

1) Jelena Zakotnowa, 9 lat, zabita w Szachtach 22 grudnia 1978 roku.

Należy podkreślić, jak niewiele dzieliło milicję od znalezienia prawdziwego sprawcy.

Wszystko zaczęło się wieczorem 24 grudnia, w dniu, w którym znaleziono małą Lenę. Obywatelka Gurienkowa jechała tramwajem przez most nad Gruszewką. Zobaczywszy tłum wokół przystanku oraz wielu ludzi w mundurach, wścibska prowincjuszka wyszła z tramwaju popytać: „A co się dzieje?”. Odpowiedzieli jej: „Dziecko zabili”. Zobaczyła ona ofiarę ubraną w charakterystyczną czerwoną kurteczkę. Coś zaświtało jej w głowie i przypomniała sobie, że widziała tę malutką dziewczynkę w tej kolorowej kurtce dwa dni temu, mniej więcej o tej samej porze, w tym samym miejscu, obok przystanku... Był z nią jakiś człowiek.

Wróciwszy do domu, po kolacji zaczęła mówić o niesprawiedliwym życiu, że dwa dni temu widziała na moście taką małą dziewczynkę, a teraz ona jest martwa, że widziała ją z jakimś mężczyzną, który wyglądał tak i tak. Mąż wysłuchał kobietę, poszedł do przedpokoju po ubrania i zdecydował, że pójdą opowiedzieć o wszystkim milicji.

Gurienkowa miała dobrą pamięć. Opisała funkcjonariuszom, co widziała: dziewczynka miała na sobie czerwoną kurteczkę z kapturkiem, założoną na szkolny mundur. Na plecach niosła tornister. Stała na ulicy Sowieckiej, koło przystanku „Most Gruszewski”. Wraz z nią był mężczyzna, który

ją jakby do czegoś namawiał, a przyszła ofiara nad czymś się zastanawiała. Następnie Jelena zgodziła się i poszła z tym człowiekiem w kierunku ulicy Mieżewej.

Ulica Mieżewaja, znajdująca się na obrzeżach Szacht, i jej okolice miały złą reputację – brak oświetlenia, brud, wąskie uliczki, niskie i brzydkie domki, miejsce spotkań chuliganów, bezdomnych oraz narkomanów.

Gurienkowa opisała mężczyznę, z którym poszła dziewczynka: wysoki, chudy, niemłody, w okularach, solidnie ubrany, w płaszczu oraz kapeluszu, w dłoni trzymał siatkę, z której wystawały butelki. Milicyjny rysownik sporządził portret pamięciowy według opisu świadka. Otrzymały go następnie patrole milicyjne. Gurienkową, jako świadka, wraz z funkcjonariuszami zabierano nieraz, by obserwować zbieg ulic Sowieckiej oraz Mieżewej, przystanek tramwajowy, most oraz miejsce zgromadzenia lokalnych dżentelmenów – tutejszy sklep monopolowy, pod którym obywatele, chowając się przed żonami, otwierali zakupiony towar, od razu szybko go wypijali, zamieniali kilka zdań o życiu, polityce i piłce nożnej, a potem szli do domów. Milicja liczyła na to, że może pojawi się między tymi ludźmi znajoma twarz podejrzanego mężczyzny. Jednocześnie chodzili od domu do domu wzdłuż wyżej wymienionych ulic.

Minęło kilka tygodni. Przyszedł luty. Śledztwo mające na celu odnalezienie solidnie ubranego mężczyzny postępowało. Kiedy mieszkańcom domów przy ul. Mieżewej pokazywano portret pamięciowy podejrzanego, wskazywali na swojego sąsiada z domu nr 26 – to chyba on, ale nie znamy go, nieczęsto się tu pojawia, wiemy, że pracuje chyba jako nauczyciel w szkole zawodowo-technicznej³¹ nr

33. Tak również zidentyfikował twarz na portrecie dyrektor wymienionej wyżej placówki.

Owego nauczyciela zabrano na kilka przesłuchań, podczas których mówił: „Nic nie wiem...”. Na tym się skończyło.

Dlaczego?

Bo w tym czasie przyznał się przecież ktoś inny! Nauczyciela przeprosili, a Gurienkowej powiedzieli, że z podeksycytowania coś jej się pomyliło.

POCZĄTEK LISTY

Miasto Rostów nad Donem znajduje się w odległości 60 kilometrów na południe od Szacht. Kryminaliści radzieccy, z powodu stosunkowo dobrych warunków „pracy”, jak również dużej liczby kolegów po fachu, z szacunkiem nazywali to miasto „Rostów tata” [32](#).

W latach 80. miasto osiągnęło liczebność prawie miliona osób. Jak często bywa, zachodnia strona miasta była bardziej ucywilizowana niż wschodnia. Tam, właśnie na lewym brzegu Donu lub – jak mówią miejscowi, zgodnie z radzieckim zamiłowaniem do skrótów – na „Lewbrzedonie” mieściła się restauracyjna, wypoczynkowa oraz plażowa część Rostowa. Wzdłuż dróg wylotowych z tej części znajdowały się liczne osłony przeciwwiatrowe w postaci kilku rzędów drzew w celu ochrony dróg,

kanałów, pól ornych, ogrodów itp. Po rosyjsku to *liesopołosa* – pas leśny.

Obok kawiarni Nairi, właśnie na lewym brzegu Donu, na przedmieściu, w rzędach drzew pasu leśnego, 4 września 1981 roku, 50 metrów od ruchliwej drogi, znaleziono ciało zabitej nastolatki. Zwłoki były nagie, pokrywał je stos gazet – lipcowych wydań „Prawdy” oraz „Rostowskiego Komsomolca”. Sposób morderstwa należał do tych, które prawo karne nazywa: „ze szczególnym okrucieństwem”. Całe ciało było w siniakach, usta wypchane ziemią, na prawej piersi brakowało sutka; w dolnej części brzucha liczne rany klute, w odbytnicy oraz pochwie znaleziono kawałki drzewa, na szyi ślady uduszenia.

Milicja przeszukała teren wokół – znaleziono kobiece ubrania: czerwony sweter, sukienkę, rozerwaną bieliznę i... cienki półtorametrowy kij ze śladami krwi. Ustalono, że tym kijem zadano rany w środku pochwy oraz odbytnicy ofiary.

Tożsamość ofiary: Łarisa Tkaczenko, 17 lat, uczennica jednej z rostowskich szkół zawodowo-technicznych. Nie tak dawno miała jechać z całą swoją klasą „na ziemniaki”. Jednak do autobusu, który miał zabrać ją wraz z kolegami do kołchozu, nie dotarła.

W ZSRR od lat 60. wyrażenie „pojechać na ziemianki” odnosiło się do zwyczaju wysyłania mieszkańców miast do pomocy w kołchozach, głównie w zbiorze plonów z pól, ponieważ siły kołchoźników były niewystarczające, żeby wszystko zebrać na czas. Mimo że Związek Radziecki

produkował najwięcej kombajnów na świecie, na wsi cały czas był niedobór maszyn. Jakość radzieckich traktorów, kombajnów, ciężarówek była niska, kołchoźnicy nazywali je jednorazowymi. Na wsi był też kłopot z częściami zamiennymi, paliwem, kierowcami oraz mechanikami.

A jeśli brakuje maszyn, by móc zająć się plonami, trzeba mieć dużo rąk do pracy, aby wszystko wykonać ręcznie. Jak w średniowieczu. Jednak ludzi też nie było. Kłopot tkwił w samym ustroju kołchozowym. Człowiek w kołchozie pracował nie za pieniądze, nie za procent od wyniku, lecz za jedynki w ewidencji dni pracy. Ponadto do niego, rolnika-kołchoźnika, nic nie należało: ani ziemia, na której pracował, ani koń, ani traktor, ani sprzęt – wszystko było wspólne, kołchozowe. Jaki więc interes miał mieszkaniec wsi radzieckiej w tym, żeby pracować? Żaden. Leżał pijany przez cały dzień. Za Stalina robotników na pole wyganiała surowa rzeczywistość oraz to, że kołchoźnikom nie wydawano paszportów wewnętrznych, aby nie uciekli do miasta, natomiast w latach 60. wszystko się zmieniło. Nikita Chruszczow dał paszporty mieszkańcom wsi. A otrzymawszy dokument, chłopaki za wszelką cenę starali się uciec z półgłodnego kołchozu – nawet do najcięższej pracy w fabryce; uciekali do wojska na ponadterminową służbę. Dziewczyny natomiast dążyły do wyjścia za mąż za kogoś z miasta, a potem do szybkiego rozwodu. Najważniejsza stała się pieczęć o zameldowaniu w mieście. Koniec końców nie miał więc kto zbierać plonów. Jednak władza radziecka i na to znalazła rozwiązanie.

Skoro na wsi nie ma ani maszyn, ani rąk do pracy, to znaczy, że trzeba je przywieźć z miasta. Na pola zaganiano więc dzieci ze szkół wraz z nauczycielami, studentów z uczelni wraz z profesorami. I to na początku roku szkolnego – we wrześniu oraz październiku. To nic, że ucierpi nauka. Przecież ZSRR to państwo proletariackie, praca w polu jest ważniejsza! Hartuje charakter! Wysyłano także żołnierzy z jednostek, pracowników licznych miejskich organizacji oraz instytucji, robotników z fabryk. Czas pracy mógł trwać od kilku dni do kilku tygodni. Szczególnie długo pracowano w Azji Środkowej, gdzie – tradycyjnie – znacznie bardziej tolerowano pracę niewolniczą – tam można było trafić do pracy w polu na całą jesień. W tych miejscach ludzie pracowali najciężej – przy zbiorze bawełny. Jak murzyni na południu USA.

Nikomu nic za daną pracę dodatkowo nie płacono, jednak pensję oraz stypendium regulowano normalnie. Niejeden odbierał sobie potajemnie wynagrodzenie w darach natury.

Oczywiście zbierano nie tylko ziemniaki. Oprócz „drugiego chleba kraju” zbierano buraki, cebulę, kapustę, marchew, a jeśli miało się szczęście, to jabłka lub gruszki, które można było zabrać do domu i ucieszyć dzieci. Na południu ZSRR prace mogły zostać zorganizowane także przy zbiorach w winnicy. Pracowano nie tylko w polu, ale i w składach, w bazach, przy sortowaniu. Wszystkie te prace zawsze jednak zyskiwały miano „jechania na ziemniaki”, np.:

- Gdzie Pietrow? Coś go dawno nie widziałem.
- A, on na ziemniakach.

Uchylenie się od „ziemniaków” oznaczało kłopoty w pracy lub na studiach – dyrekcja mogła zwolnić lub wydalić, pozbawić awansu lub premii albo zmusić do odpracowania tego czasu przy myciu podłóg. Po linii partyjnej lub komsomolskiej można było się spodziewać nagany. Koledzy Łarisy Tkaczenko stwierdzili, że ona po prostu machnęła ręką na obowiązek darmowej pracy. Dlatego na nią nie czekali.

2) Łarisa Tkaczenko, 17 lat, zabita 3 września 1981 roku w Rostowie.

Następnie minął rok.

12 czerwca 1982 roku mama 13-letniej Liuby Bieriuk ze wsi Zapławska, na wschód od Rostowa, poprosiła córkę, by ta pojechała do sąsiedniej wioski – Donskoj – po produkty spożywcze. Więcej jej nie zobaczyła.

Ciało dziewczynki znaleziono 2 tygodnie później przy drodze obok Donskiego, w pasie leśnym. Zwłoki były nagie, z 22 ranami zadany mi nożem w oczy, szyję oraz pierś.

3) Lubow' Bieriuk, 13 lat, zabita 12 czerwca 1982 roku pod Donskim.

Ponad miesiąc później, 25 lipca, w pobliżu lotniska krasnodarskiego (100 kilometrów na południe od Rostowa) została zabita 14-letnia Liuba Wołobujewa, która miała lecieć z Krasnodaru do domu, do Nowokuźniecka. W Krasnodarze gościła u krewnych.

4) Lubow' Wołobujewa, 14 lat, zabita 25 lipca 1982 roku pod krasnodarskim lotniskiem, około 150 metrów od warsztatów, w których przebywali ludzie.

Kolejne 3 tygodnie później, też w Krasnodarze, obywatel Olejnikow zgłosił na milicji zaginięcie swojego 9-letniego wnuka, Olega Pożydajewa, który przyjechał do dziadka z Leningradu. 13 sierpnia udał się on na miejscową plażę i już nie wrócił.

5) Oleg Pożydajew, 9 lat, zaginął pod Krasnodarem, zwłok nie znaleziono.

Ponad dwa miesiące później, 27 października 1982 roku, w pobliżu przystanku „Kazaczyje Łagierja” kolei Rostów nad Donem-Szachty, w pasie leśnym, szeregowy Armii Radzieckiej Szumiej, który przebywał na przepustce, znalazł zniekształcone zwłoki człowieka, o czym natychmiast po powrocie do jednostki zameldował dowódcy. Ekspertyza ustaliła, że trup to młoda kobieta w wieku 16-20 lat, z licznymi ranami kłutymi zadany mi nożem w oczy, szyję, serce i płuca. Ciało leżało w tym miejscu już od kilku tygodni.

Wyjaśniło się - to zaginiona Olga Kuprina, 16 lat. Uczennica lokalnego PTU - „kuźni kadr robotniczych”. Młoda Kuprina była z rodzaju tych, których zwykło się nazywać „trudnymi nastolatkami”. Dziewczynka wychowywała się bez ojca, miała liczne rodzeństwo, mieszkała w niewielkim wiejskim domu, który był zaniedbany do takiego stopnia, że roło się w nim od pcheł. Bardzo wcześnie rozpoczęła życie płciowe, dużo paliła,

nadużywała alkoholu, wdawała się w bójki, dopuszczała się drobnych kradzieży, wachała klej, nieraz znikwała z domu. Dwa miesiące przed znalezieniem zwłok dziewczyna po raz kolejny pokłóciła się z matką. Córeczka wróciła do domu w środku nocy pijana. Matka, która sama cuchnęła bimbrem, spoliczkowała ją. Olga odpowiedziała, że jej nienawidzi i nigdy więcej nie wróci, po czym wyszła. Matka długo nie przejmowała się jej losem, zanim złożyła zawiadomienie na milicji o zaginięciu dziecka. Dom Olgi znajdował się w wiosce Bakłanniki, w odległości 60 kilometrów na wschód od Rostowa nad Donem. Przez około tydzień po ucieczce dziewczyna mieszkała u koleżanki. Następnie kupiła bilet kolei podmiejskiej z Rostowa do Szacht, gdzie mieszkała ciocia.

Nie dojechała. Została zabita po drodze pod koniec sierpnia.

6) Olga Kuprina, 16 lat, zabita prawdopodobnie w sierpniu 1982 roku w pobliżu przystanku „Kazaczyje Łagierja”.

Tak samo jak Olga, następna ofiara, 19-letnia Irina Karabielnikowa, również nie miała w domu lekkiego życia. Także nadużywała alkoholu i lubiła spędzać czas w męskim towarzystwie. Kiedy w 1978 roku jej rodzice się rozwodzili, kochana mamusia umieściła ją w internacie. Po roku zabrała ją z powrotem i oddała do PTU. Dziewczyna rzuciła naukę i rozpoczęła pracę na poczcie. Matka biła dziewczynę, awantury w domu były na porządku dziennym. Przed śmiercią Irina też pokłóciła się z nieudanym

rodzicem, też trzasnęła drzwiami i... już nie wróciła. Została zabita 8 września, znaleziona 12 dni później. Zadano jej liczne uderzenia nożem w oczy, głowę, pierś, miednicę.

7) Irina Karabielnikowa, 19 lat, znaleziona w pasie leśnym na odcinku 1131. kilometra kolei Moskwa-Rostów.

Prawie w tym samym miejscu cztery miesiące później, 12 stycznia 1983 roku, znaleziono ciało 15-letniego sieroty, Siergieja Kuz'mina. Ubiegłego września, nie wytrzymując znęcania się ze strony starszych kolegów, uciekł on z miejscowego domu dziecka.

8) Siergiej Kuz'min, 15 lat, liczne mocne uderzenia nożem, zdruzgotane kości. Zabity prawdopodobnie we wrześniu 1982 roku.

Rażąco od ostatnich ofiar różniła się następna, 10-letnia Olga Stalmaczonok z Nowoszachtyńska, z miasta oddalonego o około 60 kilometrów na północ od Rostowa. Dziewczynka pochodziła z dobrej rodziny, w jej domu panował ład i spokój, uczyła się w szkole muzycznej. Właśnie tam widziano ją po raz ostatni w grudniu 1982 roku. Do domu nie dotarła.

Cztery miesiące po zaginięciu Olgi, 14 kwietnia 1983 roku, w pobliżu kołchozu nr 6 pod Nowoszachtyńskiem, monter pracujący przy słupie linii elektroenergetycznej, który znajdował się pośrodku pola, zobaczył coś, co w żargonie milicyjnym nazywane jest „śnieżyczką” – trupa, który ukazuje się dopiero wtedy, gdy roztopi się śnieg. Był to mały szkielet.

Ekspertyza na podstawie rekonstrukcji twarzy z czaszki pozwoliła ustalić, że to Olga Stalmaczonok. Ktoś bardzo długo znęcał się nad dzieckiem i jej zwłokami. Zadano jej ponad 50 ciosów nożem. Brzuch został rozcięty, a piersi odcięte. Morderca wyciął dziewczynce serce. W oczodołach znajdowały się ślady noża – morderca wyciął ofierze także oczy.

9) Olga Stalmaczonok, 10 lat, zabita w grudniu 1982 roku w okolicach Nowoszachtyńska.

Prawie pół roku później, latem 1983 roku, na tym samym odcinku kolei, na 1131. kilometrze linii Moskwa-Rostów, gdzie wcześniej znaleziono zwłoki Iriny Karabielnikowej oraz Siergieja Kuz'mina, odnaleziono ciało kolejnej ofiary – 15-letniej Łory Sarkisian. Dziewczynka była opóźniona umysłowo i często uciekała z domu.

10) Łora Sarkisian, 15 lat, zabita koło Szacht, prawdopodobnie w czerwcu 1983 roku.

8 sierpnia 1983 roku w rostowskim parku Awiatorów grupa bawiących się chłopaków znalazła w jamie zniekształcone zwłoki. Ekspertyza ustaliła, że śmierć nastąpiła w wyniku licznych ran zadanych nożem. Co więcej, prawdopodobnie ofiara, a była to dziewczynka, miała zespół Downa.

Mając taką informację, funkcjonariusze milicji zaczęli sprawdzać szkoły specjalne dla chorych dzieci w obwodzie. W jednej z nich na zdjęciu rekonstrukcji twarzy pracownicy rozpoznali trzynastoletnią Irinę Dunienkową. Dziewczynka często znikła na dłuższy czas i jej także nie szukano.

Jak się później okazało, zabita Irina Dunienkowa była siostrą kochanki Rostowskiego Kuby Rozpruwacza. Irina i jej zabójca się znali, wujaszek w obecności kochanki, głaszcząc Irę po głowie, nieraz mówił „biedna dziewczynka”.

A potem ją zadźgał.

Gdyby milicja poświęciła więcej uwagi osobowości zabitej oraz jej znajomościom, ponownie natknęłaby się na nauczyciela, do którego dotarła w 1979 roku, i położyłaby kres morderstwom.

Jednak tego nie uczyniła. Dokonywano kolejnych zabójstw. I nic nie zapowiadało ich końca.

11) Irina Dunienkowa, 13 lat, zabita w lipcu 1983 roku w Rostowie nad Donem, chora na zespół Downa siostra kochanki seryjnego mordercy.

SPRAWA IDIOTÓW

W sierpniu 1983 roku we wspomnianym już parku Awiatorów, w głębi drzew, znaleziono zwłoki małego chłopca. Analizując okoliczności tego zabójstwa, po porównaniu z niektórymi poprzednimi morderstwami – liczne ciosy zadane nożem, wycięte oczy, gwałty, manipulacje z genitaliami, młody wiek ofiar, brak jawnego powodu zabójstwa, brak świadków oraz śladów – śledczy doszli do przykrego wniosku: w okolicach Rostowa nad Donem grasuje seryjny morderca dzieciobójca.

Ustalona tożsamość ofiary mocno wpisywała się w tę teorię:

12) Igor Gudkow, 7 lat, zabity 9 sierpnia 1983 roku w Rostowie.

Sprawy najbardziej podobnych do siebie morderstw, a mianowicie Biriuk, Karabelnikowej, Kupriny (wtedy ich tożsamości nie były jeszcze ustalone), Stalmaczonok, Dunienkowej oraz Gudkova, połączono w jedną.

Opracowywano kilka wersji. Jedna z nich zakładała, że maniaków jest dwóch. Jeden zabija dziewczynki, drugi chłopaków. Rozpracowywano wersję, że maniaków tych należy szukać wśród rzeźników lub chirurgów. To, że zabójstw dokonywano często w pobliżu dróg, nasuwało myśl, że morderca to kierowca ciężarówki, autobusu lub posiadający własny samochód. Inna wersja powstała na gruncie tego, że morderca nie zostawiał śladów, mógł więc być milicjantem, byłym lub czynnym. Trudności potęgował również obszar zabójstw – Rostów i różne pobliskie miejscowości. Same miejsca zabójstw też były niezwykle – nie domy, lecz nieoczekiwane lokalizacje, takie jak lasy, parki czy pola. Maniak bądź maniacy atakowali dzieci w różnym wieku i różnego pochodzenia. Należały do nich: włóczęgi, trudne nastolatki, sieroty, dzieci chore umysłowo, których bliscy nie szukali. Śmierci nie uniknęły jednak również grzeczne dzieci z dobrych rodzin.

Zapowiadało się bardzo trudne śledztwo – żadnych dowodów, żadnych świadków... Uwagę w tym połączonym śledztwie skoncentrowano przede wszystkim na

zabójstwach dzieci, które zginęły od noża w bardzo okrutny sposób, zostały wykorzystane seksualnie, zaś zabójstwa dokonywano zawsze na łonie przyrody, najczęściej w pasach leśnych wzdłuż dróg (*liesopołosa*).

Ze względu na wspólne dla wszystkich miejsce zabójstw, którym były pasy leśne, sprawę nazwano operacją „Liesopołosa”. Z powodu braku jakichkolwiek dowodów podstawowa wersja brzmiała: maniak lub maniacy to chorzy umysłowo zboczeńcy i pedofile.

Milicja rostowska zaczęła sprawdzać szpitale psychiatryczne oraz zarejestrowane u psychiatrów osoby: kiedy, z kim, kto oraz któredyś udawał się przez ostatnich kilka miesięcy. Sprawdzali diagnozy, alibi, skłonności do patologii seksualnych. Głównie zaś – grupę krwi.

Radziecka nauka знаła cztery podstawowe grupy krwi, które w odróżnieniu od zgniłego Zachodu oznaczała nie literami, lecz cyframi: I, II, III oraz IV grupa. Także radziecka nauka kryminologiczna głosiła, że sperma homo sapiens lub coś, co zawiera białko, np. ślina lub pot, mają charakterystyczne cechy, które mogą wskazać na jedną z tych czterech grup.

Na ofiarach rostowskiego maniaka nieraz znajdowano spernę. Ekspertyza wykazała, że maniak ma raczej najrzadszą grupę krwi – IV. Teraz jest to grupa krwi AB. Jeśli więc jakaś osoba sprawdzona przez milicję miała IV grupę krwi, jej przyglądano się uważniej... Jednak za każdym razem okazywało się, że wszyscy z taką grupą mieli żelazne alibi.

Sytuacja nie należała do łatwych. Jednak, jak to często bywa, ratunek przyszedł przypadkowo. Przynajmniej tak się na wydawało początku.

W nocy z 5 na 6 września 1983 roku w Rostowie zatrzymano dwie osoby, które chciały ukraść trolejbus. Przestępcy nazywali się Szabuwow oraz Kalenik. Jeden z nich miał 20 lat, a drugi 19. Tłumaczyli się w dziecinny sposób – bardzo chcieli pojeździć.

Jednak to, jak jeden z zatrzymanych, Szabuwow, skończył swoją opowieść podczas przesłuchania, było zupełnie niedziecinne i... niespodziewane. Powiedział on, że niedawno w parku Awiatorów zabił dziewczynkę i małego chłopca...

– Dlaczego to zrobiłeś? – został ostrożnie spytany, kiedy do pokoju przesłuchań zostali wezwani dodatkowi funkcjonariusze.

Szabuwow spojrzał na przesłuchujących go funkcjonariuszy i odpowiedział:

– A dla zabawy.

Następnego dnia Szabuwow zmienił wyjaśnienia – powiedział, że tak naprawdę on tego nie zrobił, prawdziwi zabójcy to jego koleżka Kalenik wraz ze wspólnym znajomym – niejakim Turowem. Rzekomo ta dwójka niedawno mu się pochwaliła. Winę za te zabójstwa wziął na siebie, ponieważ na początku bardzo się przestraszył ludzi w mundurach.

Śledczy zaczęli rozpracowywać Jurija Kalenika, na którego wskazał Szabuwow. Najpierw przyznał się on, że

kiedyś ukradł samochód. Po jakimś czasie zaczął się przyznawać do gwałtów. W końcu stwierdził, że zabił dziewczynkę:

- W sierpniu na dworcu podmiejskim Rostowa spotkałem dziewczynkę w wieku 6-7 lat, której rodzice poszli po bilety. Wsadziłem ją do trolejbusu nr 1... Potem przesiedliśmy się do trolejbusu nr 11, dojechaliśmy do przystanku końcowego... Tam zaprowadziłem ją do lasu, zdjąłem jej sukienkę. Zgwałciłem ją w zwykły, potem w perwersyjny sposób, ubrania spaliłem. Dźgnąłem ją nożem w głowę oraz w brzuch³³.

Drugiego, Turowa, zatrzymano tego samego dnia. Na przesłuchaniach potwierdził on to, co mówili Szaburow oraz Kalenik.

Wydawałoby się, że w śledztwie w końcu podjęto trop nieznanego rostowskiego zabójcy, a tak w rzeczywistości całej bandy seryjnych morderców. W trakcie analizy osobowości podejrzanych pojawiły się fakty, które świadczyły o tym, że śledztwo miało od początku poprawne założenia odnośnie do stanu umysłowego potencjalnego sprawcy. Cała trójka kolegów była niedorozwinięta umysłowo, pochodzili z domu dziecka właśnie dla dzieci specjalnej troski. Nawet już jako dwudziestolatkowie nadal tam przebywali. Jednak nie byli oni mocno upośledzeni. Ich stan nie wymagał absolutnej izolacji od społeczeństwa. Przynajmniej tak twierdzili lekarze. Lekko infantylni, odrobinę niepełnosprawni, mogli charakteryzować się pewną niezdolnością do adaptacji wśród ludzi. Dlatego

w domu dziecka nie traktowano ich zbyt surowo i czasami wypuszczano do miasta.

No cóż, wszystko się ułożyło, jasna sytuacja, przecież mówiliśmy – to chorzy mordowali! No bo jacy przedstawiciele radzieckiego społeczeństwa o zdrowym rozsądku byliby zdolni do zabójstw oraz manipulacji seksualnych wobec małych dziewczynek i chłopców?

Kalenik oraz Turow łącznie przyznali się do dziewięciu zabójstw³⁴. Ich sprawa otrzymała odpowiednią nazwę – „Sprawa Idiotów”.

Prawie dwa miesiące po zatrzymaniu figurantów „Sprawy Idiotów” wydarzyło się coś, co mogło podważyć całą wersję o bandzie chorych umysłowo maniaków. 30 października 1983 roku znaleziono kolejne ciało w pasie leśnym w pobliżu Nowoszachtyńska. Sposób zabójstwa wskazywał na związek z rostowskimi maniakami.

Ofiarą była kobieta w wieku 18-25 lat, rany klute w jednym z oczodołów, szyja pocięta, brak jednej piersi. Prawdopodobnie została zabita we wrześniu.

13) Nieznana, zabita we wrześniu 1983 roku w okolicach Nowoszachtyńska.

Śledczy, broniąc swojej wersji, zaznaczali, że trójka maniaków została zatrzymana w nocy z 5 na 6 września, więc teoretycznie mogli jeszcze mieć możliwość dokonania owego zabójstwa.

Jednak 1 listopada w innym pasie leśnym w Nowoszachtyńsku, w pobliżu zakładu produkującego papier, znaleziono zwłoki 19-letniej Wiery Szewkun. Nad

trupem także ktoś się pastwił: brak obu piersi, macica wraz z kawałkiem pochwy wycięte. Zwłoki były nagie oraz przysypane ziemią. Ich stan wskazywał, że Szewkun została zabita kilka dni wcześniej.

14) Wiera Szewkun, 19 lat, zabita 27 października 1983 roku w Nowoszachtyńsku.

To oznaczało, że Kalenik wraz z pozostałymi raczej nie mieli z zabójstwami nic wspólnego. A prawdziwy zabójca wciąż jest na wolności.

Ostatnią deską ratunku dla śledztwa była możliwość, że Szaburov, Kalenik oraz Turow mają koleżków, i to właśnie oni kontynuują sprawę swoich ziomków.

27 listopada 1983 roku w Szachtach znaleziono zniekształcone zwłoki ze śladami ciosów od noża. Trup znajdował się w odległości kilku kilometrów od 1131. kilometra kolei Moskwa-Rostów, w miejscu, gdzie znaleziono już niejedne szczątki. By pomóc w rekonstrukcji twarzy, ciało zostało wysłane do jednego z moskiewskich laboratoriów. Wkrótce przyszły wyniki, dzięki którym udało się ustalić tożsamość zamordowanej osoby.

15) Walentyna Czuczulina, 22 lata, zabita we wrześniu 1983 roku w Szachtach.

Była to przedostatnia ofiara w 1983 roku. Gdy nadszedł 1984 rok, Szaburov, Kalenik oraz Turow ciągle przebywali w areszcie, a wersja mówiąca o tym, że mają współpracowników, pozostawała podstawową.

Już pierwszego dnia nowego, 1984 roku został znaleziony trup. Niedaleko stacji kolei podmiejskiej

Piersianowka pod Rostowem znaleziono 14-letniego chłopca, Siergieja Markowa, który zniknął 3 dni wcześniej. Ciało znajdowało się pomiędzy zapasowymi częściami kolei, przykryte płaszczem chłopca. Nawet na tle pozostałych ofiar jego śmierć była wyjątkowo straszna: około 70 ran kłutych w szyję oraz pierś, narząd płciowy usunięty, obecne ślady brutalnego gwałtu.

Blisko stacji, przy której znaleziono zwłoki, znajdował się szpital psychiatryczny. To było śledczym na rękę. Charakter owej instytucji bardzo pasował do sedna „Sprawy Idiotów”.

Po sprawdzeniu kartoteki szpitala i przesłuchaniu personelu podejrzenia padły na jednego z niestałych pacjentów – Michaiła Tiapkina. Tak samo jak Szaburow, Kalenik i Turow był on lekko niedorozwinięty i miał się stawiać w szpitalu okazjonalnie na leczenie. Tiapkin często kręcił się w okolicy stacji i zaczepiał ludzi. W dniu zabójstwa chłopczyka także przebywał w okolicach stacji, a świadkowie widzieli, że wsiadł do tego samego pociągu, co 14-letni Markow.

W szczególności rozmowny w kwestii jego przygód był niepełnoletni znajomy Tiapkina – Aleksander Ponomariow, też zarejestrowany w szpitalu z powodu lekkiego niedorozwoju. Zaczął on opowiadać, że był świadkiem zabójstwa, ponieważ tego dnia przebywał razem z Tiapkinem. Ze słów Ponomariowa wynikało, co następuje: wraz z Tiapkinem poznali jakiegoś chłopaka. Postanowili rozwinąć nową znajomość: kupili wino, chleb. Jak większość

nastolatków Markow już chciał poczuć się dorosłym i spróbować zakazanych rozrywek. Pił więc alkohol. Następnie Ponomariow zaproponował, żeby wszyscy pojeździli sobie pociągiem, pospacerowali. W trakcie spaceru Tiapkin zabił Markowa, poznęcał się nad ciałem i odciął mu penisa.

Słowa Ponomariowa potwierdzały wizje lokalne - Ponomariow wszystko szczegółowo pokazywał i opisywał. Wskazał, gdzie chodzili w okolicach stacji i gdzie się zatrzymywali. Ponomariowa poznała sprzedawczyni sklepu, gdzie on i z Tiapkin kupili trzy butelki wina. Jako że ekspedientka nie sprzedawała alkoholu niepełnoletniemu Ponomariowowi, wtedy przyszedł bardziej dorosły Tiapkin i to on dokonał zakupu.

Tiapkina w końcu znaleźli. Potwierdził on wszystko, co powiedział Ponomariow. Przede wszystkim wyjaśniło się, że Ponomariow wraz z Tiapkinem znają się z Szaburówem, Kalenikiem oraz Turowem, ponieważ przez długi czas przebywali w tym samym domu dziecka. Teza, że trójka podejrzanych w „Sprawie Idiotów” mogła mieć kolegów, którzy kontynuowali zabójstwa, potwierdziła się. A co więcej... Tiapkin miał IV grupę krwi! Bingo!

Bandę starszych rostowskich morderców-gwałcicieli-dzieciobójców unieszkodliwiono w wyniku pracy dzielnej milicji! Wierćcie dziurki dla orderów i przygotowujcie naramienniki dla gwiazd!

Należy wyraźnie stwierdzić, że nie na darmo sprawę tę nazwano „Sprawą Idiotów”. W miarę upływu czasu

i rozpracowywania podejrzanych pojawiały się bowiem coraz większe wątpliwości.

Po pierwsze, umieszczenie w celach rzekomych maniaków nie zakończyło zabójstw. Im więcej było zabójstw, tym wersja o niedorozwiniętych umysłowo maniakach stawała się mniej niewiarygodna.

Po drugie, podejrzanych przesłuchiowano tak, że pytania zawierały odpowiedzi:

- Byłeś w parku?
- Byłem.
- Zabiłeś dziewczynkę?
- Zabiłem.
- Nożem zabiłeś?
- Nożem zabiłem.
- Ty w szyję zadałeś cios, tak?
- Tak, w szyję zadałem cios.
- Ty w ten sposób ją przecież trzymałeś, tak?
- Tak, w ten sposób ją trzymałem.

Podatny na presję mózg wchłaniał każdą podpowiedź śledczych. Nie wykluczono więc, że właśnie dlatego podejrzani niby wiedzieli o niektórych okolicznościach rzeczywistych zabójstw. Ten sam mózg o wszystkim potem zapominał i trzeba było zaczynać od nowa.

No i w końcu stan umysłowy aresztowanych już sam w sobie kazał poważnie wątpić w wyniki prac śledczych. Nieraz zaprzeczali wszystkiemu, co mówili kilka dni wcześniej. Potem znów się przyznawali, a następnie ponownie się wycofywali.

No i po prostu wymyślali własne przygody kryminalne. Wyobraźnię posiadali bogatą.

Nikogo jednak nie zabijali. Dotyczy to również zabójstwa małego chłopca – Tiapkin nie zabił Markowa, choć faktycznie spędzili oni jakiś czas przy winie i jeżdżąc pociągiem.

16) Siergiej Markow, 14 lat, zabity 27 grudnia 1983 roku.

W październiku 1984 roku pracę nad rozwiązaniem zagadki rostowskiego maniaka wzięła na siebie grupa stołecznych detektywów pod wodzą Władimira Kazakowa, która otrzymała skierowanie od prokuratury RFSRR. Kazakow poczynił pierwsze kroki ku oficjalnemu zamknięciu „Sprawy Idiotów” i wypuszczeniu jej figurantów na wolność.

„Sprawa Idiotów” zakończyła się w 1985 roku, kiedy ze względu na ogromną liczbę nowych zabójstw dla wszystkich, nawet najbardziej upartych, stało się jasne, że podejrzani nie mają z nimi nic wspólnego.

Po prawie dwóch latach przebywania w areszcie wszystkich wypuszczono.

KRWAWY 1984

Jednak w 1984 roku „Sprawa Idiotów” była jak najbardziej aktualna. Chory Tiapkin, na którego wskazało wielu świadków, z IV grupą krwi, reprezentował sobą idealnego

kandydata do roli rostowskiego mordercy. Szczególnie zatem nieprzyjemna dla śledczych okazała się wiadomość, że 10 stycznia w parku Awiatorów znaleziono ciało kolejnej ofiary – młodej kobiety: 28 ciosów nożem, w tym prosto w serce, odcięty nos, górna warga, palec lewej ręki, sutki. Została zgwałcona, w pochwie znaleziono nasienie pasujące do III lub IV grupy krwi. Zwłoki były przysypane ziemią. W kieszeni ubrania zabitej znajdował się numerek do przechowalni lokalnego dworca międzymiastowych autobusów. W rzeczach w przechowalni kobieta trzymała swój paszport wewnętrzny, dlatego jej tożsamość, a wraz z nią jej historię, udało się szybko ustalić.

17) Natalia Szałopinina, 18 lat. Zabita 9 stycznia 1984 roku w Rostowie.

Świat jest mały. Wyjaśniło się, że była to koleżanka jednej z poprzednich ofiar rostowskiego maniaka – Olgi Kupriny. To właśnie Natalia odprowadzała Olgę w – jak się okazało – ostatnią podróż do domu cioci. To u Natalii, we wsi Zołotoriewka, Olga ukrywała się, kiedy uciekła z domu po kłótni z matką. Tak samo jak Olga, Natalia uwielbiała imprezy, alkohol oraz facetów. Będąc w domu u Nataszy, popijając wino i paląc skręty z machorką, razem marzyły o tym, jak Olga zostanie kaskaderem, a Natasza elegancką uwodzicielką i łamaczką męskich serc.

Młoda Natalia, która u siebie miała już reputację dziewczyny lekkich obyczajów, zmęczyła się życiem na wsi. Postanowiwszy skończyć z wegetowaniem w małej miejscowości, 18-latka wyruszyła do Rostowa, żeby dostać

się na kurs kierowców trolejbusów, przyjechała jednak o dwa dni za wcześnie – w weekend. Przybyła tak wcześnie z powodu kłótni z macochą – jej ojciec niedawno ożenił się ponownie, a stosunki z nową mamą nie układały się najlepiej. Pomiedzy kobietami codziennie dochodziło do awantur z rękoczynami. Katalizatorem wyjazdu do Rostowa stała się ostatnia kłótnia, tak ostra, że nastolatka uciekła z domu. Nocowała na dworcu – Nataszy było tam lepiej niż we własnym domu. Na dworcu widziało ją wielu ludzi.

Ekspertyza ustaliła, że na ciele Natalii, a mianowicie na jej pochwie, znajdowało się sporo wszy łonowych. Wersja śledczych brzmiała następująco: zabójca oraz Natasza poznali się na dworcu, potem maniak umówił się z nią na co nieco (trudne to raczej nie było), zabrał ją do parku i tam dokonał gwałtu i zabójstwa. Odkryto także, że widocznie podczas przygotowań do spełnienia swojego marzenia o zostaniu uwodzicielką zaraziła się ona od kogoś rzeźączką, którą dalej beztrósco rozpowszechniała wśród swoich kochanków. Oprócz rzeźączki Natasza chorowała na chroniczną rzesistkowicę. Sprawcy postanowiono więc szukać na oddziałach wenerycznych. U gwałciciela i mordercy niedługo wszystko poniżej pasa miało zapłonąć. Od 02 (telefon alarmowy milicji) do 03 (pogotowie) poszło pismo następującej treści:

Do lekarza naczelnego Szpitala Chorób Skórnych oraz Wenerycznych w obwodzie rostowskim tow. W.K. Omiegowa.

Grupa śledcza prokuratury RFSRR bada szereg zabójstw na gruncie seksualnym osób płci żeńskiej oraz męskiej na terenie obwodu rostowskiego. Tożsamość przestępcy na dzień dzisiejszy nie została ustalona.

W związku z powstałą koniecznością proszę w najkrótszym terminie przekazać mi do Urzędu Spraw Wewnętrznych Komitetu Wykonawczego Obwodu Rostowskiego na adres: Rostów nad Donem, ul. Engelsa 296, gab. 24, listę osób płci męskiej zamieszkujących obsługiwany przez państwa obszar (ze wskazaniem imienia, nazwiska oraz nazwiska patronimicznego, roku urodzenia, miejsca zamieszkania oraz diagnozy), które zgłaszały się do państwa w związku z chorobami wenerycznymi w okresie od 10.01.84 r. do 10.02.84 r., a także osób, które zgłaszały się w związku z chorobami gruczołu krokowego, brakiem odczucia popędu do kobiet oraz z niezdolnością dokonania normalnego aktu płciowego.

Śledczy grupy śledczej prokuratury RFSRR, prokurator-kryminolog, młodszy radca sprawiedliwości³⁵ W.I. Kazakow³⁶.

Pomysł był dobry, tyle że prawdziwy maniak nie poszedł do szpitala. Kiedy zaniepokoiło go swędzenie „tam”, udał się jedynie do apteki i – skonsultowawszy się z pomocą apteczną (wstydził się, więc mówił szeptem i z pochyloną głową) – postanowił leczyć się w domu maścią z rtęcią.

To jednak wyszło na jaw znacznie później.

Dopiero co zaczęli działać w sprawie zabójstwa Szałopininej, a półtora miesiąca po odkryciu jej zwłok, 22

lutego, znaleziono kolejne ciało. I to nie było gdzie, bo w tym samym parku Awiatorów! Tuż pod nosem funkcjonariuszy prowadzących śledztwo!

Nowa ofiara także zmarła od ciosów nożem. Zwłoki były świeże – do zabójstwa doszło niedawno. Nieznany morderca po raz kolejny poznęcał się nad trupem: sutki oraz pochwa odcięte, brzuch rozerwany, brak macicy oraz pęcherza. Ostrze noża weszło w szyję, następnie do ust, ofiara zakrztusiła się własną krwią. Zwłoki były przykryte płaszczem ofiary, a na jej chuście, która znajdowała się obok, znaleziono ślady spermy. Jedynym elementem, który nie pasował do okoliczności poprzednich zabójstw, był wiek zabitej.

Tym razem była to dorosła kobieta.

18) Marta Riabienko, 44 lata, zabita 21 lutego 1984 roku.

Pasowała jednak osobowość. Jak poprzednie ofiary Marta, człowiek bez zawodu oraz wykształcenia, lubiła wypić i nie stroniła od towarzystwa mężczyzn. Była karana. Kilka lat wcześniej, w 1976 roku, podczas jednej z libacji sprawy zaszły za daleko – doszło do rękoczynów z przelewem krwi oraz chuligańskich wybryków. Marta poszła „na zonę” na jeden rok. Następną konsekwencją miłości Marty do gorzałki był rozwód, który nastąpił w 1977 roku. Trzy lata później kobieta wróciła za kratki – kolejny rok pozbawienia wolności za umyślne zarażenie innej osoby chorobą weneryczną (art. 115 k.k. RFSRR z 1960 r.).

Po wyjściu z więzienia Marta już prawie nie trzeźwiała i stała się jeszcze bardziej słynna wśród lokalnych mężczyzn. Można się domyślić, że chorób wenerycznych miała cały „bukiet”. Tak lekko jak nawiązywała kontakty płciowe, Marta wdawała się również w bójki. Milicja ustaliła, że w chwili śmierci ofiara była bardzo pijana. To potwierdziła jej znajoma – niedługo przed śmiercią Riabienko przyszła do niej po pracy z butelką wódki. Miała potężnego kaca, którego chciała zalać i pożalić się koleżance na życie. Poskarżyła się, że w pracy znów dostała naganę. Zagrożono jej, że jeśli się nie zmieni, czyli nie przestanie przychodzić do pracy na kacu lub – co gorsza – na gazie i nie zacznie traktować roboty poważnie, zostanie zwolniona. Po wypiciu alkoholu koleżanka poprosiła jednak gościa o wyjście, ponieważ niedługo miał wrócić mąż. Marta kontynuowała „leczenie” w domu. Po opróżnieniu butelki pojechała na lotnisko, aby tam, w bufecie, gdzie jeszcze mogła liczyć na to, że jej należą, „udoskonalić” wódeczkę browarkiem. Po spożyciu piwa na lotnisku i po porządnym upiciu się na nowo, wróciła do miasta i ledwie stojąc na nogach, poszła do parku. Tam znalazł ją maniak.

Rok 1984 robił się dla rostowskich milicjantów coraz bardziej krwawy. Trzy tygodnie po znalezieniu zwłok Riabienki, 12 marca, przy linii kolejowej Szachty-Kirpicznaja znaleziono ciało kobiety. To znaczy... to, co po nim zostało. Zwłoki leżały już długo – co najmniej pół roku. Uwagę od razu zwracała na siebie głowa ofiary. Czaszka zawierała w swojej konstrukcji anomalie. Jakby

kształtowała się oparta o ścianę – z lewej strony była nieco płaska, lewy oczodoł znajdował się wyżej niż prawy. Zasugerowano więc, że zabita musiała być niedorozwinięta. Do szpitali w obwodzie rostowskim wysłano polecenie udzielenia milicji informacji o pacjentach, kobietach w wieku 20–30 lat, które zniknęły w 1983 roku. Kiedy nie otrzymano od nich żądanej odpowiedzi, polecenie przesłano również do sąsiednich obwodów. Tożsamość ofiary udało się ustalić dzięki odpowiedzi z obwodu wołgogradzkiego.

19) Ludmiła Kuciuba, 24 lata, bezdomna matka dwójki dzieci, zabita w lipcu 1983 roku.

Do 1983 roku Ludmiła mieszkała z matką w odległości 400 kilometrów na zachód od Szacht – w Wołgogradzie. W dzieciństwie przeżyła straszny wypadek, podczas którego mocno uderzyła się w głowę – od tamtej chwili była niepełnosprawna umysłowo i rejestrowana w tamtejszym szpitalu psychiatrycznym. Nie przeszkodziło jej to w urodzeniu dwójki dzieci.

Latem 1983 roku zabrała je, żeby pokazać im jedno z głównych miejsc bitwy stalingradzkiej lat 1942–1943 – Kurhan Mamaja. Znajduje się na nim szereg pomników, z których najsłynniejszym jest 85-metrowa statua kobiety z otwartymi ustami i z mieczem – „Matka Ojczyzna Wzywa!”. Tam Ludmiła zostawiła swoje dzieci i zniknęła. Los zdecydował, że rok później jej ciało znaleziono daleko od domu.

Minęły dwa tygodnie. Tym razem przykra wiadomość przyszła z Nowoszachtyńska. Ofiarą maniaka znów stał się

mały chłopiec.

I tym razem pojawił się pierwszy dowód – sporządzono rysopis potencjalnego mordercy. Był widziany i został zapamiętany przez wiele osób.

10-letni Dima Ptasznikow, w odróżnieniu od poprzednich ofiar maniaka, pochodził z dobrej rodziny. W domu panował porządek, miał kochających go mamę, tatę oraz dziadków. Chodził do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Najbardziej na świecie lubił zbierać znaczki. Kontaktował się z innymi filatelistami w mieście, często się z nimi spotykał, wymieniał się znaczkami oraz wiadomościami ze świata filatelistyki.

W dniu swojego zaginięcia, 24 marca, Dima nad ranem kupił w kiosku obok dworca autobusowego książkę o swoim ulubionym hobby. Na jej zakup dziecko długo zbierało pieniądze. Brakującą kwotę do spełnienia marzenia wnuka dołożył dziadek, więc mały Dima nie mógł się doczekać, by wziąć książkę do rąk. Usiadł na dworcu, żeby ją przekartkować. Wtedy podszedł do niego jakiś dobrze wyglądający mężczyzna. Z teczką, w krawacie, w okularach. Powiedział, że też lubi znaczki, ma wielką kolekcję i z chęcią pokaże ją Dimie...

Dzieci przecież tak łatwo oszukać, a tu jeszcze bratnia dusza – filatelista... Czy ktoś taki może stanowić jakiegokolwiek zagrożenie? Wyleciały z głowy wszystkie ostrzeżenia rodziców, by nie rozmawiać z nieznajomymi, niezależnie od tego, jak porządnie i uczciwie wyglądają. A już tym bardziej nigdzie z nimi nie chodzić...

Dima i nowy znajomy umówili się, że o 18:30 spotkają się w tym samym miejscu i pojedą do jego domu. Pojechaliby natychmiast, ale Dima obiecał mamie, że wróci na obiad.

Wieczorem o 18:00 chłopiec pożegnał się z mamą, powiedział, że idzie na spacer.

Dima nie wrócił.

Rodzice biegali po wszystkich lokalnych podwórkach oraz zadzwonili do wszystkich znajomych syna. Tego samego dnia złożyli też zawiadomienie na milicji. Dimy szukano przez trzy dni. Trzeciego dnia go znaleziono. Spełnił się najczarniejszy scenariusz.

Chłopiec leżał w pasie leśnym wzdłuż drogi Nowoszachtyńsk-Szachty. Był przysypany ziemią i przykryty własnym płaszczem, twarz zasłonięta czapką, poniżej pasa nagi. Bardzo cierpiał przed śmiercią. 54 rany kłute w brzuch, serce, płuca, wątrobę, odcięty kawał języka oraz penisa. Uszkodzona odbytnica, duża ilość spermy należącej do osoby z IV grupą krwi.

20) Dmitrij Ptasznikow, 10 lat, zabity 27 marca 1984 roku w Nowoszachtyńsku.

Jak wspomniano, w dniu zaginięcia widziany był na ulicy w towarzystwie mężczyzny przez sąsiadów i licznych znajomych. Twierdzili oni, że Dima siedł z obcym mężczyzną, miło gawędząc, i nic nie wskazywało na to, że chłopak siedł z nim pod przymusem. Wręcz przeciwnie, dziecko było tak zachwycone rozmową, że nikogo nie zauważało i nie witało się z kolegami ze szkoły.

Na podstawie ich zeznań stworzono portret pamięciowy:

Nieznany mężczyzna w wieku około 40 lat, wzrost powyżej średniego, chuda budowa ciała, garbiący się, wydłużona twarz, duży nos. Ubiór: futrzana czapka, stara, zniekształcona, rudego koloru. Długi jednorzędowy płaszcz, bez pasa, prosty krój, kolor ciemnoszary. Spodnie szare, bez mankietów, nieprasowane. Buty czarne, duże, z okrągłymi czubkami. Na twarzy okulary ciemnego koloru, produkcji radzieckiej. W rękach teczka z jedną rączką i zamkiem pośrodku.

Wśród innych wskazówek świadkowie zaznaczyli także, że okulary u podejrzanego z tyłu trzymały się na sznurku bądź gumce, a nogi stawiał on tak, jakby się nie zginały.

Maniak się nie uspokajał. 5 lipca 1984 roku w pasie leśnym w okolicy przystanku Sady kolei podmiejskiej, wzdłuż kolei Szachty-Kirpicznaja, został znaleziony zgniły trup dziewczynki w wieku 10-12 lat. Trzy tygodnie później, 27 lipca, kilkaset metrów dalej znaleziono zwłoki dorosłej kobiety, w wieku 30-35 lat, które również leżały tam przez dłuższy czas. Śledztwo wykazało, że to matka i córka. Wersja ta potwierdziła się podczas ekspertyzy. W końcu udało się ustalić tożsamości ofiar.

21) Swietłana Pietrosian, 10 lat, zabita 25 maja 1984 roku w Szachtach wraz z matką.

22) Tatiana Pietrosian, 29 lat. Zabita tego samego dnia i w tym samym miejscu, co córka.

Tatiana była rozwódką oraz samotną matką, co nie przeszkadzało jej znajdować się w centrum męskiej uwagi. Często chodziła na randki. Według słów matki Tatiany tamtego dnia też planowała spotkanie i miała zabrać ze sobą córkę. To ostatnie spotkanie z nieznanym mężczyzną skończyło się dla obu śmiercią.

25 lipca, czyli dwa dni przed znalezieniem zwłok Tatiany, w niechlubnej już słynnej okolicy 1131. kilometra kolei Moskwa-Rostów znaleziono ciało młodej kobiety z licznymi kłutymi ranami w obu oczodołach, lewym biodrze, w piersiach i pochwie. Jej macica została wycięta. Obok zwłok znaleziono kawałek papieru z adresem niejakiego Aleksieja Masalskiego.

Mężczyznę zabrano do aresztu w celu złożenia wyjaśnień. Ze słów Masalskiego wynikało, że jego żona była bardzo chora, on nie mógł stale być przy niej i postanowił wynająć pokój jakiejś dobrej osobie, aby w ramach opłaty od czasu do czasu posiedziała z małżonką. Dał ogłoszenie do gazety, na które odpowiedziała między innymi zabita 19-letnia Anna Lemieszewa. Zapytany, dlaczego się nie dogadali, stary Masalski ze wstydem przyznał, że oczekiwał od młodej niani nieco więcej niż zwykłej opieki nad małżonką. Nowa lokatorka miała również w swoisty sposób „troszczyć się” także o niego.

Jego mieszkanie przeszukano. W pracy poproszono o scharakteryzowanie Masalskiego. Opinie nie były dla aresztowanego korzystne – charakter widocznie miał paskudny. W skrócie charakterystyka brzmiała tak:

komunista, aktywista, zdyscyplinowany, lecz ze względu na jego osobowość uważamy, że mógł zabić – nie ręczymy za niego. Jednak niczego oprócz subiektywnego zdania kolegów nie udało się na Masalskiego znaleźć, więc po tygodniu niedoszłego casanovę wypuszczono do domu, żeby tłumaczył się przed żoną.

23) Anna Lemieszewa, zabita 19 lipca 1984 roku w Szachtach.

Następną ofiarę znaleziono również w parku Awiatorów, obok przedszkola Liesnaja Skazka (Leśna Bajka), niedaleko ruchliwej drogi. Był to 3 sierpnia. Kilka osób podczas przesłuchań powiedziało, że słyszeli krzyk dochodzący od strony drzew, ale nie uznali tego za coś ważnego.

Zwłoki były przysypane liśćmi, usta ofiary wypchane ziemią, widocznie maniak nie chciał, żeby jego nowa ofiara krzyczała.

24) Natalia Gołosowskaja, 16 lat, zabita 2 sierpnia 1984 roku w Rostowie.

Tydzień później, 10 sierpnia, w przeciwległej części miasta znaleziono kolejne zwłoki młodej kobiety. Tym razem miejsce było ciche. Maniak zabijał swoją nową ofiarę powoli – 39 ciosów nożem, zmasakrowana pierś, rozerwany brzuch. Morderca odciął dolną wargę i wsadził ją ofierze w usta.

25) Ludmiła Aleksiejewa, 17 lat, zabita 7 sierpnia 1984 roku w Rostowie.

Luda przyjechała do brata, 27-letniego Władimira Kulewackiego, i prawie od razu zniknęła.

Dwa dni później w zachodniej części Rostowa znaleziono zwłoki 13-letniego chłopca.

26) Dmitrij Iłłarionow, zabity 10 lipca 1984 roku w Rostowie.

Jeszcze półtora tygodnia później, 26 sierpnia, pod Rostowem, w pobliżu wsi Bagajewski, znaleziono zwłoki młodej kobiety.

27) Jelena Bakulina, 21 lat, zabita w lipcu 1984 roku.

Trzy dni później, 29 sierpnia, w Rostowie zgłoszono zaginięcie 11-letniego Aleksandra Czepiela. Ostatni raz widziano go wraz z kolegą na przystanku autobusowym w Rostowie, przy prospekcie Woroszylskim, obok kina Burewiestnik (Petrelec). Właśnie skończyli oglądać film, wyszli z kina i się pożegnali.

Ciało chłopca znaleziono 2 września w zachodniej części miasta, w pasie leśnym. Chłopak został uduszony i zgwałcony. Narząd płciowy był amputowany, ciało w kilku miejscach opalone zapalnikami, język posiekany.

28) Aleksandr Czepiel, 11 lat, zabity 28 sierpnia 1984 roku w Rostowie.

Tydzień później, 7 września, kolejne zwłoki w parku Awiatorów. Liczne rany zadane nożem w brzuch, pierś i szyję. Macica wycięta, odcięte sutki.

29) Irina Łuczinskaja, 24 lata, zabita 6 września 1984 roku w Rostowie.

Trzy dni później, 9 września, znaleziono zwłoki młodej kobiety, które leżały już od kilku miesięcy.

30) Swietłana Cana, 20 lat, zabita w Rostowie prawdopodobnie w lipcu 1984 roku.

Po którymś z tym zabójstw morderca postanowił zrobić sobie przerwę, która trwała rok.

POWRÓT

Tu, korzystając z przerwy, trzeba powiedzieć kilka słów o pracy milicji. Przecież nie tylko siedziała, liczyła trupy i biła podejrzanych. Taka ocena byłaby co najmniej niesprawiedliwa. Nie, milicja pracowała. Należy jednak pamiętać o dwóch istotnych kwestiach. Po pierwsze, maniak nie pozostawiał po sobie żadnych śladów – żadnych dowodów, świadków, nikt nie przeżył ataku mordercy (w tamtych latach nie można było nawet z całą pewnością stwierdzić, kto z długiego spisu ofiar rostowskich bandytów stanowił ofiarę maniaka – i czy właśnie maniaka, a nie maniaków). Po drugie, co to były za czasy...

W zdesperowanym, biednym, rozpitym, przestępczym, dzikim społeczeństwie, jakim stało się społeczeństwo radzieckie pod koniec istnienia ZSRR, liczba praworządnych profesjonalistów pracujących w milicji, prokuraturze i sądach gwałtownie spadła. Wiadomo przecież – jakie społeczeństwo, takie organy ścigania. Lata 80. ubiegłego wieku upłynęły pod znakiem braku wszystkiego dla przeciętnego człowieka radzieckiego – nie tylko towarów, ale również odpowiedzialności,

sprawiedliwości i praworządności. Gwałtownie osłabły instytucje władzy. Funkcjonariusze mocniej zaczęli wykorzystywać swoje uprawnienia, mundur oraz legitymacje do własnych celów: fabrykowano sprawy karne, dochodziło do wymuszeń, przyjmowano łapówki i współpracowano z kryminalistami.

Próbując złapać rostowskiego maniaka w miejscach dokonanych zabójstw, takich jak park Awiatorów i odcinek pomiędzy 1126. oraz 1131. kilometrem kolei Moskwa-Rostów, rozstawiono pułapki. Byli to funkcjonariusze, którzy urządzali zasadzki: patrole ubrane po cywilnemu udające bezdomnych, sportowców, zakochane pary, handlarzy ulicznych. Niektórzy udawali chorych psychicznie. Milicja miała na oku dworce kolejowe i autobusowe, przystanki, pasy leśne wzdłuż dróg wylotowych z Rostowa – wszystkie potencjalne miejsca, które zgodnie ze sposobem działania nieznanego seryjnego mordercy mogły stać się miejscami nowych zabójstw. To znaczy, tak miało to wyglądać. Niejednokrotnie bowiem stróże prawa lekceważyli swoje obowiązki – nie było ich tam, gdzie mieli się znajdować. A potem w miejscu, które miało być obserwowane, znajdowano zwłoki. Tak stało się na przykład w przypadku Natalii Gołosowskiej.

Opisując pracę milicji, z perspektywy czasu, można powiedzieć, że szukając maniaka, sprawdzono około 200 000 (!) osób. To prawie cała ludność Szacht. Od wszystkich pobrano krew do analizy i sprawdzono alibi. Wszyscy znajdowali się w jednej kategorii podejrzanych: kierowcy

autobusów i ciężarówek, właściciele samochodów, kolejarze (ponieważ maniak dokonywał zabójstw w różnych miejscach, często w pobliżu drogi lub kolei, znaczy to, że miał prywatny bądź służbowy samochód, a może pracował w transporcie), lekarze, chirurdzy, pracownicy kostnic, rzeźnicy (sprawca posługiwał się nożem, usuwał organy i prawdopodobnie znał się na anatomii), weterani wojny w Afganistanie, byli i czynni funkcjonariusze milicji i prokuratury, recydywiści (sprawca dokonywał zabójstw ze szczególnym okrucieństwem, nie zostawiał dowodów, był zawsze krok przed śledczymi), nauczyciele, homoseksualiści, pedofile (ofiarami nieraz padały dzieci obojga płci, a przestępstwa miały podłoże seksualne). Kiedy w 1984 roku morderstwa ustały, milicja wzięła się również za zakłady karne – maniak mógł dać się złapać na jakiejś drobnostce, aby przeczekać rozgłos. A może się przeprowadził lub przeniesiono go służbowo? Śledczy wzięli się więc za osoby, które zmieniły rostowski meldunek na inny.

W trakcie poszukiwań maniaka rozwiązane zostały 1062 sprawy, w tym 95 zabójstw, 245 gwałtów, 140 ciężkich uszczerbków na zdrowiu. Wśród licznych przestępców schwytano także Konstantyna Czeremuchina – maniaka ze 100-tysięcznego miasta Batajsk, położonego w odległości 20 kilometrów na południe od Rostowa, którego nazwano sobowtórem Radzieckiego Kuby Rozpruwacza. Z jego rąk zginęły 4 młode kobiety i dziewczynki. Sposób zabójstw był prawie taki sam jak u nieznanego Potwora Rostowskiego:

liczne rany klute, zmasakrowane ciała, usunięte narządy płciowe. Istniały też jednak różnice: batajski zabójca w dwóch przypadkach wrzucił ciała swoich ofiar do wody, usiłując zatrzeć ślady; jedną zabił nie nożem, lecz śrubokrętem. Podczas poszukiwania ofiar sobowtór używał własnego samochodu. Proponował samotnie idącej kobiecie podwiezienie, dokonywał morderstwa, a potem okradał zwłoki. Potwór Rostowski w ten sposób nie postępował – motyw materialny nie odgrywał u niego żadnej roli. Pieniądze i kosztowności pozostawały przy zwłokach.

Żeby chociaż w przybliżeniu zrozumieć, kogo należy szukać, milicja poprosiła o pomoc psychiatrów. Dzisiaj można powiedzieć, że wśród licznych osób, które próbowały sporządzić portret psychologiczny mordercy, najbliższy rzeczywistości był kandydat nauk³⁷ medycznych Aleksander Buchanowski, docent katedry psychiatrii Rostowskiego Państwowego Instytutu Medycznego. Zbadawszy okoliczności morderstw, pozycje, w których znajdowano ofiary, sposób zabijania itp., umieścił on na 85 stronach maszynopisu opis potencjalnego mordercy, który można by streścić następująco: *Wiek – około 40, wzrost – 170–181 cm, nie rzuca się w oczy, zamknięty, fascynuje się horrorami. Chorobliwy. Niesilny. Chroniczne choroby układu pokarmowego. Raczej żonaty, chociaż zdecydował się na małżeństwo późno. Wykształcenie średnie techniczne bądź wyższe. Charakter pracy pozwala na wyjazdy, np. w zaopatrzeniu. Nie homoseksualista. Nie schizofrenik. Psychopatą został na gruncie zmiany charakteru.*

Buchanowski zaznaczał, że przestępca to nekrosadysta. Widok krwi i zadawanie ran pomagają mu zaspokoić się seksualnie. Oczy wykłuwał ofiarom nie dlatego, że się bał, że jego postać odbiła się w czyichś oczach, więc później będzie można odczytać konkretny obraz (to przekonanie było słynne wśród niezbyt inteligentnych morderców), lecz dlatego, że nie potrafił znieść spojrzenia swoich ofiar. Jeśli głowy ofiar były skierowane policzkiem do ziemi, jedno oko pozostawało nietknięte. Swoje ofiary, według Buchanowskiego, maniak prowadził na miejsce zabójstwa pod pretekstem, który nie budził niczych wątpliwości. Dlatego na ziemi nie było śladów walki. Jeśli pretekst nie działał, maniak wycofywał się i szukał kolejnej potencjalnej ofiary. Fakt, że wśród ofiar trafiali się chłopcy, psychiatra tłumaczył pragnieniem zemsty za poniżenie, którego morderca doświadczał w dzieciństwie ze strony rówieśników.

Maniak musiał być słaby nie tylko fizycznie, ale również z męskiego punktu widzenia. W trakcie zadawania licznych ran kłutych nóż w jego umyśle odgrywał rolę narządu płciowego. Jednak przestępca, według opinii Buchanowskiego, nie był opóźniony umysłowo. To, że z wyglądu potencjalny maniak miał niczym się nie różnić od zwykłego radzieckiego szaraczka z pracą, domem, żoną i dziećmi, dało mu jedno z przezwisk – Obywatel X.

Tymczasem nadeszło lato 1985 roku.

3 sierpnia znaleziono zwłoki młodej kobiety z charakterystycznym i już nieco zapomnianym rysem

zabójstwa: usunięte sutki, rozerwany brzuch, wycięta macica, usta wypchane liśćmi i trawą, 38 ran kłutych. Żeby nie było lekko, zwłoki zostały znalezione w... obwodzie moskiewskim, w okolicach lotniska międzynarodowego Domodiedowo, pod wsią Wostriakowo – 1. Ofiara – lokalna dziwaczka, trochę niedorozwinięta umysłowo, co nie przeszkadzało jej pić i często wchodzić w relacje z mężczyznami. Lubiła jeździć koleją podmiejską od rana do nocy. Konduktorzy nieraz musieli ją wypraszać. Znaleziono ją w pobliżu przystanku kolei podmiejskiej „Awiacjonna” (Lotniskowa).

31) Natalia Pochlistowa, 18 lat, zabita pod Moskwą 31 lipca 1985 roku.

29 sierpnia 1985 roku, gdy zastanawiano się jeszcze, czy moskiewskie zabójstwo ma coś wspólnego z rostowskimi, w Szachtach zostały znalezione kolejne zwłoki młodej kobiety. I już na pewno można było stwierdzić: maniak powrócił.

32) Iniessa Gulajewa, 18 lat, zabita w Szachtach 27 sierpnia 1985 roku.

Ta osoba w pełni wpisywała się w typ osobowości, na który polował nieznany seryjny morderca. Od 12. roku życia Inessa współżyła płciowo, po ósmej klasie rzuciła szkołę, w kwietniu 1985 roku, czyli dwa miesiące przed swoją śmiercią, uciekła z domu. Dużo piła. Niedługo przed zabójstwem została wypuszczona z aresztu, gdzie przebywała profilaktycznie przez trzy dni za włóczęgostwo³⁸ – z nakazem natychmiastowego powrotu do domu, do wsi

Otradnoje, w odległości 50 kilometrów na wschód od Rostowa, i znalezienia pracy.

Jej zwłoki znaleziono bez ubrań, koło przystanku autobusowego, blisko pasu leśnego. Gulajewa została uduszona. Usta wypchane były ziemią.

I tu znów nastąpiła dziwna i tym razem bardzo długa cisza. W obwodzie rostowskim przez całe 3 lata, do 1988 roku, nie doszło do morderstwa, które dałoby się powiązać z nieznanym maniakiem.

Jednocześnie w listopadzie 1985 roku poszukiwanie rostowskiego maniaka sięgnęło szczytów władzy Związku Radzieckiego. W Moskwie odbywały się narady milicyjne poświęcone tylko i wyłącznie sytuacji w obwodzie rostowskim. Brał w nich udział prokurator generalny ZSRR, rzeczywisty państwowy radca sprawiedliwości Aleksander Riekunkow, prokurator RFSRR, państwowy radca sprawiedliwości 2. rangi Siergiej Jemieljanow, minister spraw wewnętrznych ZSRR, generał armii (tak, człowiek ze stopniem wojskowym na czele resortu spraw wewnętrznych) Witalij Fiedorczuk i inne ważne postacie z dużymi gwiazdami na naramiennikach i w patkach. Nieraz podobne zgromadzenia otwierano słowami: *Towarzysze, sprawa „Liesopołosa” znajduje się pod kontrolą wszystkich najwyższych instancji, w tym w KC KPZR. W kraju nie ma ważniejszej sprawy niż „Liesopołosa”.*

Pod koniec 1985 roku do Rostowa skierowano śledczego do spraw szczególnie ważnych prokuratury

RFSRR, starszego radcę sprawiedliwości³⁹ Issę Kostojewa, który przejął kierownictwo nad „Liesopołosą”.

Issa Kostojew urodził się w 1942 roku w Inguszetii. Jego rodzina wraz z małym Issą została podczas represji stalinowskich wysłana w kazachskie stepy. W ojczyźnie z przymusu ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie im. Kirowa w Ałma-Acie. Później wrócił do swojej prawdziwej ojczyzny na Kaukazie i zaczął pracować w organach prokuratury. W 1974 roku doszedł do centrali – prokuratury RFSRR. Za aresztowanie kilku niebezpiecznych przestępców, w tym „Smoleńskiego Dusiciela”, Władimira Storożenki, Kostojew został odznaczony kilkoma orderami, w tym Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, i był uważany za jednego z najlepszych śledczych ZSRR.

To właśnie pod jego kierownictwem został złapany najbardziej krwawy maniak w historii Związku Radzieckiego.

Powrotem rostowskiego seryjnego mordercy w 1988 roku stało się morderstwo młodej kobiety w około 40-tysięcznej miejscowości o nazwie Krasny Sulin – miasteczku położonym w odległości 60 kilometrów na północ od Rostowa. Zwłoki znaleziono 8 kwietnia 1988 roku w pobliżu zakładu budowy konstrukcji metalowych, który znajdował się obok linii kolejowej. Trup był całkowicie nagi, ofiara otrzymała kilkadziesiąt ciosów nożem w okolicy głowy oraz szyi.

33) Nieznana, 22-30 lat, zabita prawdopodobnie w kwietniu 1988 roku w Krasnym Sulinie.

Dwa dni później, 10 kwietnia, chłopcy bawiący się w lesie koło stacji „Lieschoz” znaleźli pomiędzy Szachtami a Krasnym Sulinem szkielet, sądząc po rozmiarach, ich rówieśnika. Dzieci wezwały milicję. Ustalenie tożsamości okazało się nietrudne – w ziemi obok zwłok znaleziono zgniłą gramotę pochwalną na cześć Jewgienija Muratowa. Poszukiwano go już od 9 miesięcy. Ręce trupa były związane, ofierze zadano 30 ciosów nożem.

34) Jewgienij Muratow, 15 lat, zabity 14 lipca 1988 roku pod Krasnym Sulinem.

Następnie nastąpiła przerwa na kolejny rok.

9 marca 1989 roku na komisariat milicji w Szachtach przyszedł tutejszy bezdomny. Z jego słów wynikało, że zbierał butelki w okolicy dworca kolejowego i w jednej z dużych rur kanalizacyjnych na terenie dworca znalazł duże torby. Myśląc, że może być w nich coś, co można by sprzedać, zajrzał do nich. Sukces – ciepły dres! Tu kurtka, a tam spodnie. Mimo że nadchodziła wiosna, noce bywały bardzo zimne. Bezdomny chciał przymierzyć ubrania, rozwinął je, żeby założyć, a potem rzucił je z powrotem i z krzykiem pobiegł na komisariat. Okazało się, że w dres owinięto głowę, tułów i nogi młodej kobiety.

35) Tatiana Ryżowa, 16 lat, zabita 8 marca 1989 roku w Szachtach.

Historia Tatiany podobna jest do wielu poprzednich ofiar: trudna nastolatka. Porzuciła szkołę (było to znów

PTU), uciekła z domu, prowadziła aktywne życie seksualne, piła alkohol, brała narkotyki, dopuszczała się kradzieży.

Dwa miesiące później ofiarą znów stało się dziecko. 11 maja 8-letni Aleksander Djakonow powiedział rodzicom, że idzie na spacer. Już z niego nie wrócił. Jego rodzice tego samego dnia zawiadomili milicję. Ich syna znaleziono dwa miesiące później, 14 lipca 1989 roku, w samym centrum Rostowa. Zwłoki leżały w krzakach na skwerze przy skrzyżowaniu ulic Nansena oraz Szeboldajewa. Ten malutki skwer ludzie zwykle omijali – zbyt intensywny ruch, żadnej przyjemności z oddychania dymem z samochodów i słuchania klaksonów. Ojciec chłopaka nie zniósł utraty syna i niedługo po pogrzebie dziecka powiesił się.

36) Aleksander Djakonow, 8 lat, zabity 11 maja 1989 roku w Rostowie.

1 września 1989 roku w pobliżu wsi Krasnoznamienka, w odległości 30 kilometrów na północ od Rostowa, znaleziono ciało 18-letniej studentki, która przyjechała wraz z 2-letnim synem studiować hodowlę zwierząt w niedalekim Nowoczerkasku. Piersi oraz macica zostały usunięte, a z twarzy zdjęto skórę.

37) Jelena Warga, zabita 19 sierpnia 1989 roku pod Krasnoznamienką.

Więcej zwłok w 1989 roku w okolicach Rostowa nie znaleziono.

Wiele pojawiło się jednak w 1990 roku.

Był to ostatni rok działania rostowskiego maniaka.

OSTATNIE MODERSTWA

19 lutego 1990 roku w Szachtach, w pasie leśnym, znaleziono ciało z 17 ranami kłutymi. Okazało się, że to zwłoki 11-letniego Andrieja Krawczenki, który zniknął miesiąc wcześniej. 14 stycznia udał się do klubu sportowego. Ostatni raz był widziany około 14:00, kiedy wyszedł z budynku.

38) Andriej Krawczenko, 11 lat, zabity 14 stycznia 1990 roku w Szachtach.

Dwa tygodnie później, 8 marca, w rostowskim ogrodzie botanicznym znaleziono kolejne ciało chłopaka. Zwłoki zmasakrowane. Ciało nagie od pasa w dół. 56 ran kłutych w twarz, pierś oraz brzuch. Sprawca usunął niektóre organy. Ponadto narząd płciowy i kawałek języka zostały odcięte. Doszło także do gwałtu.

39) Jarosław Makarow, 11 lat, zabity 7 marca 1990 roku w Rostowie.

Jarosław często po szkole chodził na dworzec i zebrał u podróżnych na papierosy. Właśnie tam widziano go niedługo przed śmiercią.

Kilkanaście tygodni później, 28 czerwca, pani Pietrowa wraz z trójką dzieci, z których najstarszy był 13-letni Wiktor, około godziny 2:00 nad ranem przyjechała autobusem do Rostowa ze wsi Obliwskaja, gdzie przebywała z wizytą u jeszcze jednego swojego syna. Za kilka godzin Pietrowowie mieli złapać pociąg do domu, do wsi Nieswietajewska. Po dotarciu na dworzec kolejowy najmłodszy powiedział, że chce im się pić. Wiktor stwierdził,

że pójdzie i poszuka wody. Kiedy minęło pół godziny, a syn wciąż nie wracał, zaniepokojona matka zostawiła młodszych i poszła szukać chłopca...

Jego zwłoki znaleziono miesiąc później w rostowskim ogrodzie botanicznym.

40) Wiktor Pietrow, 13 lat, zabity 28 czerwca 1990 roku w Rostowie.

Jeszcze sześć tygodni później, 17 sierpnia, w gęstym sitowiu wzdłuż rzeki, w pobliżu plaży pod Nowoczerkaskiem, około 40 kilometrów na północny wschód od Rostowa znaleziono zwłoki 11-letniego Iwana Fomina. Trzy dni wcześniej jego matka zgłosiła zaginięcie syna. Mały Iwan 14 sierpnia około 13:00 poszedł do babci i nie wrócił. Ustalono, że faktycznie Wania był widziany obok domu swojej babci, jednak jej nie zastał. Potem poszedł na plażę.

Zmasakrowane ciało chłopca było nagie, z 45 ranami kłutymi.

41) Iwan Fomin, 11 lat, zabity 14 sierpnia 1990 roku w Nowoczerkasku.

Następnie 24 sierpnia, w okolicy stacji Lieschoz pod Krasnym Sulinen znaleziono trupa kobiety. Leżał tu już od kilku miesięcy.

42) Lubow' Zujewa, 31 lat, zabita 4 kwietnia 1990 roku pod Krasnym Sulinem.

30 października, ponownie w pobliżu stacji Lieschoz, znaleziono zwłoki 16-letniego Wadima Gromowa. Były nagie, przysypane liśćmi. Kawałek języka odcięty, oko

wyklute, narząd płciowy posiekany, jądra zmiażdżone, miało miejsce mocne uderzenie w głowę, 27 ran kłutych. Ostatni raz widziano go w pociągu z Szacht do Krasnego Sulina.

43) Wadim Gromow, 16 lat, zabity 16 października 1990 roku pod Krasnym Sulinem.

3 listopada, w pasie leśnym wzdłuż 1128. kilometra kolei Moskwa-Rostów, odnaleziono kolejne ciało. Zwłoki odkryli grzybiarze. Do tego zabójstwa mogło nie dojść. Jako że w tej okolicy znaleziono już kilka trupów, obszar miał być obserwowany przez patrole milicyjne... Niestety ściągnięto je niedawno i posłano do Nowoczerkaska, ponieważ brakowało tam ludzi do patrolowania ulic.

Wokół widać było ślady walki, w odległości około 300 metrów od zwłok znaleziono szkolny tornister.

44) Wiktor Tiszczenko, 16 lat, zabity 30 października 1990 roku w Szachtach.

Patrole i posterunki obserwacyjne znów zostały na tym terenie obsadzone i wzmocnione. Ze względu na gust mordercy pojawiły się także pułapki – młode funkcjonariuszki udawały pijanych bezdomnych i jeździły po Rostowie transportem publicznym. Pilnowali ich koledzy.

Jednak 13 listopada 1990 roku znaleziono kolejne zwłoki, tym razem młodej kobiety, lokalnej prostytutki. Znów w lesie obok stacji „Lieschoz”. Tuż obok miejsca, w którym 10 dni wcześniej znaleziono Gromowa. U kobiety kawałek języka został odgryziony, tak samo jak sutki. Brzuch rozkrojony, macica usunięta.

45) Swietłana Korostik, 22 lata, zabita 6 listopada 1990 roku pod Krasnym Sulinem.

Kostojew wrzeszczał:

– Jak, do cholery! ? Wszystko było obsadzone!

Podwładni się tłumaczyli – wszyscy byli na miejscach, obserwatorzy przebywali w terenie dzień i noc. Nikt nie mógł przejść obok nich niezauważony. A to znaczy, że przebrani milicjanci musieli widzieć zabójcę. Sięgnięto po meldunki od obserwatorów w okresie od 30 października do 13 listopada.

Wśród licznych raportów patrolowych najciekawszy był meldunek od sierżanta Iwana Rybakowa z 6 listopada, z dnia, kiedy zabito Korostik, o jakimś dziwnym grzybiarzu.

DZIWNY GRZYBIARZ

We wtorek 6 listopada 1990 roku Rybakowowi wypadło wczesnym rankiem zastępstwo na dyżurze w ramach operacji „Liesopołosa” na stacji Lieschoz. Był to bardzo ważny odcinek – na tym obszarze niedawno dokonano morderstwa. Dzień od razu zaczął się niedobrze – drugi milicjant, który miał towarzyszyć Rybakowowi, z jakiegoś powodu się nie zjawił. Zrobiło się bardzo zimno i zaczął wiać mocny wiatr. Pociągi zatrzymywały się tu nieczęsto i przewijało się niewielu ludzi. Prawie nie było kogo obserwować. Podstawową kategorią osób, które pojawiały się w tym miejscu od czasu do czasu, byli grzybiarze.

Właśnie oni, w oczekiwaniu na pociąg, rozpalili obok platformy ognisko. Sierżant do nich dołączył. W cieple i przy pogawędce dyżur przebiegł szybciej. Nadeszła 14:00 – niedługo ktoś powinien zmienić Rybakowa. Do grupy przy ognisku stale dołączali inni poszukiwacze smacznych grzybów, żeby ogrzać się i zapytać: „No co, dużo nazbieraliście?”. Kto jeszcze mógł chodzić po lesie w ten zimny, listopadowy dzień?

Tymczasem z lasu wyłonił się wysoki mężczyzna. Zgarbiony, siwe włosy, z opatrunkiem na jednym palcu, ze świeżymi zadrapaniami na twarzy, wyglądało, jakby turlał się po ziemi: na kurtce i spodniach widać było brud zmieszany z liśćmi. Nieznajomy wymył brudne buty koło pompy i dołączył do grzybiarzy miłym przywitaniem. Ale to, co najbardziej zdziwiło sierżanta, to ekwipunek mężczyzny: na jego ramieniu wisiała torba sportowa. Jeśli to grzybiarz, a inni tu nie chodzą, to bardzo głupi – przecież wszystkie grzyby w miękkiej torbie szybko zgniotą się na miazgę. Wszyscy mają koszyki... a tu tego... A więc to nie grzybiarz... To w takim razie kto to i co on robił w lesie? Miejscowi ze swojej wsi do platformy chodzili wzdłuż drogi...

Kiedy podejrzany mężczyzna odszedł od ogniska, Rybakow podszedł do niego:

– Obywatelu! – Otworzył legitymację. – Sierżant Rybakow, dokumenty poproszę.

Siwy pogrzebał nerwowo po kieszeniach i unikając spojrzenia, okazał paszport wewnętrzny. Milicjant zaczął

pytać dziwnego obywatela:

– Dlaczego w środku dnia nie jest pan w pracy? Jak się pan znalazł w lesie i co pan tam robił?

Siwy odpowiedział, że ma dziś wolne, był u kolegi w Szachtach, a po lesie spacerował. Stąd te zadrapania i niechlujny wygląd – pośliznął się i przewrócił się w krzakach.

Sierżant nie miał więcej powodów do zatrzymywania i puścił dziwnego mężczyznę. Akurat nadjeżdżał pociąg i grzybiarz pośpiesznie się oddalił.

Jednak funkcjonariusz zapamiętał dane i złożył raport o podejrzanym obywatelu. Raport przeczytał Kostojew. Pamiętając, że w tej okolicy tego samego dnia zabito Korostik, chciał dowiedzieć się więcej o tym człowieku.

Podwładni donieśli, że osoba ta była już aresztowana i znajdowała się w opracowaniu śledztwa w ramach operacji „Liesopołosa” – 6 lat temu, w 1984 roku.

DUCH Z PRZESZŁOŚCI

Kapitan milicji Aleksander Zanosowski wraz ze swoim kolegą Szejch-Achmedem Achmatowem należeli do tych, którzy wbrew duchowi czasów pozostali wierni obowiązkowi. Otrzymali zadanie, by obserwować jeden z rostowskich dworców autobusowych – Prigorodny (Podmiejski), akurat ten, na którym przez dwa dni mieszkała Natalia Szałopinina.

Wieczorem 13 września 1984 roku ubrani po cywilnemu Zanosowski oraz Achmatow rozpoczęli dyżur. Podczas rutynowego obejścia terenu zwrócili uwagę na człowieka, którego widzieli już wcześniej kilka razy. Stale zaczepiał młode kobiety – w mało szarmancki sposób próbował nawiązać kontakt, gapił się na tłum, jakby kogoś szukał, krążył bez wyraźnego celu po budynku dworca, stał koło kas, bufetu, kolejek, platform, sklepów, krzeseł, bez przerwy się rozglądał, to szedł powoli, to przyśpieszał. Nie wyglądał na kogoś, kto czeka na autobus lub na przyjazd bliskich. Funkcjonariusze postanowili go obserwować. Tym bardziej że jego wygląd – około 180 centymetrów wzrostu, chuda budowa ciała, około 40 lat, okulary oraz teczka – pasował do rysopisu przekazanego funkcjonariuszom po zabójstwie Dimy Ptasznikowa.

Obserwowany w końcu wyszedł z dworca i wsiadł do autobusu na lotnisko. Po trzech przystankach wysiadł i złapał trolejbus w powrotnym kierunku. Funkcjonariusze podążyli za nim. Podczas podróży obserwowany nie przestawał kręcić głową i zaczepiać kobiet. Najpierw długo patrzył na głęboki dekolt jednej z panienek. Potem zbliżył się do niej bardzo i jakby nie było miejsca w tym tłoku, zaczął się o nią ocierać. Później leciutko, jakby przez przypadek, dotykać jej nogi. Następnie, już bez skrupów, chwycił ją za udo. Kobieta podniosła krzyk, rozpoczęła się awantura. Będąc atakowany przez pozostałych pasażerów, mężczyzna udał się na drugi koniec pojazdu. Usiadł obok samotnej dziewczyny, próbował rozpocząć z nią rozmowę,

ale tamta wysiadła na następnym przystanku. Obserwowany wyskoczył za nią, ale już jej nie znalazł. Potem około piętnastu minut krążył koło grupki dam. W końcu je zostawił i zaczął bez wyraźnego celu chodzić po centrum miasta.

Zachowywał się jak zły szpieg, który chciał sprawdzić, czy jest obserwowany – oglądał się i kręcił głową. I nadal zaczepiał kobiety. Obok restauracji Centralny pogadał z podpitymi dziewczuszkami, one wzięły od niego papierosa, ale podeszli do nich także podpici faceci, którzy widocznie byli niezadowoleni z obecności nieznajomego, więc pan szybko się wycofał. Następnie usiadł na ławce i siedział około godziny. Wstał, mniej więcej dwadzieścia minut patrzył na śpiącą na ławce obok bezdomną, od której śmierdziało alkoholem oraz dawno niepranymi ubraniami. Popatrzył i poszedł dalej.

Zanosowski kontynuował śledzenie typka, natomiast Achmatow w tym samym czasie podchodził do młodych kobiet, z którymi przed chwilą rozmawiał obserwowany, i pytał, czego chciał mężczyzna. Historia wszędzie była taka sama: w sumie niewinne pytania, lecz dziwne, bo od nieznajomego. Człowiek ten pytał: a skąd pani, a którądy pani, a może pomóc w czymś, a chodźmy do mnie, chciał pokazać film na wideo. Jednak żadna nie chciała nawiązywać znajomości.

W końcu, po prawie trzech godzinach szlajania się w centrum, wsiadł do autobusu i pojechał na inny dworzec autobusowy – główny. Chodził po poczekalni, znów zbliżał

się do grupek kobiet, podsłuchiwał, o czym gawędziły. Z uśmiechem usiadł obok samotnej młodej kobiety, która czytała książkę:

- A pani dokąd? - zapytał.
- Do Mrozowska⁴⁰.
- Oj, co za przypadek, ja też!

Tu młodej kobiecie ta rozmowa wyraźnie zaczęła się nie podobać, bo wstała i usiadła znacznie dalej.

Zanosowski postanowił działać. Przysiadł się do kobiety, pokazał legitymację i poprosił o pomoc:

- Jeśli ten typek jeszcze raz do pani podejdzie, niech pani mu nie daje kosza, tylko na wszystko się zgadza.

Obywatelka okazała się dzielna i zgodziła się. Jednak podejrzany więcej nie podszedł. Usiadł na końcu sali i zasnął.

Milicjantom też bardzo chciało się spać, jednak przez kilka godzin kontynuowali śledzenie. Gdy podejrzany się obudził, była już 3:00 w nocy.

Po obudzeniu się typek wziął się za stare. Zaczął chodzić bez celu i zaczepiać panienki. Długo gapił się na śpiącą na walizkach rodzinę: tata, mama i dwie córki - nastolatki. U jednej pod spódnicą widoczna była bielizna. Wtedy obudził się ojciec i zauważył jakiegoś ciężko oddychającego pana gapiącego się z uśmiechem na półotwarte biodra jego dziecka. Zauważywszy na sobie wzrok dorosłego mężczyzny, tamten pośpiesznie się oddalił. Wrócił na miejsce, w którym przed chwilą spał.

Wkrótce okoliczności się zmieniły – teraz to do niego podeszła jakaś kobieta. Puszysta, z dużym biustem, którego nie ukrywała. Miała na sobie krótkie, obcisłe ubrania w złym guście, sporo taniego makijażu, pogniecioną fryzurę, ciągnęła się za nią woń wódki i tytoniu. Jasne – prostytutka. I to należąca do najniższej, taniej warstwy dworcowych bladzi. Szukała klienta.

Przez pięć minut o czymś gawędzili, kobieta położyła głowę między nogami obserwowanego, on zaś przykrył jej głowę marynarką. Całą tę konstrukcję następnie zasłonił teczką. Później, jak zaznaczył w raporcie Zanosowski: *uprawiali czynności charakteru jawnie seksualnego*.

Minuta, dwie obserwacji i milicjanci, patrząc na ową scenę, zauważyli, że coś jest nie tak. Wyglądało, jakby okularnik starał się zrobić swoje, ale... nie wychodziło mu. Panienka od czasu do czasu podnosiła głowę ze wzrokiem mówiącym: *w czym problem?*. W końcu, namęczywszy się, powiedział, że teraz nie może. Funkcjonariusze usłyszeli, jak umówili się, że spotkają się ponownie o 8:00, na Rynku Centralnym. Następnie oboje wstali i udali się do ubikacji. Każdy do swojej.

Zanosowski powiedział koledze:

- Przygotuj się, zaraz będziemy brać.

W tym czasie siwy wyszedł z dworca, wsiadł do tramwaju i wysiadł na prospekcie Budionnowskim. To centrum, blisko rynku. Pozostały jeszcze dwie godziny do spotkania z nową znajomą, obserwowany już jednak czekał w umówionym miejscu.

Kapitan podszedł do człowieka w okularach:

– Doigrałeś się, obywatelu, dokumenty!

Jak później wspomniał Zanosowski, nigdy wcześniej nie widział, żeby człowiek tak szybko się spocił: *On natychmiast zrobił się mokry*. Siwy drżącymi rękami podał mu swój paszport wewnętrzny.

Dane w paszporcie zawierały następujące informacje: odcisk pieczęci urzędu stanu cywilnego o rejestracji małżeństwa, dwójkę dzieci wpisanych do paszportu, narodowość: Ukraińiec, miejsce urodzenia: wieś Jabłocznoje, rejon wyłykopysariwski, obwód sumski, Ukraińska SRR. Miejsce pracy oraz meldunku: Szachty.

A także pełne imię: Andriej Romanowicz Czikałiło.

DRUGIE ARESZTOWANIE

Aresztowano go i przyprowadzono na komisariat. U Czikałiły w teczce znaleziono: brudny ręcznik, nóż kuchenny, puszkę wazeliny, mydło i dwa długie kawałki sznura. Była tam też legitymacja pozaetatowego funkcjonariusza milicji – dobrowolny pomocnik stróżów prawa oraz donosiciel na kolegów. Wyjaśnienia odnośnie do nietypowego zestawu przedmiotów brzmiały: *Pracuję w zaopatrzeniu, kartony często się rozpadają, więc wiążę je sznurem, nożem tnę te sznury, a wazeliny i ręcznika używam do golenia podczas wyjazdów służbowych*.

Mało kto w to uwierzył. Pobrano od niego krew do analizy... Na wypadek gdyby to był poszukiwany od dłuższego czasu morderca. Wynik dał II grupę.

Czikatiłę przetrzymano w areszcie 15 dni za nękanie kobiet w miejscach publicznych. Kiedy milicja uznała, że to nie zabójca – po otrzymaniu wyników badania krwi (był to wielki zawód dla milicjantów – a wszystko tak pasowało... no ale z analizą nic nie zrobisz) oddalono podejrzenia. Na tym historia w 1984 roku się skończyła.

Sześć lat później, kiedy ten człowiek znów znalazł się w polu uwagi milicji, w ramach rozpracowywania osobowości Czikałi jego zdjęcie pokazywano ludziom w okolicy stacji Lieschoz, tam, gdzie ostatnio znaleziono ofiary. Prezentowano też pasażerom i pracownikom kolei na platformie, na dworcu, w pociągach. Kilka osób zapamiętało tego siwego, chudego mężczyznę w okularach – dziwny, chamski, obłapiał kobiety, zaczepiał dzieci, niektóre brał za rękę i próbował siłą wyciągnąć z pociągu. Dzieci się wrywały i uciekały albo były ratowane z rąk napastnika przez innych pasażerów.

Zbyt dużo okoliczności wskazywało na to, że to może być poszukiwany od 12 lat seryjny morderca. Że 6 lat temu coś gdzieś zostało przeoczone.

Po naradach szefostwo postanowiło nie czekać, aż podejrzany znów zacznie atakować ludzi, by złapać go na gorącym uczynku, lecz zatrzymać go natychmiast. To było ryzykowne – twardych dowodów na Czikałi nie było.

Był wtorek, szary dzień 20 listopada, miasto Nowoczerkask. Andriej Czikałło, który przeniósł się jakiś czas temu z Szacht do byłej stolicy kozackiej, już od kilku dni znajdował się pod obserwacją. Zostały sprawdzone wszystkie jego dokumenty w lokalnym Komitecie Wykonawczym, Komisariacie Milicji oraz w miejscu pracy – Rostowskim Zakładzie Naprawy Lokomotyw Elektrycznych.

Czikałło od rana, jak należało, przebywał w pracy. W środku dnia jednak niespodziewanie wyszedł i udał się do szpitala. Po południu wrócił do domu. Przebrał się. Potem wziął pusty trzylitrowy szklany słoik i wyszedł z mieszkania. Chciał umilić sobie wieczór browarkiem. W różnych miejscowościach ZSRR tu i tam na ulicach ustawiano cysterny z piwem bądź kwasem, które można było wypić na miejscu lub wziąć ze sobą we własnym naczyniu. Do takiego właśnie zbiornika udał się śledzony. Czikałło ustawił się w niewielkiej kolejce do cysterny z pienistym napojem, nalewanym przez puszystą panią w białym fartuchu. Wziął pół słoika.

W drodze do domu zaczął zaczepiać jakiegoś chłopaka:

– Chodź ze mną do domu, coś pokażę, gumę do żucia dam, amerykańską!

Zagraniczna guma do żucia dla radzieckiego dziecka to był rarytas. Jak dla dziecka na początku lat 90. własny komputer w domu. Jedną gumę mogła żuć cała klasa: „Ty już miałeś, teraz moja kolej!”. Szczęściarzami byli ci rodzice, którzy wyjeżdżali za granicę, ponieważ zawsze przywozili ze sobą dla dzieci colę oraz gumę do żucia.

Jednak dziecko, które próbował skusić zagranicznym produktem Czikałło, pamiętało nakaz rodziców: „nie rozmawiaj z nieznajomymi”, i nie poszło z dziwnym panem. Inny chłopak, do którego podszedł Czikałło, dał się wciągnąć w rozmowę, ale zawołano go do domu na obiad. Podejrzany poczłapał więc w kierunku domu.

Podeszło do niego trzech:

- Andriej Romanowicz Czikałło?

Gdy zbierał myśli, z tyłu pojawiło się kolejnych trzech.

- Jest pan zatrzymany.

Była 15:40.

Kajdanki. Aresztowany nie stawiał oporu, nic nie powiedział, nawet się nie zdziwił. Wyraz twarzy mówił jakby: „no wreszcie”. Wzięto go pod ręce i wsadzono go do samochodu. Pojazd wjechał na drogę do Rostowa nad Donem.

Słoika z piwem Czikałło nie wypuścił z rąk.

W samochodzie z jakiegoś powodu powiedział:

- To jeszcze raz dowodzi, że nie warto kłócić się z szefostwem.

- Milczeć! - ryknął jeden z funkcjonariuszy.

Za kilka minut zatrzymany znów stwierdził:

- Nie warto kłócić się z szefostwem.

Gdy dojechali do Rostowa, Czikałłę od razu wzięto na przesłuchanie. Do zadawania pytań podejrzanemu zgromadziło się całe obwodowe naczelnictwo milicyjne: szef urzędu spraw wewnętrznych, prokurator obwodowy, jego zastępca, szef biura medycyny sądowej oraz bohater

tej historii – szef brygady śledczej prokuratury RFSRR, Issa Kostojew.

W chwili aresztowania u Czikałiły znaleziono: metr sznura, scyzoryk, gazetę i lustro.

Pytania, okazania, eksperymenty procesowe. Mijał dzień za dniem. Przeszukano mieszkanie Czikałiły. Jego lokum niczym nie różniło się od miejsca zamieszkania zwykłego homo sovieticus. Zwyczajna szara radziecka nędza. W rogu mieszkania stał mały czarno-biały telewizor, główne pożywienie stanowiły ziemniaki z kapustą. Będąc w areszcie i porównując go ze swoim mieszkaniem, Czikałiła nazywał swoje nowe miejsce przebywania za kratami kurortem. Przy okazji – w lokalu mężczyzny znaleziono 23 noże.

Czikałiłę osadzono w areszcie KGB. Taki środek ostrożności był konieczny – istniało podejrzenie, że jeśli podejrzany zostanie umieszczony w celi na milicji, jacyś krewni ofiar przekupią funkcjonariuszy, żyjących z nędznej pensji okresu upadku ZSRR, i pewnego dnia znajdą mężczyznę powieszzonego w celi. W bezpieczeństwie było pewniej. Co więcej, Kostojew bał się również, że milicjanci dopuszczą się wobec podejrzanego rękoczynów i tamten zacznie przyznawać się do wszystkiego, nawet do przygotowania zamachu na Gorbaczowa. Dlatego też wszystkie przesłuchania prowadził sam Kostojew.

Jednak podejrzany nie spieszył się do przyznawania. Otrząsnął się z pierwotnych lęków i zaczął brać się w garść. Tak, może kogoś kiedyś tam łapał za różne miejsca. Tak,

kiedys coś ukradł, ale nikogo nie zabił. Przyznania się do drobnych win mieszał z długimi opowieściami o tym, jak przez całe życie wszyscy go znieważali i obrażali – koledzy i koleżanki w szkole, w armii, w pracy, o tym, jak w domu żona rzucała się na niego z patelnią. Jak jego własny syn nim gardzi. Potem przechodził do superlatyw na temat swojej kochanki. Podczas opowiadania o swojej kochance żalosny, garbaty człowieczek gapiący się stale w podłogę przyjmował postać dumnego z siebie maczo. Potem powracał do swojego: *nikogo nie zabijałem, sprawdzaliście mnie wcześniej nieraz. No i co, że widziano mnie tu i tam, gdzie potem znajdowano trupy?* Co więcej, zaczął bronić się coraz bardziej aktywnie: na śledztwo poszły skargi do prokuratury.

Dziewiątego dnia po aresztowaniu Czikałi Kostojew postanowił zmienić taktykę – dołączyć do przesłuchań osobę niemającą nic wspólnego z organami ścigania.

Wybór padł na człowieka, który zaocznie zapoznał się z osobowością rostowskiego potwora – doktora Buchanowskiego.

Rankiem 29 listopada Buchanowski odbył rozmowę z Kostojewem. Kostojew dał mu do wykonania zadanie: trudny klient, należy wyjaśnić, czy to on, gdzie, jak i kiedy zabijał, dlaczego ofiary za nim szły, dlaczego zabijał. Buchanowski natomiast postawił swoje warunki: jest lekarzem, nie śledczym, będzie pracował sam, notatki będzie sporządzał tylko dla siebie, jeśli Czikałło przyzna

mu się do winy, ani jego notatki, ani on sam nie będą służyli za dowody w sądzie.

Warunki zostały przyjęte.

O 9:30 Buchanowski wszedł do gabinetu – tam już czekał Czikałiło. Był bez kajdanek. Doktor się przedstawił, powiedział, że jest psychologiem, czasami współpracuje z milicją. Rozmawiali przez cały dzień.

Wieczorem Buchanowski wyszedł z gabinetu. Podejrzany siedział na krześle i płakał jak małe dziecko. Obiecał, że opowie całą prawdę.

Z protokołu przesłuchania podejrzanego 30 listopada 1990 roku, godz. 10:30: *Całkowicie przyznaję się do dokonania zarzuconych mi przestępstw. Teraz bardzo żałuję tego, co zrobiłem, chcę szczerze opowiedzieć o sobie, swoim życiu i okolicznościach, które w ciągu kilku lat doprowadziły mnie do dokonania ciężkich przestępstw... Dzisiaj podjąłem twardą decyzję, by mówić wyłącznie prawdę i swoimi wyjaśnieniami pomóc śledztwu w ustaleniu faktów.*

Spisanie wszystkich przypadków przyznania się do zabójstw Czikałiły trwało kilka miesięcy. Łącznie przyznał się on do 53 morderstw. Ich obszar obejmował nie tylko obwód rostowski oraz wioskę pod Moskwą. Do miejsc popełnienia zbrodni dołączono także kilka innych miast w Rosji, na Ukrainie, a nawet w dalekim Uzbekistanie.

POTWÓR ROSTOWSKI

Mały Andriusza, który urodził się 16 października 1936 roku w wiosce Jabłocznoje na północy Ukrainy, od urodzenia był człowieczkiem słabym. Nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Nie potrafił się nikomu postawić, nie umiał znaleźć w sobie sił, by bronić się przed niesprawiedliwością, pozwalał wszystkim sobie gnoić.

Rodzina żyła w nędzy, nawet jak na tamte czasy, a słaby, nieśmiały, z mocną wadą wzroku (-4), samotny, ubrany w byle co, chudy, ponadto z oznakami wodogłowia, nawet w wieku 12 lat niemogący utrzymać moczu, obrywał od wszystkich: poczynając od mamuski, która przejmowała się tylko tym, jak nie umrzeć z głodu, stale na syna wrzeszczała i biła za obsikane spodnie, a kończąc na kolegach, którzy kpili sobie z ofermi i siusiumajtki. Nazywali go babą, szkieletem, debilem oraz „hamulcem”. Przestraszony chłopak ukrywał się przed nimi, najczęściej w pobliskich krzakach, czekał na mamę, na którą liczył i co do której myślał, że go obroni. Tymczasem ona była wiecznie zmęczona pracą i nie miała już ochoty walczyć o syna.

Mama Andriuszki była, delikatnie mówiąc, niezwykła – często opowiadała synowi o jego starszym bracie Stiepanie, którego ona wraz z tatusem rzekomo zjedli w czasie głodu na Ukrainie w latach 1932-1933, znanego jako Hołodomor. Nie wiadomo, czy to była prawda, nasłuchawszy się jednak takich historii od kochanej mamusi, jej syn stale żył w napięciu i pilnował, aby mama się na niego nie rzuciła. Bał się wyjść na ulicę – myślał, że go porwą i zjedzą. Szczególnie miał się na baczności podczas kolejnej fali

głodu w robotniczo-chłopskim raju mającej miejsce w latach 1946-1947.

Inna historyjka, obecnie nie do zweryfikowania, ale która, jeśli byłaby prawdziwa, mogła wpłynąć na psychikę przyszłego seryjnego mordercy, mówiła o tym, że podczas okupacji niemieckiej wraz z kolegami poszedł on przyglądać się rozstrzelaniu partyzantów. Martwych oraz rozrywane na strzępy ludzkie ciała widział wcześniej – front wojny radziecko-niemieckiej przechodził przez ten obszar kilkakrotnie. Jednak zobaczenie rozstrzelania było dla małego chłopaka czymś ciekawym. Po egzekucji Niemcy skierowali broń w stronę chłopaków, którzy zaczęli uciekać. Andriej pośliznął się, mocno uderzył się w głowę i stracił przytomność. Ocknął się nocą w jamie z trupami – uznali go za martwego i umieścili razem z rozstrzelanymi. Wśród cuchnących nieboszczyków leżał on do świtu, kiedy w końcu zdecydował się wyjść. Noc spędzona wśród trupów mogła wpłynąć na rozwój Andriuszki. Podobnie jak uraz głowy. On w ogóle często uderzał się w głowę. W młodości na przykład spadł z chłopskiego wozu i uderzył się o koła. Wtedy znów stracił przytomność.

Trudności towarzyszyły mu przeze całe dzieciństwo. Rodzina Czikałiły w ogóle mocno oberwała od XX wieku. Dziadek został rozkułaczony, a następnie ojciec – za to, że podczas wojny radziecko-niemieckiej znalazł się w niewoli u wroga, a potem „dał się zabrać” do pracy do kopalni w Niemczech – po wojnie trafił do łagrów, do Komi ASSR, do pracy przy rąbaniu lasu. I to pomimo tego, że przez jakiś

czas działał w partyzantce na terenach okupowanych. Kiedy ojciec w końcu wrócił do domu, nie ułatwiło to sytuacji materialnej w rodzinie. Wręcz przeciwnie. Wojna, partyzantka, niemiecka niewola, praca w kopalniach oraz radzieckie północne łagry sprawiły, że podupadł na zdrowiu. Kaszlał krwią, głównie leżał i nie mógł pomóc matce. Jednak jeść chciał i wymagał stałej opieki.

Była jeszcze jedna okoliczność powodująca napięcie w domu – w 1943 roku u Andrieja pojawiła się siostra, Tatiana... Mimo że ojciec w czerwcu 1941 roku wyruszył na front. Podobno mamę zgwałcili Niemcy.

Inaczej mówiąc, śmierć, nędza, przemoc, strach, głód i trupy, które dziecko widziało najpierw podczas głodu, potem w czasie wojny, później znów podczas głodu – były dla małego Andrieja codziennością. Jak wspominał sam Czikałiło, pierwszy raz w życiu najadł się w wieku 12 lat. Z biegiem czasu problemy psychiczne, których korzenie sięgają dzieciństwa, postępowały. Czikałiło rósł, a wraz z nim pogłębiały się jego kompleksy – strach i nienawiść do świata.

Na radzieckiej wsi wykształcenia się nie ceniło. Lepiej pracować w polu – ma to większy sens. Andriej był jedynym we wsi Jabłocznoje absolwentem szkoły. Po maturze Czikałiło rozpoczął pracę w kołchozie i próbował jednocześnie dostać się na fakultet prawoznawstwa jednej z najbardziej prestiżowych uczelni – Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego im. Łomonosowa (MGU). Nie udało się, chociaż naprawdę się starał i dążył do celu.

Długo się przygotowywał, przyjechał ze swojej wioski do stolicy z walizką książek prawniczych. Nocował na dworcu. Sam Czikałiło uważał, że jego niepowodzenie z MGU miało związek z jego ojcem, który splamił nazwisko niemiecką niewolą. Poniekąd tak, była jednak jeszcze jedna okoliczność: MGU, tak samo jak niektóre inne uczelnie Kraju Rad, np. Moskiewski Państwowy Instytut Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), Instytut Handlu Radzieckiego bądź Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej (GITIS), były w tamtych latach półzamkniętymi, „bananowymi” uczelniami, gdzie kształciły się dzieci elity – dyplomatów, generałów, partyjniaków, aktorów, naukowców, pisarzy, tzw. złota młodzież. Istniał także system kwot przy przyjmowaniu studentów: miała być określona liczba dziewcząt, przedstawicieli republik związkowych, studentów z krajów bratnich oraz dzieci robotników. Zamiast prawnikiem Czikałiło został monterem łączności telefonicznej. Ukończył technikum tuż obok swojej wioski.

Obok kwestii nauki Czikałiło zauważył u siebie jeszcze jeden problem – z fizjologią. Ta kwestia także istotnie wpływała na jego stosunek do świata. Mówiąc delikatnie, w większości przypadków nie mógł on odbyć normalnego stosunku seksualnego z kobietą. Odkrył swój kłopot, gdy zatrudnił się w pierwszej pracy, w dalekiej miejscowości na północy Rosji w 1955 roku. Tam miejscowa 35-letnia rozwódka, która miała do czynienia tylko z lokalnymi pijakami, próbowała zakosztować młodego ciała. Jednak

kilkakrotnie sprawa spełzała na niczym. Czekało przeżywał to wyjątkowo boleśnie.

W 1958 roku trafił do wojska. Zgodnie ze swoją specjalizacją służył w łączności w dość prestiżowych Wojskach Ochrony Pogranicza KGB. Na początku w Azji Środkowej, następnie znalazł się w NRD, we Wschodnim Berlinie – gdzie obsługiwał łączność pomiędzy ważnymi obiektami pomiędzy stolicą NRD a Moskwą.

Służba w Niemczech Wschodnich była uważana za najłżejszą i najlepiej opłacaną. Grupa Wojska Radzieckich w Niemczech była państwem w państwie, ze swoją infrastrukturą, sklepami, zakładami, szkołami dla dzieci wojskowych, klubami. Warunki służby – jak w niebie (w końcu to Europa!) w porównaniu z jakimś garnizonem na Kamczatce, na granicy chińskiej lub afgańskiej. NRD, mimo że było państwem socjalistycznym, w porównaniu z ZSRR stanowiło raj towarowy dla *homo sovieticus*, który wiecznie stał u siebie w kolejkach po jakieś deficytowe produkty wątpliwej jakości. Niemieckie ubrania, farby, elektronika, płyta, armatura, no i oczywiście niemieckie piwo oraz wyroby mięsne – szczyt jakości dla radzieckiego człowieka. Wyżej ceniono tylko towary z krajów kapitalistycznych. A zakup prawdziwej NRD-owskiej zabawki dla dziecka – zabawkowej kolejki, dziecięcej kuchni wraz z małutkimi porcelanowymi talerzami, czajnikami i kubeczkami, zabawkowego pojazdu z pilotem (w szczególności łodzi podwodnej, którą można było sterować w wannie i naprawdę nią zanurkować) – mógł

uszcześliwić małeństwo na miesiące i uczynić je obiektem zazdrości wszystkich rówieśników w szkole. Tak samo kupienie żonie NRD-owskiej bielizny gwarantowało spokojne spędzenie czasu po pracy z kolegami przy alkoholu przez wiele tygodni. Zwrot odnoszący się do rodziny zawodowego wojskowego (a do Niemiec Wschodnich na służbę wysyłano wraz z rodziną): „oni dwa terminy służyli w NRD”, oznaczał, że w tej oficerskiej rodzinie życie się udało, że „tam” nakupili oni rozmaitych towarów i teraz u nich w domu jest wszystko, co najlepsze i niedostępne dla radzieckiego szaraczka. Oficer Armii Radzieckiej służący w NRD był co najmniej dwa razy bogatszy od swojego kolegi, który służył w ojczyźnie, ponieważ otrzymywał dwa wynagrodzenia – tam (we wschodnioniemieckich markach) i w domu, na konto osobiste (w ojczystych rublach).

Jednak w elitarnych wojskach, w najlepiej opłacanym miejscu Czikałło nie zaznał spokoju. Od kolegów z wojska obrywał za swój pesymistyczny charakter, za swoje „babskie kształty” – wiszącą pierś oraz szeroką talię w porównaniu z resztą ciała. Kiedy wszyscy szli na libację i tańce z lokalnymi *Fräulein*, on wolał zostać w koszarach i czytać książki. Kiedy koledzy zaczynali rozmawiać o swoich przygodach miłosnych, on robił się błądy. Za to otrzymywał porcję kpin wyrażających wątpliwości odnośnie do jego męskości. Nadal nie umiał się bronić – nie miał hartu ducha.

Nie przeszkodziło mu to jednak zostać w wojsku członkiem partii.

Po służbie w 1960 roku znalazł się na chwilę w rodzinnej wsi. Tam ostatecznie przekonał się, że z kobietami nic mu się nigdy nie uda, ponieważ nic nie wyszło z kolejną Tatianą, też rozwódką, która pragnęła zapomnieć o swoim byłym w ramionach nowego, młodego kochanka. Po kolejnej nieudanej próbie, paląc się ze wstydu, ponieważ gaduła Tania na całą wieś roztrąbiła, że Andriej to „inwalida”, postanowił wyjechać z domu. Tak znalazł się we wsi Rodionowo-Nieswietajskaja pod Rostowem. Tam zaczął pracować na stacji telefonicznej.

Czikatiło lubił się uczyć. Wynikało to z jego kompleksów. Przekonawszy się o własnym niedorozwoju, próbował rekompensować sobie to sukcesami w nauce.

Maturę ukończył z samymi piątkami (no, prawie, miał jedną czwórkę – z języka niemieckiego). Dużo czytał. Jeszcze przed poborem dostał się zaocznie do Moskiewskiego Instytutu Elektromechanicznego Inżynierów Kolei. Naukę po dwóch latach przerwała służba. W 1962 roku, także zaocznie, dostał się na Rostowski Uniwersytet Państwowy, który ukończył 8 lat później jako filolog języka rosyjskiego. Temat pracy licencjackiej: *Dzieje rosyjskiego pisarza z XVIII w. Aleksandra Radiszczewa*. Jednocześnie w tym samym roku Czikatiło ukończył Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu. Uczestniczył w życiu społecznym – w szkole rysował plakaty, redagował szkolną gazetę, śpiewał w chórze. Pisał artykuły do lokalnej prasy.

Ten wątek jego kariery rozpoczął się romantycznie: chciał zrobić wrażenie na jednej ślicznotce i napisał artykuł o tym, jak ona dobrze i oddanie pracuje dla dobra ojczyzny. Czikałto w ogóle był zwolennikiem wysokich uczuć, jak w romansach. Uważał, że jeśli tych dwoje już trzyma się za rączki, a tym bardziej jeśli doszło do pocałunków, trzeba się ożenić.

Nie stał obojętnie w kwestiach związanych z ojczyzną - był aktywnym komsomolcem, a następnie komunistą, agitował, występował na zebraniach, tłumaczył sytuację międzynarodową i wiadomości polityczne. Po artykule o ślicznotce pisał do gazet także na inne tematy. Główna tematyka artykułów: sportowa - że młodzież powinna prowadzić zdrowy tryb życia, wyznawać zasadę „szybciej, wyżej, mocniej” oraz „uczyć się, uczyć się i uczyć się”, jak mówił wielki Lenin; a także patriotyczna - Czikałto pisał, w jaki sposób należy kochać ojczyznę. W tym okresie zastanawiał się nad karierą partyjną. Marzyła mu się osobista służbowa czarna wołga z kierowcą (czyli minimum sekretarz komitetu rejonowego). W 1965 roku uczynił ku temu nawet pierwszy krok - został mianowany przewodniczącym partyjnej komisji rejonowej ds. wychowania fizycznego oraz sportu. Wołgi nie otrzymał, jednak dostał służbowy motocykl, którym jeździł na wydarzenia sportowe.

Dziwne cechy jego charakteru nie przeszkadzały mu w odnalezieniu nieco szczęścia w życiu osobistym. W 1963 roku pobrał się z jedną z koleżanek siostry - Fainą

Odnaczajewą, kobietą niewiele starszą od niego samego, nie pierwszej urody, ale cichą, wspaniałą gospodynią domu. Wesele, które odbyło się po kilku tygodniach znajomości, było bardzo skromne, wśród gości znaleźli się tylko najbliżsi. Prezent ślubny dla państwa młodych stanowiło kilka krzeseł i cienka koperta z pieniędzmi.

W 1965 roku z tego małżeństwa urodziło się dziecko – córka Ludmiła, a w 1969 roku syn Jurij. Żona później zaznaczała, że do wesela nie doszło u nich do bliskości intymnej, z kolei po weselu mąż potrzebował pomocy, aby... no choćby trafić, ponieważ był, delikatnie mówiąc, niepewny siebie. A dzieci pojawiły się u nich nieco przypadkowo.

Kilka lat po ukończeniu Rostowskiego Instytutu Państwowego Czikałło porzucił pracę fizyczną oraz swoje marzenia związane z karierą partyjną i zmienił zawód na pedagogiczny, pracując w nowoszachtyńskim internacie nr 32. Oprócz nauczania dzieci ojczystego języka oraz literatury, zgodnie ze swoim wykształceniem, zajmował się też pilnowaniem obecności w szkole oraz sporządzaniem grafików lekcji. Czasami ufano mu na tyle, że zastępował dyrektora szkoły pod jego nieobecność. Jednak jego natura – człowieka bez charakteru, słabego, dziwnego, rozproszonego – dawała o sobie znać. Tak samo jak koledzy w pracy, podopieczni, dzieci, nie darzyli swojego nauczyciela szacunkiem. Czikałło bardzo się tym niepokoił. Zamiast z grzecznymi uczniami spragnionymi wiedzy, jak to sobie kiedyś wyobrażał, w rzeczywistości miał do czynienia

z bandą nieletnich chuliganów. Śmiali się z niego, robili na lekcjach, co chcieli, nawet otwarcie palili i pili alkohol w klasie. A on przyzwalał na to w milczeniu. Mogli spokojnie posłać Andrieja Romanowicza gdzieś bardzo daleko. Nazywali swojego nauczyciela „Anteną”, ponieważ chudy i wysoki Andriej Romanowicz potrafił przez całą lekcję stać na baczność z rękami za plecami i nic nie mówić.

Czikało mocno przeżywał, że mając już prawie trzydzieści pięć lat, nie może poradzić sobie z grupką dzieci. Nie był w stanie odrobić z nimi nawet zwykłej lekcji. Cały czas żył w napięciu, źle spał, a nawet tracił z nerwów przytomność. Jeszcze bardziej irytowało go, kiedy odkrył, że jego podopieczni, w wieku 15-16 lat, z trudnych rodzin... żyją normalnym życiem płciowym! Czerpią z tego przyjemność! Zmieniają partnerów! I wszystko im wychodzi! A w jego przypadku - dorosłego mężczyzny, z dyplomem, z kilkoma specjalizacjami, człowieka rodzinnego, który służył w elitarnych wojskach w NRD - to się nie udaje.

W jego czynach pojawiła się agresja. Teraz potrafił dosiąść się do uczennicy i położyć jej dłoń na piersi bądź kolanie, wziąć za rękę lub bez uprzedzenia wejść do dziewczęcej sypialni podczas przygotowań do snu i zacząć się gapić. A następnie, gdy uczennice krzyczały, gwałtownie wyjść. Bywało, że chodził po korytarzach szkoły, patrzył na dzieci i manipulował rękami w kieszeniach. Przez to otrzymał od uczniów nową ksywkę - „Bilardzista

Kieszonkowy”. Strach, poczucie wstydu oraz winy zaczęły znikać, przestał się bać. Popęd wprowadzić się nie pojawił, uwidoczniło się jednak pragnienie upokarzania słabszych.

W domu Czikałiły też było niespokojnie. Jego żona, wbrew jego woli, dokonała aborcji. Potem następnej, a później kolejnej. On ten fakt bardzo przeżywał. Marzył o dużej rodzinie i żądał od żony coraz więcej dzieci. Małżonka natomiast była bardziej racjonalna, nie chciała klepać biedy, żyjąc od pensji do pensji z taborem dzieci w obskurnym mieszkaniu. Mąż tego nie rozumiał i wrzeszczał na żonę: „Rozerwałaś moje dzieci!”.

W 1973 roku zapędy Czikałiły poszły za daleko i – pod presją dyrekcji – zwolnił się z pracy, niby na własne życzenie. Co do zasady, dyrekcja szkoły obojętnie traktowała sygnały o dalece niepedagogicznych zachowaniach swojego pracownika wobec uczniów. Dzieci pozostawione bez opieki swoich rodziców, alkoholików, narkomanów, przestępców itp. – kogo one obchodzą? Pewnie same są sobie winne. Jednak dwa ostatnie przypadki były już na pograniczu gwałtu. Nie chciano jednak niszczyć kariery i życia Andrieja Romanowicza i został on zwyczajnie puszczony.

Ponownie, gdyby niektórzy zachowywali się należycie, może historia rostowskiego maniaka nigdy by się nie wydarzyła?

Pierwszy przypadek miał miejsce w maju 1973 roku, kiedy cała klasa pod opieką swojego nauczyciela języka rosyjskiego poszła kąpać się w jeziorze. Tam, w wodzie,

Andriej Romanowicz „Antena” zaczął dość mocno, agresywnie łapać jedną z uczennic. U dziewczynki zostały ślady na ciele. Przy tym Andriej Romanowicz żądał, aby ona głośno krzyczała. Miało to miejsce na oczach całej klasy, nikt jednak nie pomógł koleżance, a Czikałiło w końcu ją puścił. Posiedział w wodzie około dziesięciu minut, dopóki niedoszła ofiara płakała na brzegu, a następnie ubrał się i poszedł do domu.

Następny przypadek miał miejsce kilka dni później w szkole. W związku z jej złymi ocenami, poprosił jedną z uczennic, by została po lekcjach. Włożył jej ręce pod spódnicę, zaczął zrywać bieliznę. Dziewczyna postanowiła wrzeszczeć i on w końcu ją puścił, a dziewczynka wyskoczyła przez okno. Dobrze, że to był parter.

W obu przypadkach u niedoszłego gwałciciela doszło do niespodziewanego wytrysku.

Nowe miejsce pracy – PTU nr 39. Znow znalazł się wśród dzieci. Kontyngent w prowincjalnym PTU był prawie taki sam jak w internacie – trudne dzieci z biednych rodzin. Co prawda tylko chłopcy. Tym razem Czikałiło nie uczył „wielkiego i potężnego” języka rosyjskiego, lecz przypominał sobie poprzednie umiejętności i pokazywał następnemu pokoleniu szczegóły związane z łącznością telefoniczną. W tym okresie jego życia patologie tylko się pogłębiły. Czikałiło stał się bardzo zamknięty, z nikim nie rozmawiał. Umacniała się w nim konieczność kontaktu z dziećmi. Praca w PTU oraz próby zajęcia się w domu czymś, czym próbował stłumić pragnienie, nie pomagały.

W chwilach, gdy nie mógł już wytrzymać, wychodził z domu, wsiadał do autobusu i tam ocierał się o młode kobiety. Istnieje określenie na zamiłowanie do ocierania się genitaliami o ludzi w miejscach publicznych – froteryzm. Właśnie to było ulubionym zajęciem Czikałowy. Po tym na jakiś czas się uspokajał. To na razie wystarczało.

Z biegiem czasu małżeństwo Andrieja Romanowicza przekształciło się w postać życia obok siebie dwójki ludzi już sobą niezainteresowanych, których łączy tylko byt oraz dzieci. Żona była w pełni zadowolona, że mąż nie podnosi ręki na domowników. Potrafił też w domu naprawiać rzeczy. Przynosił całą pensję. Nie palił i prawie nie pił. To ostatnie w ZSRR tamtych lat zaczęło się robić bardzo ważne – alkoholizm stał się poważnym problemem społecznym. Mężczyźni po otrzymaniu zaliczki bądź pensji potrafili natychmiast przepić pieniądze i pozostawić rodzinę bez jedzenia. Zatem wartość mężczyzny, który nie pił, a jeszcze do tego potrafił zrobić coś w domu, dla pańienek na wydaniu i ich rodziców w prowincjalnym miasteczku była bardzo wysoka. A to, że w łóżku jest nijaki, cóż... widocznie taki los. Nie można przecież mieć wszystkiego. Ponadto nawet się już nie chce. Natomiast dzięki temu, że mąż to sknerus, pojawiły się oszczędności.

Nie mogła więc pani Czikałowa uwierzyć, że jej mężulek to zboczeniec, kandydat na gwałciciela i pedofila, gdy zaczęły do niej docierać pogłoski o jego zachowaniu. Tak samo nie wierzyła, że jej... „słaby” oraz cichy małżonek może przejawiać nadmierne zainteresowanie wobec jej

siostrzenicy – Mariny. A on przejawiał. Zaczęło się to, kiedy dziewczynka miała 6 lat. Podczas zabawy wujaszek Andriej włożył jej rękę w majtki. Gdy Marina bawiła się z dziećmi Czikałiły do wieczora i zostawała na noc w domu, gospodarz potrafił w środku nocy pojawić się przy niej zupełnie nagi i wpatrywać się w dziecko. Nie przestał jej molestować nawet wtedy, gdy dziewczyna urosła. Pewnego dnia zaproponował pieniądze za seks.

Nie otrzymując już żadnej uwagi od żony, przyszły seryjny morderca zaczął się spotykać z inną kobietą – Walentiną. Z nią wychodziło częściej niż z małżonką. Romansik toczył się w kręgu rodzinnym, ponieważ Wala była ekszoną szwagra Czikałiły. Małżeństwo rozpadło się, kiedy mąż poważnie narozrabiał i pojechał odpoczywać na długie lata do syberyjskich kurortów. Kochankowie spotykali się najpierw w pokoju akademika PTU, do którego Czikałiło miał klucz.

W sierpniu 1978 roku Andriej Romanowicz otrzymał nową posadę w kolejnym PTU, numer 33, nieco dalej – w Szachtach. W tej miejscowości Czikałiło nabył od pewnej emerytki za rodzinne oszczędności (nic o tym nikomu nie mówiąc) brzydki, niewielki niezagospodarowany domek przy ul. Mieżewaja 26, na przedmieściu miasta. Domek ten stał się nowym miejscem spotkań zakochanych.

W nowym miejscu pracy nauczyciel kontynuował czynienie zadość swoim potrzebom. Nie przeszkadzało mu to, że podopieczni PTU byli wyłącznie płci męskiej. Nauczyciel często kręcił się koło toalety oraz lubił bywać

nocą w sypialniach. Cel nocnych wizyt stanowiło patrzenie na młode ciała, a czasami ich dotykane. Nieraz ktoś się budził i wtedy Andriej Romanowicz uciekał.

Tak samo jak poprzednio stosunki ze współpracownikami nie układały się Czikatili. Koledzy traktowali go jak dziwaka, młode łobuzy w PTU numer 33 nie chciały słuchać dorosłego oferty, a jego nocne wizyty w sypialniach spowodowały odpowiednie traktowanie. Andriej Romanowicz znany był wśród młodzieńców jako „Gęś” oraz, delikatnie mówiąc, „Onanista” i – znów mówiąc oględnie – „Ten Pasywny Homoseksualista”. Pewnego razu uczniowie pobili go po szczególnie brzydkiej sytuacji, kiedy Czikatili znów odwiedził ich w nocy. Tym razem... ściągnął jednemu uczniowi bieliznę i zaczął mu dostarczać oralnych przyjemności.

Od dnia pobicia Andriej Romanowicz nosił ze sobą nóż. Nie tylko po to, żeby się bronić, jeśli małoletnie łobuzy znów będą miały ochotę mu dowalić, ale również jeśli w autobusach ludzie zechcą mu fizycznie „zwrócić uwagę” na to, że dotykane kobiet w transporcie publicznym jest nieprzyzwoite. A tak już bywało.

Jego złość, agresja i niezadowolenie z życia w tym okresie sięgnęły zenitu. Już od dawna męczyły go fantazje, jak jakiemuś dziecku proponuje on coś, np. gumę do żucia, prowadzi w ciche miejsce i tam odbywa z nim stosunek. Czasami w fantazjach Andrieja Czikatili kończyło się to zabójstwem dziecka, cięciem go na kawałki.

Przebywając wśród ludzi, wybierał wzrokiem z tłumu dzieci i nastolatki, a następnie fantazjował: o, tamtą bym zabił... i tamtą też.

Realnie wprowadził to w czyn 22 grudnia 1978 roku.

Czikał szedł tego dnia od przystanku tramwajowego Most Gruszewski do swojej kryjówki przy ul. Mieżewaja. Bardzo nie chciało mu się wracać po pracy do domu, do żony, z którą już nie rozmawiał, do syna, który wyzywał go od debili. Chciał zostać na chwilę sam. Wtedy zobaczył, że obok niego idzie jakaś dziewczynka w czerwonej kurteczce, z warkoczykami i ze szkolnym tornistrem. To była 9-letnia Lena Zakotnowa. Czikał zapytał ją, dokąd idzie.

- Do koleżanki - powiedziała.

Zaczęli gawędzić. Oddalili się już nieco od domów i znajdowali się blisko rzeczki, wzdłuż której rosły krzaki. Tu mała Jelena powiedziała, że chce siusiu.

Planu nie było. Wszystko wyszło spontanicznie. Dobry, solidnie wyglądający wujaszek powiedział, że ma tu dom i może wpuścić ją do toalety, a potem ona pójdzie dalej. Dziewczynka się zgodziła. Weszli. Czikał opanowały już od lat tłumione uczucia, zaczął się trząść. Spojrzał na samotną dziewczynkę, na oddalone domki, na rzeczkę i krzaki. Od razu stało się dla niego jasne, co ma zrobić. Rzucił się na Lenę. Dziewczynka próbowała się wyrwać, krzyczała. Jemu się to podobało. Napastnik nacisnął jej gardło, zdjął bieliznę, dokonał gwałtu rękami, uderzył ją kilka razy noszoną od dnia pobicia przez nastolatków nożem, potem chciał narządem płciowym dokończyć

sprawę, jednak prawie natychmiast miał wytrysk. Gdy poczuł niezadowolenie, że „normalnie” się nie udało, położył się na uduszonym już dziecku i imitował akt płciowy, potem zaś, żeby chociaż teoretycznie mieć poczucie udanego zakończenia, próbował włożyć nasienie do ofiary.

Następnie Czikałto ubrał zwłoki, zabrał trupa wraz z tornistrem pod pachy, zaniósł do Gruszewki i wrzucił do wody. Potem poszedł do domu.

Kiedy sprawą zajęła się milicja, Czikałtę brano kilka razy na przesłuchania, ponieważ na niego wskazywali mieszkańcy okolicznych domów, gdy pokazywano im portret pamięciowy potencjalnego zabójcy. On twierdził, że o niczym nie wie. Jednak bardzo się przestraszył. W domu stał się idealnym domownikiem. W pracy przyłożył się do obowiązków. Obywatel X w ogóle nie wyróżniał się odwagą. W 1990 roku, kiedy Czikałto ostatecznie znalazł się w rękach milicji, u funkcjonariuszy ukształtowała się opinia o podejrzanym: tchórz, jakich mało. W trakcie przesłuchań jękał się, strasznie się pocił, zapominał prostych słów. Podczas wizji lokalnych prosił, żeby nazywano go obcym imieniem, żeby mówiono, że prowadzą eksperyment procesowy w związku z łapówkarstwem, starał się ukryć przed ludzkim wzrokiem kajdanki. Jeśli podczas wizji ludzie, którzy już słyszeli o tym, że potencjalny seryjny morderca został aresztowany, gromadzili się wokół brygady śledczej i istniało niebezpieczeństwo samosądu, padał

rozkaz: „wycofujemy się” – aresztowany miał wtedy zwyczaj uciekać jako pierwszy.

Po pierwszym zabójstwie Czikałło nie mógł już powrócić do poprzedniego życia – musiał zabijać. Nie po prostu zabijać – musiał znęcać się nad ofiarami i ich zwłokami. Przy tym nie mógł znieść spojrzenia nawet martwej ofiary – z tego względu wycinał trupom oczy.

Oprócz niesłusznie straconego na początku historii Krawczenki był jeszcze jeden delikwent, który pożegnał się z życiem w związku z zabójstwem małej Leny Zakotnowej. 50-letni Anatolij Grigorjew, kierowca tramwaju z Szacht, lubił wypić. A kiedy tak robił, zaczynał gadać jak baron Münchhausen – wymyślał fantastyczne przygody, w których był głównym bohaterem. W sylwestra 1978 roku, kolejny raz przyłożywszy się do butelki, zaczął chwalić się kolegom, że to on jest zabójcą małej dziewczynki, o której piszą gazety. Następnego ranka, po wytrzeźwieniu, zrozumiał, jakie mogą być konsekwencje takiego gadania. Koledzy z pewnością doniosą, gdzie trzeba. Zaczął myśleć, że już po wszystkim, że przez gorzałkę życie skończone, zaraz po niego przyjdą i dadzą mu 15 lat. O ile go nie rozstrzelają. A w więzieniu z dzieciobójcami się nie pieszczą – wylądować pod łózkami, obok muszli, będzie regularnie bity i do końca wyroku będzie po wszystkich sprzątać. Na dodatek zrobią z niego w celi kobietę. Te myśli doprowadziły go do ostatniego ciągu alkoholowego, w trakcie którego – 8 stycznia 1979 roku powiesił się, pozostawiając notatkę, że nikogo nie zabił ani nie zgwałcił.

Kiedy Czikałło dowiedział się o wyroku śmierci dla Krawczenki, odetchnął z ulgą. Znalazł sobie nawet nową kochankę – siostrę jednej z przyszłych ofiar.

W 1981 roku Czikałło dokonał drugiego zabójstwa – na Łarisie Tkaczenko. Wbrew bardzo młodemu wiekowi Łarisa znalazła dla siebie dość dorosły sposób zarabiania na życie – 17-latka uprawiała seks za pieniądze. Pewnego dnia spotkała na przystanku autobusowym Czikałłę. Szybko się dogadali i poszli do lasu. Tam klientowi, ze względu na jego stan zdrowia, nic się nie udało i Łarisa zaczęła sobie kpić, raniąc i tak niskie mniemanie starszego pana na temat własnej męskości. Andriej Romanowicz nie zrozumiał żartu, wpadł w szal i brutalnie zabił dziewczynę.

W tym samym, 1981 roku początkujący maniak dostał nową pracę: został zaopatrzeniowcem w zakładzie produkcji metali Rostownierud. W nowym miejscu pracy uważano go za przeciętnego pracownika – jak powiesz, to zrobi, zresztą na odczep się, a jak nie powiesz, nie wykaże żadnej inicjatywy, będzie siedział beczynny. Ale nie chleje, a to na rosyjskiej prowincji już bardzo dobrze.

Trzeciego zabójstwa – Lubow' Biriuk – dokonał, kiedy nie doczekał się autobusu koło wsi Donskoj i poszedł pieszo. Po drodze spotkał 13-latkę, która też postanowiła nie czekać na transport, i przekonał ją, że zna krótszą drogę do jej domu. Obiecał także, że ta nieznana ścieżka będzie dogodniejsza w ten upalny dzień, ponieważ wiedzie przez las. Dziewczynka się zgodziła i poszła z nieznajomym...

Powoli seryjny morderca opracował schemat, według którego zabił prawie wszystkie swoje ofiary – działał bez planu, spontanicznie, ofiary wyszukiwał najczęściej na dworcach oraz przystankach bądź stacjach. Jeśli mordercy nie chciało się danego dnia nikogo zabijać, załatwiał swoje sprawy. Jeśli jednak niespodziewanie zmienił zdanie, podchodził do człowieka (zawsze słabszego, najczęściej do młodych kobiet, nastolatków lub dzieci, nigdy do dorosłych mężczyzn), zaczynał rozmowę, następnie wymyślał mniej więcej wiarygodny pretekst, żeby ofiara z nim poszła. Mógł być on różny: pomoc w niesieniu ciężkiej torby, pokazanie krótszej drogi lub czegoś, co może zainteresować potencjalną ofiarę w młodym wieku – pokazanie prawdziwego komputera, filmu erotycznego na wideo, poczęstowanie prawdziwą amerykańską gumą do żucia, wspólne spożywanie alkoholu lub zakup papierosów. Annę Lemieszewą (23) Czikałło zabił po tym, jak zaprosił ją do wspólnej kąpieli w jeziorze. Jeśli potencjalna ofiara wyglądała na pochodzącą z nizin społecznych, mógł zaproponować wizytę w swoim domu, obiecując obfity posiłek, np. smażone mięso, a także dając możliwość umycia się, wypicia klina, żeby ręce na kacu przestały się trząść, wyspania się w ciepłe i opuszczenia domu następnego ranka. Kiedy ofiara się zgadzała, Czikałło prowadził ją w ciche miejsce, gdzie dokonywał mordu. Najczęściej wybierał pasy leśne. Jeśli natomiast niedosza ofiara nie chciała rozmawiać z dziwnym mężczyzną, Czikałło się wycofywał i szukał kolejnej osoby.

Jego nowa posada zaopatrzeniowca w Rostownierudzie sprzyjała zajęciu maniaka. Dawała mu możliwość spokojnego i niemającego limitu czasowego krążenia po dworcach i pociągach. Zawsze mógł się wytłumaczyć milicjantowi, który zapytał go, dlaczego nie jest w pracy; znajomym można było powiedzieć, że jedzie w celu wykonania ważnego zadania, żonie oznajmić, że nie będzie go do jutra, ponieważ wybiera się do innego miasta umawiać się w sprawie dostawy materiałów.

Czwartego i piątego zabójstwa, które miały miejsce w 1982 roku pod Krasnodarem, dokonał on, przebywając wraz z żoną na urlopie. Mieli tam być miesiąc, ale po trzech tygodniach powiedział małżonce, że wracają do domu, bo ma już dość tego urlopu. 14-letnią Lubow' Wołobujewą zabił w pobliżu lotniska czwartego dnia wypoczynku. Tak samo przypadkowo, w trakcie szlajania się po miejscach publicznych, spotkał 9-letniego Olega Pożydajewa, który wracał z lokalnej plaży autobusem – zabił go tuż przed powrotem do Szacht. Wyprowadził chłopczyka, doprowadził pod małą górę, tam zabił, a genitalia zabrał ze sobą w teczce.

Po powrocie z urlopu Czikałło prawie natychmiast zabił Olgę Kuprinę – 16-latkę, która uciekła z domu. W dniu swojej śmierci stała ona pomiędzy wagonami w pociągu, nie wiedząc, co ze sobą robić, i paliła papierosa za papierosem. Wtedy palić można było wszędzie. Czikałło od razu zrozumiał, co to za typ człowieka, i posłużył się atrakcyjnym pretekstem: „Chodź ze mną do lasu na co nieco. Kasę dam”.

Maniak miał swój gust – zaczął z czasem preferować osoby bezdomne lub trudne, niestroniące od alkoholu, im młodsze, tym lepsze – takich prędzej nikt nie będzie szukał. Ponadto fakt, że osoby te nie były wzorowymi dziećmi – uciekały z domu, piły, paliły, kradły – w oczach nieudanego pedagoga stanowiły dodatkowy powód, dla którego musiały ponieść karę. Takie były następne po Kuprinie ofiary – trudna nastolatka Irina Karabielnikowa oraz niewytrzymujący znęcania uciekinier z domu dziecka Siergiej Kuźmin. Czasami jednak trafiały się dzieci z dobrych rodzin, jak 10-letnia Olga Stalmaczonok. Nie gardził on także osobami chorymi: ofiarami padły Łora Sarkisian (10), chora na zespół Downa Irina Dunienkowa (11) oraz inwalidka i chora umysłowo Ludmiła Kuciuba (19).

Obywatel X widocznie był interesującym rozmówcą dla swoich ofiar – mogły one bowiem spacerować z nim kilometrami. Tak było z Siergiejem Markowem (16), z którym Czikałło, szukając dogodnego miejsca dla zabójstwa, krążył ponad godzinę.

Bywały wyjątki od schematu morderstw, kiedy Radziecki Kuba Rozpruwacz nie zadawał sobie trudu wymyślania wiarygodnego pretekstu i urządzania spektaklu, np. w przypadku Igora Gudkowa (12). W przypadku 7-latka Czikałło nie szukał powodu, żeby chłopiec za nim poszedł, tylko siłą wciągnął dziecko w krzaki w parku Awiatorów i tam zabił 9 sierpnia 1983 roku. To była jego najmłodsza ofiara. Tak samo uczynił

w 1989 roku, kiedy zabił 8-letniego Saszę Diakonowa (36) – po prostu wziął go pod pachę i zaniósł w krzaki. Chłopak krzyczał, ale hałas samochodów nie pozwolił nikomu niczego usłyszeć. A zabił go Czikałło przypadkowo – szedł do domu ze sklepu z materiałami budowlanymi, wybierał tapetę. Morderca podczas zabójstwa dziecka nie wypowiedział ani słowa – szedł, zobaczył, zabił i poszedł dalej.

W szeregu zabójstw Obywatela X miała swoje miejsce także ideologia komunistyczna. Maniak, który kiedyś marzył o karierze partyjnej, fantazjował, że jest partyzantem na tyłach wroga, który właśnie zabił niemieckiego kuriera i zdobył ważne dokumenty. Stąd właśnie jego kolejne przezwisko: „Czerwony Partyzant”. Kiedy na przesłuchaniach zapytano go, czy liczył zabitych przez siebie ludzi, odpowiedział, że liczył zestrzelone samoloty wroga. Jednak w każdego sylwestra prawie niepijący Andriej Romanowicz w swoich myślach wznosił toast za spokój dusz zabitych i usiłował przypomnieć sobie każdego z nich.

Kiedy seryjnego mordercę ponosiło, zaczynał on wycinać lub odgryzać ofiarom ich organy – piersi, genitalia, serca, oczy, macice, sutki, język – i zabierać je ze sobą. Zapytany, co z nimi robił, odpowiedział: „Nie pamiętam”. Dziwne, ponieważ pamięć miał dobrą – na każde zabójstwo, nawet to sprzed ponad kilku lat, rysował on śledczym specjalny schemacik, opowiadał w szczegółach, jak, gdzie i kiedy zabijał. Podczas wizji lokalnych bezbłędnie

pokazywał, gdzie szedł z ofiarą, co do niej mówił, gdzie skręcali oraz w którym miejscu zabijał.

A sumienie go nie męczyło. Według słów ochrony w swojej celi zasypiał on od razu, gdy się kładł, i chrapał, dopóki nie został obudzony. Jadł wszystko, co dawali, i to z apetytem. A w więzieniach radzieckich karmili tak paskudnie, że życzenie więźniowi „smacznego” mogło zostać uznane za zniewagę. Radzieckiego więziennego jedzenia (zepsute tłuczone ziemniaki rozcieńczone zbyt mocno wodą, wymieszane z resztkami cuchnącej, przesmażonej, przesolonej ryby bogatej w ości z kawałkiem twardego czarnego chleba, na którym już zdążyło się narodzić nowe życie, zrobionego z najtańszej mąki, upieczonego przez pijanego więziennego piekarza) nie jadło się, tylko się je połykało.

W sierpniu 1984 roku rostowski potwór po raz kolejny zmienił miejsce pracy – na wydział zaopatrzenia materialno-technicznego rostowskiej Specenergoautomatyki. Jak wynika z nazwy, zakład zajmował się budową maszyn dla przemysłu energetycznego. W tym roku Czikałto ustanowił swój rekord – zabił 15 osób. Jedną z nich zamordował drugiego dnia w nowej pracy – 2 sierpnia 1984 roku. Była to Natalia Gołosowska (24).

W Specenergoautomatyce teren jego wyjazdów służbowych się rozszerzył. Podczas przesłuchań Czikałto przyznał się do zabójstw, o których grupa śledcza w Rostowie nie miała pojęcia.

46) Nieznana, około 20-25 lat, zabita na początku sierpnia 1984 roku pod Taszkientem, Uzbekistan.

Specenergoautomatyka wysłała swojego nowego zaopatrzeniowca do Taszkientu na tydzień. Tam Czikałiło pojechał za miasto, by wykąpać się w rzeczce. Na brzegu spotkał podpitą kobietę i w typowym dla siebie stylu zaczął z nią rozmowę. Następnie zabił ją i odciął jej głowę.

47) Akmaral Siejdalijewa, 10 lat, zabita 13 sierpnia 1984 roku pod Taszkientem.

Kilka dni później znów pojechał za miasto, żeby kupić dla rodziny uzbeckie melony – za miastem były tańsze niż w centrum uzbeckiej stolicy. W wagonie kolei podmiejskiej zobaczył sympatyczną małą dziewczynkę. Kiedy opuściła ona wagon, poszedł za nią. Gdy przechodzili obok pola kukurydzianego, wyciągnął nóż... Dobił kamieniami.

Melony kupił i przywiózł rodzinie.

Długo jednak w Specenergoautomatyce nie został. A historia była taka... Zanim Czikałiło dostał się do nowej pracy, zdążył ostatecznie pokłócić się ze starym kierownictwem w Rostownierud – miało ono dość jego obijania się i bezczynności. Na krytyczne uwagi ze strony szefa rostowski maniak odpowiadał skargami na niego do komitetu miejskiego KPZR. Uważał, że skoro nie umie się awanturować i bronić przed szefostwem bezpośrednio na miejscu, będzie to robił potajemnie – pisać potrafił. W skargach zaznaczał, że w pracy tworzą mu warunki, które dzisiaj określono by mianem mobbingu. Dało to

oczekiwany rezultat - kilka razy przychodzili sprawdzać, dlaczego towarzysz narzeka.

Nie dość jednak, że nie miał on z tego jakiejkolwiek korzyści, to w dodatku przyłapali go na kradzieży wykładowiny i akumulatora - poszło zawiadomienie na milicję. Andriej Romanowicz zwolnił się najszybciej, jak się dało - zanim zrobili to dyscyplinarnie. Jednak przed znalezieniem nowego zajęcia zrobił sobie półtora miesiąca urlopu. Uciekł z domu i ukrywał się w służbowym mieszkaniu w Rostowie, do którego klucz zabrał ze sobą. Na wezwania na milicję w związku z podejrzeniem o kradzież u śledczego stawiała się jego żona - tłumaczyła się, że mąż pojechał gdzieś, by odpocząć.

Ta sprawa miała swój ciąg dalszy. Kiedy Czikatilę aresztowano pierwszy raz, 14 września 1984 roku, oraz trzymano przez 15 dób w areszcie za nękanie kobiet, rostowski śledczy, który prowadził jego sprawę, wysłał wiadomość do swoich kolegów z okolicznych miast, czy mają jakieś uwagi na temat A.R. Czikatili. Niedługo bowiem kończy mu się areszt i trzeba będzie go wypuścić.

Na wiadomość odpowiedziały Szachty - obywatel A.R. Czikatilo jest poszukiwany listem gończym w związku z podejrzeniami o kradzież własności socjalistycznej. Z tego względu po rostowskim areszcie Czikatilo prawie natychmiast powędrował do aresztu śledczego w Szachtach, potem do Nowoczerkaska - tam oczekiwał na sąd.

12 grudnia 1984 roku rozpoznano jego sprawę. Sąd uznał, że kradzież wykładziny nie została udowodniona, jednak za akumulator Czikałkę skazano na rok prac poprawczych⁴¹. Podwładni Temidy postanowili jednak zaliczyć każdy dzień w areszcie jako cztery dni pracy, więc złodziej akumulatorów został zwolniony w sali sądowej. Na sylwestra był już w domu.

W czasie gdy przebywał za kratami, urzeczywistnił się jeden z jego największych lęków – 23 listopada 1984 roku, jako niegodny wysokiego stopnia komunisty i splamiwszy się podejrzeniami o kradzież oraz odbycie kary aresztu za nękanie kobiet, został wydalony z szeregów Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Czerwony Partyzant mocno nad tym ubolewał. Przecież w jego oczach bycie komunistą i członkiem partii to bycie człowiekiem lepszym niż pozostałe szare masy. Na jego szczęście przeżywał niedługo – nadchodziła pieriestrojka oraz jawność, kiedy prawda o przestępstwach reżimu i zacofaniu ZSRR ujrzała światło dzienne, a piętrzące się stosy wyrzuconych legitymacji partyjnych na głównych placach miast stały się codziennością.

O tym, żeby pozostać w Specenergoautomatyce, gdzie Andriej Romanowicz przepracował zaledwie 6 tygodni, a potem przez trzy miesiące wędrował z aresztu do aresztu za kradzież w poprzednim miejscu pracy, nie było mowy. W styczniu 1985 roku Czikałko znalazł sobie nową posadę – w Nowoczerkaskim Zakładzie Budowy Elektrowozów NEWZ. Właśnie tu w 1962 roku zaczęły się wydarzenia,

które weszły do historii ZSRR pod nazwą Rozstrzał Nowoczerkaski. Wtedy to robotnicy, usłyszawszy w radiu, że oni, rzekomo na własne życzenie, mają pracować więcej za mniejsze pieniądze, a masło, mięso i inne podstawowe towary będą kosztowały trzy razy drożej, poszli szukać odpowiedzi u dyrekcji zakładu. U podstaw tej sytuacji leżała niezgoda robotników oraz chłopów na pogorszenie się ich warunków pracy i życia w imię szybszego nadejścia komunizmu. Objawiły się tu katastrofalne błędy reform gospodarczych Chruszczowa. Na pytania robotników dyrekcja zakładu w swoim pogardliwym stylu odpowiedziała podwładnym: „Nie macie kasy na mięso? Żryjcie podroby!”. Wściekłość z powodu takiego traktowania spowodowała, że około 5000 robotników rozpoczęło bunt, który opanował całe miasto. Sprawa zakończyła się wysłaniem wojska w celu spacyfikowania protestujących, otwarciem ognia i rozlewem krwi.

W NEWZ Czikałiło zaczął pracę jako inżynier. Rok później otrzymał od zakładu pracy pokój w Nowoczerkasku, mógł więc skończyć ze wczesnym wstawaniem i podróżą do pracy z Szacht. A swój domek przy ul. Mieżewaja, gdzie dokonał pierwszego zabójstwa, sprzedał. Powoli cała rodzina Czikałiły przeniosła się do Nowoczerkaska – żona oraz córka, która już zdążyła zostać rozwódką. Wszystkim im udało się wymienić swoje nieruchomości w Szachtach na nowe w nowej miejscowości.

Pod koniec lipca 1985 roku Czikałiło zmienił po raz kolejny ścieżkę kariery i ponownie został pracownikiem

zaopatrzenia na tym samym miejscu – w NEWZ. Prawie od razu został wysłany służbowo do Moskwy. Od momentu ostatniego morderstwa minął prawie rok. Pewnego dnia, będąc w stolicy i chcąc kupić bilet powrotny na samolot, złapał pociąg na lotnisko. W pojeździe zobaczył 18-letnią Natalię Pochlistową (31). Dziewczyna wyglądała niechlujnie, paliła papierosa. Czikałto od razu zrozumiał – to ona, następna! Rozgadał się z nią. Zaproponował, by wysiedli na następnej stacji, wypili coś i odbyli stosunek. Zgodnie z planem opuścili pociąg. Weszli do lasu. Tam Obywatelowi X nic nie wyszło. Następnie udusił on nową znajomą.

Po powrocie do domu pod koniec sierpnia Czikałto zabił 18-letnią Iniesę Gulajewą (32). Zaproponował panience, która dopiero co wyszła z aresztu, nocleg, posiłek oraz możliwość umycia się. Razem doszli tylko do pasa leśnego.

Następnie w zabójstwach nastąpiła przerwa do 1987 roku, czyli prawie na dwa lata. Zapytany na przesłuchaniu, co się stało, że na długi czas przestał zabijać, Czikałto odpowiedział, że dobrze mu się zaczęło układać w pracy. No i w końcu upewnił się, że na niego polują. Jak miał tego nie wiedzieć, skoro angażowano go, jako pozaetatowego funkcjonariusza milicji, do patrolowania ulic i pociągów. Czikałto zatem pomagał szukać samego siebie. Żył w ciągłym strachu. Natura rostowskiego Kuby Rozpruwacza stale jednak brała górę. Musiał mordować

dalej, tylko że na polowanie wychodził teraz poza obwodem rostowskim, korzystając z każdego wyjazdu służbowego.

48) Oleg Makarienkow, 13 lat, zabity 16 maja 1987 roku w Rewdzie pod Swierdłowskiem⁴².

Na początku maja 1987 roku NEWZ wysłał go służbowo na Ural. Jego nowa ofiara - Oleg - była opóźniona umysłowo, uczyła się w specjalnej szkole-internacie. Spotkali się na przystanku autobusowym. Przekonanie chorego Olega, aby poszedł z nim, nie było dla Obywatela X niczym trudnym: „Mam tu daczę, chodź ze mną, będzie zabawnie!” Czekało go w pobliskim lesie, a ubrania porozrzucił wzdłuż drogi. Nie powiązano tego zabójstwa z rostowskim maniakiem, a sprawcy szukano wśród miejscowych.

Następny wyjazd służbowy miał miejsce pod koniec lipca 1987 roku.

49) Iwan Biłowiecki, 12 lat, zabity 29 lipca 1987 roku w Zaporozżu na Ukrainie.

Obok przystanku autobusowego Czekało zauważył chłopca, który palił. Nieudany pedagog podszedł do niego i zaczął dawać mu lekcję o szkodliwości tytoniu. Spojrzawszy na nieznanego starszego pana jak na stukniętego, Wania rozsądnie postanowił oddalić się od niego. Poszedł przez las...

50) Jurij Tierieszonok, 16 lat, zabity 15 września 1987 roku pod Leningradem.

Leningradzki nastolatek Jura należał do tego typu dzieci, które zawsze były głodne. Na określenia „spaślak”

oraz „tłuszcioch – pociąg pasażerski” już dawno przestał się obrażać. Podczas swojej kolejnej uczty w bufecie Dworca Finlandzkiego – jednego z nielicznych miejsc publicznych, gdzie człowiek radziecki mógł w tamtych czasach zjeść coś poza domem – podszedł do niego mężczyzna w wieku około 50 lat. To był Czikałto, który między 7 a 27 września 1987 roku udał się na wyjazd służbowy do miasta nad Newą. Odrabiając swoją codzienną praktykę chodzenia po dworcach, zauważył wcinającego z apetytem chłopczyka. Rozpoczął z nim rozmowę i zaproponował mu, by pojechał z nim na daczę, a tam urządzi prawdziwego grilla. Jura się zgodził – uwielbiał smażone mięso, a ostatnio było z nim krucho w Kraju Rad. Trzeba było tylko przejść przez las...

Następnie znów miała miejsce przerwa w zabójstwach. Na niecały rok, do kwietnia 1988 roku, kiedy został odkryty trup nieznaney kobiety spod Krasnego Sulina (33). Potem znów wyjazd służbowy. Ponownie Ukraina. Miasto Iłowajśk w Donbasie. Czikałto na przystanku autobusowym nawiązał rozmowę z chłopczykiem o trawach leczniczych i powiedział, że jest ekspertem w tej dziedzinie, pokaże mu więc, gdzie one rosną...

51) Aleksiej Woron’ko, 9 lat, zabity 14 maja 1988 roku w Iłowajśku, na Ukrainie.

Później Potwór Rostowski powrócił do zabijania w ojczystych stronach. Przekonał się, że szczęście jest po jego stronie, a wyjazdy służbowe nie odbywają się wystarczająco często, by mógł zaspokoić swoją wewnętrzną bestię. Pierwszą po wielu latach ofiarą w Rostowie stał się

16-letni Jewgienij Muratow (34). Młody Żenia spotkał się ze swoim zabójcą 14 lipca 1988 roku w pociągu, kiedy jechał do Nowoczerkaska, aby dowiedzieć się o warunkach rekrutacji do technikum. Bardzo się martwił. Solidnie wyglądający Czikałło, w krawacie, okularach oraz kapeluszu, starał się podnieść młodzieńca na duchu. Mówił, że jest wykształcony w kilku kierunkach, i zaprosił go na dach przy stacji Lieschoz, aby udzielić mu kilku wskazówek.

Prawie wszystkich następnych zabójstw – aż do ostatniej ofiary, 22-letniej Swietłany Korostik, którą Czikałło zabił 6 listopada 1990 roku – Potwór Rostowski dokonał w okolicach Szacht. Przedostatnie zabójstwo poszło niezgodnie z planem – 16-letni Wiktor Tiszczenko, sportowiec trenujący sztuki walki, który szedł wzdłuż lasu w tym samym kierunku co Czikałło, kiedy napastnik zaatakował go nożem, zaczął się z nim bić. Chłopak zdążył przegryźć Obywatelowi X palec (który później mocno spuchł i na którego prześwietlenie Czikałło poszedł w dniu swojego aresztowania) oraz mocno uderzył go w nogę, z którego to powodu seryjny morderca długo kulał.

Ostatnie morderstwo Radzieckiego Kuby Rozpruwacza dokonane zostało zgodnie ze scenariuszem, u którego podstaw leżały problemy z męskością Czikałły – szybka umowa o stosunku za pieniądze, podróż do lasu, nieudana próba dokonania aktu, żarty o braku męskości ze strony niedoszałej partnerki, agresja, nóż, zabójstwo.

W szeregu ostatnich morderstw był jeden geograficzny wyjątek, kiedy Czikałto znów otrzymał zadanie poza obwodem rostowskim – na północ od Moskwy, w obwodzie włodzimierskim. Dzień był upalny i podczas kąpieli w jeziorze Obywatel X zwrócił uwagę na chłopaka, który awanturował się z mężczyznami próbującymi wędkować. Oskarżali go, że swoim pływaniem straszy im ryby, dlatego im dzisiaj nie idzie. Czikałto wziął go, niby na pocieszenie, do lasu, a potem zabił.

52) Aleksiej Moisiejew, 10 lat, zabity 20 czerwca 1989 roku w Kolczuginie, obwód włodzimierski.

Ostatni trup w sprawie Czikałty, osoby, sądząc po szczątkach, zamordowanej dawno temu, został odkryty dopiero po aresztowaniu seryjnego mordercy. Miejsce ukrycia zwłok Obywatel X wskazał sam 12 grudnia 1990 roku i było to jego pierwsze przyznanie się do zabójstwa. Zabrał śledczych, jak w niskich lotów horrorze – na szachtyński cmentarz. Tam w niewielkim grobie, pod cienką warstwą ziemi, znaleźli szkielet nastolatka. Zabitego chłopaka szukano przez półtora roku.

53) Aleksiej Chobotow, 13 lat, zabity 28 sierpnia 1989 roku w Szachtach.

Czikałto podczas przypadkowej rozmowy na ulicy przekonał Chobotowa, by ten poszedł z nim obejrzeć film na wideo. Ta zachodnia nowinka – prywatny magnetowid – dotarła do ZSRR w połowie lat 80. ubiegłego wieku wraz z wiatrem zmian pieriestrojki. Egzemplarzy było niewiele i niewielu było na owo cacko stać. Przykładowo: wiecznie

psujący się głośny jak odkurzacz radziecki magnetowid Elektronika WM-12 kosztował 10 niezłych pensji – 1200 rubli. Ale nawet za takie pieniądze znaleźć go w sprzedaży nie było możliwości, tylko na czarnym rynku za prawie 2000 rubli. Teraz brzmi to strasznie: magnetowid za roczną pensję doświadczonego lekarza. A co mówić o różnym zaawansowanym sprzęcie marki Panasonic albo Sony z pilotami? Te sprzedawano za 4–5 tysięcy rubli. Japoński magnetowid z możliwością sterowania z kanapy można było wymienić na samochód.

Wraz z magnetowidami pojawiły się kasety VHS z zachodnimi produkcjami filmowymi. Nie z klasyką kina indyjskiego, francuskiego lub włoskiego, którą puszczały w kinach i człowiek radziecki był tym przesycony, lecz z prawdziwymi amerykańskimi blockbusternymi – z krwią, przemocą, kosmitami, robotami, czarującymi przestępcami i pięknymi kobietami. W tamtych latach jedna kasetka mogła kosztować do 80 rubli. Była to prawie równowartość średniej miesięcznej pensji. Zatem pięć takich kaset stanowiło niezły prezent na ślub lub na 50. urodziny ojca.

Stosunek do człowieka, który miał w domu magnetowid, można porównać z dzisiejszym podejściem do właściciela ferrari, który wozi nim swoich przyjaciół. Ludzie gromadzili się w mieszkaniach u znajomych i przez noc oglądali film za filmem. Najpopularniejsze były filmy akcji z takimi twardzielami, jak: Schwarzenegger, Stallone, Bruce Lee, Seagal oraz thrillery i horrory *Milczenie owiec* lub *Koszmar z ulicy Wiązów*, ale nie gardzono też kreskówką *Tom &*

Jerry. Najbardziej pożądane były jednak produkcje zawierające odważne sceny erotyczne, jak *Emmanuelle*, *Kobieta w lustrze* lub *Ostatnie tango w Paryżu*. Początkowo za oglądanie tego rodzaju produkcji można było wylądować w więzieniu za rozpowszechnianie pornografii⁴³ – jeśli czujni sąsiedzi donieśli na mieszkańców zza ściany, że według dźwięków dochodzących z mieszkania oglądają tam film z aktem nierzędu (a ich nie zaprosili). Przyjeżdżała milicja, w całym bloku odłączano prąd i do mieszkania wchodził stróż prawa. Kaseta w sprzęcie, której nie sposób było wyciągnąć, stanowiła idealny dowód w sądzie.

Filmy tłumaczono na rosyjski tak samo – półlegalnie, na słabym sprzęcie, przez osoby, które niezbyt orientowały się w codziennym angielskim żargonie. Głos sprawiający wrażenie, jakby jego właściciel miał nieuleczalny katar z chronicznym zapaleniem zatok, nie wstydził się wstawiania przerywników pasożytów typu: „eeeeee” „mmmmm” „no jak tam” „w sensie”, i próbował wyjaśnić widzom, o czym mówi Van Damme, Chuck Norris i RoboCop. To właśnie dzięki takim „zawodowcom” Terminator początkowo został nazwany Cyborgiem Zabójcą. Jednak to właśnie oni otwierali mieszkańcom szarego królestwa nudów, jakim był ZSRR, okno do innego świata.

Natomiast pod koniec lat 80., kiedy pieriestrojka nabrała tempa, wiele rzeczy, za które nie tak dawno wysyłano na Kołymę na 5–7 lat, stało się legalnych, a Związkowi Radzieckiemu pozostały jeszcze 2–3 lata istnienia, w całym kraju powstały tysiące tzw. salonów

wideo. W salach sportowych szkół, w piwnicach, garażach, byłych komnatach leninowskich instytucji, gdzie jeszcze niedawno czytano teksty o świetlanej przyszłości, a czasami po prostu w czyimś mieszkaniu stawiano kilkadziesiąt krzeseł, brano po 1-2 ruble za wejście i puszczano film na zwykłym słabo działającym telewizorze typu rubin. Na nim lokalny telemajster za kilka butelek gorzałki zainstalował sprzęt, aby można było podłączyć do niego magnetowid. Porządku pilnowali bramkarze – sportowcy lub rekruci tutejszej akademii wojskowej.

Właśnie na taki kąsek dał się skusić prowincjalny chłopczyk Liosza Chobotow. Za wstęp do salonu wideo trzeba płacić, jest tam tłum ludzi, wielu pijanych, i wszechobecny dym papierosowy. A tu zaproszenie, by obejrzeć film u kogoś w domu. To jak prywatny pokaz w kinie.

W dniu swojego zaginięcia, 28 sierpnia, Aleksiej powiedział, że idzie do parku na karuzelę. Mama poprosiła, żeby zaczekał na ojca, który niebawem miał przyjść i poszliby na spacer całą rodziną. Ale dziecko nalegało. Matka w końcu ustąpiła. Wieczorem rodzice zaczęli go szukać... Szukali aż do grudnia następnego roku. Przez te półtora roku, kiedy los dziecka był nieznany, rodzice Chobotowa wydali wszystkie rodzinne oszczędności na detektywów oraz jasnowidzów i wróżki, którzy twierdzili, że syn żyje i się odnajdzie. Nieszczęsna kobieta biegała po Szachtach ze zdjęciem syna: „Nie widzieliście mojego chłopca?”. O, ironio, jaka ty bywasz okrutna! Wśród tych

osób, którym matka we łzach pokazywała swoje dziecko, był jego zabójca – Czikałło rozpoznał na zdjęciu swoją ofiarę. Obywatel X jechał wtedy wraz z żoną tramwajem. Oczywiście nic nie powiedział, dopiero podczas śledztwa ujawnił tę informację. Potwór Rostowski zabił nastolatka, a następnie zabrał jego zwłoki na cmentarz. Ze słów Czikałły wynikało, że kiedy było mu smutno, czuł się złym człowiekiem, przychodził tu i kopał sobie grób, licząc na to, że kiedyś się tu zabije. Okazało się jednak, że wykopał ten grób dla kogoś innego.

SĄD

Podczas spotkania z seryjnym mordercą Buchanowski nie atakował Czikałły. Mówił spokojnie, poczęstował go wędzoną kiełbasą, którą – jak się wcześniej dowiedział – Andriej Romanowicz uwielbiał. Mówił, że nie uważa go za potwora czy strasznego mordercę. Przeciwnie, uznaje go za bardzo chorego oraz nieszczęśliwego człowieka, który dużo przeżył. Zarówno jego życiorys oraz zdolności, jak i on sam są unikalne i trzeba go zbadać.

Pierwszy raz spotkawszy się ze zrozumieniem, Czikałło zaczął mówić o swoim dzieciństwie. Pograżył się we własnych wspomnieniach, przesyconych poniżaniem, znieważaniem, brakiem szacunku wobec jego osoby; robił się coraz bardziej rozmowny, wrażliwy. Z chęcią mówił o sobie. Jego rozmówca go nie osądzał, lecz mu współczuł.

Mówił, że jeśli Czikałto dokonał tych zabójstw, prawdopodobnie sąd uzna go za niepoczytalnego i nie zostanie ukarany.

W końcu chęć opowiedzenia o sobie jak najwięcej zwyciężyła. A w dodatku pojawiła się nadzieja na uniknięcie kary. Czikałto rozplakał się i zaczął mówić prawdę. Swoją opowieść zaczął 30 listopada 1990 roku, a skończył dopiero wiosną 1991 roku.

Podczas przesłuchań mówił, że nie rozumie tych motywów, które zmuszały go do zabijania. Mówił o jakichś siłach, których nie może pojąć. Swoją stan podczas zabójstw i po nich opisywał jako trans, głębokie zamyślenie, jakąś nadludzką koncentrację. Do tego stopnia, że czasami już nie mógł odróżnić świata, który stworzył we własnym umyśle, od rzeczywistości. W swoich fantazjach widział siebie jako przypartego do ściany wilka, który desperacko walczy z wrogiem do ostatnich sił.

To odpowiedni moment, by zapytać: *A co z analizą krwi? Przecież w 1984 roku dała jednoznaczny wynik – Czikałto ma grupę II, a zabójca powinien mieć IV!*

Długo potem dyskutowano o tym, co się stało. Dlaczego analiza krwi dała niewłaściwy wynik. Mówiono o jakiejś anomalii „jednej na milion”, o paradoksie, kiedy organizm człowieka wydziela cząstki innej grupy krwi. Rzekomo jakiś Włoch odkrył to zjawisko w 1958 roku...

W 2000 roku udowodniono, że anomalia „jedna na milion” nie istnieje.

Prawda okazała się bardziej prozaiczna. Było to niedbalstwo eksperta, który zabrudził próbkę. Jego błąd kosztował życie ponad 20 osób.

20 sierpnia 1991 roku Czikatilę zabrano na badania psychiatryczne do Moskwy, do instytutu im. Serbskiego. Opinia lekarzy opisana na 19 stronach, która została ogłoszona 25 października, była szokiem dla Andrieja Romanowicza, który żywił nadzieję na niepoczytalność: *Stan psychiczny Czikatili pozwala mu zdawać sobie sprawę z konsekwencji własnych czynów oraz kierować nimi. Nie ma konieczności zastosowania środków przymusu o charakterze medycznym.*

Podpisano: Przewodniczący komisji, doktor nauk medycznych, prof. B.W. Szostakowicz.

Tak się kończył dokument. Innymi słowy, stwierdzono poczytalność oskarżonego. Stan umysłu Potwora Rostowskiego pozwalał mu stanąć przed sądem i zostać ukaranym za dokonane czyny.

- Nie wytrzymam. Powieszę się - powiedział Czikatilo, kiedy skończył czytać wyniki badania.

14 kwietnia 1992 roku, już w nowej, nieradzieckiej Rosji, Rostowski Sąd Obwodowy pod przewodnictwem sędziego Leonida Akubżanowa, w obecności dwóch ławników: Aleksandra Liewy - kierowcy autobusu - oraz Władimira Aleksandrowa - ślusarza, przystąpił do rozpoznania sprawy Czikatili. Akta sprawy Radzieckiego Kuby Rozpruwacza wynosiły 220 tomów. Sala przeznaczona na 250 osób nie mogła zmieścić wszystkich chętnych -

krewnych ofiar, dziennikarzy itp., więc dużo ludzi zawsze stało na ulicy. Posiedzenie sądowe przez kilka dni było jawne, ale ze względu na to, że chodziło o przestępstwa na podłożu seksualnym dokonane na nieletnich, wszystkich dziennikarzy wyproszono.

Aby zagwarantować oskarżonemu bezpieczeństwo, umieszczono go w żelaznej klatce. Okazało się to uzasadnione. W trakcie rozprawy brat jednej z ofiar, 17-letniej Ludmiły Aleksiejewej (25), Władimir Kulewacki, rzucił w oskarżonego żelaznym prętem. Trafił prosto w głowę. Realnie istniało więc poważne niebezpieczeństwo. Matki, ojcowie, dziadkowie, bracia oraz siostry, kiedy pierwszy raz zobaczyli mordercę swoich bliskich, przywitani go na sali groźnymi okrzykami. Grożono między innymi jego dzieciom oraz krewnym. Jednak jeszcze w grudniu 1990 roku, na polecenie Kostojewa, dzieci oraz była małżonka Czikałowa zmienili nazwisko na panińskie nazwisko matki i przenieśli się do Charkowa.

W sądzie Czikałowa wrzeszczał z klatki, śpiewał, pokazywał oskarżycielowi, sędziemu i wszystkim obecnym genitalia, krzyczał, że jest karmiącą matką i jest w ciąży, bluzgał i przeklinał na lewo i prawo. Stawiał siebie w modnej teraz roli ofiary komunistycznego reżimu oraz wymiaru sprawiedliwości. Opowiadał o walkach na barykadach, o spotkaniach z Gorbaczowem, które oczywiście nigdy nie miały miejsca. I nie przestawał mówić o sobie, o sobie, o sobie. Jak go boli głowa, jak nie powodziło mu się z kobietami, jak cierpiał w dzieciństwie,

jak niesprawiedliwie natura obdarowała go kobiecością oraz niejasną przynależnością płciową; oskarżał wszystkich obecnych o to, że go nienawidzą. Z całych sił starał się odsunąć ogłoszenie wyroku – zgłaszał sprzeciw wobec składu sędziowskiego, nalegał na powtórny ekspertyzę psychiatryczną, dodawał epizody, o których nie wspominał podczas śledztwa, wypierał się zabójstw, do których wcześniej się przyznał.

Sędziego z 14-letnim stażem wyraźnie to irytowało. Pozwalał sobie więc wobec oskarżonego na takie zwroty: „Przestań pan natychmiast, u siebie w domu żreć będziesz!” (Czikatiło żuł gumę); „Zamknij pan gębę, Czikatiło, a to gazety napiszą, że jesteś pan niepoczytalny, a jesteś pan poczytalny”; „Niech pan tu przysługi nie robi, odpowiadaj pan; Podnieś pan szczęskę”.

Adwokat Marat Chabibulin budował obronę na tym, że oskarżony to nieszczęśliwy i chory psychicznie człowiek, a stwierdzenie poczytalności w niedawno upadłym ZSRR było uzależnione od widzimisię władz. Ponadto przyznanie się do poszczególnych zabójstw zostało rzekomo zebrane z rażącym naruszeniem przepisów postępowania karnego, pod przymusem oraz poprzez wprowadzenie oskarżonego w błąd. Adwokat twierdził, że jego klientowi dano do podpisu protokół o przyznaniu się do jednego zabójstwa, a w rzeczywistości na papierze widniało przyznanie się do kilku, że tak naprawdę nie ma żadnego bezpośredniego dowodu winy oskarżonego, nie ma żadnego świadka.

Prokurator N. Gerasimienko, a następnie zastępujący⁴⁴ go A. Zadarożny i A. Kiujumdży przeciwstawiali temu fakt, że oskarżony przy opisywaniu każdego kolejnego zabójstwa podawał śledczym takie szczegóły, które mógł znać tylko sprawca i które potwierdziły się w trakcie eksperymentów procesowych.

Po wygłoszeniu mów końcowych sąd pozostawił sobie dwa miesiące na wydanie wyroku. 14 października sąd ponownie zgromadził się w celu jego ogłoszenia. Odczytywanie zajęło dwa dni. Pokrzywdzonym pozwolono słuchać na siedząco. Bliscy ofiar Czikałiły, gdy słyszeli imiona swoich dzieci bądź wnuków oraz w jakich okolicznościach zginęli, nieraz padali nieprzytomni lub zaczynali bić się w histerii. Wyprowadzali ich lekarze. Sam Czikałiło też nie siedział spokojnie, głośno krzyczał i wyzywał sędziego. Jego także niejednokrotnie wyprowadzał konwój. Gdy w końcu została ogłoszona kara, którą miał ponieść Radziecki Kuba Rozpruwacz za brutalne zabójstwa 21 chłopców, 14 dziewczynek oraz 17 kobiet⁴⁵ – kara śmierci – sala biła brawa na stojąco.

Jak w przypadku Krawczenki do Sądu Najwyższego Federacji Rosyjskiej 30 października 1992 roku została wniesiona kasacja ze względu na to, że Czikałiłę bezzasadnie uznano za poczytalnego oraz że miało miejsce naruszenie przepisów postępowania podczas zbierania dowodów. 30 czerwca 1993 roku Sąd Najwyższy oddalił kasację, uznając większość wniosków obrony za nieuzasadnione, przyznał jednak, że faktycznie w jeszcze

kilku przypadkach zabójstw wina oskarżonego nie została udowodniona, a więc formalnie Czikałto jest sprawcą nie 52, lecz „tylko” 43 zabójstw. Ostateczną karę – rozstrzelanie – Sąd Najwyższy pozostawił bez zmiany.

W przypadku Potwora Rostowskiego pozostała ostatnia formalna możliwość uniknięcia kary śmierci: wniosek o ułaskawienie, który po upadku ZSRR mógł podpisać tylko prezydent Rosji. Taki dokument Czikałto sporządził 18 lipca 1993 roku, prosząc o pozostawienie go przy życiu. Ponownie przedstawiał siebie jako osobę chorą oraz nieszczęśliwą, która sporo w życiu wycierpiała. Ówczesnemu prezydentowi Jelcynowi, który przyczynił się bezpośrednio do rozpadu Związku Radzieckiego, pisał także, że jest ofiarą zbrodniczego reżimu komunistycznego, na który pracował przez 40 lat i który wytarł sobie nim gębę. Tekst wniosku nie był wolny od zwykłych bredni. Czikałto zaznaczał na przykład, że pokonała go mafia asyryjska.

Dopóki Obywatel X oczekiwał w swojej celi w nowoczerkaskim więzieniu na odpowiedź prezydenta, bardzo o sobie dbał. Wykonywał gimnastykę poranną, czytał gazety. Z chęcią udzielał wywiadów, w tym zagranicznym dziennikarzom. Narzekał, że nie odwiedza go rodzina. I bez końca pisał skargi na wszystko i na wszystkich – do gazet, do prokuratury obwodowej i generalnej, do Rady Najwyższej. Chciało się żyć.

4 stycznia 1994 roku Czikałto doczekał się odpowiedzi na wniosek. Był bardzo krótki, sporządzony na starym

blankiecie urzędowym – z godłem RFSRR. Taka sama była pieczęć – z sierpem i młotem.

Ukaz Prezydenta Federacji Rosyjskiej o oddaleniu wniosku o ułaskawienie skazanego na karę śmierci A.R. Czikałi.

Mając na uwadze szczególny ciężar dokonanych przez Czikałę przestępstw, oddalam wniosek o ułaskawienie Czikałi Andrieja Romanowicza ur. w 1936 r., skazanego dn. 14 października 1992 r. przez Rostowski Sąd Obwodowy na karę śmierci.

Prezydent Federacji Rosyjskiej B. Jelcyn.

ROZSTRZELANIE

14 lutego 1994 roku, Nowoczerkask. Mróz -15°C, silny wiatr. Poniedziałek. Wieczór. Strażnicy wyprowadzili Czikałę z budynku więzienia, gwałtownie wepchnęli go do samochodu i wsiedli do pojazdu. Skazany mocno uderzył głową o drzwi samochodu, od czego na jego twarzy pojawił się krwiak. Był jednak spokojny. Myślał, że zabierają go do Moskwy na dodatkowe badania psychiatryczne. Tak mu przecież wczoraj powiedzieli.

Jechali niecałą godzinę, z jakiegoś powodu dwoma samochodami. Czikał nie wiedział, że w samochodzie, który podąża za nim, jedzie prokurator, który miał się przed egzekucją upewnić, że on to on. Dojechali do miejsca, które też wyglądało jak więzienie: żelazne bramy, szare betonowe

budynki z kratami, wysokie mury, drut kolczasty. Za bramami spotkali kilka osób: lekarza, tutejszego naczelnika oraz kogoś z MSW.

Wszyscy udali się w podziemia, do jakiejś piwnicy. Rury, kable, brudne, wilgotne niemalowane ściany. Bardzo ciemne oraz zabałaganione miejsce – tu i tam skrzynki oraz meble. Prokurator, korzystając z okazji, poprosił Czikatilę o napisanie czegoś o sobie na książce o nim, która już zdążyła powstać. Ściśle, to był „Towarzysz Morderca” autorstwa Michaiła Kriwicza i Ol’giera Ol’gina. Potwór Rostowski napisał: *Dziękuję wam oraz wszystkim, którzy męczyli się razem ze mną, i oby nie było więcej takich jak ja, zbrodniarzy oraz chorych. 14 lutego 1994 roku. Padł rozkaz: „Teraz idziemy”.*

Szli długim podziemnym korytarzem. Na jego końcu znajdowały się ciężkie, żelazne drzwi. Kiedy przez nie przeszli, znaleźli się w małym nieogrzewanym pokoiku z betonowymi murami, bez okien. Pod jedną ze ścian stało biurko oraz kilka krzeseł, obok nich znajdowały się kolejne drzwi. Prokurator, przedstawiciel MSW, lekarz oraz czwarta osoba, a był to szef tzw. grupy specjalnej, czyli miejscowych katów, usiedli za biurkiem. Dwóch strażników pozostało przy skazanym, którego postawili przed biurkiem. Prokurator rozpoczął pracę: sprawdził dokumenty – wyrok sądu obwodowego, postanowienie Sądu Najwyższego, ukaz prezydenta. Popatrzył na zdjęcie z akt, potem na twarz Czikatili, zapytał o imię, datę i miejsce urodzenia, w jakim

sądzie i kiedy został skazany. W tym miejscu zapytał on, czy skazany zna ukaz głowy państwa wobec niego.

- Odmówił? - zapytał Czikałiło.

- Niech pan słucha, zaraz przeczytam.

Przeczytał. Dobrze, że ukaz składał się zaledwie z kilku zdań. Czikałiło wyglądał tak, jakby nic nie zrozumiał.

Prokurator przeczytał ponownie.

- To co, teraz mnie rozstrzelają? - spytał morderca, który miał na sumieniu dziesiątki osób.

Cisza. Odpowiedzi się nie doczekał.

- Wykonać wyrok! - ryknął prokurator.

Wtedy w drzwiach obok biurka zagrzechotała żelazna klamka i otworzyły się one szybko do wewnątrz. Strażnicy, którzy stali obok Czikałiły, pchnęli go w kierunku wejścia - tam było drugie pomieszczenie. Kiedy Radziecki Kuba Rozpruwacz wleciał do niego, padł strzał i skazany upadł jak ciężki wór z kamieniami. Zza drzwi wyszedł kat z opuszczonym pistoletem, z którego uchodził dym. Trafił tam, gdzie trzeba - w kark.

Lekarz podszedł do ciała Czikałiły i stwierdził zgon. Ludzie siedzący za biurkiem złożyli podpisy na dokumentach.

Zanotowano godzinę: 20:00.

²⁷ Z protokołu przesłuchania Aleksandra Krawczenki z dn. 12 lutego 1979 r.

²⁸ Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka - oficjalna nazwa Rosji Radzieckiej od 1917 r. najpierw jako państwa niepodległego, a od 1922 r. do 1991 r. jako części ZSRR.

²⁹ Dla jasności obrazu podano fragmenty z k.p.k. RFSRR z 1960 r. (tłumaczenie autorskie): Art. 325: (...) *pokrzywdzony oraz jego pełnomocnik mają prawo do zaskarżenia wyroku w trybie kasacyjnym (...) Wyroki wydane przez Sąd Najwyższy RFSRR nie podlegają zaskarżeniu w trybie kasacyjnym.* Art. 326: 2) *Wyroki sądów najwyższych ASRR, krajowych, obwodowych, miejskich, obwodów autonomicznych oraz okręgów narodowych mogą zostać zaskarżone w trybie kasacyjnym do Sądu Najwyższego RFSRR (...) Wyroki wydane przy powtórnym rozpatrzeniu sprawy mogą zostać zaskarżone w trybie kasacyjnym.* Art. 339: *W trakcie rozpatrywania sprawy w trybie kasacyjnym sąd podejmuje jedną z następujących decyzji: 1) pozostawia wyrok w mocy, a środek zaskarżenia oddala, 2) uchyla wyrok oraz kieruje sprawę do ponownego dochodzenia bądź nowego rozpoznania, 3) uchyla wyrok oraz umarza sprawę, 4) zmienia wyrok.* Art. 340: *Wyrok może zostać uchylony w związku z koniecznością zastosowania innej ustawy o cięższym przestępstwie lub w przypadku wniesienia skargi kasacyjnej przez prokuratora lub pokrzywdzonego, w związku z łagodnością kary.* Art. 342: *Podstawami do uchylenia lub zmiany wyroku mogą być: 1) jednostronność lub niepełność dochodzenia, śledztwa wstępnego lub postępowania dowodowego, 2) niedopasowanie wniosków sądu do stanu faktycznego, 3) istotne naruszenia przepisów postępowania karnego, 4) niestosowne używanie prawa karnego, 5) niewspółmierność kary do ciężaru przestępstwa oraz osobowości skazanego.* Art. 347: *Za karę niewspółmierną do ciężaru przestępstwa oraz osobowości skazanego uznaje się karę, która choć nie wykracza poza ramy przewidziane ustawą, w swej formie jest jednak jawnie niesprawiedliwa, zarówno ze względu na swoją łagodność, jak i surowość.*

³⁰ Z postanowienia Kolegium Karnego Sądu Najwyższego RFSRR z dn. 24 maja 1982 r. sprawy Krawczenko A.P., Н. Китаев, *Неправосудные приговоры к смертной казни. Системный анализ допущенных ошибок*, Юрид. центр Пресс, Санкт-Петербург, 2004, s. 209.

³¹ Szkoła zawodowo-techniczna, w skrócie PTU – *profesjonalno-technическое училище*. Powstały one w drugiej połowie lat 60. ubiegłego wieku. Owe szkoły przygotowywały kwalifikowanych robotników. Do PTU przyjmowano po 8 klasie szkoły. Nauka trwała od 6

miesiące do 4 lat. Mimo że propaganda nawoływała młodzież do podejmowania kształcenia w PTU, by móc zostać stolarzem, tokarzem, spawaczem, operatorem maszyn itp., dawano liczne ulgi, a PTU były wyposażone lepiej niż niektóre wyższe uczelnie, wysyłanie uczniów do PTU czasami odbywało się prawie pod przymusem. Nauka w PTU była niepopularna i nie przynosiła prestiżu. Lud radziecki rozwijał skrót PTU jako „Pomóż Tępakowi się Urządzić” oraz „Posłali Tępego Uczyć się”, a samo słowo *PTUsznik* stanowiło wręcz diagnozę i do dziś w języku rosyjskim pozostaje synonimem słowa „wieśniak”.

[32](#) „Mamą” nazywano inne bandyckie miasto ZSRR – Odesę.

[33](#) Z protokołu przesłuchania Jurija Kalenika z dn. 13 września 1983 roku.

[34](#) Niektórzy w tym momencie spytają: *Stop, a co robili adwokaci podejrzanych?!* Otóż to, że zgodnie z ustawą zasady przewodnie postępowania karnego ZSRR i republik związkowych z dn. 25 grudnia 1958 roku udział obrońcy w postępowaniu rozpoczynał się w chwili ukończenia śledztwa i sporządzenia aktu oskarżenia, czyli kiedy cała informacja została wydobyta, protokoły leżały podpisane i już niczego nie można było cofnąć. Taka praktyka istniała od chwili powstania radzieckiego postępowania karnego prawie do 1990 roku. Inaczej mówiąc, podejrzany na etapie śledztwa stawiał czoła radzieckim organom ścigania sam. W realiach ZSRR oznaczało to, że śledczy mogli robić z podejrzanym wszystko, co im przyszło do głowy, wykorzystując stan emocjonalny podejrzanego bądź jego niewiedzę prawniczą. Inna kwestia to również jakość radzieckich adwokatów – zawsze z urzędu (prywatna praktyka była przecież nielegalna), często niezainteresowanych losem i biegiem sprawy, po prostu pełniących symboliczną funkcję, „żeby być”. A w warunkach państwa jednopartyjnego adwokat członek partii mógł nawet działać na korzyść oskarżenia. Logika: *Jak wy, członek partii, możecie bronić owego wroga społeczeństwa!? No i co, że oskarżenie jest skonstruowane na zeznaniach tylko jednego świadka alkoholika, który nawet własnej daty urodzenia nie pamięta?! Przecież u waszego klienta na mordzie wszystko jest wypisane! Ona ma długie włosy i gra jazz! Na pewno to on! Prawda jest ważniejsza od przepisów!*

[35](#) Odpowiednik wojskowego majora.

[36](#) Pismo W. Kazakowa do W. Omiegowa z dn. 20 listopada 1984 roku.

[37](#) Radziecki odpowiednik zachodniego Ph.D.

[38](#) Czyn karalny w ZSRR z art. 209 k.k. RFSRR z 1960 r. – za systematyczne zajmowanie się włóczęgostwem oraz żebractwem kontynuowane wbrew ostrzeżeniom przewidywano karę do 2 lat pozbawienia wolności lub prace poprawcze od 6 miesięcy do 1 roku.

[39](#) Odpowiednik wojskowego pułkownika.

[40](#) Około czterech godzin autobusem od Rostowa.

[41](#) Czikałiłę sądono na podstawie art. 92 k.k. RFSRR z 1960 r. – kradzież państwowego lub społecznego mienia dokonana przez przywłaszczenie lub marnotrawstwo, lub wykorzystanie stanowiska służbowego. Groziło za to od 1 roku do 4 lat pozbawienia wolności lub prace poprawcze do 1 roku.

[42](#) Obecnie Jekaterynburg.

[43](#) Art. 228 k.k. RFSRR z 1960 r. – pozbawienie wolności do 3 lat lub grzywna do 100 rubli.

[44](#) 19 maja sprawa pozostała bez oskarżyciela. Na podstawie wniosku pokrzywdzonego Fomina, który spotkał się z aprobatą innych pokrzywdzonych, odsunięto N. Gerasimienkę od sprawy, ponieważ zdaniem wnioskodawcy był on w zмовie z obroną – szedł oskarżonemu na rękę, zgadzał się z wnioskami obrony o powtórny ekspertyzę, o odwołanie składu sędziowskiego, pozwalał sobie na zwracanie sądowi uwagi na brak taktu przewodniczącego, a nawet więcej – miał do niego pretensje o naruszenie przepisów. Sąd zatwierdził wniosek i 3 lipca miejsce Gerasimienki zajęli Anatolij Zadorożny oraz Aleksander Kiujumdży. Usłyszawszy tatarskie nazwisko nowego oskarżyciela, Czikałiło zgłosił wniosek o odwołanie go, ponieważ oskarżyciel miał być rzekomo powiązany z mafią asyryjską. Kilkutygodniowe przerwy, ku niezadowoleniu krewnych zabitych, zdarzały się dość często – sędzia nieraz bez wyraźnego powodu ogłaszał, że rozprawa będzie kontynuowana za tydzień. Potem rzekomo jeden z ławników musiał z powodów rodzinnych wyjechać na kilka dni. Później ktoś rozlał w korytarzu pół słoika rtęci – wietrzenie zajęło kolejnych kilka dni.

[45](#) Uznano, że вина oskarżonego w jednym zabójstwie nie została udowodniona. Chodzi o zabicie Łory Sarkisian.

WŁAMANIE DO BANKU PAŃSTWOWEGO ARMENII

*- Po co ci tyle pieniędzy? Co byś z nimi zrobił?
- Chciałem kupić dyplom, zostać prawnikiem
i wsadzać do pudła takich jak ty
i innych złodziei, którzy ukradli ludowi miliardy.*

Rozmowa włamywacza ze śledczym

TRUDNY POCZĄTEK TYGODNIA PRACY

Najlepszym okresem dla banku centralnego Związku Radzieckiego – Banku Państwowego ZSRR – stały się lata 60. ubiegłego wieku. Został on największym i najpotężniejszym bankiem centralnym świata. Reprezentował sieć powiązanych ze sobą banków państwowych republik związkowych, banków przeznaczonych do kredytowania oddzielnych gałęzi gospodarki ludowej, systemu państwowych kas oszczędnościowych itd. Było to takie swoiste Ministerstwo Banków i jednocześnie naczelny księgowy oraz główna kasa Związku Radzieckiego. Bank Państwowy ZSRR stanowił centrum emisji pieniędzy, za pomocą swoich filii w republikach wydawał środki zgodnie z planem gospodarczym przedsiębiorstwom oraz instytucjom.

Kierował on obrotem pieniężnym w kraju, prowadził operacje z metalami szlachetnymi i papierami wartościowymi, w tym zagranicznymi. Kontrolował wykonanie planu. Wydawał instrukcje dla banków, np. rozgraniczał ich kompetencje. Wszystkie wolne środki każdego przedsiębiorstwa w kraju wędrowały do Banku Państwowego. Takie same zadania tylko na mniejszą skalę miały banki państwowe republik związkowych.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich od dnia swojego powstania w 1922 roku do dnia upadku w 1991 roku pozostawał federacją, w skład której wchodziło w różnych okresach od 4 do 16 republik związkowych. W 1956 roku, kiedy Karelo-Fińską SRR wcielono z powrotem do Rosji jako Karelską ASRR, ukształtował się system 15 republik, który trwał do końca istnienia imperium radzieckiego.

Jedną z republik związkowych była leżąca na południu Kaukazu słoneczna trzymilionowa Armenia ze stolicą w Erewanie. W tym jednym z najstarszych miast świata, które wciąż nazywają „miastem fontann”, ponieważ znajduje się ich tam ponad 2700, mieszkała prawie 1/3 ludności Armenii. Jak inne republiki związkowe⁴⁶, Armeńska SRR w ramach jedyne systemu bankowości Związku Radzieckiego posiadała własny bank państwowy. Jego następcą, Centralny Bank niezależnej Armenii, znajduje się tam, gdzie i poprzednik – w pobliżu Placu Republiki, w malowniczym miejscu z parkiem i fontannami.

W poniedziałkowy poranek 8 sierpnia 1977 roku pracownicy Banku Państwowego Armeńskiej SRR weszli do repozytorium gotówki, znajdującego się na pierwszym piętrze, i siarczyście zakłęli. W pomieszczeniu, które za pomocą metalowych krat było podzielone na korytarzyk oraz kilka małych „pokoi”, gdzie trzymano pieniądze, pomiędzy równymi blokami opakowań z paczkami gotówki świeciło pustką. W suficie, na wysokości ponad 3,5 metra, znajdowała się 34-centymetrowa dziura, z której zwisał sznur.

W tamtych latach w Banku Państwowym Armeńskiej SRR pieniądze trzymano na półkach, jak stare gazety. Żadnych czujników ciśnienia ani kamer, jak ma to miejsce współcześnie. Ochrona w banku była, wartownia znajdowała się na parterze, a po drugiej stronie ulicy mieścił się posterunek milicji, jednak ani ochroniarze, ani milicjanci niczego nie słyszeli. Na drzwiach do repozytorium oraz na drzwiach pokoiów z gotówką zamontowano sygnalizację, która prowadziła do ochrony na dole i do milicji. Pozostała nietknięta. Drzwi gmachu banku cały czas były zamknięte.

W repozytorium nie było okien. Piętro wyżej, nad repozytorium, gdzie znajdowała się dziura w suficie, mieścił się pokój socjalny pracowników. W nim na podłodze znaleziono narzędzia, za pomocą których najwyraźniej został wykonany otwór. Były to: ręczna wiertarka, dłuto, resztki sznura, piła do metalu i młotek. Obok leżały także niewielka parasolka i pięć pustych butelek po wodzie.

Akurat obok pokoju socjalnego, w korytarzu, już od kilku dni trwał remont i kraty z jednego z okien korytarzowych zdjęto i założono folię. Zdjęte kraty leżały tuż obok okna. Robotnicy zapomnieli o ich ponownym zamontowaniu. Widocznie przez to okno włamywacz bądź włamywacze dostali się do budynku banku, następnie przedostali się do otwartego pokoju socjalnego, zrobili dziurę w podłodze i weszli do repozytorium z gotówką. Później zabrali tyle pieniędzy, ile potrafili unieść, i opuścili budynek najprawdopodobniej tą samą drogą. Co więcej, prawie wszystkie drzwi w korytarzu drugiego piętra zostały wybite.

W jaki jednak sposób włamywaczowi udało się wejść i nie zostać zauważonym przez otwarte okno korytarza na 2. piętrze? Po drabinie byłoby to niemożliwe. Każde piętro banku to niecałe 4 metry, więc przestępca musiałby pokonać około 12 metrów wysokości. Człowiek z co najmniej 12-metrową drabiną zwróciłby na siebie uwagę. Ponadto skąd włamywacz mógł wiedzieć, że akurat tego dnia robotnicy zapomną o zamontowaniu krat? Czyżby to oni byli włamywaczami lub celowo pozostawili okna niezastłonięte? A jeśli to oni, skąd wiedzieli, gdzie przebijać dziurę w podłodze? Przecież oni nie powinni znać planu banku. Zdradził im to jakiś pracownik czy może podsłuchali czyjąś rozmowę?

I jak ten ktoś zdołał wejść przez dziurę w podłodze o średnicy 34 centymetrów, o 4 centymetry większej niż długość typowej szkolnej linijki, równej w przybliżeniu

długości połowy ręki dorosłego człowieka? Czyżby włamywaczem było dziecko lub karzeł? A może użyto jakiegoś zwierzęcia bądź nieznanego ustrojstwa technicznego? I dlaczego na drugim piętrze włamywacz wyważył wszystkie drzwi? Ciekawe również było, po co ta parasolka... Deszcz ostatnio nie padał.

Historia włamania do Banku Państwowego Armenii była wyjątkowa z dwóch powodów. Po pierwsze, w ZSRR banków nie obrabowywano. Okradano mieszkania, sklepy, kasy, inkasentów, obywateli na ulicach, ale nie banki. Głównym powodem nie było to, że brakowało utalentowanych złodziei czy odważnych bandytów, ani to, że dbano o państwowe pieniądze.

Główny powód stanowił fakt, że w państwie socjalistycznym, nawet gdyby udało się z powodzeniem włamać do banku i zdobyć gigantyczny łup, prawie nie było możliwości wydania go. Na luksusowe nieruchomości? W ZSRR rynek nieruchomości prawie nie istniał, lokale rozdawane były przez organy i instytucje. Wyjątek stanowiły mieszkania spółdzielcze, ale tam kupowano nie mieszkania, lecz udział, i były one w zdecydowanej mniejszości. Co więcej, trudno nazywać je luksusowymi, były to bowiem zwykłe bloki z wielkiej płyty. Istniała możliwość zbudowania swojego domu, ale żeby mieć go na własność, zgodnie z większością kodeksów lokalowych republik związkowych, musiał on być nie większy niż 60 m². Człowiek z łupem wyniesionym z banku nie cieszyłby się z takiej przestrzeni.

Przenieść się na stałe za granicę? Bez szans, granica zamknięta, emigracja była niemożliwa, o ile nie było się Żydem – istniała legalna żydowska emigracja do Izraela – albo jeśli nie zakochała się w tobie obywatelka obcego kraju, bo wtedy można było wyjechać do miejsca zamieszkania świeżo upieczonej małżonki. No ale w takiej sytuacji pozostawała kwestia wywiezienia łupu. Co więcej, rubla radzieckiego za granicą nikt nie wymieni.

Ewentualnie można byłoby nielegalnie kupić samochód, przepłacając za niego (koszt około 10 000 rubli), przenieść się nad morze do jakiegoś kurortu, na przykład do Jałty, Picundy, Gagry albo Soczi, jeść wyłącznie w restauracjach, podróżować taksówkami i ubierać się jedynie u krawców. Tylko gdzie zamieszkać w nowym mieście? Wynająć piękny lokal na długi czas? Niestety, wynajem mieszkań był nielegalny, na długi okres nie pozwolą, przestraszą się. Ponadto wybór lokali był niewielki, a ich standard niski. Mieszkać w hotelu miesiącami? To zwróciłoby niepotrzebną uwagę, obywatele Związku Radzieckiego nie zatrzymywali się na tak długo w hotelach. A co z meldunkiem? ZSRR to państwo totalitarne, bez niego nie będą cię leczyć, gdy zachorujesz, nie zatrudnią, nie przyjmą na studia. A co tam, bardzo często dokument o zameldowaniu konieczny był do samego przebywania w danym mieście, jeżeli nie posiadało się innego dokumentu usprawiedliwiającego pobyt. A mógł to być na przykład wyjazd służbowy lub urlop, przy czym czasami konieczne stawało się okazanie biletu powrotnego.

Meldunki, lekarzy itp. można byłoby oczywiście zorganizować za łapówki. Ale co wtedy z powszechnym obowiązkiem pracy? Tak, w ZSRR każdy dorosły, o ile nie przebywał na urlopie macierzyńskim, w wojsku, na emeryturze, nie studiował lub był niezdolny do pracy, musiał pracować, inaczej, na przykład w Rosji, groził mu art. 209 k.k. RFSRR z 1960 roku – do dwóch lat za „pasożytnictwo”. Może więc i można było na jakimś poziomie cieszyć się łupem, ale tylko do spotkania pierwszego milicjanta, który zapytałby cię: „Dlaczego pan nie jest w pracy?”. Wyjście z tej sytuacji istniało: należało dogadać się z jakimś przewodniczącym kołchozu i mieć tam etat traktorzysty, a potem spotykać się raz na miesiąc i podpisywać się w ewidencji wypłat, zaś „pensję” oddawać do kieszeni przewodniczącemu i głównemu księgowemu. Lub za pieniądze załatwić zaświadczenie o tym, że jesteś pisarzem i masz wolny grafik pracy. To jednak niezbyt wygodne i łatwe do sprawdzenia... Lepiej i bezpieczniejsze gdzieś się zatrudnić i chodzić do pracy jak zwykły *homo sovieticus*. Ale po co w takim razie rabować bank? Krótko mówiąc, można było pięknie żyć, ale w sensie radzieckim, co zawierało się w słowach: „mieszkanie-dacza-samochód-dostęp do zagranicy” (szczególnie w sensie najzwyklejszych dzisiaj towarów typu piwo w puszkach lub płaszcz z tkaniny wodoodpornej). Nie był to jednakże ten styl życia, na który można byłoby liczyć, posiadając majątek ukradziony z banku.

Należy jeszcze pamiętać o takiej organizacji jak OBChSS – Wydział do Walki z Kradzieżami Własności Socjalistycznej MSW ZSRR. Była to policja finansowa i skarbowka w jednym. Zajmowała się badaniem machinacji w handlu, w przedsiębiorstwach państwowych, pilnowała, żeby nikt nie interesował się biznesem i się – nie daj, Boże – nie wzbogacił. Jak tylko człowiek radziecki zaczynał chodzić po restauracjach i ubierać się u krawców, w kraju, gdzie średnia pensja wynosiła około 100 rubli⁴⁷ (wyjątkami były np. wygrana w lotto lub honorarium scenarzysty popularnego filmu), zwracało to uwagę tego właśnie organu. Mógł on się zainteresować pochodzeniem pieniędzy. Zresztą, nawet obecnie człowiek, który gwałtownie zmienił styl życia ze zwykłego na luksusowy, zwróci na siebie czujne oko państwa.

Przykład „zwykłego radzieckiego milionera” można znaleźć w książce Ilfa i Pietrowa *Złote cielę*, w postaci Aleksandra Korejki. Pracował on jako zwykły księgowy niższego szczebla, mimo że w latach 20. XX wieku ukradł miliony, oszukując na lekach i na pomocy obszarom głodującym. Po nudnej pracy „biedny milioner” chodził na dworzec kolejowy, gdzie w przechowalni trzymał walizkę z dziesięcioma milionami w rublach i walucie, brał ją, szedł do toalety, zamykał drzwi na klucz i jedyną rzeczą, którą mógł z owymi milionami zrobić, to je oglądać i wzdychać do nich, ponieważ nie miał gdzie ich wydać. Pozostawało mu się tylko irytować, że posiadając majątek, nie może oczarować młodej kobiety, która wpadła mu w oko. Ona zaś

uznawała go za starego i bez perspektyw. Dlatego biedny Aleksander Iwanowicz czekał na nową rewolucję, dbając o zdrowie, nie pijąc, nie paląc i robiąc codziennie poranną gimnastykę.

Drugi powód, dla którego włamanie do Banku Państwowego Armeńskiej SRR było zdarzeniem unikatowym, był taki, że włamywacz uniósł ze sobą kolosalną kwotę – półtora miliona rubli radzieckich. Półtora miliona rubli radzieckich pod koniec lat 70. stanowiło równowartość pięćdziesięciu milionów współczesnych złotych⁴⁸.

Był jeszcze jeden, trzeci powód, dla którego banków w ZSRR nie okradano. Najbardziej humanitarny socjalistyczny system prawa posiada jedną bardzo swoistą cechę w prawie karnym. Otóż surowo karze on za kradzież pieniędzy państwowych i przestępstwa gospodarcze. W ZSRR kradzież powyżej 10 000 państwowych rubli uznawano za „kradzież w szczególnie wielkich rozmiarach”. Za takie przestępstwo wyrokiem mogła być kara śmierci.

POSZUKIWANIA

Na czele grupy, której przekazano sprawę, stanął śledczy Prokuratury Armeńskiej SRR Eduard Astwacetarian, solidny i barczysty mężczyzna mówiący po rosyjsku z mocnym kaukaskim akcentem. Miał wśród kolegów ksywkę „Czarodziej”. On od razu stwierdził, że włamywacz

był jeden. Ogłosił też, że we włamanie musieli być zamieszani pracownicy banku. Ktoś z nich zdradził włamywaczowi słabe miejsce repozytorium – sufit – i gdzie dokładnie trzeba było się przez niego przebić. A może nawet zrobił to sam.

Skończono liczyć pieniądze – brakowało dokładnie 1 miliona 525 000 rubli: 110 „kanapek” sturublowych banknotów, 50 pięćdziesięciurublowych, 30 opakowań po 25 rubli (były takie dziwne banknoty, istniały jeszcze i trzyrublowe) oraz 100 paczek dziesięciurublowych. Z tych pieniędzy wcześniej używane były tylko dziesiątki, resztę dopiero co wydrukowano. Włamywacz miał pecha. Najcenniejsza część łupu – 110 opakowań nowiutkich sturublowych banknotów, czyli 1 100 000 rubli, było tej samej serii – AI. Tego tropu postanowili uczeplić się śledczy.

O włamaniu do Banku Państwowego Armenii i kradzieży astronomicznej sumy państwowych pieniędzy zameldowano na samym szczycie – sekretarzowi generalnemu KC KPZR, przewodniczącemu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Leonidowi Breżniewowi. Podano mu także szczegół z serią oraz podsunęto pomysł o zaprzestaniu druku i wycofaniu z obiegu wszystkich sturublowych banknotów serii AI. Wydrukowano je niedawno i nie znalazły się one jeszcze w rękach wielu obywateli. Co prawda nadrukowano banknotów na całe 14 milionów, ale Breżniew podpisał dokumenty. Do wszystkich banków, kas oszczędnościowych, sklepów, restauracji poszedł rozkaz: wezwać milicję, jeśli klient będzie próbował płacić sturublowym banknotem serii

AI. Wiele osób, łącznie z zastępcą przewodniczącego⁴⁹ Rady Ministrów Armeńskiej SRR, przeżyło nieprzyjemne godziny, kiedy próbowali rozliczyć się nowymi 100 rublami. Zatrzymywano ich i wysyłano do składania wyjaśnień.

W tym czasie śledczy Astwacetarian badał miejsce zdarzenia. Na zewnątrz gmach Banku Państwowego po jednej stronie dzielił ścianę z budynkiem mieszkalnym, kamienicą. Jej dach usytuowany był niżej niż dach banku i znajdował się na poziomie drugiego piętra instytucji finansowej. Sam budynek mieszkalny był również węższy niż ściana banku. Ściana kamienicy kończyła się mniej więcej w połowie szerokości gmachu najważniejszej placówki finansowej republiki. Okno przewieszone folią, przez które rzekomo włamywacz przedostał się do banku, znajdowało się w odległości dwóch metrów od krawędzi dachu kamienicy.

Przeprowadzono oględziny podwórka i okolicznych budynków. Uwagę śledczego zwróciło poddasze kamienicy, która miała wspólną ścianę z bankiem. Tam, na poddaszu, w ścianie też była dziura, i to świeża, a dookoła leżały cegły. Wprost za ceglana ścianą kamienicy widniała gruba, betonowa ściana banku. Przy niedokończonym otworze znajdowały się trzy butelki wody innej marki, niż miało to miejsce w przypadku pięciu pustych butelek znalezionych w banku. To sugerowało, że złodziej miał inny plan: chciał początkowo przebić się przez ścianę od strony kamienicy. Podchodził do tematu co najmniej dwa razy i był bardzo spragniony, tak że musiał kilka razy chodzić po wodę, skoro

kupił jej dwa rodzaje. Włamywacz po prostu miał szczęście. Gdyby nie otwarte okno, nic by mu z jego planów nie wyszło. Skakanie do okna to była czysta improwizacja.

Badano także trop dotyczący tego, że włamywacz być może pracuje w banku. Śledczy wzięli się za dwustu pracowników, od sprzątaczkę do kierownictwa. Sprawdzali biografię, karalność, stan cywilny. Badano, czy ktoś nie robił ostatnio dużych zakupów. Sprawdzono także ochroniarzy banku. Zgodnie z instrukcją mieli oni co 30 minut robić obchód w środku i dookoła budynku. Po długich przesłuchaniach ochroniarze przyznali się, że zamknęli się u siebie w wartowni i po prostu spali. Zawsze tak robili.

Kolejna wersja: budynek banku został zbudowany w latach 30. XX wieku przez więźniów Gułagu. Może ktoś z „wrogów ludu” z czasów stalinowskich podczas budowy zrobił sobie potajemną ścieżkę, zapamiętał plan budynku i teraz powrócił?

Inna wersja: armeńscy narodowcy. Kilka miesięcy wcześniej, 8 stycznia 1977 r., w Moskwie dokonano ataku terrorystycznego – wybuchły trzy bomby. Jedna w metrze pomiędzy stacjami Pierwomajskaja i Izmajlowskaja, dwie w pobliżu sklepów spożywczych, akurat obok gmachu KGB i placu Czerwonego – przy ulicy Dzierżyńskiego (obecnie Bolszaja Łubianka) i przy ulicy 25-lecia Października (obecnie Nikolskaja). Zginęło 7 osób, rannych zostało 37. Śledztwo toczzone przez KGB ujawniło sprawców – trzech Ormian, mieszkańców Erewanu: Stiepana Zatiekiana, Akopa Stiepaniana i Zawena Bagdasariana, założycieli

Narodowo-Zjednoczonej Partii Armenii, która postawiła przed sobą cel uzyskania dla Armenii niepodległości od Związku Radzieckiego. Sąd Najwyższy ZSRR skazał wszystkich na śmierć. Wyrok wykonano. Może zatem włamanie do banku to też sprawa armeńskich narodowców?

Funkcjonariusze wzięli się za świat kryminalny Armenii. Znanych milicji tajnych kryminalnych „generałów” chwymano i pytano: „Co to za wybryki?” „W ogóle się nie boicie?!”. Rozpoczęto masowe aresztowania i zatrzymania, naloty na znane milicji miejsca spotkań bandytów i ich składy. Grożono, że nie będzie spokoju, dopóki nie wydadzą włamywacza. Jednak bossowie półświatka i zawodowi kasiarze sami nie widzieli, co to za jeden, i mówili, że z przyjemnością wydaliby tego chama, żeby tylko państwo dało normalnym ludziom święty spokój. Zgodnie z radziecką kryminalną etyką akcja na taką kosmiczną kwotę wymagałaby pozwolenia od przestępczych autorytetów związkowej rangi, a także podzielenia się łupem ze światem kryminalnym, oddania części pieniędzy do tzw. *obszczaka* – kasy wspólnej, która szła na pomoc dla „kolegów” w tarapatach, wsparcie więźniów w zakładach, na łapówki i inne rozmaite cele kryminalne.

Czas jednak uciekał. Kończyła się jesień, a podejrzany nie dawał się złapać. Dopiero po kilku miesiącach, zimą, pojawił się trop. Z innego końca kraju. Z dalekiej stolicy Uzbeckiej SRR, Taszkientu, do Astwacetariana przyszła wiadomość. Po kontroli w Banku Państwowym Uzbekistanu

okazało się, że na zewnątrz wyszło więcej niż 100 000 rubli w sturubłówkach serii AI. Uzbegy z tradycyjnym południowym niedbalstwem potraktowali instrukcję z Moskwy o wzmocnieniu czujności wobec sturubłówek. Kwota, która stanowiła tysiąc średnich pensji, wskazywała na to, że włamywacz przestał się chować i zaczął „legalizować” swój łup. Wszystkie banknoty serii AI w Taszkencie pochodziły z kas oszczędnościowych, ze sprzedaży nieznanemu obywatelowi trzyprocentowych obligacji pożyczki państwowej. Pieniądze zauważono dopiero podczas kontroli w banku centralnym. Od dnia zakupów mogły już minąć tygodnie.

Kiedy w państwie krucho z kasą, jednym ze sposobów na rozwiązanie trudnej sytuacji jest emisja obligacji państwowych. W normalnych krajach państwo za ich pomocą pożycza, wypłaca odsetki i po omówionej dacie obligatariusz może otrzymać to, co wydał na obligacje, z powrotem. ZSRR znajdował się w permanentnym kryzysie i państwem normalnym nie był. Związek Radziecki prawie przez całe swoje istnienie pożyczał u własnych obywateli ich pieniądze. Niestety prawie nigdy ich nie oddawał.

Po rosyjskiej wojnie domowej przekłęci burżuje nie chcieli pożyczać komunistom radzieckim pieniędzy na odbudowę pogrążonego w kryzysie kraju. Głównie z powodu tego, że bolszewicy ogłosili, że carskie długi to nie ich sprawa i oni nic zagranicznym wierzycielom oddawać nie będą. Zagraniczni kapitaliści nie zapomnieli również i o swoich znacjonalizowanych majątkach. W latach

20. ubiegłego wieku ojczyzna rad nie miała innego wyjścia, jak tylko pożyczać na odbudowę kraju u własnych obywateli. Rozliczała się z nimi produktami spożywczymi. Półgłodnemu ludowi bardzo to odpowiadało. Później, w latach 30., państwo zabierało pieniądze na industrializację, kolektywizację, „wzmocnienie obronności kraju” i wielkie budowy komunizmu. Państwo radzieckie przestało chować się za wielkimi hasłami i otwarcie zaczęło wystawiać do wiatru swoich obligatariuszy, zmuszając obywateli do wymiany swoich ośmioprocentowych obligacji na trzyprocentowe, a także przedłużyło datę wykupu obligacji na kolejne 20 lat. No jak ktoś w naszym wspaniałym społeczeństwie mógłby być przeciwny temu pomysłowi? Przecież to dla ojczyzny! A ty co – ojczyzny nie kochasz?

Co więcej, nabycie obligacji w okresie od 1927 roku do końca lat 50. było przymusowe – ludziom po prostu zabierano część ich wynagrodzeń (czy to czegoś nie przypomina?). Średnio wychodziło na to, że u homo sovieticususa z 12 pensji w roku na potrzeby państwowe przymusowo zabierano 2, 3 miesięczne wynagrodzenia. Aby obywatelom nie było aż tak smutno, że ojczyzna bezczelnie ich okrada, z przymusowo zakupionych obligacji stworzono lotto. Numery obligacji, które wygrały, drukowano w gazetach. Wygrać było można równowartość 100 pensji, samochody, motocykle, a także AGD.

W latach 40. i 50. kraj potrzebował pieniędzy na prowadzenie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, a później na

odbudowę będącego po raz kolejny w gruzach kraju. Do 1956 roku dług państwa po obligacjach wynosił połowę rocznego przychodu budżetu ZSRR – 250 miliardów rubli. Drukiem nowych obligacji było już nie sposób pokryć odsetki starych. Zdawszy sobie sprawę, że oni nigdy nie rozliczą się z obligatariuszami, czyli całym narodem, 17 kwietnia 1957 roku komuniści przyjęli postanowienie KC KPZR i Rady Ministrów ZSRR o państwowych pożyczkach od ludu pracującego Związku Radzieckiego. Krótko mówiąc, państwo ogłosiło, że „zamraża” wypłatę odsetek, „wygranych” oraz uniemożliwia wykup obligacji państwowych przez kolejne 20 lat. Zostało to przedstawione jako inicjatywa ludu pracującego. Niech kochana partia weźmie sobie te pieniądze, a my zaczekamy. Wszystko dla kraju! W normalnych państwach nazywa się to niemożnością obsługiwanego długu albo zwyczajnym bankructwem. Z trybuny XXI Zjazdu KPZR w 1959 roku za ten czyn lud radziecki został pochwalony przez pierwszego sekretarza Nikitę Chruszczowa, który nazwał to zjawisko „wysoką cechą moralną naszego ludu, która jest nie do pomyślenia w ustrojach eksploatorskich”. Tu miał rację: no gdzie na zgniłym Zachodzie państwo pozwala sobie na tak bezczelne okradanie narodu, a naród pokornie to znosi?

Po tym wielkim wykiwaniu własnego ludu i 63 emisjach obligacji pożyczki państwowej ZSRR wydrukował obligacje tylko dwa razy – w 1966 i w 1982 roku. W 1971 roku państwo rozliczyło się z częścią obligatariuszy, a mianowicie z około 0,5% z nich. Za sturublową obligację

w starych rublach dawano 10 w nowych (zgodnie z kursem wymiennym reformy pieniężnej z 1961 roku), bez odsetek za dziesiątki lat. Za te pieniądze można było kupić dwie butelki wódki i zagrychę – chleb oraz kiełbasę. Akurat żeby zalać smutek po straconych pieniądzach. Ludzie do tego czasu stracili już nadzieję, że ojczyzna dotrzyma słowa. Nierzadko w toaletach można było zobaczyć ściany obklejone państwowymi obligacjami z rysunkami kopalń, pól i fabryk. Dzieci często bawiły się obligacjami w „sklepik”. Po 1971 roku aż do końca swojego istnienia ZSRR więcej o swoich wierzycielach nie wspominał.

O tym jednak włamywacz wiedzieć nie mógł, dlatego lokował łup w obligacjach państwowych. Najwyraźniej liczył na odsetki. A ponadto jaki miał wybór w radzieckim społeczeństwie powszechnej równości?

Otrzymałszy wiadomość, że przestępca pojawił się w Uzbekistanie, śledczy Astwacetarian natychmiast poleciał z kolegami do Taszkientu. Po jego przybyciu więcej prób wymiany banknotów serii AI w słonecznej republice nie zauważono. A to znaczyło, że podejrzany opuścił już Uzbekistan i mógł teraz znajdować się gdziekolwiek w największym kraju na świecie. Później okazało się, że grupa śledcza spóźniła się o trzy dni.

ZOSTAWIONY PAKIET Z 60 PENSJAMI

Z pomocą taszkienckich milicjantów udało się szybko przesłuchać kasjerów wszystkich kas oszczędnościowych w mieście. W placówkach tych oprócz kupowania obligacji można było zdeponować na książeczkę oszczędnościową swoje pieniądze, żeby nie trzymać ich w domu, narażając ciężko zarobione środki na kradzież. Główne pytanie milicjantów skierowane do kasjerów brzmiało: „kto w ciągu kilku ostatnich tygodni wymieniał tysiącami gotówkę na obligacje?”. Ludzie pamiętali taką osobę. Z zeznań pracowników kas stworzono portret pamięciowy tajemniczego bogacza. Okazało się coś ciekawego: pieniądze na obligacje wymieniał nie Armeńczyk z Kaukazu, lecz człowiek o urodzie słowiańskiej. Nie wymieniono jednak żadnych cech szczególnych – Rosjanin jak Rosjanin. Młody, wysoki, miła twarz, gęste brązowe włosy, przystojny. W Uzbekistanie po wojnie i rolniczych reformach Chruszczowa było takich wielu. Grupa śledcza musiała wrócić do domu prawie z niczym. Jednak Astwacetarian był pewien, że banknoty wcześniej czy później pojawią się w Moskwie. W stolicy radzieckiej istniało bowiem więcej sposobności wydania tych pieniędzy niż gdziekolwiek indziej w ZSRR. Moskwa przyciągała do siebie bogaczy jak lampa komary.

Astwacetarian miał rację, choć co prawda musiał czekać długo, kolejnych kilka miesięcy, aż do 1 lipca 1978 roku. Tego dnia otrzymał wiadomość, że dzisiaj w Moskwie, w kasie oszczędnościowej przy ul. Czertanowskiej, pojawiły się sturublowe banknoty serii AI. Co więcej, nie znaleziono

ich w prosty sposób podczas kontroli, lecz zostawiono w pakiecie przy próbie nabycia paczki obligacji. Osoba, która starała się tego dokonać, uciekła.

Po przybyciu samolotem do stolicy śledczy ustalili, co się wydarzyło. Około godziny 10.00 do okienka kasy oszczędnościowej podszedł młody człowiek o wyglądzie słowiańskim. Chciał zakupić papiery wartościowe na kwotę aż 6000 rubli (około 150 000 złotych). Kasjerka zaczęła liczyć gotówkę, potem odpowiednią liczbę obligacji, żeby przekazać je klientowi. Ale co za pech: w kasie nie było obligacji na aż taką kwotę. Kobieta poprosiła klienta, by zaczekał, a sama poszła do pomieszczenia służbowego po brakujące papiery wartościowe. Po drodze „tylko na chwilkę” zatrzymała się, żeby porozmawiać z koleżanką. Kiedy po 15 minutach plotkowania kasjerka wróciła z obligacjami, klienta już nie było – porzucił on w okienku swoje pieniądze i wszystkie obligacje. Kasjerka wykazała się wysokim poziomem odpowiedzialności obywatelskiej i zamiast wszystko sobie przywłaszczyć, w związku z tą dziwną sprawą zadzwoniła gdzie trzeba. Astwacetarian założył, iż podejrzany przestraszył się, że kobieta poszła dzwonić na milicję, i uciekł. Kasjerce pokazano portret pamięciowy podejrzanego.

- Bardzo podobny – stwierdziła.

Śledczy mieli szczęście. Pracownicy kasy zapamiętali, jakim samochodem odjechał ten dziwny klient – był to zielony moskwicz 412. Na tym szczęście się skończyło, tablicy rejestracyjnej nikt nie zapamiętał.

W wielomilionowej Moskwie podobnych samochodów mogły być tysiące. Mimo wszystko to już było coś. Sprawa trafiła do kontroli u sekretarza generalnego KC KPZR Breżniewa i ministra spraw wewnętrznych ZSRR Szczołokowa, nie stanowiło więc problemu wydanie rozkazu zatrzymania wszystkich zielonych moskвичy w Moskwie. I po raz kolejny niczemu niewinni ludzie, właściciele zielonych samochodów, nazwanych na cześć mieszkańców stolicy, musieli przeżywać nieprzyjemne godziny zainteresowania organów państwowych swoimi skromnymi osobami.

Jednak Astwacetarian wiedział, że jest bliski złapania przestępcy.

Tym razem czekał niedługo, jakieś pięć dni.

Wieczorem 6 lipca dzielnicowy Iwan Trifonow, dokonując rutynowego obchodu swojego terenu wzdłuż Prospektu Leningradzkiego, zauważył na jednym z podwórek zielonego moskвичa. Wokół samochodu znajdowały się trzy osoby: Rosjanin z portretu pamięciowego i dwóch mieszkańców Kaukazu. Wrzucili oni do bagażnika jakieś ciężkie torby, po czym odjechali.

Dom, w pobliżu którego stał ten zielony samochód, był stary i niedługo miał zostać zburzony. Jednak wciąż jeszcze mieszkali w nim ludzie. Jedna mieszkanka, niejaka obywatelka Jabłonskaja, przyznała się, że już od miesiąca wynajmuje swoje mieszkanie dwóm kuzynom z Erewanu: Nikołajowi i Feliksowi. Oni jednak przed chwilą pojechali do dziewczyny Nikołaja – moskwianki Ludmiły – w towarzystwie jej brata, Władimira. To właśnie ich

zobaczył milicjant Trifonow w pobliżu zielonego samochodu.

Trifonow wezwał wsparcie. Zameldował, że być może znalezieni zostali podejrzani w sprawie włamania do banku w Armenii. Na prośbę milicjantów obywatelka Jabłonskaja zadzwoniła pod znany jej numer pani Nikołajowej. Także na prośbę funkcjonariuszy powiedziała, że zapomnieli jakiejś paczki. W dotyku jakby papier lub książka. Funkcjonariusze liczyli na to, że chciwość podejrzanych zwycięży nad zachowaniem ostrożności.

Po jakimś czasie ktoś zadzwonił do drzwi. Był to jeden z mieszkańców Kaukazu, którzy wchodzili do zielonego samochodu zauważonego przez dzielnicowego. Gdy mężczyzna spostrzegł w przedpokoju milicjanta, nie wpadł w panikę, tylko, działając trzeźwo, mocno odepchnął stróża prawa, szybko wbiegł do pokoju i wyskoczył oknem. Mieszkanie znajdowało się na piętrze. Wpadł on jednak prosto w ręce funkcjonariuszy, którzy stali na dole, czekając tylko na taką okazję.

Po numerze telefonu nie było trudno znaleźć adresu Ludmiły, która nazywała się Aksionowa. Pozostałą dwójkę z towarzystwa aresztowano tego samego dnia u niej w mieszkaniu. W rękach milicji znalazło się dwóch kuzynów, mieszkańców Erewanu – Nikołaj i Feliks Kałaczianowie. To właśnie ten ostatni wrócił do mieszkania po „zapomnianą” paczkę. Razem z nimi do aresztu trafił także ich kolega, moskwianin Władimir Kuzniecowa. W bagażniku zielonego samochodu w torbach znaleziono wiele paczek pieniędzy,

a w zapasowej oponie – około miliona rubli. Nie było wątpliwości – to byli włamywacze, których przez niecały rok szukał Astwacetarian. Włamywaczami okazali się nie cwani zawodowi kasiarze, nie pragnący krwi narodowcy, nie więźniowie Gułagu, którzy przez 40 lat planowali skok, a zwykli erewańscy złodzieje średniej klasy, przy czym moskwianin był wykorzystywany przez swoich kaukaskich znajomych. Rosjanin nawet nie podejrzewał, że pierze dla nich kradzione pieniądze.

DOBRA, OKRADNIEMY BANK!

Aresztowanych kuzynów, jako mieszkańców Armenii, wysłano do Erewanu. Podczas przesłuchań opowiedzieli swoją historię.

Nikołaj Kałaczian, który był siłą napędową grupy, urodził się 27 lutego 1951 roku w Kraju Krasnojarskim w rodzinie inżyniera. Rodzinie nieźle się powodziło. Jednak szczęśliwe dzieciństwo szybko się skończyło. Kiedy mały Kolia ukończył podstawówkę, jego ojciec zachorował na raka. Umierał w strasznych mękach i bardzo powoli. Zdesperowana matka za wszelką cenę starała się uratować męża, woziła go do lekarzy w całym kraju, dostawała za łapówki niedostępne leki, a kiedy medycyna tradycyjna zawiodła, zabierała męża do znachorów, szamanów i innych rozmaitych doktorów bez dyplomu. Owi „ludowi lekarze” oczywiście nie „pomagali” za darmo. Wszystko to słono

kosztowało. Kiedy skończyły się rodzinne oszczędności, matka zaczęła wynosić na sprzedaż z domu kosztowności, meble, aby móc kontynuować leczenie śmiertelnie chorego małżonka. O dziecku zapomniała. Nie będąc już w stanie przebywać w domu, który opanowała nędza, desperacja i śmierć, w którym nikt o niego nie dbał, bo całą uwagę poświęcano bezradnemu ojcu, Nikołaj uciekł. Miał wtedy 11 lat.

Bezdomny chłopak związał się z romskim taborem, handlował narkotykami. Ulica zrobiła z niego zdecydowanego twardziela, człowieka bardzo wybuchowego i agresywnego. Przez naturę Nikołaj został obdarzony dużą siłą fizyczną. Swoją posturą i charakterem szybko podporządkowywał sobie ludzi. Rówieśnicy chodzili za nim i we wszystkim go słuchali. Grupa nastolatków, która kręciła się koło Nikołaja, szybko przekształciła się w prawdziwą bandę. Zaczęli od kradzieży na rynkach i w sklepach. Potem młodzi przestępcy zdecydowali się na poważniejszy skok: okradli państwową kasę oszczędnościową. Dokonali tego w prosty sposób: nocą wybili dziurę w ścianę. Był to pomysł Nikołaja. W Armenii dużo jest niewielkich budynków zbudowanych ze stosunkowo miękkiego tufu wulkanicznego.

Oczywiście na dłuższą metę nie sposób było tak funkcjonować i młody bandzior Kolia w trakcie kolejnej próby przebicia się przez ścianę sklepu został złapany na gorącym uczynku.

W tym czasie matka małego Kolii zdołała znaleźć swojego syna. Choroba ostatecznie zabiła jego ojca. Milicjanci, którzy złapali Nikołaja, znali kobietę. Uprzedzili ją oni, że tym razem darują chłopakowi, ale więcej pomagać nie będą. Przestraszona mama odesłała swojego 16-letniego już syna do krewnych w Armenii, jak najdalej od ulicznych koleżków. Nikołaj znalazł się w 100-tysięcznym Leninakanie⁵⁰, drugim pod względem wielkości mieście słonecznej republiki, 130 kilometrów od Erewanu.

Mały złodziej długo tam nie zabawił, ponieważ pobił się z gospodarzem, kiedy tamten upomniał marnotrawne dziecko, że musi respektować porządek w jego domu. Gospodarz był starszy od Nikołaja, ale Kolia spuścił mu porządny łomot. Łobuza odesłano z powrotem do jego matki. Jednak podczas wygnania w Leninakanie chłopak poznał swojego kuzyna Feliksa Kałacziana, którego dziadek był bratem dziadka Nikołaja. Za kilka lat los znów ich połączył, gdy pełnoletni już i bardzo cyniczny Kolka powrócił do Armenii, tym razem prosto do miasta stołecznego Erewanu.

Wciąż żył z kradzieży. Prowadził próżne życie. Pieniądze wydawał na imprezy z kolegami i koleżankami. Wyrósł na bardzo przystojnego, potężnego młodego mężczyznę. Był zdecydowany i silny pod każdym względem. Istny rozbójnik. Kobiety się za nim uganiały. Miał tylko jeden problem: kasa szybko gdzieś znikła i trzeba było znów podejmować ryzyko. Jak to bywa u złodziei, marzył mu się jeden wielki

skok, po którym nie trzeba już będzie martwić się o pieniądze.

Pewnego dnia w Erewanie pojawił się jego kuzyn Feliks, który przyjechał do armeńskiej stolicy szukać jakiejś dodatkowej sezonowej fuchy.

Młodszy kuzyn urodził się w wiosce Kazanci, na północy Armenii. Po szkole przeniósł się do Leninakanu. Wcześniej się ożenił, a z tego małżeństwa na świat przyszły dwie córki. Młoda rodzina żyła biednie, Feliks był jej jedynym żywicielem. Pracował jako woźny, sprzątał dwory.

Z postury był chudy, ale bardzo silny i elastyczny. Przez godzinę mógł wisieć na jednej ręce albo zwinąć się w kłębek i wiele razy podciągać się na drążku. Mógłby zostać niezłym gimnastykiem. Miał zupełnie przeciwny charakter względem natury swojego kuzyna. Feliks był dobry, cichy, skromny i spokojny. Nie gonił za pieniędzmi, odpowiadało mu jego życie. Jednak chciał bardzo, żeby jego dzieci i żona żyli w dostatku. Na tym gruncie on i Nikołaj, który podczas handlu narkotykami i kradzieży zasmakował pięknego życia, a także pogardy dla pracy od ósmej do szesnastej, znaleźli wzajemne porozumienie.

Podczas spotkania Nikołaj przekonał praworządnego młodszego kuzyna, który wciąż był opanowany myślami, jak mógłby zapewnić rodzinie godne życie, aby został on w mieście i pomógł mu w niełatwym zawodzie złodzieja. Obiecał mu za jeden skok równowartość kilku miesięcznych wynagrodzeń. Dar przekonywania i czarowania Nikołaja zrobił swoje.

Na początku Feliksowi pomysł współuczestniczenia w kradzieżach się nie spodobał, bardzo bał się odpowiedzialności i męczyło go sumienie, bo przecież kraść nie wolno. Jednak po pierwszej udanej robocie pierwszy przelew do rodziny w wysokości 300 rubli, czyli 5 jego miesięcznych pensji, uspokoił go i zmotywował do myślenia, że warto ryzykować. Po napisaniu listu do żony, że znalazł pracę na budowie dach dla ważnych ludzi, został współpracownikiem swojego kuzyna i rozpoczęli karierę w duecie. Z czasem talent złodziejski (a razem z nim łupy) rozwijał się, a posiadanie pieniędzy odurzało. W tym samym czasie rodzina Feliksa zaczęła wychodzić z nędzy, dzieci i żona się najadały, miały się w co ubrać, pierwszy raz pojawiły się wolne środki.

Pewnego razu, znów przedostawszy się przez ścianę, Nikołaj i Feliks mieli spory fart i ukradli ze sklepu z elektroniką kilkadziesiąt magnetofonów. Na sprzedaży deficytowego sprzętu elektronicznego zarobili 15 000 rubli, czyli około 300 000 złotych.

Tym razem Nikołaj i Feliks udali się do Moskwy, by wydawać łup. Przecież to tam mieściły się najlepsze w całym ZSRR restauracje, hotele, bary, sklepy, najbardziej wyrafinowane kobiety i wszystko, co niedostępne dla zwykłych obywateli. Tam, w Pradze, jednej z najlepszych stołecznych restauracji, Nikołaj spotkał swoją moskiewską dziewczynę, a potem narzeczoną, Ludmiłę. To, że miał on inną dziewczynę w Erewanie, Karynę, córkę lokalnego partyjnego ważniaka, kochliwemu złodziejowi nie

przeszkadzało. Próbując oczarować północną słowiańską ślicznotkę przy sąsiednim stoliku, Nikołaj udał, że coś upuścił, podpalił sturublowy banknot (pensja początkującego inżyniera), schylił się pod stół, jakby szukał czegoś w ciemności, a następnie wyciągnął złotą błyskotkę i podszedł do Ludmiły, mówiąc: „To dla pani”. Sztuczka się udała, kobieta zainteresowała się orientalnym łobuzem.

Jak wszystkiego w państwie radzieckim, miejsc w restauracjach też brakowało. Tak to jest, kiedy to nie ludzie samodzielnie organizują działalność i ustalają ceny w ramach rynku, lecz jakiś urzędnik w gabinecie planuje, co, kiedy, komu, ile i jak. W olbrzymiej, wielomilionowej Moskwie było zaledwie 200 restauracji. Dla porównania obecnie w rosyjskiej stolicy jest ich ponad 10 000. W latach 70. ubiegłego wieku znakiem dobrej knajpy były orkiestry, parkiety, bramkarze oraz garderoby.

Obecnie zjedzenie obiadu w restauracji to nic takiego, każdy pracujący człowiek może pozwolić sobie raz na jakiś czas, by pójść do drogiego lokalu. W ZSRR spożycie posiłku w restauracji oznaczało zwrócenie na siebie uwagi znajomych na co najmniej miesiąc. Człowiek, który wchodził do restauracji, trafiał z radzieckiej szarej, nudnej rzeczywistości do innego świata – blasku, zabawy, muzyki, beztroski. Możliwość zjedzenia w restauracji oznaczała: *ty jesteś kimś, życie toczy się jak należy, tak trzymać!*. Oczywiście nie dotyczyło to osób, które przyszły tam przez przypadek, które żyły „od pensji do pensji”. Zwyczajni ludzie nie chodzili tam tak po prostu coś zjeść. Chodzili do

restauracji, by świętować. W Kraju Rad człowiek pracujący mógł sobie pozwolić na restaurację raz w roku. Jeśli jednak przeciętny Iwanow wchodził do restauracji, dla takich jak on w środku przygotowane były tabliczki z napisami: „miejsce nie ma”, „rezerwacja”, oraz przy wejściu stał bramkarz z miną, jakby obok coś źle pachniało. Wobec takich niecodziennych klientów kelnerzy byli chamscy, dania dla nich gotowały się długo, podawano je na zimno, o ile w ogóle je podawano, wino było rozcieńczone do poziomu kwaśnej wody, rachunek przychodził z błędami, zawsze na korzyść obsługi, menu restauracyjne mogło zostać zamienione na „specjalne”, z wyższymi cenami, które sporządzili cwani kelnerzy. Doświadczone oko bramkarza, a następnie oczy administratora i kelnerów odróżniały szanowanego człowieka szukającego zabawy, od którego można oczekiwać solidnego napiwku, od zwykłego Wańki – robotnika, który pierwszy raz w życiu przyszedł do restauracji.

Aby dostać się do prestiżowego lokalu i otrzymać dania oraz obsługę na poziomie, trzeba było dawać hojne napiwki kelnerom, administratorom, bramkarzom i składać duże zamówienia. No i oczywiście zamawiać piosenki u orkiestry. Pracownicy restauracji szczególnie lubili takich szczodrych stałych klientów, jak: tajni radzieccy biznesmeni, bogaci handlarze z Kaukazu, partyjniacy, bohema, artyści, muzycy, aktorzy, funkcjonariusze służb, bandyci wysokiej rangi, dyplomaci, a także dzieci, żony, kochanki i znajomi wyżej wymienionych kategorii osób. Inną grupę lubianych

klientów stanowili klienci może nie stali, lecz tacy, po których od razu było widać, że duże napiwki są zagwarantowane: marynarze wracający z długiego rejsu lub pracownicy wracający z warty na północy (czyli siedzący na złocie, gazie i ropie), którzy właśnie otrzymali swój kilkutyśięczny przydział za miesiące ciężkiej pracy w trudnych warunkach tundry, wśród niedźwiedzi i komarów wielkości pięści, i wróciwszy teraz do cywilizacji, szukają sposobów, jak go wydać.

Za najlepszą restaurację w radzieckiej stolicy, a to znaczy, że i w całym ZSRR, uważano wymienioną wyżej Pragę, która dysponowała dziewięcioma salami i oddzielnymi gabinetami. Tylko tam można było skosztować prawdziwego czeskiego piwa i kiełbasek (wniebowzięcie po radzieckim rozcieńczonym sikaczu w zwykłych browarniach⁵¹). Pragę szczególnie często odwiedzała z kolegami pierwsza imprezowiczka i lwica salonowa Kraju Rad, etalon przedstawiciela rozpieszczonej „złotej młodzieży”, miłośniczka gorzałki, smacznego jedzenia, diamentów i młodych mężczyzn, córka sekretarza generalnego KC KPZR Galina Breżniewa, która po śmierci wszechmogącego ojca w 1982 roku ostatecznie upadła na dno butelki i 16 lat później zakończyła swój żywot w domu wariatów.

Inną perełką radzieckiej gastronomii okazała się gruzińska restauracja Aragwi. Częstym jej klientem był stalinowski oprawca i amator znacznie młodszych od siebie kobiet, ludowy komisarz, a później minister spraw

wewnętrznych ZSRR Ławrientij Beria. Miejsce uważano za raczej męskie: drzewo, mięso, dobre wina, zawsze świeże warzywa, zielenina i owoce. Aragwi była słynna także z powodu atmosfery – tutaj nie dochodziło do pijackich burd i masowych libacji. Głównymi jej gośćmi byli urzędnicy. Jako że naprzeciwko wejścia do restauracji stanął (i nadal tam stoi) pomnik założyciela Moskwy Jerzego Dołgorukiego, żartowano, że co to był za wspaniały człowiek, że takie miasto założył dookoła Aragwi.

Szanowano także restaurację Jar w hotelu Sowiecki. Tam serwowano dania kuchni europejskiej i właśnie w tym lokalu popijawy ze swoją świtą urządzał syn Józefa Stalina, Wasilij, którego potem nieprzytomnego przenoszono do trzymanego dla niego specjalnego pokoju nr 301. Słynny romans *Woźnico, pędź do Jaru!* – o paniczu, który się zasmucił i postanowił jechać „odgrzać krew szampanem i młodymi Romkami” – napisano właśnie o tej restauracji. A dokładnie o jej przedrewolucyjnej odmianie.

Restauracja z kuchnią rosyjską Arbat trafiła nawet do Księgi rekordów Guinnessa jako największa restauracja (2000 miejsc). Co więcej, gdyby hojny pan chciał skosztować kobiecej miłości na sprzedaż, siedł właśnie tam, ponieważ było to jedno z miejsc gromadzenia się elitarnych stołecznych prostytutek, na scenie zaś można było zobaczyć – nie do pomyślenia w ZSRR – kabaret.

Inteligencja radziecka, a dokładniej pisarska jej część, zbierała się w zamkniętej dla innych (wejść można było tylko z legitymacją członka Związku Pisarzy ZSRR lub

razem z osobą z taką legitymacją) restauracji przy Centralnym Domu Literatów. Jedynie dyrektorowi tej restauracji władza pozwoliła, jak na zgniłym Zachodzie, zaopatrywać lokal własnoręcznie i kupować produkty na rynku. Reszta musiała kombinować z państwowymi dostawcami i otrzymywać towar zgodnie z planem. Jak to bywało z pisarzami, alkohol w tej restauracji płynął strumieniami, a miejsce nazywano „oazą intelektualnego pijactwa”. Ze sceny płynęły tam fragmenty i rozdziały nowych książek, jak również knuło się brudne intrygi i nieformalnie podejmowano decyzje o potępieniu tego lub innego kolegi, który popadł w niełaskę u władzy. W murach tej restauracji na przykład ostatecznie zdecydowano o wydaleniu ze Związku Pisarzy ZSRR laureata Nagrody Nobla Borysa Pasternaka za jego „oszczerstwo wobec ustroju społecznego i ludu” – *Doktora Żywago*.

Dla pragnących zakosztować zagranicznego życia dostępna była restauracja w hotelu dla cudzoziemców Inturist. Zwykłych obywateli radzieckich tam nie wpuszczano (rozwiązanie było proste: dycha dla bramkarza). Rozliczyć się w Inturiście można było tylko walutą, istniała więc możliwość napotkania nieprzyjemności, jeśli ktoś zainteresowałby się, skąd uczciwy radziecki obywatel ma dolary, marki lub funty. Tam jednak stał bar, za którego ladą można było usiąść po prostu jak na Zachodzie! I można było powiedzieć, że chce się zapalić marlboro, wypić gin & tonic, szkocką na lodzie lub martini z oliwką na sparze. Najczęstszymi klientami,

oprócz zagranicznych turystów, byli handlarze walutą oraz radzieccy tajni przedsiębiorcy, no i najwyższa kasta sprzedających kobiet: radzieckie prostytutki walutowe, które z powodu manier, wyglądu i dbałości o siebie można porównać z kurtyzanami lub gejszami.

Kuchnię wschodnią w Moskwie reprezentowała restauracja Uzbekistan. Administracja restauracji, rozumiejąc, że jak człowiek wypije, wzrasta mu apetyt na tłuste orientalne dania, otworzyła w bocznym wyjściu lokalu smażalnię z czeburekami (duże smażone pierogi z mięsem i cebulą), specjalnie dla wracających do domu „na gazie”.

Innymi prestiżowymi miejscami radzieckiej stolicy były takie restauracje, jak: Budapeszt, Ukraina, Metropol, Pekin, Sofia, Słowiański Bazar, Nacional, szczyt egzotyki stanowiła z kolei restauracja braterskiej kuchni kubańskiej Hawana. Tak, w Moskwie mieściła się także restauracja w hotelu Warszawa. Tyle że z Polską nie miała ona prawie nic wspólnego.

Mówiąc o radzieckiej gastronomii, trzeba poruszyć osobno kwestię kelnerów. Teraz zawód kelnera, z małymi wyjątkami, jest postrzegany głównie jako sposób na zarobienie na chesne przez studentów. Wtedy w ZSRR kelner mógł patrzeć na ludzi z góry. Wszyscy chcieli się przyjaźnić z kelnerami. To była również dobra partia do zamążpójścia. Zostanie kelnerem w restauracji oznaczało osiągnięcie w życiu sukcesu. A to dlatego, że kelner miał do czynienia z deficytowymi artykułami żywnościowymi,

jedzeniem, którego brakowało, i mógł wynosić z pracy to, co było ogólnie niedostępne: mięso, masło, rybę, dobre alkohole, warzywa, owoce itd. Produkty zdobywało się przez rozcieńczenie, zamiany drogiego na tańsze, świeżego na nieświeże, a także poprzez zwykłe niedołożenie i niedolewanie do porcji⁵². No i oczywiście kwestia napiwków. Kelner mógł za jeden wieczór przynieść do domu średnią miesięczną pensję.

W radzieckiej smutnej rzeczywistości to od kelnera zależało, jakie wrażenie tego dnia młody człowiek zrobi na swojej dziewczynie, jaką obsługę oraz jakiej jakości danie oni dziś otrzymają. Nie było nikogo ponad kelnerem i skarzenie się na cokolwiek okazywało się bezskuteczne. Aby więc zagwarantować sobie i swojej damie miły wieczór, młody człowiek od razu dawał kelnerowi około 5-10 rubli napiwku. Policzmy: teoretycznie, zgodnie z cenami w menu, wieczór dla dwóch osób z mięsem i winem w restauracji powinien kosztować około 10 rubli, jeśli jednak dodać: łapówkę wręczoną bramkarzowi 5-10 rubli – żeby wpuścił – wynoszącą tyle samo kolejną wręczaną administratorowi lub kelnerowi – żeby zdjął tabliczkę „rezerwacja”, „miejsce nie ma” lub „tylko dla cudzoziemców” – napiwki – jako gwarancję miłego wieczoru – błędy w rachunku (a awanturowanie się było nie na miejscu, bo po pierwsze przy damie nie wypada, a po drugie następnym razem awanturnika nie wpuszczą lub nie obsłużą), za wieczór wychodziło około 50 rubli, czyli niemal cała minimalna pensja krajowa.

A dla amatorów demonstracji bogactwa w latach 70. po oficjalnym zamknięciu restauracji, tak koło 23.00, równo o północy przedsiębiorstwo otwierało się na nowo – na „-nocnik”. Wyłącznie dla swoich ludzi, ponieważ uznawano to za nielegalne⁵³. Restauracja była sama w sobie innym światem, a po 24.00 stawała się innym światem w innym świecie. Dyrektor restauracji umawiał się z kucharzami, orkiestrą, kelnerami, bramkarzami-sportowcami i inną obsługą, kto chciałby zostać i zarobić – i rozpoczynało się coś w rodzaju wesela i nocnego klubu w jednym. Właśnie na „nocnikach” spragniona zabawy radziecka dusza wyrywała się na zewnątrz i balowała bez granic. Miała tylko jeden wieczór, dlatego też wszystko działo się bardzo intensywnie. Tu można było bić się z ludźmi i bić naczynia, zaczepiać kobiety, tańczyć nieprzyzwoicie i rzucać banknotami w powietrze, stawiać drinki wszystkim, od sprzątaczek do dyrektora, opowiadać dowcipy o Leninie, a potem zasnąć z twarzą w sałatce. Ci, którzy nie zasnęli, odjeżdżali taksówkami z nowo poznanymi przyjaciółkami. Na „nocnikach” uprawiano także zakazany w Kraju Rad hazard. Grano głównie w pokera i black jacka, w ZSRR tę wspaniałą grę nazywano „21”. Tajni radzieccy bogacze podczas swoich libacji mogli wydawać tysiące na najdroższy alkohol i dania dla siebie, dla obsługi, dla sąsiednich stolików, na koszyki z kwiatami dla wszystkich dam i napiwki dla orkiestry, żeby grała im wyłącznie miłe piosenki, najczęściej te zabronione. Taka publika lubiła piosenki rodem z Kaukazu, hity Zachodu, piosenki

więzienne, białogwardyjskie, żydowskie, romskie, przedrewolucyjne, a także nowoczesne hity radzieckie z zachodnimi inspiracjami. Wejście na te imprezy nie było darmowe. Mimo że mogli zostać tam wpuszczeni tylko swoi, to jeszcze w dodatku słono to kosztowało: od 100 do 300 rubli, czyli od 2500 do 7500 złotych.

Kałaczianowie w Moskwie też balowali głównie w restauracjach. Po wydaniu w ciągu jednego miesiąca dobrych stu pensji wrócili do Erewanu. Do luksusowego życia łatwo się przyzwyczaić, za to bardzo trudno się z nim pożegnać. Brak środków po zasmakowaniu beztroski gnębił teraz dwóch szczęściarzy potrójnie. Znow zaczęły się drobne kradzieże, po których pieniądze rozchodziły się z podwójną prędkością. Nikołaj z wściekłością cały czas pielęgnował w głowie myśl o wielkim skoku, po którym już nie trzeba będzie kraść, a będzie można prowadzić życie, jakiego doświadczył w Moskwie. A może nawet lepsze.

Okazja do jego zaplanowania nadarzyła się podczas jednej z imprez.

Wspólny znajomy Kałaczianów, niejaki Zawen Bagdasarian, wzorowy komsomolec i aktywista, pracował w Banku Państwowym Armeńskiej SSR. Jako członek komisji, która liczyła gotówkę, często bywał w repozytorium, gdzie składowano pieniądze, a także dobrze znał plan banku i system ochrony. Widocznie nie mógł już znieść 85 rubli swojej pensji, gdy każdego dnia patrzył na dziesiątki milionów w gotówce.

Podczas balangi w oparach alkoholowych rozgadał się on z Feliksem i Nikołajem i opowiedział im, że zna wszystkie słabe punkty banku. Mówił, że ochrona w wartowni z zasady śpi lub zajmuje się czymkolwiek, tylko nie swoimi obowiązkami. W repozytorium ściany są grube, drzwi opancerzone, w środku dodatkowe kraty, pod alarmem, ale sufit nad nimi zwykły, na górze zaś znajduje się pokój socjalny, który w nocy jest pusty... Stwierdził, że wiedział, czym się zajmują i – raz kozie śmierć – zaproponował, by wziąć z banku trochę kasy. Przecież co to przekłete państwo daje swoim obywatelom? Nic! Zawen gotów był wszystko pokazać na miejscu, jednak nie jako uczestnik – swój udział widział tylko w postaci informatora. Za informację oczekiwał 40 000 z przyszłego łupu.

Początkowo nie potraktowano go poważnie. Było to zbyt ryzykowne. Mieli świadomość, że jeśli ich złapią, za taki czyn grozi im rozstrzelanie. To nie było jakieś tam okradanie sklepików. Ale pomyśl o tym, że to tylko jedna noc i potem można już o niczym nie myśleć, nie dawała Nikołajowi spokoju. Po tym wieczorze raz po raz wracał on myślami do Zawena i jego pomysłu. Przecież to o tym właśnie tak długo marzył! O wielkim skoku!

Ten pomysł zaczął go szczególnie nęcić po tym, jak jego i Feliksa prawie złapano podczas włamania do sklepu jubilerskiego. Weszli jak zawsze – przez ścianę. Kiedy było już po wszystkim i wychodzili ze złotem, zauważył ich ochroniarz i gwizdnął, przywołując milicję. Musieli rzucić plecak z łupem i uciekać. Po tym nieudanym skoku Nikołaj

postanowił, że wystarczy już nadstawiania karku dla takich drobnostek. Jeśli nadstawiać, to tylko raz i w wielkiej sprawie. Obrobią bank! W końcu kiedy jeszcze raz nadarzy się taka okazja? Trzeba chwycić swoje marzenia, ukraść bardzo dużo pieniędzy, a potem żyć jak należy. Nietrudno było przekonać kuzyna. Feliks wierzył Nikołajowi i jego złodziejskim zdolnościom. Odezwali się do Zawena. Jego propozycja okazała się nadal aktualna.

Przygotowania do włamania zajęły pięć miesięcy. Kuzyni obserwowali gmach banku. Znajdował się on obok jednego z najbardziej malowniczych placów Erewanu. Nikołaj i Feliks przychodzili tam jeden po drugim z papierem, farbami, pędzlem, sztalugą i godzinami obserwowali bank, udając malarzy. Patrzyli na bramy, inkasentów, samochody, kiedy, kto i jak wychodził i wchodził. O 18:00 pracownicy banku opuszczali miejsce pracy i ochrona zamykała drzwi. Zawen nie kłamał, mężczyźni niezbyt przejmowali się swoimi obowiązkami. Głównie siedzieli w swojej wartowni, rozmawiali, oglądali telewizję, słuchali radia i czasami wychodzili zapalić. Około 24:00 zasypiali i budzili się dopiero w okolicy 6:00 rano. Obchodu wokół banku nie robili. Co więcej, w weekendy ochroniarzy było mniej i czuli się oni jeszcze bardziej zrelaksowani. Raz w ciągu dnia Nikołajowi udało się przedostać do strefy służbowej i pochodzić po korytarzach, a nawet dojść do pokoju socjalnego na drugim piętrze. W korytarzu na piętrze, gdzie rzekomo znajdowało się repozytorium, w ciągu dnia mieścił się posterunek ochrony, która sprawdzała przepustki.

Kuzyni zbadali także okolicę. Odkryli, że jedna z kamienic dzieli ścianę z bankiem, a ma ona obszerne poddasze i grube ściany, które powinny ochronić przed oczyma ludzi na zewnątrz, jak również stłumić hałas związany z pracami.

Ustalono plan działań: Nikołaj i Feliks mają udać się na poddasze kamienicy, która dzieli ścianę z bankiem. Dalej należy przebić się przez ową ścianę, przez cegły, beton, kamień i osprzęt. Przedostawszy się z kamienicy do banku, trzeba będzie znaleźć drogę do pokoju socjalnego na drugim piętrze i przebić podłogę w punkcie znajdującym się dwa kroki do przodu i jeden w lewo od wejścia do pokoju. Taką instrukcję podał Zawen. Dokładnie pod tym miejscem powinien znajdować się jeden z okratowanych pokoików z gotówką. Przebijać

podłogę trzeba będzie ostrożnie. Najpierw należy zrobić małą dziurę, potem wstawić w otwór przywiązaną parasolkę i otworzyć ją pod podłogą. W ten sposób kawałki betonu spadające z prawie czterometrowej wysokości będą uderzać nie o podłogę, lecz będą padały w parasolkę, i nie obudzą ochrony oraz nie włączą alarmu. Następnie dziurkę w podłodze trzeba będzie rozszerzyć do takich rozmiarów, aby chudy Feliks mógł się przez nią przedostać. Potem Feliks na sznurze powoli pójdzie do sejfu i z pomocą Nikołaja, który pozostanie na górze, przerzuci pieniądze na górne piętro, opakowanie za opakowaniem. Po zakończeniu akcji należało będzie opuścić bank tak samo: przez kamienicę.

Skok wyznaczyli na 22 lipca. Był to piątek, więc włamywacze będą mieli w zapasie dwa dni weekendu, zanim pracownicy zauważą zniknięcie pieniędzy.

Wszystko było gotowe: plan, narzędzia. Nastrój odpowiedni, bojowy. I tu zadziałało słynne prawo Murphy'ego: na przykład kiedy na coś bardzo czekasz, coś postanowisz, choćby wziąć się za siebie i schudnąć, pierwszy raz od dwóch lat dopada cię choroba. Tydzień przed skokiem zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Bracia postanowili wypić za sukces sprawy w jednej z restauracji. Wracali taksówką. Po drodze w samochód uderzyła ciężarówka. Feliksowi nic się nie stało, ale Nikołaj został poważnie ranny w plecy. Trafił do szpitala. Jego erewańska dziewczyna Karyne wymusiła na swoim ojcu, aby ten przydzielił jej ukochanemu najlepszych lekarzy. Nikołaja operowano. Operacja zakończyła się powodzeniem i niedoszły włamywacz do banków zaczął dochodzić do siebie. Nie mogło być jednak mowy o tym, żeby dźwigał ciężary i w ogóle opuścił szpital wcześniej niż za kilka tygodni. Los całego skoku zawisł na włosku. A przecież wszystko było już przygotowane!

Po zastanowieniu Feliks powiedział kuzynowi, że poradzi sobie sam. Podekscytowany Nikołaj zgodził się. Uzgodnił z kuzynem nową datę – 5 sierpnia. To też był piątek.

Przed wyruszeniem na akcję Feliks ze spakowanym do plecaka wyposażeniem odwiedził kuzyna w szpitalu. Nikołaj powiedział mu:

- Bierz tylko paczki ze sturublówkami. Nie marnuj cennego miejsca w plecaku na drobne.

Później z powodu tej rady pluł sobie w brodę.

Przed północą 5 sierpnia Feliks wszedł na poddasze kamienicy. Miał 5-6 godzin na wypełnienie planu, zanim obudzi się ochrona. Rozpoczął pracę ze ścianą. Była mocna, praca szła powoli. Ponadto przeszkadzała natura. W Erewanie latem panują 40-stopniowe upały. Na dusznym poddaszu są tym bardziej dokuczliwe. Trzy butelki wody, które wziął ze sobą Feliks, szybko się skończyły. Szła nie tylko na picie i polewanie siebie, lecz także na chłodzenie nagrzaných narzędzi. Tego włamywacz nie przewidział. Nie widział on również, że pragnienie aż tak będzie go wykańczało.

W środku nocy Feliks skończył z cegłami kamienicy. Zobaczył jednak, że to nie koniec. Za ścianą kamienicy chowała się betonowa ściana banku, pełna osprzętu. Na jej przebicie włamywacz nie liczył i nie miał już ani sił, ani czasu. Wyszedł na dach, aby odpocząć i zastanowić się, co robić dalej. I wtedy zauważył, że w jednym z okien banku na drugim piętrze nie ma krat, są otwarte, wisi jedynie folia. Jeśli stanąć na krawędzi dachu kamienicy, to teoretycznie można wskoczyć do jednego z nich. Dystans do pokonania – jakieś 1,5-2 metry... Jeśli uda się dotrzeć do tego okna, od razu znajdziesz się w banku i nie trzeba będzie dłubać tej przeklętej ściany.

Feliks zszedł na dół, spakował narzędzia do plecaka i wrócił na dach. Długo patrzył na dach, na plecak, na okna,

na ziemię na dole. Rozwagał możliwości. W końcu postanowił skoczyć. Mogło się to fatalnie skończyć – upadkiem z 12 metrów, ale zaryzykował. Najpierw wrzucił przez okno plecak, potem skoczył sam. Sekunda lotu oraz niepewności. Trafił. Wylądował w korytarzu. Taki rozwój wydarzeń i adrenalina zmotywowały włamywacza.

Od razu udał się do pokoju socjalnego. W odpowiednim miejscu zdjął parkiet i wziął się do pracy. Po jakimś czasie przebił malutką dziurę w cienkiej podłodze. Przez nią w świetle latarki było widać paczki z pieniędzmi.

Po godzinach ciężkiej pracy w erewańskim upale Feliks ponownie pożałował, że nie wziął więcej wody. Bardzo się zmęczył, brak płynów dawał o sobie znać. Już nie mógł tego znieść, miał plamy przed oczami. Pomyślał, że gdzieś musi być toaleta, a tam woda. Toaletę znalazł, tylko że z powodu remontu... odłączono wodę, nie było jej nawet w muszli. Feliks zaczął biegać po gabinetach, wyłamując wszystkie słabiutkie drzwi w nadziei, że ktoś z pracowników trzymał w miejscu pracy buteleczkę wody. Nic z tego.

Pragnienie go zabijało, ponadto czas się kończył, wschodziło słońce. Stało się jasne, że dzisiaj pracy nie sfinalizuje. Spakował narzędzia do plecaka, wyskoczył przez okno, przez które wszedł, w fontannie na placu wykąpał się i napił, a potem udał się do przebywającego w szpitalu kuzyna.

Nikołaj wysłuchiwał go z wielkim niezadowoleniem. Wszystko miało się skończyć jednej nocy, a podzielenie prac na dwa dni znacznie zwiększało ryzyko zostania nakrytym.

Nie można było jednak przerwać skoku w połowie. Postanowili, że Feliks się wyśpi, a potem wróci do banku. Jeśli nie zauważy nic nadzwyczajnego, w nocy spróbuje jeszcze raz, ale tym razem weźmie więcej wody i będzie z niej korzystał powoli.

Gdy Feliks wrócił 6 sierpnia, stwierdził, że wokół banku nic się nie zmieniło, tak jakby dziury w suficie repozytorium i powybijanych drzwi nikt nie zauważył. Nocą ponownie przedostał się do pokoju socjalnego przez okno. Godziny zajęło rozszerzanie zrobionej poprzedniego dnia dziury. Teraz wynosiła ona 30 na 34 cm. Na dalsze poszerzanie jej nie było już czasu. Włamywacz postanowił spróbować wejść. Najpierw jedna ręka, następnie drugie ramię podnieść do ucha i wkręcać się jak korkociąg. Zadanie niełatwe, trzeba było cały czas trzymać się sznura przywiązanego do kraty okiennej, żeby nie spaść z ponad trzech i pół metra na półki z gotówką. I wszystko to robić w ciemności, i starać się nie hałasować. Jednak Feliksowi się udało. Znalazł się w jednym z wewnętrznych pokoików z krat i był otoczony pieniędzmi.

Włamywacz zaczął wrzucać paczki banknotów do swojego plecaka. Pamiętając nakaz kuzyna, wybierał opakowania sturubłówek. Razem z plecakiem wznosił się na sznurze pod dziurę w suficie, brał opakowania gotówki z plecaka i wrzucał je na górę przez otwór. To też wymagało wielkiej siły fizycznej. Po wrzuceniu wszystkich pieniędzy, które miał, Feliks opuszczał się na dół i wszystko zaczynało

się od nowa. Czasami trafiały mu się opakowania z 10-, 25- i 50-rublowymi banknotami.

Tak przerzucił w górę 32 kilogramy pieniędzy i z powrotem przedostał się na piętro wyżej, do pokoju socjalnego. Całą przerzuconą gotówkę Feliks spakował do plecaka, narzędzia zostawił na miejscu. Wyszedł tak samo, jak wszedł – przez okno. Najpierw ładunek, potem on sam. Narzązał życie, skacząc tam i z powrotem, czterokrotnie. Wkrótce włamywacz znalazł się na ulicy i poszedł do kuzyna do szpitala. Plecak był ciężki, więc Feliks złapał taksówkę.

Plan się powiódł. Teraz Nikołaj i Feliks byli milionerami.

UŁASKAWIENIE

Nikołaj miał zostać wypisany ze szpitala za kilka dni. Łup schowano u niego pod łóżkiem szpitalnym. Starszy kuzyn dał młodszemu 3 tysiące w starych drobnych banknotach dla jego rodziny i jeszcze 100 tysięcy sturubłówkami. Poleciał mu udać się do Leninakanu, przekazać trzy tysiące rodzinie, a pozostałe sto tysięcy w nowiutkich banknotach kazał schować gdzieś w domu na czarną godzinę. Feliks zrobił dokładnie tak, jak nakazał kuzyn. Podczas gdy Nikołaj kończył swój pobyt w szpitalu, Feliks odwiedził rodzinę, dał im pieniądze, a 100 tysięcy zakopał koło domu, na podwórku, pod drzewem. Rodzinie o tym nie powiedział.

Kiedy kuzyni znów spotkali się w Erewanie, postanowili nie spieszyć się z wydawaniem łupu, lecz znaleźć gdzieś tymczasowe schronienie, wszystko dokładnie przeliczyć i zaplanować. Nikołaj i Feliks wynajęli pokój na przedmieściu armeńskiej stolicy. Tam okazało się, że większość banknotów to sturublówki tej samej serii. Instynkt złodziejski Nikołaja podpowiadał mu, że milicja też na to wpadnie i będzie ich szukać właśnie tym tropem. Po namyśle zdecydowano: chodzić po kasach oszczędnościowych po całym ZSRR, część wymieniać po 2-3 tysiące na drobne banknoty, a za kolejną część skupować obligacje pożyczki państwowej. No i pamiętać o sobie: piękne życie, samochody, ubrania, restauracje i kobiety. Tylko nie w Erewanie. Legalizować i wydawać łup należało jak najdalej od miejsca popełnienia przestępstwa. Kuzyni postanowili udać się najpierw do bogatej i wielomilionowej Moskwy. Tam mogli się osiedlić: Nikołaj przecież miał swoją Ludmiłę. Z niepotrzebną już Karyne szybko zerwał.

O tym, żeby lecieć samolotem do Moskwy z walizką wypchaną gotówką, nie było mowy. Rozwiązanie stanowił pociąg. Feliks udał się do stolicy pierwszy, aby znaleźć coś na wynajem. Tymczasem jego kuzyn Nikołaj nie chciał narażać siebie, jadąc sam z łupem. W towarzystwie rosyjskiej damy wzbudzałby mniej podejrzeń. Pod koniec września starszy kuzyn zaprosił i przywiózł do Armenii swoją moskiewską ślicznotkę. Dziewczyna nie wiedziała nic o pieniądzach ani o roli, która została dla niej przygotowana. Zakochani spędzili razem w Erewanie

wspaniały czas. W końcu wakacje się skończyły i pewnego dnia Nikołaj i Ludmiła wyruszyli na dworzec. Mieli ze sobą walizkę, w której schowano skradzione z banku pieniądze. Walizka była bardzo ciężka, a wynajęty tragarz ledwie zdołał ją podnieść.

Nikołaj oszczędził tylko na chwilę. Ludmiła została sama z ciężkim bagażem. To zwróciło uwagę dwóch milicjantów obserwujących peron. Po włamaniu do banku milicja wzmogła czujność potrójnie. Funkcjonariusze uznali za podejrzane, że kobieta przywiozła ze sobą tak ciężki bagaż sama. Podeszli do moskwianki, zaszalutowali i grzecznie poprosili, by otworzyła walizkę w celu kontroli... Nikołaj, który szybko powrócił, postanowił rozwiązać sprawę po miejscowemu, nie trzymając się przepisów. Poprosił funkcjonariuszy na bok i powiedział:

- Bracia, słuchajcie, wiozę niespodziankę dla swojej rosyjskiej narzeczonej: magnetofon, nie zróbcie mi przed nią wstydu. Jak otworzę walizkę, niespodzianka się nie uda. Dogadajmy się po przyjacielsku.

Koszt sprawy wyniósł 10 rubli na każdego stróża prawa.

W Moskwie Nikołaj i Feliks wrócili do balowania. W stolicy poznali brata Ludmiły - Władimira. Pracował jako taksówkarz. Był notowany na milicji za jakieś drobne grzechy młodości. Władimir miał już szczerze dość swojej pracy, siedzenia na tyłku przez cały dzień, bólu w plecach i awanturujących się pijanych klientów. Z chęcią wziąłby się za coś innego. Nikołaj zmienił nieco profil jego działalności i nieoficjalnie zatrudnił go jako osobistego kierowcę.

Taksówkarzowi to odpowiadało, wyglądało, jakby awansował. Co więcej włamywacz powiedział Władowi, że zamierza ożenić się z jego siostrą i chce zorganizować wesele we wschodnim stylu: na bogato, trwające kilka dni, z setkami gości, w najdroższej restauracji Moskwy! Oświadczył, że ma na to środki. Był tylko jeden problem: one pochodziły z nie do końca legalnego źródła.

Nikołaj oczywiście nie powiedział nic o prawdziwym pochodzeniu pieniędzy. Tłumaczył, że niedawno wygrał „astronomiczną kwotę” w karty. A ponieważ hazard w ZSRR był zakazany (oprócz państwowego lotto), trzeba było w jakiś sposób zalegalizować wygraną. Poprosił Władimira o pomoc w zorganizowaniu pieniędzy na wesele z jego siostrą. Miało to polegać na chodzeniu po kasach oszczędnościowych i wymienianiu gotówki, a także kupowaniu obligacji pożyczki państwowej. Sam Nikołaj niby nie mógł robić tego osobiście wystarczająco często, ponieważ bogaty „czarny” z Kaukazu wzbudzałby u moskwian niepotrzebne podejrzenia. Chcąc pomóc swojej siostrze, by ta wyszła za mąż za bogatego wybranka, Władimir zgodził się i zaczął biegać po kasach i wymieniać pieniądze dla Kałaczianów.

Zimą, wraz z Nikołajem i Feliksem, udał się do Taszkientu, żeby wymienić dużo pieniędzy naraz. Według założeń kuzynów Uzbeki mieli nie poświęcić banknotom należytej uwagi. Tak też się stało.

Nikołaj tymczasem kłamał. Nie zamierzał się zenić. On i Feliks kupili sobie zielonego moskwicza 412 za 13 000

rubli. Tym samochodem Nikołaj zamierzał uciec z kuzynem i pieniędzmi na słoneczne południe, do Soczi, i znaleźć sobie nową narzeczoną.

Kuzyni cieszyli się beztroskim życiem prawie do lipca następnego roku po włamaniu, kiedy ich w końcu złapano. Po 10 miesiącach z półtoramilionowego łupu Nikołaj i Feliks zdążyli wydać około 100 000 rubli.

W sądzie chłodny i cyniczny Nikołaj, który okłamywał i wykorzystywał wszystkich wokół siebie, nie wzbudzał niczyjej sympatii. Inaczej było z młodszym kuzynem Feliksem, młodym ojcem, który chciał wyprowadzić rodzinę z nędzy i cały czas znajdował się pod wpływem starszego, doświadczonego w kryminalnych poczynaniach krewniaka. Szacunek wzbudzało również to, że dokonał on włamania sam, improwizując, ryzykując życie i nie stosując przemocy.

Kiedy zapadł oczekiwany wyrok – kara śmierci z konfiskatą mienia – sędzia zwrócił się do niego i powiedział:

– Przepraszam, ja nic nie mogę zrobić.

Jeśliby ukradli państwowe pieniądze w kwocie chociażby na pograniczu tych przeklętych 10 000, pozostałoby przy życiu. Tymczasem kwota przekraczała granicę oddzielającą 15 lat więzienia i karę śmierci 150 razy. Kiedy Feliksa wyprowadzano w kajdankach, krzyknął on do żony, Marusz, która była na sali, żeby wychowała dzieci na uczciwych ludzi. Następnie, na podstawie wyroku sądu, jego rodzinie zostały odebrane wszystkie

kosztowności i pieniądze. Schowane na podwórku pod drzewem 100 000 rubli śledczy też znaleźli i skonfiskowali.

Rodzina Feliksa Kałacziana wciąż mieszka w Armenii.

Śledczy dotarli także do informatora Kałaczianów, Zawena Bagdasariana. Dostał on wyrok 13 lat pozbawienia wolności.

Obaj, i Feliks, i Nikołaj, napisali wnioski o ułaskawienie. Zostały oddalone.

Jednak Armeńska SRR to nie była zwykła republika. Na południu, wśród gór, bardzo mocno rozwinęły się takie wartości jak rodzina i wspólnota. Tu bardziej niż literę prawa szanują tradycję oraz niepisane zasady. Sam szef grupy śledczej Eduard Astwacetarian mówił później w jednym z wywiadów: „No, po pierwsze młodzi nikogo przecież nie zabili i nie skrzywdzili, oj tam, pieniądze ukradli”. Ormianie postanowili nie porzucać swoich rodaków i chronić ich przed systemem sprawiedliwości narzuconym z północy.

Szczególnie w tej sprawie starał się publicysta Zora Balajan. Próbował on uratować kuzynów przed rozstrzelaniem, docierając do oficjalnej głowy republiki – przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej Armeńskiej SRR Babkiena Sarkisowa. Ten podczas swojej kolejnej wizyty w Moskwie poprosił znajomych partyjnych ważniaków ze stolicy, aby przyjrzeni się prośbie dwóch głupich młodych ludzi i ocalili im życie.

Udało się. Na wniosek kremlofskich wódzów Komisja ds. Ułaskawień przy Radzie Najwyższej ZSRR postanowiła

ułaskawić dwóch złodziei i zamieniła im karę śmierci na 15 lat pozbawienia wolności. Odpowiedni dokument powędrował do Erewanu najszybszym i najpewniejszym środkiem transportu – rządowym kurierem.

Jedyną wadą tego podejścia było to, że sprawę załatwiono w sposób nieformalny, przez co nie można było wstrzymać wykonania kary póki czekali na rozpatrzenie prośby...

W połączeniu z biurokracją, a tym bardziej z biurokracją radziecką i radzieckimi dystansami pomiędzy miejscowościami, los fatalnie zadrwił z mężczyzn. Ułaskawienie z Moskwy i wysocy obrońcy ich nie uratowali. Scenariusz wart filmu: kurier rządowy nie zdążył dostarczyć dokumentów do ułaskawionych.

Kałaczanów stracono. Następnego dnia do więzienia dotarło ułaskawienie.

⁴⁶ Wyjątkiem była Rosja. Do 1990 roku nie posiadała ona ani własnej partii komunistycznej, ani banku państwowego.

⁴⁷ Ceny na niektóre towary w tamtych latach w ZSRR: bochenek białego chleba – 0,18 rubla, 1 l kefiru – 0,3 rubla, 0,5 l piwa Żygulowskiego w butelce – 0,37 rubla, 1 kg piełmieni syberyjskich – 0,5 rubla, 1 kg wieprzowych parówek – 2,6 rubla; 0,6 l wódki Stolicznej – 3,62 rubla, 0,8 l szampana Sowieckiego – 5,5 rubli, czynsz administracyjny za dwupokojowe mieszkanie na trzy osoby w Moskwie – 15 rubli na miesiąc, bilet na samolot z Moskwy do Leningradu – 18 rubli, 1 kg kawy ziarnistej – 45 rubli, skórzane kobiece kozaczki – 70 rubli, męski zimowy płaszcz – 220 rubli, aparat fotograficzny Kijew 15 – 410 rubli, kolorowy telewizor Rubin 707D – 685 rubli, motocykl Dniepr MT 10 – 1600 rubli, jednopokojowe spółdzielcze mieszkanie na przedmieściach Moskwy – 4 tys. rubli, słynny samochód Gaz 24 „Wołga” – 9 tys. rubli, nowiutki radziecki terenowiec WAZ 2121 „Niwa” – 10 tys.

rubli. Tak, w ZSRR spółdzielcze mieszkanie kosztowało mniej niż samochód, a bilet na samolot był tańszy niż buty. Takie niezrównoważone ceny to wynik socjalistycznej planowej gospodarki w ogóle, a w szczególności pracy Państwowego Komitetu ZSRR ds. Cen. Cenę ustalał nie sprzedawca, lecz jakiś urzędnik w wysokim gabinecie.

[48](#) Kwoty zostały porównane metodą oszacowania, co można nazwać dobrą pensją we współczesnej Polsce i ZSRR lat 60.-70. Na koniec 2019 r. autor przyjął za dobrą pensję kwoty 5000 zł i 150 rubli radzieckich na rękę.

[49](#) Odpowiednik polskiego wiceprezesa.

[50](#) Obecnie Giumri.

[51](#) Zlewki prawdziwego, nierozcieńczonego piwa, które pracownikom udało się wydobyć dzięki rozcieńczaniu, szły na sprzedaż na lewo albo na konsumpcję własną. Konsumentom podawano wymieszany z wodą browar z dodatkiem taniego spirytusu i rozdrobnionej difenhydraminy z apteki (wchodzi ona, na przykład, w skład większości środków przeciwbólowych), aby było więcej piany i mocniej uderzało do głowy. Opowiadano, że dodają nawet proszek do prania. Taka sytuacja w radzieckiej gastronomii i handlu miała miejsce w przypadku każdego produktu, który można było rozcieńczyć: śmietany, kefiru, mleka, wódki, koniaku, piwa, wina itp. A masło można było zamienić na margarynę. No i oczywiście na porządku dziennym było niedolewanie i niedodawanie do porcji. Właśnie dzięki temu u człowieka poradzieckiego wciąż pozostało przyzwyczajenie, by w restauracjach nigdy nie zamawiać wina w karafkach, lecz żądać, aby przynieśli w butelce i otworzyli przy nim. Ponadto w warunkach gospodarki planowej każdemu przedsiębiorstwu, knajpie bądź sklepowi absolutnie legalnie przysługiwał przewidziany procent towaru (od 8 do 20), który można było spisać na straty przez zepsucie itd. Co do zasady, procent ten był zawsze spełniony. Jeśli kierownikowi udawało się utrzymać przewidziany na straty procent towaru w dobrym stanie albo go „ożywić”, taki towar szedł na sprzedaż poza księgowością i pieniądze przeznaczano na własne wzbogacenie i na łapówki dla góry (na przykład cuchnące już kurczaki można było zostawić w wannie z dodatkiem octu, potem dobrze wymyć za pomocą nadmanganianu potasu z apteki i sprzedać; inne wyjście: umówić się z dyrektorem

garmażerki, aby on upiekł je z dużą ilością przypraw, a potem podzielił się z tobą ponadplanowym utargiem; co więcej, w ten sposób garmażerka też miała nadmiarową porcję świeżych kurczaków, które można było sprzedać, a utarg schować do kieszeni). Łapówki dla góry (na przykład dla zarządu handlu, miejscowego komitetu partii, sanepidu lub OBChSS) były konieczne nie tylko po to, aby tamci przymykali oko na kombinowanie podwładnych oraz dla protekcji w przypadku nieprzyjemności itp., ale także z tego powodu, że w warunkach deficytu gospodarki socjalistycznej wszystkiego brakowało, zarówno obywatelom, jak i państwowym knajpom i sklepom. A planu sprzedaży nikt nie odwoływał. Jeśli więc nie dasz na czas górze, otrzymasz zły towar, którego nikt nie zechce kupić, o ile w ogóle coś otrzymasz, ponieważ dobry i popularny towar szedł najpierw do tych, którzy dali na czas. Rezultat: nie wypełniłeś planu sprzedaży. Oznaczało to uznanie człowieka za niekompetentnego, pożegnanie się z wysokim stanowiskiem, może nawet naganę lub wręcz surową naganę partyjną z wpisem do akt. A to już oznaczało koniec kariery.

[52](#) Zgodnie z art. 156 k.k. RFSRR z 1960 r.: „oszukiwanie kupujących” za takie wybryki kelner mógł dostać do dwóch lat pozbawienia wolności lub rok prac poprawczych, lub zakaz sprawowania zawodu w obszarze handlu. Jeśli miała miejsce zmowa z administracją i w knajpie pracowała cała „banda” systematycznie oszukująca ludzi, sprawa mogła się skończyć karą do siedmiu lat pozbawienia wolności.

[53](#) Art. 154 k.k. RFSRR z 1960 r. przewidywał za „prywatną działalność gospodarczą z użyciem własności państwowej, kooperacyjnej lub innej formy własności społecznej” do pięciu lat pozbawienia wolności z konfiskatą mienia.

KAZACHSKI KANIBAL

Szła sama. We mnie wszystko się zagotowało i pobiegłem za nią. Usłyszawszy moje kroki, odwróciła się. Dogoniłem ją, chwyciłem ręką za szyję i pociągnąłem w kierunku wysypiska. Gdy zaczęła stawiać opór, poderżnąłem jej gardło. Następnie piłem jej krew. Od strony wsi Fabryczny nadjechał autobus. Ukryłem się na ziemi obok zabitej kobiety. Leżałem, a ręce mi marzły. Kiedy autobus odjechał, ogrzałem ręce o ciało kobiety, a potem ją rozebrałem i pociąłem. Odkroilem piersi wraz z paseczkami tłuszczu. Oddzieliłem miednicę i biodra. Te części ciała włożyłem do plecaka i zaniósłem do domu. Część tłuszczu roztopiłem, nasmarowałem solą i jadłem jak słoninę. Jeden raz przepuściłem mięso przez maszynkę do mięsa, nawet zrobiłem sobie pielmieni. Mięso zawsze jadłem sam i nikogo nie częstowałem. Dwa razy smażyłem serce i nerki. Mięso też, ale było twardsze i musiało się długo smażyć we własnym tłuszczu. Mięso tej kobiety jadłem około miesiąca. Pierwszy raz nie było łatwo. Potem się przyzwyczailem.

Kazachski kanibal opisuje podczas eksperymentu-procesowego swoje pierwsze morderstwo i ucztę^{[54](#)}

JEDEN RADZIECKI CZŁOWIEK ZJADŁ DRUGIEGO

Radziecki Kazachstan walczył o trzecie miejsce w hierarchii „rodziny braterskiej” republik związkowych z Białoruską SRR. Konkurencja polegała na tym, że choć Białoruś nie obfitowała w ludność czy zasoby, była bardzo rozwinięta przemysłowo. Co więcej, była republiką europejską. Natomiast jeśli brało się pod uwagę zboże i zasoby naturalne (z wyjątkiem wody), to tutaj Kazachstan dysponował całą tablicą Mendelejewa, dzięki czemu wyprzedzał swoją europejską siostrę i pod tym względem konkurował o pozycję z republiką numer dwa – Ukrainą. Pierwsze miejsce pod każdym względem należało oczywiście do Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Około 60 kilometrów na południowy zachód od kiedyś zielonej (a obecnie bardzo zadymionej) stolicy Kazachskiej SRR, Ałma-Aty⁵⁵, której nazwa w tłumaczeniu oznacza „ojciec jabłek”, leżała mało interesująca miejscowość Fabryczny (obecnie Kargały), licząca 13 000 mieszkańców, utrzymujących się z pracy w lokalnym zakładzie produkcji tkanin. Z tego miasteczka pochodził kazachski kosmonauta generał lejtnant lotnictwa Tałgat Musabajew – i oto cała jego atrakcyjność. 10 kilometrów dalej znajduje się miasteczko Uzynagasz, z 20 tysiącami mieszkańców.

Koło Fabrycznego, wzdłuż drogi prowadzącej do wsi Majbułak, znajdowało się wysypisko, na którym bardzo lubiły spędzać czas miejscowe dzieci, ponieważ zawsze można było na nim znaleźć coś ciekawego, pobudzającego

wyobraźnię. 25 stycznia 1979 roku bawiący się na wysypisku chłopcy zaalarmowali dorosłych, ponieważ zaniepokoiło ich nietypowe znalezisko: odcięta głowa młodej kobiety oraz posiekany tułów z odsłoniętymi żebrami i krwawymi ranami zamiast piersi. Niedaleko leżały oddzielone od tułowia nogi. Dookoła wałały się inne kości i kawałki mięsa. Przestraszeni dorośli wezwali milicję.

Na miejsce kaźni przyjechała grupa milicyjna, na której czele stanął pierwszy zastępca szefa milicji obwodu ałmaackiego, pułkownik milicji Iwan Rybałkin. Człowiek o surowym wyrazie twarzy i ciężkim spojrzeniu. Zajmował się głównie zabójstwami i poważnymi kradzieżami. Koledzy nadali mu przydomek „Łeb”.

Gdy funkcjonariusze przeszukiwali teren, śledczy, najlepsi i najwyżsi rangą milicjanci w rejonie, usiłowali ustalić tożsamość zabitej. Najpierw przejrzeni zgłoszenia o osobach zaginionych w okolicy i to był dobry trop. Okazało się, że znalezione ciało należało do Nadieždy Andronnikowej, mieszkanki Fabrycznego, skarbniczki lokalnego Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Dziewczyny, która wyszła z domu na modlitwę wieczorną i nie wróciła, poszukiwali rodzice.

W ciągu następnych kilku miesięcy na tym cichym, słabo zaludnionym obszarze, wśród stepów i gór pomiędzy Uzynagaszem a Fabrycznym, gdzie czas się zatrzymał, rozegrały się najstraszniejsze wydarzenia w jego historii. Niczym w horrorze w okolicach miast zaczęły ginąć młode kobiety. Znikały w dzień i w nocy ze swoich domów i z dróg.

Ich ciała znajdowano zmasakrowane i pocięte na kawałki. Kawałki te wyglądały na nadjedzone.

Z KIM MAMY DO CZYNIEŃIA?

Zwłoki Andronnikowej, a raczej to, co z nich pozostało, wysłano do ekspertyzy. Podczas narady oficerów milicyjnych wysunięto główną hipotezę: skarbniczka padła ofiarą rozboju. Ktoś wiedział, że ma przy sobie pieniądze wspólnoty, i ją zaatakował, a ciało zmasakrował, żeby zatrzeć ślady. Fakt, że głowa i kończyny, z których można było zdjąć odciski palców ofiary, pozostały stosunkowo nienaruszone, uznano za oznakę zdenerwowania, słabego przygotowania i niewiedzy mordercy. Nie wykluczano też, że ktoś przestraszył napastnika lub napastników. Swoje zrobiły także ptaki i inne zwierzęta. Taka wersja wydarzeń wyglądała najbardziej wiarygodnie.

Inną hipotezą było zabójstwo na tle religijnym. W ZSRR wszystkie religie poza głównymi, takimi jak islam, prawosławie, katolicyzm czy judaizm, a także członkowie stowarzyszeń opierających swoją działalność na wierze w Boga, o którym nikt nie słyszał, określano mianem sekt. Za sekty uważano zrzeszenia, w których zamiast zwykłych modlitw na kolanach praktykowano grupowy śpiew, tańce i rytuały składania jakichkolwiek ofiar. Członkami sekt w Związku Radzieckim byli świadkowie Jehowy, sobotnicy, adwentyści Dnia Siódmego, staroobrzędowcy itp.

Powszechnie uważano, że w takich organizacjach panuje despotyzm, a liderzy sekt okradają i wykorzystują seksualnie swoich podwładnych. Dookoła Fabrycznego i Uzynagaszu funkcjonowało kilka takich organizacji. Zatem może to ktoś z członków sekty złożył krwawą ofiarę swojemu bogu lub bogom?

Wyniki sekcji zwłok Andronnikowej bardzo szybko jednak wykazały, że raczej nie chodziło o rozbój, a zwierzęta i ptaki nie były przyczyną stanu, w jakim znaleziono zwłoki. Ciało było pocięte na części, z których ktoś za pomocą bardzo ostrego narzędzia wyciął piersi, duże kawałki mięśni oraz niektóre organy.

Ta ekspertyza zmieniła kierunek śledztwa. Odtąd za podstawową przyjęto wersję, że zabójstwa dokonał ktoś chory psychicznie, prawdopodobnie członek sekty.

W grupie śledczej pojawił się również pomysł, że może ktoś tak pokroił ciało kobiety, żeby potem je zjeść, nie potraktowano tego jednak poważnie.

Był rok 1979. ZSRR wkroczył w okres „budowy rozwiniętego socjalizmu”, zwanego później „breżniewowską stagnacją”. Okres ten charakteryzowały nuda i brak zmian – przez 15 lat rządził wygodny dla wszystkich frakcji partyjnych i popadający w demencję Breżniew. W tym czasie w Kazachstanie przez 15 lat rządy sprawował jego koleżka Dinmuchamed Kunajew. On też nie był młody. Obaj swoimi ciężkimi twarzami z policzkami opadniętymi do ramion, oczami o pustym wzroku oraz nieśpiesznymi przemowami, podczas których, oddychając, poruszali klatką

piersiową ozdobioną kilogramami orderów, reprezentowali swoją epokę – wszystko spokojnie, wszystko stabilnie. Jak zatem w tym błogim czasie socjalistycznej nirwany jeden *homo sovieticus* mógłby zjeść innego? Ostatni raz coś podobnego miało miejsce w czasie wojny, w oblężonym Leningradzie, kiedy z głodu i zimna wyginęła jedna trzecia trzymilionowego miasta. W czasie blokady oszaleli z głodu leningradczycy rzucali się na siebie. No i jeszcze było tak w czasie głodu w latach 1946-1947. Jednak do tych przypadków dochodziło w skrajnych okolicznościach. Masło, mięso, mleko może i były byle jakie, może nie zawsze dostępne w sklepach, ale czasami pojawiały się w zasięgu zwykłych ludzi. Zawsze też funkcjonowały stołówki, gdzie podawano chleb, ziemniaki i makarony. Nie dało się umrzeć z głodu. Skąd zatem miałyby się wziąć ludożerca?

Tymczasem doszło do kolejnej tragedii...

Późną nocą 21 kwietnia 1979 roku jedna z mieszkanek Fabrycznego, młoda Anna Legler, powiedziała rodzicom, że wychodzi do znajdującej się tuż obok łaźni, około 25 metrów od domu. Wczesnym rankiem, obudziwszy się, rodzice zgłosili na komisariacie jej zaginięcie.

Zwłoki Anny Legler znaleziono kilkadziesiąt metrów od drogi prowadzącej do łaźni. Miała poderżnięte gardło. Od łaźni do niewielkiego lasu, gdzie odkryto ciało, prowadził ślad na piasku. Widocznie napastnik unieruchomił ofiarę, a następnie zaciągnął do zagajnika i tam zabił. Tylko dlaczego? Kobieta szła do łaźni, nie miała przy sobie

niczego wartościowego. Pozostało zatem zbadać hipotezy o tle religijnym lub miłosnym.

Dwa miesiące po śmierci Anny doszło do kolejnego morderstwa. W nocy z 21 na 22 czerwca, o drugiej nad ranem, tym razem w sąsiadującym z Fabrycznym Uzynagaszu kilku mieszkańców obudził straszny krzyk dobiegający z domu sąsiadów – rodziny Sawielijewów. Po chwili krzyk ucichł. Sąsiedzi, wiedząc, że ostatnio w rejonie było niespokojnie, postanowili nie sprawdzać, co było powodem wrzasku. Po namyśle jednak wezwali milicję.

Kiedy przyjechał radiowóz, w domu panowały cisza i ciemność. Funkcjonariusze zapukali, a gdy nie usłyszeli odpowiedzi, weszli, forsując słabe drzwi. W jednym z pokoi wiejskiego domu znaleźli dwa ciała – gospodynię i jej matkę. Kobiety leżały w swoich łóżkach z poderżniętymi gardłami, z nóg gospodyni wycięto mięśnie. Pościel i podłoga zalane były krwią. Patrol wezwał dyżurną brygadę z posterunku.

Technicy i detektywi rozpoczęli działania: opisywanie miejsca przestępstwa oraz poszukiwanie dowodów. Nagle z szafy sąsiadującego z sypialnią pokoju rozległo się pukanie. Milicjanci chwycili za broń i ostrożnie otworzyli drzwi. Na stróżów prawa z głębi szafy patrzyło dziecko – Ludmiła Sawielijewa, najmłodsza z domowników. Spała w pokoju obok sypialni mamy i babci, gdy usłyszała hałas, jakby ktoś włamywał się do domu. Instynkt samozachowawczy nakazał jej schować się w szafie i cicho

obserwować przez drzwiczki, co się dzieje. Drzwi pomiędzy pokojami nie było. Normalna rzecz na kazachskiej wsi.

Dziewczynka opowiedziała milicjantom przebieg wydarzeń. Przestępca wszedł do domu przez okno. W Kazachstanie latem temperatura sięga 40 stopni Celsjusza, więc domownicy pozostawili je otwarte. Włamywacz nożem zabił najpierw śpiącą babcię, potem mamę, która wcześniej zdążyła się obudzić i krzyknąć. Zszokowani funkcjonariusze usłyszeli od dziecka, że morderca poderżnął kobietom gardła i pił płynącą krew. Najpierw próbował krwi babci, lecz krztusił się, jakby mu nie smakowała. Krew mamy pił dłużej. Następnie odkroił kawałek nogi i zniknął, tak jak przyszedł – przez otwarte okno.

Niektórzy funkcjonariusze myśleli, że dziewczynka pomyliła coś, będąc w szoku, lub po prostu fantazjuje. Przecież w akademiach milicyjnych uczyli się, że małoletni świadkowie mają tendencje do fantazjowania i przypisywania sobie cierpień lub bohaterstwa, które nie miały miejsca. Chcą poczuć się ważni i wartościowi dla dorosłych. Jednak zeznania małego świadka ostatecznie potwierdziło śledztwo. Detektywi w pełni zrozumieli, że mają do czynienia z psychopatą, kanibalem bądź członkiem jakiejś sekty, który w ten sposób składa ofiary bogom lub działa na zlecenie swoich kapłanów.

W obliczu takich okoliczności milicjanci urządzili sobie kwaterę w zakładzie produkcji tkanin w Fabrycznym i tam pracowali nad sprawą.

W ramach śledztwa przeszukiwano dane ośrodków psychiatrycznych obwodu ałmaackiego. Sprawdzano teczki w zakładach karnych, przede wszystkim badano recydywistów, którzy wyszli niedawno na wolność. Rozpoznanie było prowadzone także w miejscach zgromadzeń różnych stowarzyszeń religijnych. Ich członków wzywano na przesłuchania, a miejsca zgromadzeń przeszukiwano. Kontrole były bardzo dokładne, obejmowały nawet zrywanie podłóg, w celu znalezienia jakichkolwiek dowodów zabójstw. Do sekt z zadaniem obserwacji wysyłano agentów milicyjnych podających się za neofitów. W swoich raportach podkreślali oni, że w takich zgromadzeniach uczestniczą głównie młode kobiety. Czasami podczas obrzędów używają zwierzęcej krwi i śpiewają. Opisywano grupowe śpiewy i przemowy kapłanów, podczas których ludzie trzymali się za ręce i drżeli w ekstazie.

Skoncentrowano się na pierwszym zabójstwie.

Jedna z osób mieszkających w pobliskim hotelu pracowniczym słyszała krzyk dobiegający od strony wysypiska. Na wysypisku, tam, gdzie odkryto pierwszą ofiarę, znaleziono srebrny orientalny pierścionelek. Zgodnie z kazachskimi tradycjami pierścionki takie nosiły kobiety w celu ochrony przed czarami. Pozostało zagadką, jak Rosjanka Andronnikowa łączyła lokalne stepowe tradycje z wierzeniami adwentystów. Przesłuchano wszystkich znajomych Nadii oraz jej rodziców. Rodzice zeznali, że córka wstąpiła do zboru adwentystów niedawno, niecały

roku temu. Zauważyli wówczas zmianę w jej zachowaniu. Stała się cicha, tajemnicza, nerwowa, mogła siedzieć i patrzeć przed siebie godzinami, znikła w nocy, przez cały dzień nosiła chustę. Okazało się także, że Nadieżdę napastował i prześladował młody mężczyzna – Wadim Ziemcow. Kilka razy prosił ją o rękę, ale kobieta zawsze odmawiała. Świadkowie zaznaczali, że wtedy odrzucony Wadim zmienił taktykę. Od kwiatów, listów i prezentów przeszedł do gróźb. Kilkakrotnie pojawiał się obok Nadieżdy z nożem w ręku.

Ziemcowa zatrzymano i zabrano na przesłuchanie. Blady ze strachu od razu się przyznał:

– Tak, to byłem ja! Ja ją u siebie w domu zabiłem, pociąłem i wyrzuciłem na wysypisko.

Wspaniale! Praca śledztwa na tym etapie mogła zostać zakończona, materiały należało przekazać do prokuratora.

Jednak śledczym coś nie pasowało. Kto przyznaje się do przestępstwa bez twardych dowodów podczas pierwszego przesłuchania? Przecież za takie morderstwo można stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Co więcej, w czasie eksperymentów procesowych Wadim gubił się w zeznaniach. W jego domu zaś, gdzie kobieta została rzekomo zabita i pocięta na kawałki, nie znaleziono żadnych śladów krwi. A przecież po takim zabójstwie krew musiała lać się strumieniami. Stało się zatem jasne, że podejrzany kłamie.

W celu ustalenia, czy robi to, by kogoś chronić, czy nie, podejrzanego odesłano na badanie psychiatryczne. Tam

postawiono diagnozę – schizofrenia. Ziemcow nie miał z zabójstwami nic wspólnego. Wszystko wymyślił, a praca funkcjonariuszy poszła na marne.

W Uzynagaszu i Fabrycznym wybuchła panika. Informacje o mordercy, który atakuje kobiety i włamuje się do domów w środku nocy, spowodowały, że ludzie na widok każdej nowej twarzy reagowali telefonem na milicję. Zdarzył się raz taki przypadek: kucharz z lokalnej knajpy stwierdził, że klienci na uroczystość, którą chcieli przygotować, przynieśli jakieś dziwne mięso⁵⁶. Działając pod wpływem plotek o grasującym ludożercy, zadzwonił na milicję z donosem, że to na pewno mięso ludzkie. Goście zostali zatrzymani. Ekspertyza wykazała jednak, że rzekome ludzkie mięso jest zwykłą baraniną niskiej jakości.

Denerwowała się także władza. Sprawę kontrolowało kierownictwo milicyjne republiki, interesowali się nią w KC Partii Komunistycznej Kazachstanu. Brak wyników irytował wysokich funkcjonariuszy. Pułkownika Rybałkina nieraz wzywał do siebie na dywanik Makan Jesbułatów, minister spraw wewnętrznych Kazachskiej SRR i generał major milicji. Choć zwykle nie krzyczał na podwładnych i im nie groził, w tym przypadku wrzaskiem żądał od Rybałkina szybkiego schwytania sprawcy, a za brak wyników mieszał szefa grupy śledczej z błotem. Groził, że z naramienników polecą gwiazdy, a z ramion głowy.

Nieznany psychopata jednak przyczał się i nie pojawiały się zgłoszenia o nowych zmasakrowanych

ciałach. Towarzysz minister i partyjniacy w końcu się uspokoili i zostawili Rybałkina w spokoju.

Praca śledczych wciąż nie dawała oczekiwanych rezultatów. Za mało było poszlak, które mogłyby wskazać tożsamość napastnika.

Stało się tak, że sam znacznie ułatwił śledczym swoje odnalezienie.

KANIBAL

Wieczorem 17 grudnia w Uzynagaszu na miejscowy posterunek milicji wpadła grupa dziwnie wyglądających obywateli. Jak na zimową porę byli ubrani zbyt lekko: mieli na sobie same koszule i czapki, a jeden tylko majtki i kurtkę⁵⁷. Niektórzy wyglądali na poplamionych krwią. Z przerażeniem w oczach krzyczeli, że w domu miejscowego Nikołaja Dżumagalijewa gospodarz tnie na kawałki kobietę.

Zacząło się podobno tak: „Siedzieliśmy, piliśmy, a on zapytał: »A pokazać wam coś fajnego?«. I wyszedł. Po chwili przyniósł na tacy głowę jednej z dziewczyn, z którą jeszcze kilka minut wcześniej piliśmy”. Głowa miała wysunięty język i straszne, krwawe oczy. Zgłaszający rzekomo właśnie stamtąd uciekli.

Jako że od całej grupy mocno czuć było alkohol, milicjanci nie uwierzyli w ich zeznania. Znali Kolkę Dżumagalijewa – w sierpniu tego samego roku podczas

libacji chciał się popisać przed kolegami i zdjął ze ściany nabitą strzelbę, nieumyślnie nacisnął spust i zabił jednego z gości. Jednak to był wypadek. Mimo że najpierw zakopał strzelbę i uciekł, po kilku godzinach wrócił i sam zgłosił się na komisariat. Sąd potraktował niekaranego pracującego młodego człowieka łagodnie i za nieumyślne spowodowanie śmierci dostał on cztery i pół roku w zawieszeniu. W listopadzie wrócił do domu. Obecnie pracował jako strażak. „To dobry chłopak, a wy tu mówicie, że on babę tnie u siebie i przynosi jej głowę na tacy gościom?! Co wy za chemię pijecie?!” – naśmiewali się.

Jednak do wskazanego domu wysłano patrol. W środku świeciła się żarówka, było cicho. Funkcjonariusze zapukali do drzwi, a gospodarz im otworzył. To, co zobaczyli, było jak wyciągnięte prosto z jakiegoś koszmaru.

Przed nimi stał dobrze zbudowany młody mężczyzna. Całkiem nagi. Był od stóp do głowy wymazany krwią i szeroko się uśmiechał. W ręce trzymał czerwoną siekierę, na której wisiały kawałki narządów. Popatrzył wyłupiastymi oczami na milicjantów i zaśmiał się głośno. Nagle kopnął jednego z funkcjonariuszy i rzucił się do ucieczki w ciemność. Gdy milicjanci doszli do siebie, ruszyli w pościg, oddali kilka strzałów ze swojej broni służbowej, Dzumagalijew jednak zdołał im umknąć.

Patrol wszedł do domu Nikołaja. Kuchnia i salon były zachlapanie krwią. Na podłodze znajdowały się: odcięta ludzka stopa, dłonie, ręce, kobieca głowa. Pijani goście nie kłamali. Tu naprawdę zabito i poćwiartowano człowieka.

I to niejednego. W kuchni znaleziono beczkę z solonym ludzkim mięsem wraz ze skórą, kośćmi i kończynami z paznokciami.

Kierownictwo milicyjne po tym, jak otrzymało raport od patrolu, przypomniało sobie o nie tak dawnych zabójstwach kobiet oraz pociętych kobiecych ciałach. Zatarli ręce: „To nasz kanibal się znalazł! Mamy go! Długo sobie nagi w grudniowym mrozie po kazachskich stepach nie pobiega”.

W ciągu kilku godzin mały Uzynagasz zaczął przypominać miasto w trakcie stanu wojennego. Ulice wypełniły się żołnierzami, wojskowymi pojazdami i patrolami milicji, a w powietrzu krążyły śmigłowce. Mieszkańcom zabroniono wychodzenia z domów. Wszyscy szukali Dżumagalijewa.

Ustalono, że na obrzeżach miejscowości w prywatnym domu mieszka krewna poszukiwanego. Ten dom należało przeszukać. Milicja udała się do obywatelki i już w progu zapytała:

– No, gdzie Nikołaj?

Gospodyni nie odpowiedziała, tylko mamrotała coś pod nosem.

Zaczęło się przeszukiwanie. Trwało ono kilka godzin, ale nigdzie nie było śladów podejrzanego. Zauważono jednak pewien szczegół. Podłoga w domu była stara, zgniła, skrzypiąca. Białe w nią gwoździe zardzewiały. Ale w jednym miejscu gwoździe błyszczały nowością. Gdy zdjęto w tym miejscu podłogę, wyciągnięto czystego

i przebranego w ciepłe ubrania Nikołaja. Leżał pomiędzy ziemią a deskami podłogowymi. Skuto go i zabrano na posterunek.

Podczas przesłuchania opowiedział swoją historię. Przyznał się do zarzuconych mu zabójstw. Od jego odpowiedzi na pytania, dlaczego zabijał, masakrował i jadł kobiety, krew stygła w żyłach. Uśmiechał się przy tym, jakby był z siebie bardzo dumny.

Nikołaj Jespolowicz Dżumagalijew urodził się w Uzynagaszu 15 listopada 1952 roku. Słowiańskie imię i kazachskie nazwisko były wynikiem małżeństwa Kazacha i Białorusinki. Nikołaj przyszedł na świat jako trzecie dziecko w rodzinie. Miał dwie starsze siostry: Galinę, Zoję, oraz jedną młodszą: Katerinę. W jego dzieciństwie nie wydarzyło się nic niezwykłego. Uczył się w technikum kolejowym i zdał maturę. Po technikum, jak wszyscy, trafił na dwa lata do wojska. Służył w wojskach chemicznych w Uzbekistanie, w jednym z najstarszych miast świata i perełce radzieckiej Azji Środkowej – Samarkandzie. Potem los rzucił go bliżej domu, pod kazachskie miasteczko Otar, w pobliżu Ałma-Aty, gdzie kontynuował służbę.

Z wojska Dżumagalijew wyszedł w 1975 roku. W ciągu trzech następnych lat często zmieniał pracę i odwiedził prawie cały ZSRR – od Murmańska przy granicy fińskiej do Czukotki nad Oceanem Spokojnym. Był marynarzem, kierowcą ciężarówki, operatorem buldożera, elektrykiem. Później próbował dostać się na studia do Kazachskiego Państwowego Uniwersytetu im. Siergieja Kirowa w Ałma-

Acie. Bez sukcesu. W 1978 roku, nie zdawszy egzaminów wstępnych na stołeczną uczelnię, wrócił do ojczystego Uzynagaszu i tam znalazł pracę w straży pożarnej. To było rok przed pierwszym zabójstwem. Myśli o kobietach dręczyły go już od dawna. Jednak nie takie, jakie zwykle miewają młodzi mężczyźni.

Nie można powiedzieć, że Dżumagalijew – jak to zwykle bywa w przypadku psychopatów czy maniaków – nie miał powodzenia u kobiet, skarżył się na problemy z potencją, cierpiał przez rówieśników czy doświadczył trudnego dzieciństwa. Wręcz przeciwnie. Był pewny siebie, silny, a gdy patrzyło się na jego twarz, można było uznać, że odziedziczył on najlepsze rysy po azjatyckim ojcu i europejskiej matce. Dosłownie tryskał męską energią, a kobiety takiemu mężczyźnie nie odmawiały. Szkopuł w tym, że Nikołaj znajdował się pod wpływem religijnego i konserwatywnego ojca, z którym razem studiował Koran oraz podstawy islamu. Ojciec przekonywał syna, że kobieta powinna być cichą gospodynią, we wszystkim zgadzać się z mężem, nie podnosić wzroku i skromnie się ubierać. Do jej zajęć powinno należeć sprzątanie domu, dbanie o męża i dzieci. Stosunki z mężczyzną może odbywać tylko po ślubie i jedynie w celu płodzenia potomstwa. Mały Kolia słuchał swojego ojca i wszystko przyswajał. Światopogląd miał więc fanatyczny.

Jego poglądy na kwestię kobiet bardzo różniły się od rzeczywistości radzieckiej. Komunizm bowiem zachęcał kobiety do „budowania socjalizmu” oraz porzucenia

„kuchennego niewolnictwa”. Stawiał kobiety na równi z mężczyznami. Zamiast siedzieć w domu, kobiety garnęły się do pracy i robienia kariery, studiowały na uczelniach, nie śpieszyły się z wyjściem za mąż i rodzeniem dzieci. Co więcej, młode kobiety chciały poznać wszystkie radości życia, w tym imprezy oraz miłość rówieśników. Nikołaj szczególnie brzydził się tą – jak to interpretował – kobiecą niewiernością i rozwiązłością, fizycznymi przejawami pragnienia bez zobowiązań. Nie tylko spotykały się one bowiem z mężczyznami, lecz niektóre nawet z kilkoma naraz!

Nikołaj bywał w związkach z kobietami, ale nie w takich, jakimi je sobie wyobrażał. Chciał mieć u swego boku cichą, skromną towarzyszkę życia, ale zamiast wierności i romantyzmu otrzymywał same szybkie numerki. Przy próbie przeniesienia relacji na poważniejszy poziom dostawał kosza. Jedna oświadczyła, że go nie kocha, poza tym jest mężatką, a z nim związała się tylko po to, by ubarwić sobie szare życie, które wiodła u boku grubego, nieciekawego już dla niej męża. Niedługo po rozstaniu zaczął też odczuwać świąd w kroczu. Zaniepokoiło go to. Udał się do szpitala, a tam okazało się, że któraś z licznych kochanek „nagrodziła” go kiłą oraz rzesistkowicą. Odczuł te dolegliwości jako cios – *nomen omen* – poniżej pasa, co zniechęciło go do płci pięknej. Uznał, że wszystkie nieszczęścia pochodzą od bab! Choroby, wojny, alkoholizm, narkomania, przestępstwa! Nikołaj wypielegnował w sobie szczególną nienawiść do kobiet o słowiańskiej urodzie. Do

blondynek z niebieskimi oczami, dbających o figurę, nieśpieszących się do wyjścia za mąż, robiących karierę, studiujących, lubiących imprezy, mężczyzn i alkohol. To dlatego, że słowiańskie przedstawicielki zachodnich republik ZSRR były zasadniczo bardziej otwarte na swobodne kontakty niż dziewczyny z republik południowych, gdzie nadal panowały dość konserwatywne zwyczaje.

Na temat kobiet, oprócz tego, że powinny siedzieć przy garach, nie wychodzić z domu oraz bez przerwy rodzić dzieci, Nikołaj uważał, że są one czymś w rodzaju podczłowieka, który obecnie pcha się do władzy nad całą ludzkością. Taką możliwość daje im obecny system, który traktuje samice na równi z samcami. Jednak nie taki był zamysł natury. Matriarchat to dzuma ludzkości, a równouprawnienie przynosi wstyd mężczyznom! Trzeba zatem, żeby ktoś pokazał samicom, gdzie ich miejsce.

Dodatkowo, poza religijnym ojcem, na małego Kołę znaczący wpływ miał również jego niezwykle dziadek. Staruszek czytał z wnukiem książki o okultyzmie, czarnej magii, magicznych płynach przygotowanych na bazie krwi i ludzkich wnętrzności oraz przekonywał Nikołaja, że Dzumagalijewowie są potomkami samego Czyngis-chana, że tkwi w nich wielka siła! Aby ją obudzić, trzeba – zgodnie z przekazem płynącym z lektury – pić krew wrogów, jeść ich mięso oraz składać z nich ofiary... Oprócz pragnienia uzdrowienia społeczeństwa w Nikołaju kiełkowała chęć posiadania owej nadludzkiej mocy. Fakt, że każdej ofierze

podrzynał gardło, był efektem wpływu dziadka, który czytał wnuczce, że jeśli poderżnie się młodej kobiecie gardło, można zobaczyć, jak odlatuje jej dusza.

Do pierwszego morderstwa ludożerca, któremu w milicji nadano ksywkę „Żelazny Kłyk”, ponieważ miał stalowy ząb, wewnątrz długo dojrzewał. Nie miał jednak szczególnego planu. Hodowana przez kilka lat nienawiść do kobiet eksplodowała nagle i przypadkowo uderzyła w Andronnikową. Gdy Dżumagalijew spotkał ją na drodze, uznał, że już najwyższy czas zacząć odnowę ludzkości!

Następnie przyszła kolej na Annę, gdy ta wracała do domu z łaźni. Potem na rodzinę Sawielijewów. Dżumagalijew zapytany, kogo zamknął w beczce, odpowiedział, że niejaką Walentynę. Z jego słów wynikało, że zabił ją 27 lipca. Jego ówczesna kochanka Tatiana powiedziała mu, że podejrzewa ich wspólną koleżankę Walentynę o kradzież kilku swoich błyskotek i że zawiadomiła o tym milicję. Dżumagalijew uznał, że Tania postąpiła niemądrze i kazał jej zaprosić Walentynę do siebie na imprezkę, a on to załatwi. Kiedy Walia przyszła, a Tania wraz z siostrą Dżumagalijewa, Zoją się oddaliły, przystojniak uwiódł gościa i znaleźli się w łóżku. W trakcie aktu miłosnego przestraszyli się, że w takiej jednoznacznej sytuacji może zastać ich Tania, i przenieśli się do stodoły obok. Przenieśli się jak w romantycznej powieści – umięśniony Nikołaj przeniósł nagą i płonąącą namiętnością, owiniętą w prześcieradło Walę na rękach i rzucił na świeżo skoszoną trawę. Tam kontynuowali akt miłosny, aż Nikołaj

poczuł ogromną chęć, by udusić jęczącą pod nim kobietę. Czego dokonał. Kiedy Walentyna przestała dawać oznaki życia, poderżnął jej gardło. Nie zobaczył jednak odlatującego ducha. Mimo to zaczął pić jej krew. Pragnienie krwi zaspokajał równocześnie z innym pragnieniem, kontynuując akt seksualny z nieżywą Walą. Po wszystkim Nikołaj pociął jej ciało. Część zwłok Walentyny zasolił w beczce, a część zakopał w ogrodzie.

Tymczasowy kres zabójstwom położył wypadek ze strzelbą, aresztowanie, sąd i warunkowe skazanie Dżumagalijewa za nieumyślne spowodowanie śmierci. Po powrocie „Żelazny Kłyk” znów wziął się za oczyszczanie społeczeństwa.

Ostatecznie twierdził, że zabił 9 kobiet. Sam tłumaczył te zabójstwa tak, że po pierwsze zaspokajał swój popęd płciowy. Po drugie czuł pociąg do kobiecego ciała w tym sensie, że chciał poznać je w pełni, aby lepiej dokonywać swojej zemsty za to, że łamią prawo natury, bo mężczyzna powinien stać wyżej od kobiety w każdej dziedzinie, a rzeczywistość jest inna. Niektóre morderstwa odbyły się na okrągłe daty. Jedną zabił w rocznicę śmierci babci, a kolejną 13 grudnia 1980 roku, w dzień 100. rocznicy urodzin dziadka. Przydając okultyzmowi owym zabójstwom, mówił o jakiejś książce *Czarna mgła*, w której napisane jest, że kobiety starożytnych Germanów piły krew, żeby widzieć przeszłość.

Ostatnią ofiarą okazała się Zoja Kaszyna. Nikołaj zaprosił ją wraz z kolegami i koleżankami na imprezę.

Podczas libacji znalazł się z Kaszyną w łóżku. W sypialni, gdy zaproszeni spożywali alkohol, zabił ją, pociął i wyniósł głowę na tacy i podał ją gościom.

KARA

Kodeksy karne wszystkich republik radzieckich przewidywały karę śmierci. Rozstrzelanym w ZSRR można było zostać za między innym zdradę ojczyzny, szpiegostwo, zabójstwo przedstawiciela władzy, bandytyzm, dywersję, fałszerstwo, dezorganizację pracy zakładów karnych, wymianę waluty, kradzież w szczególnie wielkich rozmiarach, łapówkarstwo, gwałt, porwanie samolotu. W czasie wojny kara śmierci była przewidziana także za: uchylanie się od mobilizacji, odmowę wykonania rozkazu, napad na dowódcę, dezercję, pozostawienie broni wrogowi, dobrowolne poddanie się, naruszenie zasad służby wartowniczej, nadużycie władzy albo beczynność władzy, opuszczenie przez kapitana tonącego okrętu, maruderstwo, przemoc wobec cywilów, odmowę użycia broni. Zarówno w Kazachskiej SRR, jak i w pozostałych republikach związkowych za zabójstwo z premedytacją przy okolicznościach obciążających groziło rozstrzelanie. Dżumagalijew miał stanąć pod murem.

Postępowanie toczyło się przez rok. Po odkryciu, kto, a przede wszystkim dlaczego zabił ich ukochanych, krewni ofiar oraz cała społeczność lokalna domagali się dla

kanibala z Uzynagaszu piwnicy dla skazanych na karę śmierci.

Na marne.

Opowieści „Żelaznego Kłyka” spowodowały, że odesłano go do Moskwy na badania psychiatryczne. Trafił do głównego radzieckiego ośrodka psychiatrii represywnej – do Instytutu Psychiatrii Sądowej im. Władimira Serbskiego. To właśnie tam dysydentom politycznym, którzy odważyli się krytykować system radziecki (urzędników piastujących swoje stanowiska przez długie lata, bezalternatywne wybory, system jednopartyjny, cenzurę itp.), stawiano diagnozę „wolno postępującej schizofrenii” i leczono zastrzykami sprawiającymi okropny ból oraz skutkującymi otępieniem. Pomędzy zastrzykami stosowano postępowe metody medyczne w postaci leczenia prądem oraz zanurzania w wannie wypełnionej lodem, by mózg „wrócił na miejsce”, a zagraniczne głupoty o tzw. rzeczywistych demokracjach i wolności słowa opuściły głowę chorego. Lekarzom tego zakładu „medycznego” diagnozy dla poszczególnych osób podpowiadali funkcjonariusze KGB, a psychiatrów, którzy odważyli się mieć odrębne zdanie niż ich koledzy, zwalniano.

Po szeregu badań Dżumagalijew został uznany za niepoczytalnego. Władza miała w tym interes – w postępowym społeczeństwie radzieckim nie mogło być kanibali.

Dnia 3 grudnia 1981 roku rozpoczął się proces przeciwko kazachskiemu ludożercy. Sędzią

przewodniczącym była kobieta. „Żelazny Kłyk”, który na sumieniu miał życie co najmniej 9 kobiet, został skazany na... przymusowe leczenie. Nikołaj Dżumagalijew trafił do zamkniętego ośrodka psychiatrycznego bliżej ojczystego Kazachstanu, w słonecznym Taszkencie.

Los bywa przewrotny. W tym samym czasie w radzieckiej Mołdawii kobiety zabijał maniak Aleksander Skrynnik. Od umiejętnego przystojniaka Dżumagalijewa odróżniał go brak zainteresowania u płci pięknej. Uważał siebie za nieudacznika i zazdrościł tym, którzy mieli powodzenie. Porażki na froncie miłosnym spowodowały wybuch nienawiści do wszystkich kobiet. Tak jak Dżumagalijew Skrynnik nie poprzestawał na zabijaniu ślicznotek – on kroił je na kawałki. Ich narządy odsyłał do swojego znajomego Fiodosa Głucharjewa, który kiedyś nieostrożnie pochwalił się przed Skrynnikiem, ile kobiet miał „na liczniku”. Skrynnik, ze swoim znacznie skromniejszym miłosnym wynikiem, wpadł z tego powodu w szal. W ten sposób chciał pokazać casanovie, że też coś potrafi. Gdy podczas kolejnego usiłowania zabójstwa maniak z Mołdawii popełnił błąd, został złapany. Zdążył zabić trzy osoby. Jednak w odróżnieniu od kazachskiego „kolegi”, Aleksandra Skrynnika w 1981 roku rozstrzelano. Nikołaj zaś nadal żył, choć w zamkniętym ośrodku. Bywa i tak...

Minęło osiem długich lat przymusowego leczenia kazachskiego kanibala w szpitalu psychiatrycznym. Nadszedł sierpień 1989 roku – obrzydliwy okres w historii

ZSRR, z którym kojarzymy przede wszystkim Michaiła Gorbaczowa.

Jego epoka zaczęła się 10 marca 1985 roku, kiedy umarł kolejny sekretarz generalny KC KPZR, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, 73-letni Konstantin Czernienko – przedstawiciel tak zwanego klanu dniepropietrowskiego, „kremlowskiej gerontokracji”, jeden z ostatnich żubrów gwardii breżniewowskiej, której czas dobiegał końca. Czernienko był trzecim i ostatnim spośród radzieckich przywódców, którzy umarli jeden po drugim w ciągu zaledwie trzech lat. Kraj pożegnał się z nim żartami: „Towarzysze, będziecie się śmiać, ale Czernienko też umarł” oraz „Ma pan przepustkę na pogrzeb? Mam abonament”. Dzieci na ulicach cieszyły się, że ogłoszono kolejną kilkudniową żałobę narodową i nie trzeba było iść do szkoły: „Hura! Znów umarł gensek!”.

Po pogrzebie Czernienki na czele partii i u steru państwa stanął przedstawiciel klanu stawropolskiego, lider zwolenników reformowania ZSRR, 54-letni Gorbaczow. Będąc na najwyższym stanowisku partyjnym, podczas kwietniowego plenum KC KPZR w 1985 roku ogłosił, że koniecznie trzeba przebudować cały system w ramach socjalistycznego rozwoju kraju. Leksykon polityczny wzbogacił się wówczas o nowe słowo: *pieriestrojka*, czyli „przebudowa”. Obok podstawowych cech zaprezentowanej polityki przebudowy, takich jak „demokratyzacja” społeczeństwa oraz „przyspieszenie” postępu, ogłoszono politykę głośności, czyli jawności. Nie będzie więcej

ukrywania przed ludem prawdy! Niech znają fakty! Niech rozpocznie się dyskusja!

Inaczej mówiąc, zawieszono cenzurę, można było zatem mówić o obecnej sytuacji w kraju oraz o własnej historii, dopuszczalna stała się krytyka władzy. Sam Gorbaczow dawał przykład otwartości, spontanicznie wychodząc do ludzi i rozmawiając z nimi. W maju 1985 roku, podczas swojej pierwszej delegacji na stanowisku sekretarza generalnego w Leningradzie, nieplanowo wyszedł z samochodu do zwykłych ludzi. Obywatele radzieccy nie byli przyzwyczajeni do takiego zachowania pierwszego dostojnika partii oraz państwa. Przez ostatnich kilka lat widzieli za sterami ZSRR jedynie chorych staruszków z demencją, co do których nie było wiadomo, czy są w ogóle przytomni. Otaczający Michaiła Siergiejewicza leningradzcy prosili: „Niech pan tylko będzie bliżej ludu”, a on odpowiedział z uśmiechem: „No jak, jeszcze bliżej?”. Tłum żart docenił i się zaśmiał.

Niby dobrze. Organizatorzy jawności zapomnieli jednak, że podstawę istnienia ZSRR stanowił strach przed reżimem.

Euforia oraz nadzieja związane z nowym, młodym gensekiem szybko zmieniły się w apatię i nienawiść do „Garbacza”. Niespodziewanie okazało się, że w porównaniu z resztą świata człowiek radziecki żyje biednie i jest zacofany. Że cała historia ZSRR, ubarwiona osiągnięciami oraz czynami bohaterskimi ku chwale całej ludzkości, stanowiła jedno wielkie kłamstwo. Że ZSRR to nie postępowe społeczeństwo, lecz krwawa tyrania. Kołchozy to

nie postępową oraz sprawiedliwą organizacją rolnictwa, lecz zalegalizowane niewolnictwo. Że na Zachodzie wszystko jest lepsze, a w Kraju Rad – gorsze. Że ZSRR funduje góry broni różnym dyktatorom, wydaje miliardy rubli na pomoc państwom trzeciego świata, na utrzymanie partii komunistycznych na całym świecie oraz na wykarmienie gigantycznej armii i aparatu represji, gdy w tym samym czasie w Moskwie nie ma już nawet ziemniaków.

Okazało się, że Kraj Rad nie był „związkiem niezłomnym”, a zamieszkujące go narody nie były jedną, wielką, kochającą się rodziną. W rzeczywistości nienawidziły się nawzajem, o czym świadczą pogromy pod koniec lat 80. w Jakucji, Kazachstanie, Uzbekistanie, Abchazji, Kirgistanie, Osetii, podczas których nieraz można było usłyszeć: „Bij Żydów!”, „Śmierć Moskalom!”, „Tnij ciapatych!”, a nawet regularne wojny, jak na przykład w 1991 roku pomiędzy radziecką Armenią i radzieckim Azerbejdżanem. Radzieckie kraje nadbałtyckie przypomniały sobie, że 40 lat temu były niezależnymi europejskimi państwami i teraz dążyły do obalenia moskiewskich satrapów.

Dzięki polityce jawności radzieccy obywatele dowiedzieli się, że w ich socjalistycznym raju istnieją: prostytutki walutowe, które zarabiają za noc więcej niż robotnik w fabryce za miesiąc, bezdomne dzieci, menele, AIDS, narkomani oraz przestępczość zorganizowana, która wszystko kontroluje i współpracuje z partyjniakami oraz

organami ścigania. Wyszło na jaw, jak dzikie i rozpite jest w rzeczywistości społeczeństwo radzieckie. Pisano o łapówkarzach we władzy, w partii, w milicji, w armii. Rozpisywano się także o licznych gwałcicielach, pedofilach, mordercach i maniakach.

Ogólna atmosfera w kraju powodowała spadek poczucia odpowiedzialności oraz praworządności u ludzi. W umysłach ludzi radzieckich dominowało poczucie apatii, obojętności i desperacji. Milicja, lekarze, KGB, wojskowi, urzędnicy, nauczyciele i inni zamiast traktować rzetelnie swoje obowiązki, zastanawiali się, jak zarobić, oraz zajmowali się własnymi interesami, mając wszystko inne w głębokim poważaniu.

Ten chaos wpłynął również na historię kanibala z Uzynagasz. Po latach faszeringowania go psychotropami lekarze ogłosili, że kazachski kanibal wydobreje i niedługo będzie mógł żyć wśród normalnych ludzi. Postanowiono przenieść Dżumagalijewa z zamkniętego ośrodka do szpitala o mniejszym rygorze. Ponieważ uważano, że morderca kanibal prawie wyzdrowiał, transportowano go zwykłym samochodem w towarzystwie chudziutkiej sanitariuszki oraz młodego studenta praktykanta...

Był 27 sierpnia 1989 roku. Nie wiadomo, czy Dżumagalijew planował ucieczkę i czekał na taką właśnie możliwość od ośmiu lat, w każdym razie skorzystał z niej w pełni. Instynktownie poczuł, że nadeszła właściwa chwila. Kilkoma uderzeniami w twarz szybko obezwładnił

sanitariuszkę i studenta i wyskoczył z jadącego samochodu, po czym zniknął wśród taszkienckich ulic.

Jakiś czas później w dalekiej od Uzbekistanu Moskwie w prasie, której polityka jawności dała swobodę działania i której milicja za wynagrodzenie sprzedawała gorące materiały, pojawił się artykuł pod tytułem *Ludożerca w Moskwie!*.

LUDOŻERCA W MOSKWIE!

Na Poczcie Centralnej w Moskwie panował dzień jak co dzień. Pracownicy za pomocą maszyn segregowali listy i oddzielnie gromadzili te, które nie nadawały się do wysyłki, ponieważ miały niepełny adres, zły kod pocztowy lub były nieopłacone – bez znaczków bądź ze znaczkami na niewystarczającą kwotę. Takie, zgodnie z instrukcją, odsyłano do nadawcy. Jakiś gamoń, który chciał wysłać list z Moskwy do stolicy Kazachskiej SRR Ałma-Aty, na ulicę Dżambuła 13, nakleił za mało znaczków. Mało tego, ów gamoń nie napisał adresu zwrotnego, a jedynie swoje imię i nazwisko. Takie listy z poczty trafiały do milicji, żeby w miarę możliwości ustalić, gdzie mieszka nadawca, przekazać mu niewysłaną kopertę lub zbadać, czy nie jest to jakaś podejrzana korespondencja, skoro nadawca nie chce podać swojego adresu.

Kiedy milicjanci dowiedzieli się, kim jest nadawca, list pojechał z kurierem do centrali MSW ZSRR, na ulicę Żytną,

do ekspertyzy grafologicznej. W miejscu, w którym powinien znajdować się adres nadawcy, widniało imię poszukiwanego w całym Związku Radzieckim mordercy Nikołaja Dżumagalijewa. Napisał on brązowym ołówkiem na kartce ze szkolnego zeszytu krótki tekst do krewnego. Ludożerca witał wszystkich, wysyłał pozdrowienia, podziwiał piękno stolicy oraz moskiewskich kobiet: *Nie będzie mnie przez dłuższy czas. Tu są takie piękne kobiety. Gdy jedna czy dwie znikną, nikt się nie zorientuje.* Ekspertyza grafologiczna potwierdziła, że tekst został napisany przez kazachskiego kanibala.

Informacja z rąk skorumpowanych milicjantów trafiła do dziennikarzy, a oni już się postarali, żeby o „Żelaznym Kłyku” dowiedziała się cała Moskwa. Pisano, że Dżumagalijewa widziano w konkretnych miejscach, zakładano, które z ofiar moskiewskich bandytów mogło paść ofiarą kazachskiego kanibala. Opanowani strachem moskwianie, tak samo jak kiedyś mieszkańcy Uzyngaszu oraz Fabrycznego, nie wypuszczali bez opieki swoich córek, dziewczyn i żon. Mieszkające w Moskwie osoby pochodzenia turkijskiego – Kazachowie, Tatarzy, Kirgizi – przeżyły wiele nieprzyjemnych chwil, ponieważ czujni moskwianie wzywali na ich widok milicję, myśląc, że któryś z nich to ludożerca.

Wszystkie siły, które zostały skierowane do poszukiwania psychopaty, kiedy uciekł w Taszkencie – tysiące milicjantów i żołnierzy z psami oraz śmigłowcami, a nawet ochotnicy z lotniami, którzy przeszukiwali wsie,

góry i stepy w pogranicznym obszarze Kazachstanu, Kirgistanu oraz Uzbekistanu, ponieważ zgodnie z logiką tam należało szukać Dżumagalijewa, o czym też pisała lokalna prasa – zostały odwołane. Ludożercy szukano teraz w stolicy.

Pomyłono się.

Właśnie na to, że będą go szukać w Moskwie, liczył „Żelazny Kłęk”. Żeby zmylić wszystkich, poprosił znajomego, który udawał się do stolicy, by wysłał stamtąd do Kazachstanu napisany przez niego list. Liczył, że jego imię i nazwisko zostanie zauważone. Miał fart. Tak się właśnie stało. W rzeczywistości po ucieczce z Taszkientu daleko nie zawędrował, ukrywał się w górach. Żył jak dzikus – zbierał rośliny, grzyby, polował na zwierzęta, kradł, czasami wymieniał z lokalną ludnością dziczyznę i lecznicze zioła na gotowe jedzenie, ciepłe ubranie i inne przedmioty. Nieraz ukrywał się w krzakach przed latającymi po niebie śmigłowcami i lotniami, uciekał przed szukającymi go żołnierzami. Teraz prześladowcy skoncentrowali się na innym, znajdującym bardzo daleko miejscu. Mógł z większym spokojem przebywać w górach.

Jak długo jednak może wytrzymać człowiek w takich warunkach? Nikołaj miał dość po dwóch latach. W kwietniu 1991 roku stwierdził, że wystarczy już głodu i chłodu. Postanowił dać się złapać na niewielkiej kradzieży i trafić do więzienia, gdzie będzie mógł się wyspać, umyć i najeść. W więzieniu także mógł przeczekać, dopóki poszukiwania nie ustaną i wszyscy o nim nie zapomną.

Przystąpił do realizacji swojego planu w uzbeckim mieście Fergana. Tam w obecności pastucha spróbował ukraść owce i dał się złapać lokalnej milicji. W areszcie śledczym udawał, że jest Chińczykiem, przyznawał się do kradzieży, ale nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego nie zna chińskiego ani jak trafił do Uzbeckiej SRR. Uzbeccy milicjanci wsadzili Dżumagalijewa do celi i nadali do Moskwy wiadomość z pytaniem, co robić z dziwnym obywatelem Chińskiej Republiki Ludowej. Przypuszczali, że to jakiś poszukiwany zbieg, ponieważ był dość podejrzany jak na Chińczyka. Uzbek potrafi odróżnić Chińczyka od rodaka z Azji Środkowej. Moskwa wysłała do Fergany grupę śledczą, w której skład wchodził pułkownik milicji Jurij Dubiagin. Po ucieczce ludożercy z samochodu zajmował się on poszukiwaniem go. Chudy oficer w dużych okularach, z kilkoma tatuażami, specjalista od życia przestępczego, przez całą karierę zajmował się niebezpiecznymi bandytami. Gdy tylko pułkownik wszedł do celi, w której z innymi podejrzanymi trzymano dziwnego Chińczyka, który kradł owce, wykręcił mu rękę i zobaczył znak szczególny w postaci tatuażu, wyglądający jak litera „K”.

– No, siemanko, Kolia – powiedział.

EPILOG

Lekarze ponownie uznali „Żelaznego Kłyka” za niepoczytalnego i znów trafił on do szpitala

psychiatrycznego. Dzisiaj prawie 70-letni Dżumagalijew przebywa w zamkniętym ośrodku we wsi Aktas w Kazachstanie. Wygląda i zachowuje się jak spokojny, dobry wujaszek. Ma nadzieję, że kiedyś wyjdzie na wolność. Pomaga personelowi w sprzątaniu, jest złotą rączką, naprawia sprzęt, gra w szachy. Kilka razy udzielał wywiadów, podczas których spokojnie opowiadał, jak zabijał kobiety oraz dlaczego to robił. Mówił, jak smakowały. Pewnego dnia niespodziewanie zmienił postawę i zaczął odmawiać dziennikarzom jakiejkolwiek informacji oraz żądać, żeby o nim zapomniano. Dnia 5 lipca 2017 roku złożył nawet do dyrektora szpitala formalny wniosek, napisany trzęsącymi się rękami, o nieudzielanie o nim żadnych informacji prasie.

Nie wiadomo, czy dziewięć morderstw, do których przyznał się Dżumagalijew, to wszystkie jego ofiary. W czasie, w którym ukrywał się w górach, w niektórych miejscach znaleziono ciała kobiet z poderżniętymi gardłami oraz brakującymi płatami mięśni. Również jedna z sióstr Dżumagalijewa mogła stać się ofiarą swojego brata kanibala, ponieważ pewnego dnia zniknęła na zawsze. Sam Dżumagalijew mówi, że nie ma z tymi zgonami nic wspólnego.

O jednym z epizodów zabójstwa, które miało miejsce podczas ukrywania się Dżumagalijewa, można jednak powiedzieć z pewnością, że to był on. W 2014 r., w szpitalu opowiedział sąsiadowi, że w 1990 roku, kiedy się ukrywał, na jeden dzień trafił do Aktiubińska (obecnie: Aktobe),

położonego na zachodzie Kazachstanu. Tam, chodząc po ulicach, zobaczył przez okno, jak przebiera się 24-letnia kobieta, która przyjechała do tego miasta na studia i wynajmowała pokój. Ludożerca szybko wszedł przez okno, zabił kobietę, odbył z trupem stosunek, poderżnął gardło i wypił krew. W ten sposób zabójstwo młodej kobiety w Atkiubińsku rozwiązano 24 lata później.

Mówi się, że dla psychopatów oraz morderców może być tylko jedna kara – kara śmierci, oko za oko. Po co trzymać takie kanalie w więzieniach za pieniądze podatników. Jednak kara śmierci wydaje się zbyt szybkim i łatwym rozwiązaniem dla skazanego. Oczywiście na salach sądowych, kiedy zabójcy słyszą wyrok: „Dożywocie” albo „15 lat”, robią wielkie „Uffff”. Jednak po latach przebywania za betonowymi murami, w ciasnej celi dwa na dwa metry przeznaczonej dla wyjątkowo niebezpiecznych przestępców, kiedy prawie nie widzi się nieba, kiedy z rozrywek pozostaje tylko radio oraz gazeta, kiedy komunikacja ze światem jest ograniczona do kilku listów i wizyt rocznie, kiedy życie jest podporządkowane surowemu regulaminowi, który nie pozwala siedzieć na łóżku w ciągu dnia, kiedy je się cały czas to samo i cały czas przebywa się w towarzystwie takiego samego ludożercy, mordercy, pedofila oraz bezlitosnych strażników z wiecznie ujadającymi psami, kiedy poza celą można przemieszczać się tylko z rękami w kajdankach i ma się świadomość, że tak będzie aż do śmierci, myśli się o tym, aby tę śmierć przybliżyć. A zabić się nie pozwolą i nie ma czym. Nie

posiada się niczego, co mogłoby posłużyć za sznur. Cały czas pozostaje się pod obserwacją. Przegryzienie sobie żył zębami nie bardzo wchodzi w grę. Nawet jeśli ktoś zdąży, to i tak go uratują. Gdyby posłuchać niektórych odsiadujących dożywocie, nieraz można usłyszeć: „Lepiej, by mnie rozstrzelano, nie mogę dłużej tego znieść”.

W tej grupie znalazł się i „Żelazny Kłyk” – kilka razy składał on wnioski o wykonanie na nim kary śmierci. Skarżył się, że tak żyć już nie może. Chociaż warunki w szpitalu psychiatrycznym są nieco łagodniejsze niż w więzieniu o zaostrożonym rygorze.

⁵⁴ Nikołaj Jespołowicz Dżumagalijew, <http://www.serial-killers.ru/karts/jumagaliev.html> [dostęp: 25.05.2019]. Tłumaczenie własne autora.

⁵⁵ Obecnie Ałmaty – największe miasto Kazachstanu, ale już nie stolica.

⁵⁶ Nawet w stepowym i bogatym w tradycje koczownicze Kazachstanie za komuny mięso było towarem deficytowym. Jeśli ktoś chciał zorganizować imprezę, a w tym kraju bez obfitych, tłustych potraw z baraniny i koniny nie mogłaby się taka odbyć, trzeba było pomóc restauracji z zaopatrzeniem. Na myśl od razu przychodzi żart, że jeśli na Saharze wprowadzi się socjalizm, trzeba będzie importować piasek.

⁵⁷ W Kazachstanie lato jest bardzo gorące, zima natomiast bardzo zimna, czasami temperatura spada do -40 stopni Celsjusza.

PUK, PUK. Z GAZOWNI, PROSZĘ OTWORZYĆ

- *Dlaczego pan zabijał ludzi?*
- *Mówię przecież. Potrzebowałem pieniędzy.*
- *Zabijał pan dla pieniędzy?*
- *Tylko pierwszy raz. Nie wiem, co zmusiło mnie do drugiego, trzeciego... Trudno mi jest na to odpowiedzieć, ale za pierwszym razem potrzebowałem pieniędzy.*
- *A kiedy zabijał pan drugi, trzeci raz, już nie potrzebował pan pieniędzy?*
- *Nie, nie potrzebowałem.*

Z protokołu przesłuchania

SOKÓŁ

Moskiewska dzielnica Sokół ma długą historię. Na jej terenie w 1398 roku zbudowano klasztor Ojców Świętych i wioskę o długiej, ale pięknej nazwie: Święci Ojcowie na Rzeczce Chodynce. 500 lat później, w 1917 roku, przybrała już krótsze miano – Wszechwiatskie – i stanowiła część prężnie rozrastającej się Moskwy. W 1940 roku dzielnica przyjęła nazwę Sokół, taką samą jak zbudowane tu w latach 20. ubiegłego wieku osiedle spółdzielcze. Po wojnie

aktywnie się rozbudowywała i jako jedna z trzech dzielnic połączonych z centrum Moskwy metrem stała się bardzo prestiżowa.

Pod koniec lat 40. budowano na jej terenie głównie kamienice w stylu realizmu socjalistycznego, tzw. stalinki – bardzo podobne do budynków znajdujących się na placu Konstytucji w Warszawie. Z posągami, wysokimi sufitami, dużymi klatkami, sztukaterią. Jednak po wejściu w życie postanowienia KC KPZR i Rady Ministrów ZSRR z 4 listopada 1955 r. o zniesieniu zbędności w projektowaniu i budownictwie – w którym zalecano gwałtowne zwiększenie funkcjonalności budynków, liczby nieruchomości dla ludu pracującego oraz przestrzegano przed marnowaniem czasu i środków na „zbędności” – na terenie Sokoła powstawały pięciopiętrowe ceglane budynki o uproszczonej konstrukcji, bez windy. Spełniały one minimalne wymagania odnośnie do estetyki oraz wygód.

Tak wyglądała pierwsza realizacja tzw. chruszczówek. Kolejna ich generacja została jeszcze bardziej uproszczona: zamiast cegieł używano betonowych bloków.

Mieszkania w nowych budynkach natychmiast przekazywano lokatorom. Wiele z nich planowano jako tymczasowe rozwiązanie, na 25–30 lat. Stoją one w całej Rosji (i nie tylko) do dziś.

Ludzie, którzy za czasów stalinowskich męczyli się, mieszkając w barakach i mieszkaniach zbiorowych⁵⁸, bardzo cieszyli się z nowego, własnego lokalu w chruszczówkach. Nie przeszkadzało im, że sufity nowych

mieszkań były na wysokości 2,4 m, powierzchnia kuchni rzadko kiedy przekraczała 6 m², a na osobę przysługiwało zazwyczaj 10 m², zatem kuchnia, łazienka i dwa pokoje mieściły się na niecałych 30 m². W nowych, masowych mieszkaniach często brakowało korytarza, czyli do kuchni trzeba było przechodzić przez pokój. Toaleta i wanna znajdowały się w jednym pomieszczeniu.

W kuchni stawiano tzw. chruszczowską lodówkę, czyli szafę z cienką ścianą zewnętrzną, pod oknem, od strony ulicy – chodziło o to, żeby radziecki obywatel mógł przechowywać produkty spożywcze, wykorzystując naturalne zimno i nie marnując prądu. Często „chruszczowską lodówką” nazywano samo mieszkanie, z powodu niewłaściwego ocieplenia budynku. Rury grzewcze i te z ciepłą wodą montowano nie w oddzielnych pionach i podłogach, lecz po prostu w ścianach, zatem połowa ciepła z rur ogrzewała ulicę, a jeśli gospodarz chciał powiesić obraz, istniało ryzyko, że trafi gwoździem w rurę i zaleje sąsiadów.

Inną „zaletą” w niektórych chruszczówkach był wąski pokoik o wymiarach 2 × 5 m, czasami z dwoma oknami. Takie pomieszczenie nazywano pokojem teściowej.

W ścianie łazienki, pod sufitem, zazwyczaj znajdował się specjalny świetlik, aby światło z kuchni, gdzie znajdowało się okno, mogło trafiać do łazienki, i aby *homo sovieticus* w razie czego mógł załatwiać swoje potrzeby, nie pozostając w całkowitej ciemności. Architekci radzieccy widocznie

zakładali, że w komunistycznym raju mogą zdarzać się kłopoty z prądem.

Ludzie żartowali, że dobrze, iż Chruszczowa odwołano ze stanowiska, zanim zdążył połączyć łazienkę z korytarzem, wannę z muszlą, a sufit z podłogą.

Jak to w państwie socjalistycznym, większość mieszkań nie należała do obywateli, lecz do tzw. Krajowego Funduszu Mieszkalnego. Obywatel radziecki nie mógł ani sprzedać, ani kupić, ani wynająć, ani zostawić w spadku swojego mieszkania, ponieważ *de iure* należało ono do państwa⁵⁹.

Jednak była i jasna strona. Najważniejsze było to, że lokal jest przeznaczony wyłącznie dla ciebie i twojej rodziny! Własna wanna, ogrzewanie, wodociąg oraz płyta gazowa, dzięki czemu nie trzeba było już gromadzić zapasu węgla i drzewa. Nie dzieliło się korytarza, telefonu, kuchni i klozetu z kilkoma innymi rodzinami, nie martwiło się, że ktoś napluje do zupy (żeby tego uniknąć, radziecki umysł wpadł na to, by montować na garnkach zamki) ani nie słuchało się krzyków dzieci wszystkich rodzin za dnia, w nocy zaś awantur pijanych sąsiadów. Radość, jaką odczuwali nowi mieszkańcy – wczorajsi lokatorzy jakiegoś baraku, królestwa karaluchów, z jedną muszlą klozetową na 30 osób i możliwością korzystania z wanny tylko według grafiku – wchodząc do swojego lokalu (formalnie otrzymywanego bezpłatnie od państwa na zasadzie dożywotniego korzystania z niskim czynszem administracyjnym), była niewyobrażalna.

Taką radość odczuwała także rodzina Soboliewów, kiedy w grudniu 1963 roku, po długich latach oczekiwania w kolejce, otrzymała własny, dopiero co zbudowany lokal na 5. piętrze przy ulicy Bałtyjskiej 4 w dzielnicy Sokół.

20 grudnia najmłodszy z Soboliewów, 7-letni Konstantin, nie poszedł do szkoły i został w domu, żeby pomóc mamie w przeprowadzce. Chłopiec został w mieszkaniu sam na godzinę. Kiedy jego matka wróciła do domu, zastała otwarte drzwi. Synek leżał w kuchni w kałuży krwi z głęboką raną w głowie, a jego małe ciało było zmasakrowane przez 20 ciosów zadanych siekierą i nożem. Na ten widok matka doznała szoku. Odruchowo jeszcze wezwała milicję. Na ich pytania odpowiadała nielogicznie i było jasne, że kobieta zwariowała. Zabrano ją do szpitala psychiatrycznego.

Kostia Soboliew był pierwszą z pięciu śmiertelnych ofiar radzieckiego seryjnego mordercy, który otrzymał od milicjantów ksywę „Mosgaz”, ponieważ pukając do drzwi ofiar, przedstawiał się jako pracownik Moskiewskiej Służby Gazowej.

DZIEWIĘCIOLATEK WSKAZUJE TROP

W Moskwie lat 60. dochodziło do przestępstw, jednak zwykle były to kradzieże, wybryki chuligańskie i pijackie awantury. Brutalne zabójstwo dziecka stało się zatem

szokującym wydarzeniem i potraktowano je odpowiednio poważnie.

Grupa milicyjna odkryła, że sprawca zabrał ze sobą dziwny łup: okulary przeciwsłoneczne, sweter dziecięcy, męskie perfumy i 60 rubli w gotówce (miesięczna pensja nisko wykwalifikowanego robotnika). Czyli ukradł niewiele. Funkcjonariusze zaczęli poszukiwania sprawcy od wypytywania okolicznych mieszkańców, kogo widzieli tamtego dnia i czy ktoś zachowywał się podejrzanie. Zapowiadało się niełatwe śledztwo. Osiedle było nowe, mieszkańcy dopiero co się wprowadzili i nikt nikogo nie znał. Nowa twarz nie wzbudzała więc podejrzeń w osiedlowym „systemie monitoringu”, czyli u babć przesiadujących na ławkach.

Przesłuchano około 40 osób. Mimo że lokatorzy wzajemnie się nie rozpoznawali, udało się znaleźć coś wartego uwagi. W większości zeznań pojawiał się jeden wspólny element – pracownik Mosgaz, który tamtego dnia chodził po mieszkaniach i sprawdzał sprzęt. Opisano go jako nienormalnego, nie zdejmował bowiem swojej czapki uszatki, gdy wchodził do pomieszczenia, mówił szeptem, odpowiadał krótko i niegrzecznie, a nawet nie zdejmował rękawiczek, kiedy uruchamiał płytę. Patrzył na meble, rozglądał się po półkach, oglądał tapety na ścianach i wszystkich pytał, czy ktoś jeszcze jest w domu.

Uwagę niektórych świadków zwróciło także nakrycie głowy podejrzanego gazownika. Mężczyzna nosił czapkę z futra jelonka – była to bardzo droga rzecz, wskazująca na

wysoki status jej właściciela. To tak, jakby hydraulik, który przyszedł naprawiać umywalkę, nosił złoty zegarek z diamentami i przyjechał luksusowym samochodem. Krótko mówiąc, była to dziwna osoba.

Dochodzenie wykazało, że tamtego grudniowego dnia Moskiewska Służba Gazowa nie wysyłała swoich pracowników na ulicę Bałtyjską 4. To był trop.

Szczególnie ważne dla milicji okazały się zeznania 9-letniego Władimira Tieplowa. Dorośli sąsiedzi w zeznaniach powtarzali plotki, przedstawiali własne domysły, podawali skąpe informacje, często zmieniali zeznania i plątali się w nich. A młody Wołodia dokładnie i wykazując dużą pewność co do prawdziwości swoich słów, opisał podejrzanego gazownika.

Zapukał on do jego mieszkania na 3. piętrze i powiedział, że chce sprawdzić urządzenia gazowe. Lokal, w którym mieszkał Tieplow, był zbiorowy. Oprócz niego i jego rodziców zakwaterowano tam jeszcze kilka innych rodzin. Kiedy chłopiec otworzył drzwi, gazownik zapytał go, czy ktoś jeszcze przebywa w domu. Ludzie w ówczesnym ZSRR byli dość ufni, czuli się bezpiecznie, a mieszkańcy lokali zbiorowych otwierali drzwi, nie spytawszy nawet „Kto tam?”. Wołodia jednak zaczął coś podejrzewać. Mężczyzna od razu mu się nie spodobał, więc chłopiec odpowiedział, że w domu są wszyscy. Nie była to prawda, wówczas bowiem w swoim pokoju przebywała tylko 70-letnia kobieta z wnukiem, niemowlakiem. To kłamstwo uratowało jednak chłopczykowi życie.

„Gazownik”, usłyszawszy, że w domu są inni dorośli, coś burknął, z nieukrywaną niechęcią wszedł do kuchni, pokręcił pokrętłami płyty gazowej i wyszedł. Potem wrócił, powiedział, że zapomniał zapalek. Po jakimś czasie zjawiał się ponownie z pytaniem, czy na pewno w mieszkaniu przebywają inni lokatorzy. Świadek widział zatem podejrzanego trzy razy i trzykrotnie z nim rozmawiał.

Tieplow opisał tego człowieka tak: nosił za duży płaszcz, spod czapki wystawały mu rude włosy, był wysoki, chudy, miał duży i garbaty nos. Wyglądał, jakby pochodził z Kaukazu, ale miał w sobie też coś z Rosjanina. Dodał jeszcze jeden ważny szczegół: podejrzanym zawiązywał uszy swojej czapki na potylicy, a nie na górze. Moskwianie nie nosili w ten sposób czapek, uważając to za staroświeckie. Uszy zawiązane na potylicy wskazywały, że podejrzanym gazownik pochodził z prowincji.

Czterdziestoletnia kryminolog Sofia Fajnsztejn, puszysta Żydówka, weteranka wojny radziecko-niemieckiej, po której kulą za sprawą niewyciągniętego z nogi odłamka pocisku, stanęła na czele śledztwa i osobiście przesłuchiwała chłopca. W celu zachowania tajemnicy i bezpieczeństwa Władimira Tieplowa w dokumentach identyfikowano go jako Artioma Frołowa. Nazwisko to milicjanci zapożyczyli od panieńskiego nazwiska jego babci.

Fajnsztejn, uzbrojona w ołówek, papier, nożyczki, stos zdjęć i klej, próbowała wraz z Władimirem sporządzić portret pamięciowy podejrzanego składający się z przygotowanych kawałków twarzy. W tamtych latach

milicja radziecka dopiero zapoznawała się z tą nowinką kryminologiczną, nazywaną wówczas fotoaplikacją. Niestety, z około 400 kawałków zdjęć nie udawało się stworzyć przyzwoitego portretu.

Wielkie znaczenie w życiu ma przypadek. Tym razem sprzyjał on śledczej. Nieoczekiwanie Fajnsztejn pomógł kolega milicjant, który przechodził obok. Zauważywszy funkcjonariusza, mały Wołodia gwałtownie zbladł, spojrzał na Fajnsztejn i szepnął: „To on”. Szybko się wyjaśniło, że kolega nie ma z zabójstwem nic wspólnego, a tylko jest po prostu podobny do podejrzanego. Z pomocą zdjęć kolegi i znajomego artysty Fajnsztejn następnego dnia ostatecznie sporządziła portret pamięciowy „gazownika”.

„Gazownik” jednak nie zamierzał jeszcze poprzestać...

ZABÓJSTWA W PANNACH MŁODYCH

Na wschód od Moskwy, 300 kilometrów dalej, leży miasto Iwanowo. W latach 60. mieszkało tam 360 000 osób. Jeszcze od czasów carskich uchodziło ono za centrum tekstyliów, zatem zamieszkiwało je nadzwyczaj dużo kobiet. W godle miasta długo widniała kobieta z nićmi (potem po przerwie znów tam powróciła). Po wojnie radziecko-niemieckiej, która zdziesiątkowała i tak niewielką lokalną populację mężczyzn, miasto otrzymało „przydomek”: Miasto Panien Młodych.

Jedną z głównych ulic Iwanowa była – i nadal jest – ulica Kalinina, która upamiętnia radziecki konstruktywizm lat 30.

W Iwanowie, po pięciu dniach od znalezienia małego Konstantina na ulicy Bałtyjskiej w Moskwie, odkryto dwa nowe zabójstwa, które powiązano z brutalnym morderstwem dziecka w stolicy.

W swoim mieszkaniu na ulicy Kalinina siekierą zabity został 12-letni chłopczyk Michaił Kuleszow. Z jego domu, tak samo jak w Moskwie, zniknął nietypowy zestaw przedmiotów: marynarka, sweter, długopisy, kilka obligacji państwowych.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na ulicy Oktiabrskiej, w swoim mieszkaniu, także siekierą, zabita została 74-letnia Garelowa. Z jej mieszkania zabójca zabrał kieszonkową latarkę i niewielką kwotę w gotówce.

Mieszkańcy budynków, w których znaleziono ciała, podczas przesłuchań również wspominali, że ich lokale odwiedzał dziwny gazownik w czapce uszatce.

Iwanowscy milicjanci poinformowali Moskwę o podobieństwie morderstw w ich mieście z tym ze stolicy i o jeszcze jednej próbie zabójstwa w wykonaniu tajemniczego gazownika, w tym samym budynku na ulicy Kalinina, w którym znaleziono martwego 12-latka. Jednak tym razem ofierze udało się przeżyć.

Piętnastoletnia Halina Piotropawłowska została zgwałcona i uderzona 9 razy siekierą w głowę. Okazało się, że po tym, jak zabójca zamordował staruszkę na ulicy Oktiabrskiej, wrócił na ulicę Kalinina, gdzie znalazł sobie

kolejną ofiarę. Zapukał i powiedział: „Gazownia, proszę otworzyć”. Kiedy drzwi się uchyliły, zapytał, czy ktoś jeszcze znajduje się w mieszkaniu. Usłyszawszy odpowiedź, że nie, rzucił się na Halinę.

Sprawca zabrał ze sobą trofea: 2 swetry, ciepłą chustę i 90 rubli w gotówce.

W szpitalu ranna Halina dokładnie opisała napastnika moskiewskim milicjantom, którzy po kilku dniach przyjechali do Iwanowa. Potwierdziła, że to właśnie człowiek z portretu pamięciowego Fajnsztein ją zaatakował.

Analizując fakty, milicjanci prowadzący sprawę zrozumieli, że mają do czynienia z czymś, czego w historii powojennej kryminalistyki radzieckiej jeszcze raczej nie było, o czym słyszano tylko w opowieściach ze „zgniłego Zachodu”. Tam pojawiały się relacje o różnych maniakach, rabusiach, gwałcicielach oraz o Kubie Rozpruwaczu. Tymczasem w ZSRR w języku milicyjnym nie istniało nawet samo słowo „maniak”.

Przestępca raczej zabijał dla przyjemności, wybierał ofiary słabe i samotne, okradał ich z prawie bezwartościowych drobiazgów, zabierał ze sobą niewielkie kwoty w gotówce. A rzeczy, które można było wziąć i sprzedać na rynku – kryształ, porcelanę, elektronikę, dywany itp. – zostawiał w lokalach. Dzisiaj może to brzmieć naiwnie, ale w tamtych latach w niebogatym radzieckim społeczeństwie życie na poziomie oznaczało posiadanie właśnie tych przedmiotów. To je wystawiano w najbardziej widocznych miejscach w mieszkaniu.

Detektywi radzieccy zastanawiali się, dlaczego „Mosgaz” pojawił się w Iwanowie, kilkaset kilometrów od stolicy, a trzy dni później dokonał kolejnego zabójstwa w Moskwie; jego ofiarą znów zostało dziecko.

28 grudnia w domu przy Prospekcie Leningradzkim 143 znaleziono martwego 11-letniego Aleksandra Lisawca, którego ostatni raz widziano na lodowisku, gdzie przebywał z kolegami. W domu był sam i otworzył nieznajomemu człowiekowi, który powiedział, że przyszedł sprawdzić sprzęt gazowy. Zrozumiawszy po kilku pytaniach, że oprócz chłopca w mieszkaniu nie ma nikogo, „Mosgaz” wyciągnął siekiere i mocno uderzył Aleksandra w głowę. Krwawiące dziecko uciekło do łazienki i zamknęło za sobą drzwi. Napastnik wyważył je, a potem go zaatakował. Chłopczyka znaleziono w toalecie z rękami na oczach – próbował je zasłonić, żeby nie widzieć straszego człowieka z siekiere. Zdobyczą mordercy tym razem stała się brzytwa elektryczna „Charków” i zestaw kolorowych ołówków.

Po zabójstwie Lisawca nieznanego bandytę potraktowano wyjątkowo poważnie. Sprawą zajął się osobiście minister ochrony porządku społecznego, generał służby wewnętrznej 2. rangi (odpowiednik polskiego inspektora policji) Wadim Tikunow. Można powiedzieć, że był głównym milicjantem w kraju, ponieważ w latach 1960–1966 nie istniało ogólnozwiązkowe ministerstwo spraw wewnętrznych. Wszystkie prerogatywy na tym obszarze przekazano republikom związkowym, a Rosja była największą z nich. Na dodatek sprawę miał na uwadze

pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR Aleksiej Kosygin. W końcu i sam pierwszy sekretarz KC KPZR Chruszczow zainteresował się tym przypadkiem. W 1961 roku z wysokich trybun XXII Zjazdu Partii obiecał on przecież ludowi, że całkowicie zniszczy przestępczość.

Wiadomość o maniaku bardzo zniesmaczyła Nikitę Siergiejewicza. 30 grudnia na dywanik do towarzysza pierwszego sekretarza został wezwany prokurator generalny ZSRR, rzeczywisty państwowy radca sprawiedliwości⁶⁰ Roman Rudenko.

Kariere zaczął w czasach Stalina. W składzie stalinowskich trójek NKWD⁶¹ i na licznych stanowiskach prokuratorskich aktywnie uczestniczył w czystkach. Był oskarżycielem w procesie norymberskim i w procesie szesnastu, kiedy delegację Polskiego Państwa Podziemnego zaproszono do Moskwy z gwarancją nietykalności, a potem aresztowano i skazano na łagry. Stanowisko prokuratora generalnego ZSRR Rudenko objął w 1953 roku. Po śmierci ojca narodów (czyli Stalina) Rudenko gwałtownie zmienił front i aktywnie zajął się rehabilitacją ofiar represji politycznych, czyli tych, wobec których jeszcze niedawno żądał wyroków skazujących.

W rozmowie z nim Chruszczow, w swoim grubiańskim stylu, nie życząc sobie niczego słuchać, polecił znaleźć „Mosgaza”, grożąc Rudence zwolnieniem ze stanowiska, jeśli sobie nie poradzi. Dał mu na to dwa tygodnie.

Tak wyglądała normalna praktyka państwa jednopartyjnego, jakim był ZSRR: szef partii mógł wezwać

prokuratura generalnego i wydawać mu polecenia. Chruszczow zajmował jednocześnie stanowisko Przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR, ale nikogo nie dziwił zwyczaj, że sędziów, prokuratorów czy milicjantów wzywano do lokalnej jednostki partyjnej i pouczano, jak mają pracować.

Wkrótce rozpoczął się rok 1964. Gdy od rozmowy pierwszego sekretarza i prokuratora generalnego minęło 8 dni, a Rudence pozostało 6 dób, „Mosgaz” zadał nowy cios.

W mieszkaniu przy ulicy Szeriemietiewskiej w dzielnicy Marijina Roszcza, gdzie tak jak w Sokole trwała intensywna budowa nowych bloków, znaleziono zwłoki 46-letniej Marii Jermakowej. Świadkowie tym razem zauważyli dziwnego pracownika administracji budynku, który był podobny do „Mosgaza” – ubranego w czapkę, za duży płaszcz i mówiącego szeptem.

Budynek, w którym znaleziono ciało, był nowy. Budowniczy widocznie się spieszyli, jego jakość pozostawiała bowiem wiele do życzenia. Mieszkańcy często narzekali na popękane ściany, sypiący się tynk, wadliwe instalacje. Pracownik administracji, który chodził po mieszkaniach i pytał, czy są jakieś skargi, nie budził zatem zdziwienia.

Kobieta przyniosła papier, długopis, usiadła za stołem, zdążyła napisać datę i słowo „wniosek”. Następnie morderca zadał jej od tyłu 20 ciosów siekierą w głowę. Jego zdobyczą tego dnia stało się: 5 kłębków wełnianych nici,

ciepłe skarpety, 30 rubli, zegar i 14-calowy telewizor start-3.

Był to pierwszy radziecki telewizor z ekranem na tyle dużym, że można było oglądać obraz bez szkła powiększającego (poprzednie telewizory radzieckie z powodu małych ekranów wyposażano w duże szkło powiększające). Mógł odbierać 12 kanałów (tylko nie wiadomo po co, bo w ZSRR w tamtych latach istniał tylko 1 kanał, a w całej historii ZSRR - 3). Można było również słuchać radia. Start-3 miał wartość 4-5 pensji - kosztował 348 rubli (o ile można było znaleźć go w sprzedaży). Model udał się na tyle, że szedł na eksport. Jako że owo cacko słono kosztowało, każdemu egzemplarzowi nadawano oddzielny numer. W sklepie numer ten ewidencjonowano i zaznaczano, kto, kiedy i gdzie kupił dany odbiornik.

Telewizor start-3 miał odegrać istotną rolę w schwytaniu mordercy.

TAJEMNICA „MOSGAZA”

W latach 60. człowiek, który niósł w rękach tak drogie urządzenie jak telewizor, zwracał na siebie uwagę. Kiedy milicja wypytywała o podejrzane osoby, ludzie wspominali mężczyznę o cerze południowca, w czapce uszatce z uszami zawiązanymi „na wieśniaka”, niosącego ów mały skarb ulicą Szeriemietijewską. Mówili, że mężczyzna zatrzymał po drodze ciężarówkę i odjechał.

Ta informacja była cenna, ale śledztwu pomógł dodatkowy fart. Do swoich kolegów zadzwonił lokalny dzielnicowy, milicjant Małyszew. On też widział człowieka o kaukaskim wyglądzie, w czapce i z telewizorem. Oświadczył, że z zawodowego przyzwyczajenia zapamiętał dwie pierwsze cyfry tablicy rejestracyjnej ciężarówki, w której oddalił się podejrzany: 9 i 6.

Dzięki tej informacji bardzo szybko udało się ustalić numery pojazdu - MOŻ 96-26 - i kto go prowadził. Obudzony w środku nocy kierowca zeznał, że podwiózł za niecałego rubla jakiegoś człowieka z Kaukazu z telewizorem na skrzyżowanie ulic Trifonowskiej i Mieszczańskiej. To prawie centrum, niedaleko Dworca Ryskiego.

Milicjanci, czując, że są blisko schwytania mordercy, udali się tam i zaczęli wypytywać mieszkańców okolicznych budynków, czy nie widzieli południowca w czapce, dużym płaszczu i z telewizorem w rękach. Jedna kobieta przyznała, że człowiek mieszkający na dole, niby jakiś krewny właścicielki⁶², miał w sobie coś kaukaskiego i przed chwilą ogłosił wszystkim, że chciałby sprzedać telewizor. Ten telewizor kupił od niego jej sąsiad - towarzysz Sniegocki.

Obywatelce pokazano portret pamięciowy przygotowany przez Fajnsztejn. Powiedziała:

- No tak, to on!

Obywatel Sniegocki na żądanie milicji pokazał telewizor. Nabył go za półdarmo - za 60 rubli. Numer seryjny z tyłu nie pozostawiał wątpliwości, że jest to sprzęt

z mieszkania zabitej Jermakowej. Funkcjonariusze biegiem udali się do lokalu, w którym podobno mieszkał sprzedawca telewizora. Nikt jednak nie otwierał. Drzwi wyważono z łatwością, ponieważ radzieckie zamki nie wyróżniały się szczególną odpornością. W środku było ciemno i pusto. Lokal wyglądał tak, jakby mieszkali w nim zwykli ludzie. Nie było tu niczego podejrzanego.

Postanowiono zorganizować zasadzkę. Budynek otoczono, a w lokalu i na klatkach schodowych czekali milicjanci. Jednocześnie wzmocniono kontrole na drogach wylotowych z miasta, dworcach i na lotnisku. Podejrzany mógł przecież wyczuć niebezpieczeństwo i próbować opuścić miasto. Jednak o 22:00 ktoś podszedł do drzwi lokalu i zaczął je otwierać. Funkcjonariusze rzucili się do ataku. Przy drzwiach... stała młodziutka, śliczna kobieta o drobnej twarzy, czarnych, dużych oczach, malutkim nosie, o zgrabnej, wysportowanej figurze i prostych plecach. Pokazała dokumenty i przedstawiła się.

Alewtina Dmitrijewa, 21 lat, ostatnie miejsce pracy: tancerka w Teatrze Komедии Muzycznej w Orenburgu. To daleko, na południu Syberii. Teraz przebywa w Moskwie ze swoim chłopakiem i szuka pracy. Czarująca młoda kobieta wyglądała, jakby nikogo się nie bała: żartowała, kokietowała funkcjonariuszy, a nawet była zadowolona, że otaczali ją poważni mężczyźni w mundurach. Szczególnie zaś chwaliła się swoim kochankiem. O tym młodym człowieku powiedziała, że nazywa się Władimir Ionisian, jest majorem KGB, tajnym agentem walczącym z wrogami

ojczyzny. Przyznała, że obecnie nie ma go w Moskwie, pojechał do innego miasta wykonać jakieś ważne zadanie. Co to za zadanie, nie wiedziała: „Pytajcie w Komitecie”.

Czyli „Mosgaz” jest funkcjonariuszem wszechmogącego KGB! I to w takim stopniu, prawie pułkownik, a tam i do generała niedaleko.

Jako że sprawę „Mosgaza” kontrolowało kilku ważniaków, wiadomość o tym, że podejrzany jest funkcjonariuszem KGB, szybko dotarła do przewodniczącego owej organizacji, generała pułkownika Władimira Semiczasnego. Na jego rozkaz natychmiast obudzono pracowników wszystkich archiwów i zarządzono poszukiwanie teczek majora Władimira Ionisiana.

Rano okazało się, że w KGB taki osobnik nie pracuje.

W czasie, gdy pracownicy archiwów w środku nocy szukali teczek nieistniejącego majora, przeszukano też lokal, w którym mieszkała Alewtina z kochankiem, i znaleziono zdjęcia. Rzekomy chłopak bardzo przypominał mężczyznę z portretu pamięciowego Fajnsztejn. Duży nos, wąska twarz, nie wiadomo, czy pochodzenia kaukaskiego czy rosyjskiego. Nie było jednak wątpliwości co do tego, że kochanek Dmitrijewej to poszukiwany morderca.

Milicjanci zbliżyli się już mocno do rozwiązania zagadki „Mosgaza”. Alewtinę zatrzymano i zabrano do aresztu śledczego. Trzeba było ją tam docisnąć i dowiedzieć się, gdzie podział się Ionisian. Ona jednak, zrozumiałwszy, że kochanek jest o coś podejrzany, odmówiła składania zeznań.

Epoka stalinowska już minęła, nadeszły łagodniejsze czasy i chociaż podejrzani w ZSRR wciąż mogli zostać pobici, młodziutkiej Alewtiny to nie spotkało. Kwestię rozwiązano bez użycia przemocy.

Oprócz zdjęć podejrzanego milicjanci znaleźli w mieszkaniu także paczkę listów. Treść jednego z nich podsunęła im pomysł, by obudzić w kobiecie zazdrość. Pokazano Alewtinie list, w którym jej kochanek pisał do kuzyna, że zamierza jechać do Kazania, do Tatarstanu. Zwierzał się, że pragnie się zabawić, bo są tam „fajne laski”. Proponował krewnemu przyłączenie się.

Sztuczka się udała. Zszokowana Alewtina w gniewie krzyknęła, że tak, faktycznie, ten łotr i babiarz pojechał do Kazania! A ona miała przyjechać, by do niego dołączyć.

W moskiewskiej milicji kryminalnej wśród funkcjonariuszek ogłoszono konkurs piękności na sobowtórkę Dmitrijewej – kierownictwo postanowiło bowiem, że w dniu, w którym Ionisian ma spotkać się z kochanką na dworcu, zamiast niej wyśle przebraną milicjantkę. Zdecydowano tak, żeby wykluczyć możliwość ostrzeżenia mordercy przez Alewtinę, gdyby to ona się tam pojawiła. Milicjantka miała tylko skłonić Ionisiana do ujawnienia się przez pomachanie jej, a wtedy zostałby aresztowany, zanim by się zorientował, że to nie jest jego dziewczyna.

Charakteryzatorzy milicyjni bardzo się postarali, mając świadomość, że sprawa interesuje wielu ważniaków w Moskwie. Zatrzymaniem w Kazaniu kierował osobiście

Minister Ochrony Porządku Społecznego Tatarskiej ASRR, Salich Japiejew.

12 stycznia 1964 roku pociąg Moskwa-Kazań, którym podróżowała ucharakteryzowana na Alewтинę milicjantka, wjechał na stację Kazań Pasażerski. Kiedy pociąg się zatrzymał, jakiś człowiek w uszatce i w płaszczu jakby zdjętym z innej osoby zobaczył przebraną funkcjonariuszkę w wagonie i z uśmiechem pomachał do niej ręką.

ŚPIEWAK I TANCERKA

Władimir Michaiłowicz Ionisian urodził się 27 sierpnia 1937 roku w Tbilisi. Był Ormianinem. W dzieciństwie pięknie śpiewał i rodzice postanowili rozwijać jego talent. Mały Wołodia uczył się dobrze, z powodzeniem skończył szkołę muzyczną i bez egzaminów został przyjęty do prestiżowego Tbiliskiego Państwowego Konserwatorium im. Saradżyszwilliego. Na drugim roku, równocześnie ze studiami, rozpoczął pracę w teatrze.

Jednocześnie Ionisian lubił wpadać w tarapaty. W wieku 17 lat za kradzież został skazany na 5 lat pozbawienia wolności w zawieszeniu. Nieco później skazano go na 2,5 roku za uchylanie się od służby wojskowej. Po odbyciu kary miał trafić do wojska. Karę odbywał w rodzinnych stronach Stalina, w kolonii w pobliżu miasteczka Gori. Był wzorowym więźniem, pracował w jednostce kulturalnej. Czasami za dobre zachowanie wypuszczano go do miasta. Po odbyciu

kary, zgodnie z wyrokiem, natychmiast trafił do armii. Tam jednak Władimira po kilku miesiącach uznano za chorego na tle nerwowym i stwierdzono, że nie nadaje się do służby. Odesłano go więc do domu.

Po powrocie do Tbilisi Ionisian ożenił się z ładną absolwentką tbiliskiego konserwatorium. Z tego związku urodził się syn. Jednak Ionisian, zamiast pójść po rozum do głowy, znów oddał się działalności kryminalnej. Wraz z kolegami zdecydował się na kradzież. Złapano ich i Ionisian ponownie stanął przed sądem. Sąd potraktował go łagodnie i po raz kolejny wymierzył karę 5 lat w zawieszeniu, mimo że mężczyzna był już dwukrotnie karany. Sędzia i ławnicy ludowi uczynili tak ze względu na młody wiek sprawcy i fakt posiadania przez niego rodziny na utrzymaniu.

Po procesie żona nalegała, żeby Władimir porzucił swoich kolegów i razem z rodziną wyjechał z Tbilisi. Ionisianowie przynieśli się więc do Orenburga na południu Rosji, koło granicy kazachskiej. Tam Władimir znalazł pracę jako tenor w lokalnym Teatrze Komедii Muzycznej.

Znajomość Ionisiana z Dmitrijewą rozpoczęła się w 1963 roku, kiedy Alewtina razem z wujkiem malarzem i jego rodziną przyjechała z Kazania do pracy w Orenburgu. Zamieszkali z Ionisianami po sąsiedzku, w tym samym mieszkaniu zbiorowym należącym do Teatru Komедii. Młodziutka tancerka od razu wpadła Władimirowi w oko. Zapomniał o żonie i zaczął ją podrywać. Alewtina cieszyła się jednak dużym zainteresowaniem ze strony mężczyzn

i nie odpowiadała na jego zaloty. Młodej, ślicznej Rosjanki nie pociągał chudy, garbiący się, nosaty Ormianin śpiewający w drugim rzędzie chóru.

Natomiast Władimir stracił dla niej głowę. Chciał zdobyć Alewтинę za wszelką cenę! A kogo lubią piękne kobiety? Podobno poważanych, potężnych, bogatych mężczyzn. Właśnie takiego zakochany Władimir postanowił udawać. W wielkiej tajemnicy opowiedział Alewтинie, że jest funkcjonariuszem pierwszej po KPZR organizacji – KGB. Właśnie wykonuje bardzo ważne zadanie w Orenburgu i niedługo wraca do stolicy. A tam, w Moskwie, dzięki znajomościom mógłby załatwić Alewтинie posadę baleriny w słynnym Teatrze Bolszoi.

Alewтина w tym czasie nie robiła kariery. Widocznie była mniej niż przeciętną tancerką, bo teatr wypowiedział jej umowę. Bardzo nie chciała wracać do Kazania, do poprzedniej pracy w fabryce. A tu pojawiła się szansa. Moskwa to szczyt, Teatr Bolszoi słynął na cały świat; i do tego młody mężczyzna z taką solidną pracą... Ionisian, orientálním zwyczajem, pięknie uwodził ją słowami i w końcu osiągnął swój cel. Przekonał ją, że jest bardzo utalentowana, a zwolnili ją z teatru tylko dlatego, że starzy dyrektorzy, którzy ugrzęźli na zawsze w Orenburgu, po prostu jej zazdrościli. Prowincjuszce Alewтинie otworzyło się okno na nowy świat – wielkie miasto pełne blasków i luksusów. Kłamstwo opłaciło się Władimirowi – zdołał oczarować i uwieść Dmitrijewą. Ta zaś zgodziła się na

propozycję „oficera KGB”, by natychmiast wyjechać z nim do stolicy.

Rozpoczął się burzliwy romans. Ionisian porzucił żonę, syna i wyruszył do Moskwy z młodą kochanką. Ucieczka była romantyczna – z jedną walizką, tak jak stali. Ionisian wziął ze sobą gitarę.

Oprócz bajek o pracy tajnego agenta KGB Władimir opowiadał Dmitrijewej także inne – na przykład o tym, że w RFN zmarł jego wujek i pozostawił mu duży spadek, lub o tym, że otrzymał poważny awans i został w tajemnicy nagrodzony najwyższą nagrodą państwową – Orderem Lenina; czy o tym, że niedługo, bardzo niedługo, niczego nie będzie im już brakować.

To, że ubiera się byle jak, że zamieszkali w Moskwie w paskudnym, wynajętym mieszkaniu, że nie zabiera jej do restauracji i sklepów, Ionisian tłumaczył faktem bycia tajnym agentem i zakazem pojawiania się wśród ludzi czy wyróżniania się z tłumu dobrymi ubraniami. Tłumaczeniom towarzyszyły opowieści o tym, jakie trudne i ważne zadania wykonuje dla ojczyzny i partii, a także jakie piękne życie ich czeka. Już niedługo.

Stolica jednak nie spieszyła się, by z otwartymi ramionami przyjąć gości z prowincji. Alewtiny nie zatrudniono w żadnym teatrze. Tymczasem Ionisian patrzył na swoją kochankę oczami szczeniaka. Była taka młoda i piękna! Tyle że młode i piękne dziewczyny są wymagające. Potrzebują prezentów, wyjść do restauracji, wyjazdów. Tymczasem pieniędzy nie wystarczało nawet na

podstawowe potrzeby. Nie wiedząc, co zrobić, aby utrzymać Alewтинę przy sobie, Ionisian starał się o pracę dla niej, choćby w byle jakim teatrzyku, Władimir postanowił zwrócić się do znajomego reżysera, który mieszkał w Iwanowie. Jednak pieniędzy nie wystarczyło mu nawet na dwa bilety z Moskwy. Zdecydował się więc na morderstwo i kradzież. Za ostatnie środki kupił małą, turystyczną siekierę. Tą siekierką dokonał zbrodni. Na pierwsze zabójstwo zdecydował się więc, by zdobyć pieniądze na bilety na pociąg.

Po zabójstwie 7-letniego Kostii Sobolewa Ionisian powiedział Alewтинie, że kierownictwo poleciło mu natychmiast ukryć się w Iwanowie, a w celu stworzenia lepszej „przykrywki” ona musi dołączyć do „operacji”. W nowym mieście zatrzymali się w wynajętym u przypadkowo spotkanej emerytki mieszkaniu i spędzili tam kilka dni. Ionisiana i w tym mieście czekało rozczarowanie. Znajomy reżyser odmówił pomocy, powiedział Władimirowi, że nie ma wolnych etatów. Po tej wiadomości Ionisian chodził po mieście pełen gniewu i poczucia beznadziei.

Żeby rozładować emocje i zdobyć jakąś gotówkę, dokonał podwójnego morderstwa i usiłował dokonać jednego zabójstwa połączonego z gwałtem.

Uświadomiwszy sobie, że zaraz może zrobić się niebezpiecznie, Ionisian oświadczył Dmitrijewej, że „znaleziono” ich i muszą natychmiast uciekać z Iwanowa, bo wrogowie już na nich polują. Przez 10 kilometrów szli

pieszo w kierunku Moskwy, żeby „zgubić ogon”, a potem złapali autobus do stolicy.

Tego dnia Alewtina zauważyła krew na ubraniu kochanka. Wyjaśnił jej, że właśnie zlikwidował zdrajcę, który sprzedawał tajemnice Zachodowi. I że zasadniczo na tym polega jego praca – na likwidacji.

Alewtina uwierzyła i w to. Starła się pomóc kochankowi w jego niełatwej służbie. Nieraz zmywała z niego krew i ostrzyła siekierę, prała poplamione ubrania. Czuła się doceniona, bo dotknęła świata niedostępnego dla zwykłych obywateli. Drobiazgi, które Ionisian kradł w pośpiechu, dawał w prezencie Alewtinie, mówiąc, że na razie może ofiarować jej tylko to, ale niedługo będą żyć w dostatku.

Po powrocie do Moskwy Ionisian dokonał jeszcze dwóch zabójstw. Widocznie przypadło mu to do gustu... Musiał też skądś brać pieniądze dla swojej ślicznotki.

Podczas gdy Władimir Ionisian mordował i jeszcze długi czas po schwytaniu mordercy Moskwa huczała od plotek i trzęsła się ze strachu, mimo to prasa milczała na temat zabójstw. Ludzie, szczególnie zamieszkujący nowe domy, bali się zostawiać dzieci same. Brali chorobowe, urlopy, nie chodzili do pracy, żeby mieć je pod opieką przez cały dzień. Straszili je też, jeśli były nieposłuszne, jeszcze wiele lat po tych wydarzeniach: „Zaraz zawołam Mosgaza, on przyjdzie i cię zabierze!”.

Przestraszeni moskwianie nosili ze sobą w kieszeniach noże, a w pobliżu drzwi zostawiali młotki i siekiery.

Prawdziwi pracownicy Moskiewskiej Służby Gazowej musieli chodzić grupami, ponieważ zdarzył się przypadek, kiedy emeryt zaatakował nożem jednego z nich z okrzykiem: „Na wojnie byłem, mnie nie zabijesz!”. Pracownik zdążył uciec.

KONIEC ARII

Ionisian zobaczył „Alewtinę” przez okno i pomachał do niej ręką. Chciał ją przywitać w wagonie i pomóc jej z bagażem. Kiedy chwycił poręcz, na jego nadgarstkach zamknęły się kajdanki. Odruchowo krzyknął:

– Jestem majorem KGB!

„Majora KGB” natychmiast przeszukano. Był w czapce z jelonka z zawiązanymi z tyłu uszami, w za dużym płaszczu, na którym widniały zatarte ślady krwi. Znajdowały się one również na jego spodniach. Miał przy sobie siekierkę i paszport wewnętrzny jednej z ofiar – Pietropawłowskiej.

Tego samego dnia przewieziono go do stolicy. Zjawisko seryjnego mordercy w ZSRR wzbudziło takie zainteresowanie, że po aresztowaniu Ionisiana przesłuchiwali osobiście Wadim Tikunow, minister ochrony porządku społecznego RFSRR, i Władimir Blinow, prokurator RFSRR, państwowy radca sprawiedliwości pierwszej rangi⁶³.

Morderca nie wypierał się niczego, o wszystkim opowiadał – gdzie się urodził, jak skazano go pierwszy raz, drugi, trzeci, jak w wojsku bał się o swój głos. Opowiedział o żonie i dziecku, że sądził, iż zrobił dobrze, porzucając rodzinę – zostawił ją, żeby „pomóc dobremu człowiekowi”. Na przesłuchaniach bronił Dmitrijewej, jak mógł, mówił, że nic nie wiedziała o jego czynach. Opisywał też, jak wybierał i zabijał swoje ofiary. Pierwszego zabójstwa dokonał dla pieniędzy, nie wiedział jednak, dlaczego zabijał ponownie. Jeśli w mieszkaniu, gdzie mu otworzono, oprócz jednej osoby, najlepiej dziecka bądź staruszka, znajdował się ktoś jeszcze, na przykład inne dziecko, takie lokum opuszczał. Swój stan umysłowy podczas zabójstw określał jako mętlik w głowie. Mówił, że rozumie, że jest chory, że jest okropnym człowiekiem, ale w przeszłości był bardzo dobry.

Wszystkie protokoły z przesłuchania minister Tikunow odsyłał do wyższej instancji. Z zaciekawieniem czytali je przywódcy ZSRR. Można na nich znaleźć parafki Chruszczowa – pierwszego sekretarza KC KPZR, Breżniewa – przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, Susłowa – sekretarza KC ds. ideologii, Podgornego – członka Prezydium KC, a także wielu innych dostojników partii i państwa.

Prawdopodobnie po Tikunowie i Blinowie seryjnego mordercę zabrał do siebie Rudenko, prokurator generalny ZSRR, żeby też go zobaczyć i osobiście przesłuchać. Następnie sam Chruszczow zażądał, aby Ionisiana doprowadzono także do niego. Rudenko przywiózł go

własnym samochodem z ochroną. Chruszczow, były oprawca Moskwy i Ukrainy, który w młodości jako wysokiego szczebla partyjny boss sam miał ręce po łokcie we krwi, podobno wydał wyrok na Ionisiana słowami: „Żeby tego ścierwa w ciągu dwóch tygodni nie było wśród żywych”.

Już w dniu aresztowania minister Tikunow wysłał notatkę do prokuratury RFSRR z propozycją, by zorganizować jawny proces i jak najszybciej skazać Ionisiana na śmierć. Partia jednak zdecydowała inaczej. Sprawa, z powodu narodowości sprawcy, była delikatna. Nie chciano, by mówiło się o Ormianach, że „chodzą po Moskwie i zabijają rosyjskie dzieci i staruszków”.

Śledztwo i proces trwały zaledwie dwa tygodnie. W prasie pojawiła się krótka wiadomość o tym, że dzięki profesjonalizmowi funkcjonariuszy ujęto sprawcę kilku zabójstw w Moskwie i Iwanowie. Wiadomość ta wywołała jednak zamieszanie. Rozgniewani moskwianie pisali listy do KC KPZR, Ministerstwa OPS i prokuratury RFSRR z żądaniami brutalnych sposobów egzekucji sprawców. Proponowano na przykład, by publicznie poćwiartować Ionisiana i Dmitrijewą na Łobnym Miejscu w Moskwie i by potem dać ciała psom na pożarcie.

Władimir Ionisian i jego kochanka Alewtina Dmitrijewa stanęli przed Sądem Najwyższym RFSRR. Mieli pecha, że zgodnie z k.p.k. RFSRR z 1960 roku wyroki wydane przez Sąd Najwyższy były ostateczne i nie podlegały zaskarżeniu. To oznaczało, że nadzór sądowy i kasacja nie mogły mieć

miejsca, apelacja zaś w radzieckim postępowaniu karnym w ogóle nie istniała. Skazany na śmierć przez Sąd Najwyższy mógł jedynie złożyć wniosek o ułaskawienie do Komisji ds. Ułaskawień przy Radzie Najwyższej.

30 stycznia zapadł wyrok. Dmitrijewa została skazana na 15 lat pozbawienia wolności, otrzymała drugą pod względem surowości karę. Sąd uznał, że nie sposób było nie wiedzieć, czym zajmuje się Ionisian, zatem postawiono jej zarzut współsprawstwa w zabójstwach i kradzieżach, chociaż Ionisian starał się ją obronić. Sąd wziął jednak pod uwagę fakt, że nie zabijała bezpośrednio. Siedem lat później, w 1971 roku, po odbyciu połowy kary, wyszła na wolność.

Ionisian otrzymał najsurowszą karę – karę śmierci przez rozstrzelanie. Wniosek o ułaskawienie Ionisiana oddalono tego samego dnia. Seryjny morderca został stracony nazajutrz po wyroku, w ostatniej godzinie miesiąca, 31 stycznia 1964 roku o 23.00 w więzieniu butyrskim. Polecenie Chruszczowa (o ile faktycznie miało miejsce) zostało wykonane.

Za dowody jego winy w sprawie służyły zeznania licznych świadków ze wszystkich budynków, w których znaleziono ciała.

Ionisiana podczas okazania wśród innych mężczyzn bez wahania wskazał 9-letni Władimir Tieplow.

W mieszkaniu Dmitrijewej i Ionisiana znaleziono rzeczy należące do ofiar. W kilku lokalach, które odwiedzał „pracownik Mosgazu”, pozostawił on wyraźne odciski

palców. No i w końcu przy Ionisianie podczas zatrzymania znaleziono dowody: plamy krwi na ubraniu, narzędzie przestępstwa – siekierę – oraz paszport wewnętrzny jednej z ofiar.

Szybki proces i egzekucja Ionisiana nie pozwoliły psychologom na dokładne zbadanie umysłu seryjnego mordercy, poznanie jego rzeczywistych motywów. Dużo mówiło się o tym, że Ionisian to zwykły rozbójnik, który zabijał, żeby pozbyć się świadków. Dlaczego w takim razie często pozostawiał kosztowności w mieszkaniach, za to zabierał drobiazgi, o których sądził, że przypadną do gustu Alewcinie?

Podczas przesłuchań Ionisian twierdził, że w trakcie pierwszego zabójstwa poszukiwał pieniędzy i był bardzo zdenerwowany. Następnym morderstw „Mosgaz” dokonał już jednak nie tylko z powodów finansowych. Tym, co udało mu się przy okazji ukraść, zaspokajał bieżące potrzeby. Prawdopodobnie zabójstwa stanowiły dla Ionisiana nie tylko sposób na to, by poprawić swój byt i utrzymać przy sobie kochankę, ale miały głównie wzmocnić jego poczucie własnej wartości, wzmocnić świadomość, że w tym życiu ma on na coś wpływ, na zasadzie: dzisiaj decyduje, czy ten dzieciak umrze czy dożyje jednak do starości.

W przypadku Ionisiana nie zauważono typowego tła socjopatologicznego. Nie występowały u niego czynniki, które zazwyczaj mają miejsce w podobnych sprawach: trudne dzieciństwo, częste poniżanie przez rówieśników, seksualne niezadowolenie. Osoby, które go znały,

zaznaczały, iż Władimir często mówił, że czuje się niedoceniony, że zasługuje na więcej. Był porywczy i histeryczny, nie wiedział, czego tak naprawdę chce. Jego gorączkową osobowością można tłumaczyć też tak nagle porzucenie rodziny, ucieczkę z Alewtiną do Moskwy, a potem przerzucenie się na gwałty i chęć „zabawienia się” w Kazaniu z „fajnymi laskami”.

Nieraz Ionisiana nazywa się pierwszym radzieckim seryjnym mordercą. To nie tak. Nie tylko nie był on pierwszym w ZSRR, ale nawet pierwszym w jego powojennej historii. Przed nim, na początku lat 20., grasował „Szabolowski Morderca”, który zabił 33 osoby. Następnie, na początku lat 30., pod Leningradem 15 osób zabił „Jednoręki Bandyta”. Pod koniec lat 30. w obwodzie swierdłowskim mordował 17-letni „Łowca na Dzieci”. Zabił 8 i poranił 10 osób. Po wojnie, w latach 1945–1946 co najmniej 14 osób, ponownie w Leningradzie, zabił „Krwawy Filip”. Równolegle z „Mosgazem” „karierę” w Moskwie w 1963 roku zaczął „Łowca Studentek”. Miał na sumieniu 6 zabójstw.

Ostatnie chwile życia Ionisiana opisuje meldunek ministra Tikunowa z 1 lutego 1964 roku do Biura KC KPZR do spraw RFSRR (tak, minister spraw wewnętrznych, czyli władza nominalna, raportował do jakiejś jednostki partii politycznej – taka jest rzeczywistość państwa, w którym rządzi jedna partia). Przed śmiercią, świadomy, że za chwilę go nie będzie, Ionisian powiedział, że rozumie swoją sytuację, ale znów starał się wybronić kochankę. Potem

odwrócił się i uklęknął, a kat oddał strzał w jego potylicę. W języku oficjalnym brzmiało to tak:

Melduję, że wyrok śmierci Sądu Najwyższego RFSRR na Ionisiane Władimirze Michaiłowiczu, urodzonym w 1937 r., wykonano dn. 31 stycznia 1964 r. o godz. 23:00. Ciało zostało skremowane.

Przed wykonaniem kary Ionisian oświadczył, że rozumie, że przestał być człowiekiem, rozumie swoją podłość i że za zabójstwa zasługuje na śmierć.

W trakcie rozmowy Ionisian starał się bronić swojej współniczki Dmitrijewej, oświadczając, że nic nie wiedziała o dokonanych przez niego przestępstwach i jest niewinna.

Przy wykonaniu wyroku Ionisian nie stawiał oporu.

*Minister Ochrony Porządku Społecznego RFSRR
Tikunow*

⁵⁸ Mieszkanie zbiorowe lub „kommunalka” – mieszkanie, w którym mieszkało kilka rodzin. Nieładne rozwiązanie w pierwszym państwie proletariackim na świecie. Komuniści po zdobyciu władzy, zgodnie ze swoim światopoglądem, że wszyscy powinni być równi, zlikwidowali pojęcie własności prywatnej. Właścicielom swoich mieszkań na tym etapie budowy komunizmu pozwolono zamieszkiwać w byłej własności na zasadzie dożywotniego najmu (w latach 20. i 30. zaczęto wydalać ich na prowincję jako element potencjalnie niełojalny). Jeśli ktoś miał mieszkanie większe, niż konieczne to było do życia, do „zbędnych” pokoi dokwaterowywano nowych mieszkańców, najczęściej ze wsi. W 1924 roku oficjalną normą mieszkaniową stało się 8 m² na osobę. Złoty czas „kommunalek” to stalinowska industrializacja z początku lat 30., kiedy to w miastach potrzebowano taniej siły roboczej w wielkich ilościach. W latach 50., kiedy nastąpiła chruszczowska odwilż, starano się, by każdej radzieckiej rodzinie przyznać nie tylko pokój, lecz własne

mieszkanie lub dom. Masowy charakter budowy osiągnęto kosztem estetyki i wygody.

[59](#) Pomiędzy obywatelami dopuszczana była jedynie wymiana lokali. W warunkach braku prywatnego obrotu nieruchomościami i braku dostępu do informacji ludzi pragnących wymienić własne mieszkanie ratował radziecki agent nieruchomości. Pracował on legalnie w oficjalnym biurze wymiany nieruchomości lub nielegalnie obok niego. Nielegalni agenci byli zazwyczaj bardziej zorientowani w tym, co jest do wymiany, i chętniej pomagali. Wszyscy wiedzieli, gdzie w swoim mieście szukać takich agentów. W Moskwie ich siedzibą był Bannyj Pierieulok, którego ściany były oblepione kartkami z ogłoszeniami. Obok kręcili się stołeczni agenci nieruchomości. Jeśli wymiana była nierówna, np. inna lokalizacja, stan mieszkania, liczba metrów kwadratowych, to za metr zwykle dopłacano 200–250 rubli, a jeśli prowincjusz chciał przenieść się do większego miasta, dopłata mogła wynieść nawet kilka tysięcy rubli. Prowizja agenta wynosiła zazwyczaj kilkaset rubli.

[60](#) Zarówno w ZSRR, jak i we współczesnej Rosji prokuratorzy posiadali tzw. stopnie sprawiedliwości, mundury i dystynkcje. Rzeczywisty państwowy radca sprawiedliwości to najwyższy stopień, który mógł mieć pracownik systemu prokuratury, swoisty marszałek sprawiedliwości. W historii ZSRR ten stopień nadano tylko 4 osobom. Najniższy zaś stopień prokuratorski to młodszy prawnik, taki podporucznik sprawiedliwości.

[61](#) Radziecki nadzwyczajny organ sądowniczy składający się z 3 osób. Od początku lat 30. w ZSRR istniały różne ich rodzaje, np. trójki milicyjne, trójki paszportowe itp. Ale najsłynniejszymi stały się trójki NKWD poziomu republikańskiego, obwodowego oraz krajowego okresu stalinowskiego Wielkiego Terroru 1937–1938. Składały się one z lokalnych szefów urzędów NKWD, prokuratorów i szefów partyjnych. Miały prawo skazywać osoby na okres od 8 do 10 lat pozbawienia wolności lub na karę śmierci. Trójki NKWD wyroki wydawały zaocznie, bez udziału oskarżonego – który oczekiwał na decyzję w areszcie – często „badając sprawę” przez 5–10 minut. Więcej niż połowa spraw, które trafiły do trójek (a było ich ponad milion), skończyła się rozstrzelaniem. Trójki NKWD rozwiązano w 1938 roku. Zgodnie

z duchem czasu później większość członków trójek NKWD sama została poddana represjom.

[62](#) Właścicielka, *de iure* osoba dożywotnio korzystająca z lokalu mieszkalnego, skłamała. Wynajmowała mieszkanie dane jej przez państwo, co w ZSRR było nielegalnie. Niejednokrotnie, aby ukryć fakt najmu mieszkania, właściciele mówili wszystkim dookoła, że wynajmujący to ich krewni bądź bliscy znajomi. W ZSRR powszechnie wynajmowano mieszkania, pokoje lub łóżka. Wolna powierzchnia powstawała wtedy, gdy właściciele wyjeżdżali do dachy czy za granicę do pracy. Zostawiały im wówczas puste pokoje po dorosłych dzieciach albo po fikcyjnych rozwodach, które organizowano, aby otrzymać dodatkową nieruchomość. Klientami mogli stać się turyści udający się nad morze, studenci bez przydziału w akademiku albo różne podejrzane osoby, które miały w mieście jakiś interes. Mieszkań na wynajem i najemców szukano zwykle w okolicy dworców i w miejscach, w których gromadzili się agenci nieruchomości. Gdy najemca i wynajmujący się poznali, szli oglądać mieszkanie. Jeżeli obu stronom wszystko odpowiadało, spisywano dane paszportowe i płacono za miesiąc z góry. Koszt jednopokojowego umeblowanego w niskim standardzie mieszkania w centrum Moskwy był równy jednej dobrej pensji – wynosił ok. 150 rubli miesięcznie.

[63](#) Generał broni sprawiedliwości.

TEATR ŚMIERCI

Wizytę Nikity Siergiejewicza⁶⁴ w mieście potraktowałem obojętnie. Wcześniej pewnie wziąłbym kamerę i rzuciłbym się do nagrywania, ale teraz, przy każdej sposobności, uciekam do świata fantazji, który dla mnie jest bardziej realistyczny i jaskrawy niż szara rzeczywistość. W moim świecie są przygody, pościgi. Są w nim eleganccy, szczęśliwi chłopcy w czarnych bucikach.

Mogę robić z nimi wszystko, co chcę. Lubią to i się do mnie uśmiechają.

Rozumiejąc, że zrealizowanie fantazji wymagać będzie ofiar, zastanawiałem się, jak zdobyć jakiegoś chłopca w stanie nieprzytomności.

W książkach medycznych znalazłem opis amnezji wstecznej, podczas której w wyniku krótkoterminowego powieszenia następuje utrata pamięci – wymazane zostaje z niej wszystko, co wiąże się z niedawnymi przeżyciami.

Zdecydowałem się na eksperyment.

Potrzebny jest chłopiec.

Fragment z dziennika zasłużonego nauczyciela szkoły RFSRR, radnego rady miejskiej, członka KPZR, męża, ojca dwójki dzieci, przodownika pracy

komunistycznej, założyciela klubu turystycznego dla dzieci i amatora kina – 1963 rok, rozdział *Odkrycie*.

JASNA STRONA

Anatolij Jemieljanowicz Sliwko, urodzony 28 grudnia 1938 roku, był bardzo pracowitym człowiekiem. Odziedziczył tę wspaniałą cechę charakteru po swoich rodzicach, którzy w dążeniu do przybliżenia świetlanej komunistycznej przyszłości porzucili zorganizowane życie w ojczystych stronach i z entuzjazmem przyjęli wezwanie towarzysza Stalina, przenosząc się na Kaukaz, do niedawno założonego miasteczka Izberbasz w Dagestanie. Zamieszkali tam na świeżo odkrytych obszarach roponośnych, bez żadnych wygod i komfortu – młoda, radziecka, burzliwie rozwijająca się ojczyzna jak najszybciej potrzebowała ropy. Właśnie tam, w tym nowym miejscu, wśród gór, pomp i wież wiertniczych, urodził się mały Tolia.

Gdy chłopiec urósł i w 1959 roku zdał maturę, jak każdy obywatel Kraju Rad poszedł służyć w Armii Radzieckiej – i to bardzo daleko od ojczystych stron. Trafił bowiem na rosyjski Daleki Wschód, nad Ocean Spokojny. Był wzorem poborowego – mianowano go dowódcą drużyny, często stawiano za przykład i wydawano mu przepustki do miasta, a przed demobilizacją i powrotem do domu dowództwo podarowało mu coś wyjątkowego jak na tamte czasy – prywatną kamerę wideo marki Kwarc. Nowiutka, zaawansowana technicznie spodobała mu się tak bardzo, że

od tej pory nigdy się z nią nie rozstawał. Nagrywał wszystko i wszystkich.

Po służbie, w 1961 roku, powrócił na Kaukaz – do Kraju Stawropolskiego, do niewielkiego miasteczka Niewinno-myssk, gdzie z Dagestanu przenieśli się jego rodzice. Na początku lat 60. XX wieku liczba ludności miasteczka wynosiła około 40 000 osób. Większość miejsc pracy zapewniał mieszkańcom kombinat chemiczny Azot. Do jego budowy partia ponownie zmobilizowała młodych ludzi z całego ZSRR – komsomolców „z niespokojnymi sercami”. Kraj bowiem znów czegoś bardzo potrzebował. Tym razem chodziło o chleb, a żeby pszenica i żyto dobrze rosły, niezbędny był nawóz. Jednym z czołowych jego producentów miał zostać Azot. Aby pomóc krajowi i uzyskać jak najszybciej obfite plony, Sliwko w 1963 roku nie zastanawiał się długo, co ma zrobić ze sobą dalej – ukończył technikum chemiczno-technologiczne, i to z wyróżnieniem za osiągnięcia w nauce oraz aktywne uczestnictwo w życiu społecznym placówki. Następnie rozpoczął pracę w kombinacie.

Wyróżniał się, podobnie jak w armii. Pracował tak dużo i dobrze, że otrzymał stopień przodownika pracy komunistycznej. To taki stopień, który nadawano za regularne przekraczanie planu pracy. Przodownik w ZSRR otrzymywał spinkę z profilem Lenina, czerwoną legitymację z pięknym, złotym napisem: „Przodownik pracy komunistycznej”, czasami też premię finansową. Można było jeszcze zostać poklepanym po ramieniu: „Zuch, Wania,

pracuj dalej. Uczcie się, towarzysze, od naszego Wani!”, oraz wystąpić z przemową na jakiejś uroczystości, np. złożyć życzenia towarzyszkom 8 marca bądź pochwalić politykę partii i przysiąc pobicie jakichś nierealnych rekordów na mitingu 7 listopada. Na tym wszystko się kończyło. Miało iść za tym także poszanowanie wśród kolegów, jak trąbiła propaganda, ale w rzeczywistości pozostali patrzyli na takich przodowników ze złością: „To przez takich Waniów dorobkiewiczów stale podwyższają nam normy pracy!”. Ale to oczywiście z zazdrości, że Wańka przodownik robi karierę.

Oprócz sukcesów zawodowych Anatolij miał dużo sił i zapału do swojego ulubionego hobby: kilkudniowych wypadów na łono natury pod namiot, z plecakiem. A co więcej, swoją pasję, zaangażowanie i wiedzę zaczął powoli przekazywać następnemu pokoleniu. Sliwko nie tylko był pracowity, lecz miał również niekończący się entuzjazm, twardą rękę i zdolności organizatorskie. Tryskał energią. Dosłownie z niczego razem z kilkorgiem znajomych dzieci stworzył w malutkiej robotniczej miejscowości klub turystyczny dla najmłodszych, który z biegiem lat stał się słynny w całym ZSRR. Sam chodził po wysokich urzędach, do różnych instancji, uśmiechał się i prosił lub wręcz przeciwnie – groził i ostro kłócił się z dyrektorami, kierownikami oraz sekretarzami i zawzięcie poszukiwał dla swojego klubu pomieszczenia, sprzętu i różnych ulg. Idąc na kompromis z dyrekcją miejscowej szkoły, aby otrzymać choćby pokoik z przeznaczeniem na siedzibę klubu,

zatrudnił się na drugi etat jako opiekun w tej placówce oświatowej. Szkoła stała się pierwszym stałym miejscem zebrań tutejszych małych miłośników wycieczek. Zmieniało się ono jeszcze nieraz. Nieco później Sliwko przekonał szefa miejskiej jednostki komsomolskiej, aby przydzielił mu salkę w bibliotece oraz po kosztach wypożyczał członkom klubu namioty i plecaki.

Klub przyjął nazwę Romantyk. Wieść o nim rozpowszechniła się w Niewinnomysku pocztą pantoflową. Przyjmowano do niego wszystkich chętnych. Nieważne, kim byłeś: szkolnym chuliganem, księżniczką – córeczką tatusia, chudym kujonem w okularach, sportowcem – obiektem miłości wszystkich dziewczyn w klasie czy pryszczatą ofermą z nadwagą. Sliwko bardzo dbał o to, aby nikt nikogo nie poniżał, nie wywierał presji z powodu swojego doświadczenia, żeby w grupie panowała atmosfera braterstwa i wsparcia. Jeśli ktoś na przykład nie umiał postawić namiotu, nikt nigdy się z niego nie śmiał. Przeciwnie, nowicjuszy otaczano troską i można było mieć pewność, że Tolia (inaczej Tolik bądź Tolian) – w klubie wszyscy byli na ty – i starsi koledzy raz-dwa nauczą nowego tego, co niezbędne. Normą przed wyruszeniem w trasę było wrzucanie przez uczestników do jednego, wspólnego worka wszystkiego, co smaczne: owoców, cukierków, czekoladek, a potem dzielenie tego równo pomiędzy członków klubu. Sam Tolia mówił, że różnica wieku była u nich niewielka, a wzrostem nie wyróżniał się wśród nastolatków na tyle, aby mieli mówić do niego per Anatoliju Jemieljanowiczu, jak

należy się zwracać do osoby, gdy wymagany jest pewien dystans i szacunek. Rzeczywiście Tolia był niezbyt wysoki, lecz dość umięśniony. Był prostym, ale poważnym człowiekiem, wyróżniało go jednak jednocześnie poczucie humoru.

Raz w tygodniu Romantyk udawał się na wycieczkę na weekend w góry lub nad rzekę. Sliwko podczas wycieczek uczył, że nie można niszczyć natury, opowiadał o walorach ojczyzny, o trawach i zwierzętach. Oczywiście pamiętano o teorii turystyki – o sztuce przetrwania w dziczy, o tym, jak szybko postawić namiot, jak rozpalać ognisko za pomocą tylko jednej zapalki, jak gotować smaczne potrawy z cebuli, tuszonki i kaszy gryczanej w warunkach polowych. A wieczorem, przy ognisku, opowiadał historie o życiu, o swojej służbie w armii, o historii Związku, o przywódcach, o tutejszych miejscowościach. Potem przychodziła kolej śpiewania piosenek przy akompaniamencie gitary.

W klubie funkcjonował system punktów. Jeśli ktoś skończył stawiać swoją część namiotu, a potem pomógł towarzyszowi, nie będąc o to proszonym – dostawał dodatkowe punkty. Tak samo, jeśli szybko i smacznie ugotował dla wszystkich obiad. A jeśli ktoś obrażał młodszych, obijał się, podczas gdy wszyscy pracowali, kogoś przyłapano na papierosku lub piciu alkoholu za krzakami albo na zrywaniu kwiatków w polu, czyli robieniu krzywdy naturze – tracił punkty. Jeśli ktoś miał za dużo minusów, zegnał się z klubem za brak szacunku do kolektywu, a w sytuacji odwrotnej dostawał, według

najlepszych tradycji komunistycznych, spinę klubową, sztandar bądź dyplom i publiczne pochwały. Sliwko wszystko zauważał, wiedział i skrupulatnie notował. On sam także dawał przykład – nie pił, nie palił, nie przeklinał.

Sława klubu w końcu opanowała całe miasto. Klub się rozrastał, liczba członków przekroczyła pierwszą setkę podopiecznych. Założyciel nie był już w stanie prowadzić go samodzielnie. Anatolij angażował do pomocy i kierowania dziećmi starszych chłopaków – członków klubu – i surowo przestrzegał, aby oni także stosowali jego zasady braterstwa i równości. Sprzęt, który Sliwko dostawał od władz, stał się poważniejszy – na początku on i dzieciaki otrzymywali dziurawe namioty i plecaki, które sami naprawiali i na które robili zrzutki ze swoich kieszonkowych, żeby zapłacić za wynajem, teraz zaś Romantyk otrzymał latarki, radio, sprzęt alpinistyczny, mapy, książki geograficzne i historyczne, własny aparat, kamerę oraz sprzęt do montażu zdjęć oraz filmów. Przy klubie zaczęła funkcjonować sekcja historyczna, geograficzna, radio, sekcja amatorów fotografii i kina, zorganizowano własne minimuzeum klubu. Nagrywano filmy na podstawie własnych scenariuszy o szpiegach, piratach, Indianach i kowbojach, rozbójnikach i milicjantach, czarownikach i Babie Jadze. Kilkuosobowe wycieczki i lekcje stawiania namiotów podczas weekendu przekształciły się w kilkudniowe wyjazdy z grami terenowymi, biegami nocą na orientację, seansami łączności radiowej, forsowaniem rzek na czas. Rozpoczęły

się prawdziwe wielodniowe podróże do dalszych miast, rejonów i obwodów, a nawet republik – klub odwiedził Gruzję. Organizowano również wyprawy górskie, w tym z najbardziej wytrwałymi podopiecznymi na Elbrus – najwyższy szczyt Kaukazu. Odwiedzano także miejsca walk z czasów wojny radziecko-niemieckiej. Podczas wycieczki do Karaczajo-Czerkiesji, wtedy części Kraju Stawropolskiego, Sliwko i chłopaki wnieśli na szczyt ciężką kamienną płytę upamiętniającą poległych tu żołnierzy (nieśli ją na sobie przez kilka dni). Na każdym zdobytym szczycie zostawiali swój sztandar z listą imion zdobywców. Dyrekcja kombinatu zasadniczo przymykała oko i pozwalała Sliwкови organizować takie kilkudniowe wyjazdy.

Zapału nie ostudził nawet pożar w bibliotece, w którym w 1968 roku spłonął doszczętnie drewniany budynek wraz z siedzibą Romantyka i całym jej sprzętem. Powodem był piec węglowy, którym ogrzewano pomieszczenia. Inni by się załamali i powiedzieli: „No cóż. Widocznie to koniec”. Ale nie Sliwko! Dyrektor klubu to nie była beksa. „Nie płakać, nie smucić się, odwagi!” – powtarzał. „Zbudujemy od nowa! Będzie jeszcze lepiej!” No co za charakter! No i odbudował, uparciuch jeden. I zrobił lepiej! Sliwko przekonał kierownictwo komitetu miejskiego partii, aby przydzielili jemu i dzieciom nowe pomieszczenie – i to w centrum miasta, w głównym niewinnomysskim ośrodku kultury, w Domu Chemików – oraz by partyjni dostojnicy wydali jemu i podopiecznym nowy sprzęt zamiast tego spalonego.

Romantyk wraz ze spaloną biblioteką przeszedł do historii. Na jego miejsce powstał nowy klub turystyczny dla dzieci z inną, poważniejszą nazwą – Czergid, od rosyjskiego „Czerez Reki, Gory i Doliny”, czyli „Poprzez Rzeki, Góry i Doliny”.

Pod koniec lat 70. kombinat chemiczny przekazał Sliwce, czyli Czergidowi, na kolejną nową siedzibę klubu kilkopokojowe, większe, a ponadto w pełni umeblowane pomieszczenie na parterze budynku mieszkalnego przy ul. Siewiernej (Północna), z oknami i wejściem od ulicy. Pojawiły się takie etaty jak sprzątaczką i szef składu, a Sliwko zyskał oficjalny status dyrektora klubu z miesięczną pensją. Miał też zastępcę, również z wynagrodzeniem. Klub po raz kolejny otrzymał także wsparcie od partii, państwa, związków zawodowych oraz od kombinatu Azot. Były to dostawy skrzynek z konserwami z przeznaczeniem na wycieczki, kolumny wynajętych autobusów z kierowcami, miejsca w hotelach lub akademikach dla młodych turystów. To wszystko w radzieckim królestwie wiecznego deficytu. Opłacono także wyjazdy Sliwki do ludowej Bułgarii oraz kapitalistycznej Japonii, aby dyrektor się kształcił i poszerzał wiedzę o turystyce.

Czergid w końcu rozrósł się do tysiąca osób i stał się słynny w całym ZSRR. Pisano o nim nieraz w gazetach zarówno lokalnych, jak i ogólnokrajowych, na przykład w związkowej gazecie pionierskiej⁶⁵ „Pionierska Prawda”. Kilkadziesiąt razy mówiono o nim we wszechzwiązkowym

radiu. Czergid uważany był za jeden z najlepszych tego rodzaju klubów w kraju. Lokalna milicja chwaliła i klub, i jego dyrektora, ponieważ nieletni chuligani zmieniali się w oczach, żeby tylko dostać się do kolektywu młodych turystów, a dostawszy się tam, już nie wracali do rozrabiania. Klub chwalili nie tylko ludzie w granatowych mundurach, ale także ci w białych fartuchach, bo po roku czy dwóch w Czergidzie u dzieci, które wcześniej uważano za chorowite, widoczna była poprawa zdrowia i pewność siebie.

Bycie członkiem klubu stało się czymś prestiżowym wśród miejskich chłopaków i dziewczynek. Sliwko musiał dzielić członków klubu na grupy wiekowe i odmawiać innym chętnym. Coraz częściej mówił: „Obowiązkowo cię weźmiemy, ale gdy troszkę urośniesz” bądź: „Kolego, póki nie naprawisz dwójki i trójki w szkole, nie możemy cię przyjąć”.

I to wszystko zbudowane na czystym entuzjazmie pewnego zwykłego robotnika z tutejszego kombinatu. Sliwko był teraz znany w całym mieście i kraju jako przodownik pracy, wielki organizator i opiekun dzieci, a jednocześnie postrzegano go jako człowieka prostego i skromnego. Partia nie zostawiła takiego wielkiego obywatela bez wsparcia w rozwoju kariery. W 1974 roku z honorami przyjęto go do zgromadzenia najlepszych ludzi kraju, czyli w szeregi KPZR. Trzy lata później został wybrany do rady miejskiej, by podejmować decyzje w imieniu mieszkańców. Co więcej, nagięcie zasad

pozwoili pod protekcją kierownictwa partyjnego Kraju Stawropolskiego nadać Sliwce tytuł zasłużonego nauczyciela szkoły RFSRR⁶⁶, chociaż formalnie nie był on pedagogiem, nie pracował w systemie oświaty, nie posiadał nawet wyższego wykształcenia, a więc nie miał prawa do uzyskania takich honorów. Ale wszyscy uważali, że Anatolij Jemieljanowicz i bez jakichś tam papierków jest lepszy od wszystkich dyplomowanych nauczycieli!

Sliwko doczekał się sukcesów również w życiu osobistym – w 1967 roku ożenił się z młodą proletariuszką ze swojego miejsca pracy Ludmiłą. Istny wzór moralności i skromności ten nasz przodownik pracy. Stosunki z narzeczoną były wysublimowane i czyste. Wszystko tylko po ślubie, nawet namiętne buziaki. Z tego małżeństwa przyszło na świat dwóch synów, przyszłych wojowników – w 1971 roku urodził się Igor i w 1975 roku – Jewgienij. Dwóch Anatolijewiczów Sliwków!

Człowiek, z wielkiej litery! Co za życiorys, co za charakter! Dzięki takim świat się kręci. Takiego trzeba wybrać do komitetu centralnego! Należy go wysłać na zjazd partii, żeby on tam, w Moskwie, wraz z towarzyszem Breżniewem i innymi najlepszymi ludźmi kraju, decydował, jaką drogą ma pójść nasza ojczyzna!

To jasna strona biografii Anatolija Sliwki. Jednak za jej blaskiem kryła się ciemniejsza, znacznie paskudniejsza strona. Kiedy została odkryta, tego wspaniałego człowieka postawiono przed sądem. A potem pod murem.

W rzeczywistości Anatolij Jemieljanowicz Sliwko okazał się maniakiem, mającym na rękach krew dzieci, które mu zaufały. Znęcał się nad nimi, kaleczył je i mordował na przestrzeni 21 lat, a one jedno za drugim szły na tortury i na śmierć, nie obawiając się nawet, że czeka je coś strasznego.

W NIEWINNOMYSKU ZNIKAJĄ DZIECI

Niewinnomyski nastolatek, 15-letni Kolia Dobryszew, nie wyróżniał się dobrym zachowaniem. Kiedy w 1964 roku zniknął z domu po raz kolejny, w małej miejscowości nikt się tym nie przejął. Trudna rodzina, trudne dziecko... bywa. Mocno pijąca matka, która w trakcie ciągów nie orientowała się, który to dzień, nie od razu zdała sobie sprawę, że syn od dawna nie pojawiał się w domu. Pewnie gdzieś uciekł. Narozrabia i wróci jak zawsze.

Jednak nie wrócił.

9 lat później, 14 listopada 1973 roku, nie wrócił do domu 15-letni Aleksander Niesmiejjanow. Dzień przed swoim zaginięciem bardzo pokłócił się z mamą. Chodziło o to, że Sasza niespodziewanie przestał chodzić do fryzjera. Rodzicom się to nie spodobało. Nawet dzisiaj chłopak z długimi włosami to niecodzienność, a 50 lat temu, w konserwatywnym społeczeństwie radzieckim, gdzie podkreślanie indywidualizmu i odróżnianie się od kolektywu stanowiło straszny grzech, coś takiego było nie

do przyjęcia. Saszy zwróciła na to uwagę także nauczycielka:

- Co ty, dziewczynka jesteś? Natychmiast obetnij te kudły!

Dziecko nie wytrzymało presji i w końcu przyznało się mamie, że długie włosy są mu potrzebne, ponieważ przygotowuje się do roli w filmie, a zgodnie ze scenariuszem jego postać ma długie włosy. Sasza powiedział, że jest atakowany przez to ze wszystkich stron i prosił, żeby mama nikomu o tym nie mówiła - to był bardzo delikatny dla niego temat. Usłyszawszy prawdę, mama obiecała milczeć, ale nie dotrzymała słowa. Poszła do szkoły, by wyjaśnić sytuację z nauczycielką, żeby nie była zbyt surowa dla jej dziecka. Ta sroga i - jak się okazało - nadzwyczaj wredna pedagog później publicznie upokorzyła przyszłego aktora. Kobieta postawiła dziecko przed całą klasą i zaczęła je wyśmiewać:

- Gwiazda się znalazła! Popatrzcie na niego! Co ty myślisz, ty inny jesteś, lepszy, tobie wszystko wolno!? Mamuszkę on tutaj swoją jeszcze podsyla!

Poniżony Sasza wrócił do domu wściekły na matkę za to, że nie dochowała tajemnicy.

- Już nigdy więcej nic ci nie opowiem!

A następnego dnia zniknął.

Śladów chłopaka szukano w okolicznych lasach, w bardzo szerokiej i wartkiej rzece Kubań, nad którą leży Niewinnoomyssk, oraz przy licznych tamach i zakładach. Matka, która szalała z rozpaczy, w poszukiwaniu swojego

syna jeździła po całym ZSRR, gdy tylko otrzymywała jakąś wiadomość czy plotkę, że właśnie jej Sasza widziany był tu lub tam: że adoptowano go w innej miejscowości albo że się gdzieś ożenił lub że widziano go w romskim taborze. Odwiedziła wszystkie instytucje oraz organizacje, które mogłyby jej pomóc. Pisała do telewizji, żeby pokazali zdjęcia jej syna, do gazet, prokuratur wszystkich szczebli, urzędów stanu cywilnego, jednostek partyjnych, w tym do XXV Zjazdu KPZR 1976 roku. Próbowwała dostać się do gabinetu sekretarza generalnego Breżniewa. I za każdym razem, gdy widziała nastolatka w niebieskiej kurtce, wzdrygała się, ponieważ w dniu swojego zniknięcia w takiej właśnie wyszedł z domu jej Sasza.

Lecz Saszy nie znaleziono. Jego zwłok też nie. Jedynym poważnym punktem zaczepienia w tej historii było zgłoszenie się zimą 1975 roku odbywającego karę w kolonii niejakiego Madiarowa, który powiedział, że chce się przyznać do zabójstwa nastolatka w Niewinnomyssku. Ciało rzekomo zakopał on w pobliżu rzeki. Miał pokazać i opowiedzieć wszystko na miejscu. Jednak ostatecznie okazało się, że kryminalista kłamał, żeby po prostu wyjść z cuchnącej, przepełnionej przestępcami kolonii na czyste powietrze. Chciał zobaczyć zielen, niebo i wodę, być jak najdalej od wieżyczek, murów, strażników, psów i drutu kolczastego oraz popatrzeć na innych ludzi, niebędących w zielonych mundurach bądź w czarnych więziennych ubraniach. Fakt, że zostanie za to ukarany, starego recydywisty w ogóle nie obchodził.

A matka Aleksandra, Anna, dopiero po 12 latach dowiedziała się, co stało się z jej synem.

Półtora roku po zniknięciu Niesmiejanova w maju 1975 roku zniknął 11-letni Andriej Pogasjan. Rodzice poszli do prokuratury i złożyli zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Wiedzieli nawet, gdzie należy rozpocząć poszukiwania, ponieważ Andriej jakiś czas przed swoim zaginięciem poprosił mamę, by kupiła mu nowe kąpielówki. Zamierzał bowiem wziąć udział w amatorskim filmie. Film miał być niby nagrywany w lesie w okolicach Niewinnomysska. Mama i tata jakoś nie dołożyli starań, żeby dowiedzieć się od syna, co to za film. Nie zadali pytań: *A kto będzie nagrywać? A dlaczego ktoś chce nagrać cię nagiego, tylko w kąpielówkach, w lesie?*

Dziecko dostało to, o co prosiło, i poszło grać w swoim filmie. A więc aby rozwiązać zagadkę zniknięcia Andrieja, trzeba było ustalić, co to za tajemniczy reżyser nagrywa półnagich chłopaków.

Następnego dnia po zniknięciu Andrieja, 12 maja, na placu budowy znajdującym się przy brzegu Kubania znaleziono tornister chłopca oraz jego ubrania. Jak w przypadku Niesmiejanova nurkowie przeczesali dno rzeki. Ciała również nie znaleziono, a sprawa po długich miesiącach poszukiwań utknęła w martwym punkcie. Próba ustalenia tożsamości tajemniczego reżysera, który miał nagrywać film z zaginionym Pogasjanem, też skończyła się zdawkowym milicyjnym meldunkiem: *Sprawdzenie niczego nie wykazało.*

Następnym zaginionym okazał się 13-letni Siergiej Fatniew. Miało to miejsce 5 lat po zaginięciu Pogasjana, latem 1980 roku. Tak samo jak w poprzednich przypadkach za najbardziej prawdopodobną wersję wydarzeń w trakcie poszukiwań uznano nieszczęśliwy wypadek. Żadnych śladów ani zwłok nie znaleziono.

5 lat później do domu nie wrócił 13-letni Siergiej Pawłow. 23 lipca 1985 roku wyszedł z domu nad ranem, informując wcześniej rodziców, że idzie nad rzekę wędkować.

Ponownie rozpoczęto poszukiwania. Dno Kubania w miejscach, gdzie dziecko mogło pójść na ryby, znów zostało zbadane, a jako najbardziej prawdopodobną wersję zdarzeń podano utonięcie chłopaka. Za podejrzaną uznano także matkę Siergieja – Antoninę. Śledczym rzekomo wydawało się, że kobieta jest nadzwyczaj spokojna, gdy mówi o swoim zaginionym synu. Z biegiem czasu stało się jednak jasne, że zaginięcie Pawłowa to kolejna niewyjaśniona sprawa. W listopadzie oddano ją w ręce młodej pomocnicy prokuratora miejskiego w Niewinnomyssku, Tamary Langujewej – osoby cichej i skromnej. Kobieta lubiła swoją pracę, ale nie marzyła o wysokich stanowiskach, wielkich gwiazdach, orderach i wszechwzględnej sławie.

Działania Langujewej pomogły uchwycić wątek, który doprowadził do rozwiązania zagadki zniknięć wymienionych wyżej osób. Tamara odkryła pewien fakt. Swojej sąsiadce, pani Lidii, w dniu swojego zaginięcia Siergiej Pawłow

z uśmiechem na twarzy wyznał, że tak naprawdę nie idzie nad rzekę, lecz będzie brał udział w sesji zdjęciowej dla czasopisma. Tylko cicho – wielka tajemnica, nawet rodzice nie wiedzą. Chłopak dodał, że zdjęcia będzie robił... Tolia Sliwko, dyrektor Czergidu. Gdy Pawłowowie zaniepokoiili się nieobecnością syna, sąsiadka zadzwoniła do klubu i poprosiła dyrektora, którego spytała, czy widział dzieciaka.

- Nie, nie widziałem, do spotkania nie doszło - odpowiedział Sliwko.

Sąsiadka uznała swój obywatelski obowiązek za spełniony i dłużej już nie szukała.

W chwili gdy pomocnica prokuratora odkryła te fakty, Sliwki nie było od jakiegoś czasu w mieście – pojechał z grupą na wycieczkę. W oczekiwaniu na jego powrót, by móc zaprosić go na pogawędkę, Tamara postanowiła popytać o dyrektora oraz o klub także podopiecznych tej organizacji.

Zaproszone dzieciaki wypowiadały się o Anatoliju z wielkim szacunkiem, a nawet miłością, na pytania poważnej cioci odpowiadały niechętnie. Krok po kroku zaczął się jednak rysować nieznany dotąd obraz Czergidu, jego dyrektora oraz jego zaskakującej wyjątkowej troski o niektórych podopiecznych. Interesujące było to, że – jak wynikało ze słów czergidowców – w klubie już od dawna krążyły plotki o jakichś specjalnych filmach, na które zapraszani byli tylko wyjątkowi członkowie klubu. Z kolei inne dzieciaki mówiły o eksperymentach medycznych dla

dobra ludzkości. Ale na pytanie o to, co to za filmy i eksperymenty, dzieciaki nie odpowiadały.

Aż zaproszony został niejaki Wiaczesław Chwostik. On pierwszy miał dość odwagi, aby opowiedzieć, co zrobił z nim Tolia Sliwko. Opowieść Sławy brzmiała tak: dyrektor zaprosił go osobiście do wzięcia udziału w eksperymencie naukowym. Po nim chłopak przez kilka dni czuł się źle, spuchł mu język i nie mieścił mu się w ustach. Dyrektor poprosił go, aby przyszedł do lasu w szkolnym mundurku, w białej wyprasowanej czystej koszuli, czerwonej chuście pionierskiej, obowiązkowo miał być czysty, głodny oraz po wypróżnieniu. Kazał mu także – i to podkreślił szczególnie – wyczyścić i założyć czarne buty.

Podczas spotkania Sliwko, który miał przy sobie wszystko, co potrzebne do czyszczenia oraz do mycia się, na wypadek gdyby Sława przyszedł nie w takim stanie, jak się umówili, odprowadził go na przygotowaną już polanę w środku lasu. Tam, w otoczeniu kolczastych krzaków, stało drzewo. Na jednej z gałęzi umocowany był specjalnie skonstruowany z węża ogrodowego sznur, który kończył się pętlą owiniętą w ręcznik. Pod pętlą stał taboret. Przed tą improwizowaną szubienicą znajdowała się kamera, która miała zarejestrować, co się zaraz wydarzy.

Jednak Chwostika to nie zdziwiło. Sliwko dokładnie wytłumaczył mu, na czym będzie polegał eksperyment. Dziecko wiedziało, co się stanie. Chłopak miał świadomość, że za minutę zostanie powieszony, straci przytomność, lecz Tolia obiecał go uratować. Celem eksperymentu było

rzekomo ustalenie granic wytrzymałości człowieka. Informacje o tym miały być potrzebne do opracowania, które dyrektor przygotowuje już od dawna. Chłopak bardzo chciał pomóc ulubionemu nauczycielowi w naukowej karierze, podpisał nawet oświadczenie, że dobrowolnie bierze udział w tym przedsięwzięciu. W końcu było to dla niego ciekawe, tajemnicze, nieznane! A więc Tolik postawił Sławę na taborecie, następnie wsadził jego głowę do pętli, zaciągnął ją, włączył kamerę, a potem podniósł dziecko za nogi w powietrze, taboret kopnął daleko i powoli puścił chłopaka, by zwisał. Sława zaczął się dusić, drgać i w końcu stracił przytomność.

Tolia nie skłamał. Faktycznie przywrócił chłopaka do życia, robiąc mu sztuczne oddychanie i reanimując go. Jednak nie obyło się bez konsekwencji. Chłopak czuł się bardzo źle, nie mógł ustać na nogach. Sliwko odstawił go do domu i uciekł. Rodzicom Sława wytłumaczył, że ugryzł go w język jakiś robak. Śladów na szyi nie było – specjalnie zrobiony dla tego celu sznur z węża ogrodowego i ręcznika nie zostawiał siniaków. Lekarze, do których mama i tata zaprowadzili syna, uznali, że to nic strasznego – do wesela się zagoi. Zalecili środki przeciwbólowe i przeciwwirusowe.

I faktycznie – zagoiło się.

Z takimi informacjami pomocnicy prokuratora udało się sprowokować do rozmów innych podopiecznych dziwnego klubu turystycznego... Okazało się, że Wiaczesław Chwostik nie był jedynym królikiem doświadczalnym. Doniesienia nie kłamały – specjalne filmy i eksperymenty istniały naprawdę.

Do swoich przedsięwzięć uczestników dyrektor zapraszał osobiście. Najczęściej sceny rozgrywały się na polanie otoczonej krzakami w lesie pod Niewinnoomysskiem.

Langujewa zgłosiła się do szefa, aby wydał nakaz przeszukania domu, dachy i miejsca pracy Sliwki – siedziby Czergidu i rozpocząć czynności, gdy podejrzany wróci z wycieczki. I prokurator miejski podpisał te nakazy. Chociaż marudził: „Och, to przecież zasłużony człowiek, nie ten rodzaj osoby... no ale cóż, skoro nikogo więcej nie mamy”. Następnie pomarudzili sobie milicjanci, którzy mieli dokonywać przeszukań: „Dowodów szukać... ale dowodów czego... i u kogo? Zwariowali oni czy co w tej prokuraturze, gryzipiórki jedne?”.

A DOWODÓW CO NIEMIARA

– Wiecie, kim ja jestem?! Jestem członkiem biura komitetu miejskiego partii! Jestem radnym miasta! Znam ludzi w Komitecie krajowym, w urzędzie spraw wewnętrznych! Odpowiedzcie za to! Zna mnie cały Niewinnoomyssk! – tak straszył stróżów prawa Anatolij Jemieljanowicz, gdy przyszli oni do siedziby Czergidu wieczorem 28 grudnia 1985 roku.

Przedstawili nakaz przeszukania oraz skuli dyrektora kajdankami. Miało to miejsce podczas prowadzonego przez Sliwkę zebrania z podopiecznymi, na którym dyskutowano,

jak będą świętować sylwestra. Z trudem udało się uspokoić dzieci, które rzuciły się, by bronić swojego ulubieńca.

Podczas przeszukania niczego nie udało się znaleźć. „Najstraszniejszymi” znaleziskami w siedzibie klubu były eksponaty muzeum Czergidu, takie jak: łuski po nabojach, zardzewiałe elementy broni, stare bagnety, podziurawione hełmy niemieckie – wszystko to znalazły dzieciaki podczas wycieczki na miejsca walk. Gdy stróże prawa zamierzali już kończyć czynności procesowe, jeden z milicjantów, wskazując na metalowe drzwi ze znakiem trójkąta, czaszki oraz błyskawicy, zapytał Sliwkę:

– A tam co?

Dyrektor, który wcześniej zgrywał bohatera, zbladł, spocił się i jękając się, odrzekł:

– L-lepiej tam nie wchodzić... p-prąd, niebezpiecznie jest. Tam wchodzi tylko elektryk.

Za metalowymi drzwiami znajdował się ciemny pokój z bezpiecznikami. W pomieszczeniu znaleźli: zapleśniałe skrzynki z amunicją, stary, niedziałający niemiecki karabin maszynowy oraz dziesiątki noży, siekiery, czekany, sznury, stos aparatów fotograficznych. Następnie kilka szkolnych mundurków, czerwone chusty pionierskie, szereg niewielkich czarnych lśniących butów. Miały one odpiłowane noski, z których każdy znajdował się dokładnie przed odpowiadającą mu pozostałą częścią buta. Niektóre z nich zawierały ślady ognia. Obok nich, jeden na drugim, stały taborety oraz drewniane pnie. Natomiast na samym

końcu pokoju, w ciemności, na podłodze znajdowała się mała metalowa szafa.

A tam...

Setki zdjęć ukazujących dzieci wiszące w powietrzu na sznurach, to za szyję, to za kończyny. Obok fotografii były dziesiątki szpul z taśmami filmowymi. Zdjęcia, a przede wszystkim filmy, które dyrektor klubu gromadził u siebie na pamiątkę, okazano podczas wystąpienia prokuratora w procesie sądowym zasłużonego nauczyciela. Kiedy projektor pokazywał kolekcję filmów wideo dyrektora, uczestnicy procesu, liczni świadkowie oraz pokrzywdzeni, musieli oglądać jeden za drugim horrory z makabrycznymi scenami, z różnymi dziećmi jako przypadkowymi bohaterami. Stałym zaś bohaterem był dyrektor Czergidu. Jednak w odróżnieniu od horrorów nagrania zawierały coś, co wydarzyło się naprawdę.

W ciemnej sali, przy dźwięku projektora, w absolutnej ciszy można było zobaczyć, jak gwiazda miasta, Anatolij Sliwko, podprowadza kolejne dziecko pod pętlę pod gałęzią, stawia je na taborecie bądź pniu. Nagrywa z bliska twarz nastolatka, a on się uśmiecha, następnie saltuje. Później zasłużony nauczyciel zakłada mu pętlę na szyję i kopniakiem usuwa jedyną przeszkodę, która nie pozwalała chłopakowi zawisnąć. Za każdym razem proces duszenia dziecka wyglądał nieco inaczej. Niekiedy Sliwko mógł wziąć dziecko za nogi i łagodnie opuścić je do dołu, aby zaczęło się dusić powoli. Na jednym z filmików chłopak, już wisząc, próbował złapać się nogami i rękami gałęzi oraz za samo

drzewo, jakby chciał powiedzieć: „Nie chcę! Skończmy to! Strasznie boli”, a Sliwko do niego podbiegł i odsunął jego ręce. Gesty Anatolija mówiły: „Nie! Wszystko zepsujesz! Przyjmij to jak mężczyzna! Zgodziłeś się!”. Na niektórych filmach Sliwko nie wieszał dzieci na sznurze, lecz przywiązywał je za kończyny jednocześnie do kilku pobliskich drzew – i to tak mocno, że wisiały one, nie dotykając ziemi. Następnie dusił je do nieprzytomności, zakładając im na głowę plastikowy worek albo maskę przeciwgazową, w której zamykał dostęp powietrza.

Powieszone dzieci były różne i ubrane zawsze inaczej – na jednym szkolny mundurek, na drugim biała koszula i krótkie szorty, a tu długie skarpety, a tu garniturek, a tu wojskowa bluza i furażerka, tam pasiaste ubranie jak u więźnia obozu niemieckiego. Ale zawsze były wspólne elementy – czerwona pionierska chusta oraz czyste czarne buty. Ofiary zawsze wyglądały bardzo schludnie, były uczesane i czyste. Nigdy nie stawiały oporu wobec poczyną Sliwki.

Kilka razy na filmach widać, jak oblewa buty nieprzytomnego nastolatka benzyną i je podpala, a następnie nagrywa z bliska, jak płoną. Potrafił również rozpalić ognisko pod wiszącym na sznurze dzieckiem.

Następnie można było obejrzeć, jak zasłużony nauczyciel po kilku minutach oswobadza chłopaka z pętli lub zdejmuje nieszczęsnemu worek czy maskę z głowy, robi sztuczne oddychanie i masaż serca. Później nagrywał z bliska, jak ofiara wraca z tamtego świata, ma drgawki,

a na kolejnym etapie łapie powietrze ustami, wymiotuje, kaszle i płacze.

W kilku filmach natomiast było widać, jak Sliwko nieprzytomnym nastolatkom oswobodzonym z pętli, których nie udało się reanimować, odcina głowy siekierą bądź rozpiłowuje piłą do drzewa buty wraz ze stopą. Potem odcina ręce i nogi i pieczołowicie odkłada do metalowego naczynia tuż obok.

CIEMNA STRONA

Sliwko prowadził dziennik. Stanowił on wspaniały dodatek do zdjęć i filmów, na których dokładnie widać, kto, z kim i co robi. Treści zawarte w dzienniku pomogły bowiem ustalić, jakie szaleństwo nawiedziło zasłużonego nauczyciela szkoły RFSRR i jak tak szanowany człowiek mógł robić coś takiego.

On sam twierdził, że jego życie nie układało się od chwili urodzenia. Anatolij nie był chcianym dzieckiem w swojej rodzinie. Na świat przyszedł, gdy po kolejnej strasznej awanturze z mężem matka, będąc w zaawansowanej ciąży, próbowała go zabić. Doszło jednak do przedwczesnego porodu, a nielicznie zatrudnionym w mieście lekarzom udało się uratować małego Tolię. Mama i tata często się kłócili, a potem wspólnie rzucali się z pięściami na syna. Trudna egzystencja w nowym dagestańskim miasteczku, wiatr, głód i zimno szybko

przepędziły z głów młodej rodziny Sliwków cały entuzjazm i chęć budowania komunizmu. Dziecko rosło słabe, chorowite, niemające apetytu. Mały Tolia był samotny oraz bardzo nieśmiały. Już w dzieciństwie pojawiły się niepokojące oznaki – lubił dusić zwierzęta, w szczególności hodowane przy domu króliki, i z przyjemnością je patroszył.

Gdy Anatolij osiągnął wiek, w którym chłopaki i dziewczyny zaczynają się sobą wzajemnie interesować i trzymać się za rączki, zrozumiał, że to nie dla niego. Koleżanki nie wzbudzały u niego żadnego popędu ani uczuć, ani najdrobniejszego zainteresowania. Oznaki tego zauważył w okolicy matury, a następnie w wojsku, gdy koledzy chętnie wymieniali się doświadczeniami i nie przegapiali możliwości skorzystania z zainteresowania rówieśniczek. Jemu zaś wszystko to było obojętne. Ostatecznie przekonał się o tym po służbie, gdy próbował zamieszkać z jedną panienką – szybko zdał sobie sprawę, że nic z tego nie wyjdzie. Efektem ubocznym braku zainteresowania płcią piękną był niedobór tej męskiej energii, o której rozpisują się w romansach. Tej samej, która w odpowiednich momentach przywołuje słynne „kamienne słupy” bądź „stalowe bagnety”. No nie interesowały faceta te długie nogi, włosy, spódniczki i szpilki.

Co warto zaznaczyć, koledzy też go nie interesowali.

Ekscytowało go coś innego. Swoje pragnienia odkrył w 1961 roku. Olśnienie to nastąpiło natychmiast po pewnym przypadkowym wydarzeniu. Wrażenia z tym

związane dały u przyszłego zasłużonego nauczyciela podstawy niezwyklej dewiacji. Powtórki tych wrażeń Anatolij Jemieljanowicz poszukiwał namiętnie przez resztę swojego życia. Chodzi o wypadek z udziałem pijanego kierowcy i kwestię pokaleczonych dzieci. Oto, jak Sliwko sam opisuje to w swoim dzienniku. Fragment rozdziału *Kosmos*:

Ja dokładnie wiem, kiedy to się zaczęło. Ja pamiętam ten dzień. Zapadł mi w pamięć jako dzień jasny oraz straszny. Zajmujący jest ten 1961 rok – to rok lotu Gagarina. Tak się stało, że on poleciał w kosmos, a ja odkryłem swój własny kosmos – czarny oraz bezdenny. To było latem. Pijany motocyklista wjechał w grupę pionierów i mocno potrącił jednego chłopaka. Na miejsce wypadku przybiegli ludzie, w tym ja. Chłopak był we krwi, jego nogi drżały. Ktoś podniósł go i zabrał do samochodu. On był już nieprzytomny, głowa schylona, ręka zwisała bezradnie. Byłem zszokowany tym widokiem i długo nie mogłem dojść do siebie.

To wydarzenie niezwykle mocno utkwilo Sliwce w pamięci. Gdy zamykał oczy, przypominał sobie widok pokaleczonych dzieci, zakrwawionych białych koszul, szkolnych mundurków, pionierskich chust oraz smród rozlanej na miejscu wypadku benzyny. Głównie zaś wyobrażał sobie czarne lśniące buty potrąconego chłopaka, którego przeniesiono na rękach obok młodego Sliwki oraz drżenie jego kończyn. Doprowadzało go to do ekstazy. I to właśnie w takich momentach pojawiała się tak oczekiwana

męska siła. Właśnie do odtworzenia takiej sceny dążył maniak, znęcając się nad nastolatkami.

Różne bywają na tym świecie preferencje w sprawach miłosnych, czasami powodują one uśmiech lub zaciekawienie, a czasami są obrzydliwe i trudne do zrozumienia. Ktoś lubi opluwanie, bicie i poniżanie. Ktoś inny woli znacznie starszych od siebie partnerów. Jeszcze inny uznaje miłość jedynie w grupie. Sliwko okazał się typem człowieka, którego ekscytowali chłopcy w wieku 11-15 lat. To nie był jedyny warunek. Chłopcy ci musieli nie tylko reprezentować określony wiek, lecz także występować w konkretnych ubraniach, butach i wykonywać określoną czynność.

Umierać. Musieli umierać w mękach.

Tak się stało, że hobby Anatolija Sliwki – wycieczki z plecakiem i namiotem w góry, nad rzekę, do lasu – przyciągało wiele miejscowych dzieci... istoty, które właśnie pragnął mieć w swojej władzy. Przez dwa lata walczył ze sobą, jak potrafił, nie pozwalając sobie na niegodziwe zachowania i na dojście do głosu swojej naturze.

Zatrudniłem się w kombinacie „Azot”. Z kobietami stosunki się nie układają, a w towarzystwie rówieśników czuję się nieciekawie. Ciągnie mnie do dzieci. Opowiadam im w szkołach o Dalekim Wschodzie. Potem zatrudniłem się też jako drużynowy w szkole nr 15. Wśród dzieci znajduję spokój. Uczę ich dobroci i szczerze je kocham. Ale tkwię jakby w dwóch światach. Prawdziwy wydaje mi się jałowy, a ten, w którym widzę męki dzieci – jaskrawy i fascynujący.

Widok wypadku z 1961 roku stale pojawia mi się przed oczami i mnie prześladowe [67](#).

W 1963 roku Sliwko nie wytrzymał.

W czerwcu zaproponował pewnemu chłopakowi z klubu udział w kinie amatorskim. Rolą przygotowaną dla piątoklasisty była postać partyzanta-bohatera, którego złapali źli, przekłęci faszyci i poddali torturom, aby wydobyć z niego informacje, ale młody bohater dzielnie wszystko znosił i nie zdradził swoich towarzyszy ani tajemnicy. Jednak strach dyrektora klubu przed nieuniknioną karą za takie czyny tym razem zwyciężył chore pragnienie. Po przywiązaniu (nie za szyję) do drzewa w podmiejskim lesie chłopaka przebranego w pasiak i z zawiązaną czerwoną chustą Sliwko jedynie zaznaczał ciosy i przebieg tortur, a chłopak udawał, że go boli. Dyrektor bał się, że jeśli naprawdę zrobi chłopakowi krzywdę, dziecko poskarży się rodzicom.

Lecz tak długo oczekiwana i taka bliska sposobność ponownego zobaczenia tamtego umierającego pioniera spod kół motocyklu, najbardziej podniecającego widoku, z jakim miał kiedykolwiek do czynienia, sprawiła, że Anatolij Jemieljanowicz zrozumiał, iż musi zrobić jakiemuś dziecku prawdziwą krzywdę. Bał się jednak więzienia. W końcu za to mogli go nawet rozstrzelać. Spryciarz szukał różnych sposobów, aby móc znęcać się nad dzieckiem, ale jednocześnie tak, by ono nic nie mogło o tym opowiedzieć. Przy czym najlepiej było uniknąć zabójstwa.

Pewnego razu wpadła mu w ręce encyklopedia medyczna. W trakcie jej kartkowania wpadł na takie zjawisko, jak amnezja wsteczna – krótkotrwała utrata pamięci w związku z doznaniem jakiejś gwałtownej i mocnej traumy oraz szoku.

W ten sposób zostało znalezione rozwiązanie problemu. Teraz nadeszła kolej testów.

2 czerwca 1964 roku Sliwko przekonał kolejnego podopiecznego do wzięcia udziału w przedsięwzięciu, tym razem w eksperymencie medycznym. Przygotował się – znalazł w lesie odpowiednie, ciche miejsce w ukryciu, skonstruował specjalny sznur z węża ogrodowego i ręcznika, przyniósł kamerę i taboret. Chłopaka również przyszykował – kazał mu się ubrać tak, by wyglądał jak wzorowy pionier. Miał być czyściutki, uczesany, w wyprasowanym szkolnym mundurku. A przede wszystkim miał założyć czerwoną wyprasowaną pionierską chustę – nie byle jak, lecz tak, jak wymaga tego regulamin – oraz na błysk wypolerowane czarne buciki. Wy tłumaczył chłopakowi, co będzie mu dokładnie robił... A dzieciak czuł tylko podekscytowanie, tak chciał pomóc nauczycielowi! Przecież to nasz Anatolij! Skoro on powiedział, że to bardzo ważny dla niego eksperyment naukowy i że potem go uratuje, to znaczy, że to prawda. Nastolatkiwie lubią atmosferę nieznanego, jakiejś tajemnicy, ciągle szukają niecodziennych przygód. Czegoś, czego nie zaznają w nudnej szkole lub w towarzystwie nierozumiejących ich rodziców.

Sliwko zrobił wszystko w sposób naukowy, tak jak mówiła encyklopedia. I odniósł sukces! Chłopak zawisł, stracił przytomność i przebywał w pętli przez 5-6 minut. Udało się przywrócić go do życia. Po tym, jak nastolatek doszedł do siebie, powiedział, że nie pamięta tego, co się stało. Nie pamiętał, że „naukowiec” stał przed nim i dokonywał aktu onanizmu, gapiąc się na jego buty, dopóki chłopak wisiał przywiązany za szyję.

O swoim pierwszym doświadczeniu, które zostało nagrane kamerą, Sliwko napisał w rozdziale swojego dziennika zatytułowanym *Eksperyment*:

Mój pierwszy eksperyment medyczny przeprowadziłem doskonale. A nagrodą za odwagę był namiętny, wyrazisty akt, którego mogłem doświadczyć. Jego drgawki trwały długo i nagrane kamerą dostarczą mi jeszcze nieraz przyjemności, oszczędzając zdrowie nowych potencjalnych ofiar. On dusił się niedługo i szybko się ocknął. A co najważniejsze – nic nie pamiętał po eksperymencie. Czuję się wynalazcą jakiejś maszyny do przyjemności.

Oczywiście maniak-nauczyciel nie zamierzał na tym poprzestawać. Jednak za drugim razem eksperyment dał... wynik ujemny. Coś poszło nie tak. Kolia Dobryszew, 15-letni chłopak z trudnej rodziny, który też zgodził się na bardzo ważny dla wujaszka Toli test mający na celu ustalenie granicy ludzkiej wytrzymałości, udusił się. Kiedy Sliwko starał się zawrócić Nikołaja z tamtego świata, powoli zaczął rozumieć, że mu się to nie uda. Chłopiec zmarł. Sliwko przestraszył się nie na żarty. Przecież to czyn zasługujący

na karę śmierci! A co z jego karierą? Trzeba było zatrzeć ślady! Przyszły zasłużony nauczyciel pociął więc ciało nastolatka na kawałki i rozrzucił je po lesie. Wykonane nagrania „eksperymentu” spalił.

Czy zamierzał zaprzestać procederu po niepowodzeniu? O nie, on dopiero zaczynał. Na jego szczęście rodzice długo nie interesowali się losem swojego dziecka. Tak samo jak całe miasto. Młody chuligan, zapowiadający się na bandytę, pewnie uciekł...

W okresie dwóch dziesięcioleci, wykorzystując zamiłowanie młodych chłopaków do przygód i własny autorytet, Sliwko zapraszał ich do brania udziału w jego diabelskich eksperymentach i filmach. Wiedział, jak trzeba każdego z nich podejść. Jednemu mówił, że potrzebuje tego do swojej pracy naukowej – chce ustalić granicę wytrzymałości ludzkiego organizmu, ponieważ w tajemnicy przed wszystkimi pracuje nad nową metodą reanimowania człowieka i pisze pracę naukową. Innym mówił, że pisze książkę o wojnie i potrzebuje zdjęcia wiszącego na szubienicy pioniera. Dla kogoś była to ostatnia możliwość pozostania w klubie – jeśli miał zbyt wiele minusów, nauczyciel mówił: „Jak zdasz test, zrobisz tak, jak ci mówię, to udowodnisz, że jesteś godzien i wrócisz w szeregi z czystą kartoteką!”. Innym mówił, że jest to potrzebne klubowi – trzeba się nauczyć reanimowania na wypadek, gdyby podczas wycieczki ktoś stracił przytomność. A innemu po prostu dawał pieniądze – 30 rubli (około 600–700 współczesnych złotych, kwota na kieszonkowe nie do

pomyślenia dla małego chłopca). Mówił chłopakom całkiem otwarcie, że ich udusi bądź powiesi, a potem uratuje. Ponadto Tolik przekonywał, że dzięki powieszeniu chłopak wyrośnie na wysokiego i będą go lubić wszystkie dziewczyny. Zasadniczo dzieci darzyły dyrektora tak niewiarygodnym szacunkiem lub tak potrzebowały czegoś nowego albo pragnęły tej astronomicznej dla dziecka kwoty pieniędzy, że zgadzały się na wszystko. Jeśli ktoś odmawiał – było po sprawie, Sliwko nigdy więcej nie wracał do rozmowy na ten temat.

Z tymi, którzy zgodzili się na udział w eksperymentach, Sliwko załatwiał formalności – prosił, aby dany chłopak własnoręcznie napisał zaświadczenie o tym, że bierze udział dobrowolnie, wie o tym, że straci przytomność, i przysięga zachować wszystko w tajemnicy.

Następnie rozpoczynały się przygotowania: zasłużony nauczyciel prosił, żeby przyszły bohater stawił się w lesie w określonym typie ubioru, czysty, oczywiście w czerwonej chuście i w czystych czarnych butach, żeby był na czczo i po wypróżnieniu się. Jeśli Sliwko zauważał, że dziecko nie jest takie czyste, jak on to sobie wyobrażał, kąpał je w rzece. Mydło, ręcznik, grzebień i gąbkę przynosił ze sobą. Kiedy rozpoczynał się eksperyment i dziecko traciło przytomność, Sliwko osiągał orgazm, robił zdjęcia, nagrywał wszystko kamerą, bawił się ogniem, nosił nieprzytomne ciało na rękach, a następnie próbował je reanimować. Kolejna kwestia to przypadek – dziecko umrze albo przeżyje.

W domu ze swoich nagrań Sliwko korzystał nie tylko po to, by przypomnieć sobie wspaniałe chwile swojego życia, ale również żeby, delikatnie mówiąc, doprowadzić siebie do tego stanu, którego tak brakowało mu podczas bliskości z kobietami. Pomagało mu to również poczuć się nieco lepszym człowiekiem, uspokoić sumienie: „Oszczędzam na razie życie innym, zastępuję to tym, sięgam po nowe ofiary tylko w skrajnych sytuacjach”.

W ciągu 21 lat w eksperymentach Sliwki wzięło udział około 50 dzieci. Kilku chłopców tego nie przeżyło. Działo się tak głównie wtedy, gdy Sliwko chciał ustalić jakiś nowy rekord w utrzymaniu dziecka w pętli. Dziewięć minut – tyle najdłużej wisiał nastolatek, którego udało się uratować. Dłużej – same niepowodzenia. Jeśli eksperyment się „nie udawał”, ciało było ćwiartowane, ubrania palone, a części ciała topione w rzece bądź zakopywane w lesie. Po tym, jak rodzice martwych dzieci zaczynali stawiać na nogi milicję, Sliwko brał aktywny udział w poszukiwaniach, doskonale wiedząc o losie poszukiwanych. Jeśli przychodzili do niego stróże prawa, jako do dyrektora klubu, w którym lubił spędzać czas kolejny zaginiony chłopiec, Sliwko spokojnie i w szczegółach opowiadał o osobowościach poszukiwanych, dawał milicjantom dobrej jakości, wyraźne zdjęcia dzieci, wzywał podopiecznych: „Trzeba znaleźć naszego kolegę!”. Następnie dyrektor i kilkudziesięciu chłopaków wychodzili na poszukiwania. I nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że zaginieni zostali przez tego właśnie najbardziej szanowanego w mieście człowieka bestialsko

zamordowani, a ich zwłoki pocięte. Podstawową wersją zawsze był wypadek bądź ucieczka dziecka. Próbuąc osiągnąć taki właśnie efekt, Sliwko podrzucił na budowę w okolicy rzeki Kubań tornister oraz mundurek jednej z ofiar.

Podczas odgrywania roli świnki morskiej i nieświadomego obiektu seksualnego, przed kamerą, w pętli, ubrani w czyste stroje, z czerwoną pionierską chustą i w czarnych bucikach, zmarli: Kolia Dobryszew, Sasza Niesmiejanow, Andriusza Pogasjan, Sieroża Fatniew oraz Sieroża Pawłow.

Zdarzało się, że ktoś z tych, którzy przeżyli eksperymenty i filmy swojego ulubieńca, łamał przysięgę i próbował opowiedzieć rodzicom, co zaszło w lesie... Ale mądrzy, wszystkowiedzący dorośli, usłyszawszy, że dyrektor najśłynniejszego klubu turystycznego dla dzieci oraz lokalna gwiazda wiesza podopiecznych w lesie w celu przeprowadzenia eksperymentów naukowych i wszystko nagrywa kamerą, nie wierzyli swoim synom. Pukali się w czoła i mówili: „Dziecko, co ty bierzesz? Mówiłam twojemu ojcu, że nie wolno ci tyle oglądać telewizji, oto masz wynik!”, albo: „Co on ci takiego zrobił, że chcesz go tak oczernić?”.

A więc czasami... może warto posłuchać swojego dziecka?

A co z żoną i dziećmi Sliwki? Podczas przesłuchań pani Anatolijewa mówiła, że nie miała pojęcia, co dzieje się w głowie jej męża. Opowiadając o ich związku, twierdziła,

że przez całe małżeństwo cierpiała z powodu „niezadowolenia płciowego”. Najpierw winiła za to siebie, myślała, że robi coś nie tak, że nic z tych spraw widocznie nie rozumie, że jest za gruba, nieodpowiednio się ubiera... a potem jakoś się przyzwyczaiła, uspokoiła, pogodziła się z tym. W ciągu ponad 20 lat spędzonych ze Sliwką do intymnej bliskości doszło u nich... „No, może z 10 razy. 2 z nich skończyły się pojawieniem dzieci”. A przez ostatnich kilka lat spali oddzielnie.

Z rozdziału *Lekarze*, fragmentu dziennika dyrektora Czergidu napisanego w 1975 roku, można się dowiedzieć, że próbował on zwrócić się ze swoim męskim kłopotem o pomoc. Oczywiście nie opowiadał, co go tak naprawdę podnieca, zaznaczał jedynie, że z żoną nic mu nie wychodzi. Eskulap podrapał się po głowie i doradził Sliwce, żeby więcej odpoczywał. Taka porada nie zadowoliła pacjenta. A szczególnie zdenerwowało go chichotanie młodziutkiej pielęgniarki w gabinecie. W gniewie napisał kolejny akapit swoich wspomnień, zaczynając go słowami: *lekarze – idioci*.

Po aresztowaniu męża żonie oraz dzieciom Sliwki zmieniono nazwisko i zabrano ich z Niewinnomysska – ludzie bowiem grozili im śmiercią.

„JA WŁASNEMU OJCU NIE WIERZYŁEM TAK JAK JEMU”

W chwili, gdy mieszkańcy Niewinnomysska dowiedzieli się o aresztowaniu dyrektora klubu Czergid, podniósł się

gigantyczny szum. Nikt nie mógł uwierzyć, że Anatolij Jemieljanowicz, złoty człowiek – to maniak-zboczeniec, po łokcie umazany krwią. Zdenerwowani obywatele powołali grupę inicjatywną z głównym celem – natychmiastowym uwolnieniem Sliwki. Tak było, dopóki nie pokazano im zdjęć i nagrań, jak ich gwiazda wiesza i tnie chłopaków na kawałki.

Zszokowani podopieczni z Czergidu mówili: „Ja własnemu ojcu nie wierzyłem tak jak jemu” – takim olbrzymim autorytetem cieszył się dyrektor. Historia nie skończyła się dobrze również dla licznych osób, które udzielały Sliwce poparcia. Za niekompetencję stanowisko stracił szef milicji z Niewinnomysska – został odesłany do kierowania obozem na Syberii. Trzeci sekretarz stawropolskiego komitetu krajowego partii Kostina, która jak wilczyca wstawiała się za Sliwką w każdej sprawie i dzięki której wbrew przepisom nadano mu tytuł „zasłużonego nauczyciela szkoły RFSRR”, popełniła samobójstwo.

Każdy maniak ma swoją nieoficjalną ksywkę. Zyskał ją również Sliwko – nazwano go „Zasłużonym Męczycielem”.

Był sądzony w Stawropolu w czerwcu 1986 roku. Ze względu na bardzo liczne dowody proces trwał krótko. W pobliżu wejścia do budynku sądu zawsze stał sznur karetek – z budynku wciąż wynoszono nieprzytomnych rodziców, którzy przed chwilą zobaczyli na własne oczy, na filmie, jak wieszają ich dzieci. Podczas śledztwa i procesu, odpowiadając na pytania, były najlepszy człowiek

w Niewinnomyssku cały czas patrzył pustym wzrokiem w podłogę. Gdy sprawa doszła do etapu opisu „nieudanych” eksperymentów, zaczynał płakać, połykając słowa i łzy. Psychiatryczna ekspertyza w moskiewskim Instytucie Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego stwierdziła poczytalność oskarżonego, jednak z elementami psychopatii i piromanii oraz licznych seksualnych dewiacji, jak pedofilia, nekrofilia i nekrosadyzm.

Wyrok był do przewidzenia – rozstrzelanie.

Obrońca Sliwki, adwokat Siergiej Pietrow, wniósł kasację od wyroku i wymógł, aby oskarżonego poddano ponownemu badaniu psychiatrycznemu. Po kolejnym stwierdzeniu poczytalności „Zasłużonego Męczyciela” Sąd Najwyższy RFSRR utrzymał w mocy wyrok pierwszej instancji. Sliwko postanowił walczyć do końca i wykorzystać wszystkie możliwości, by pozostać przy życiu. Złożył wniosek o ułaskawienie i zastąpienie kary śmierci przez rozstrzelanie drugą najsurowszą karą – 15 latami więzienia.

21 grudnia 1987 roku Komisja ds. Ułaskawień przy Radzie Najwyższej ZSRR oddaliła wniosek. Półtora roku później, 16 września 1989 roku, Anatolij Sliwko, dzieciobójca i sadysta, został stracony w nowoczerkaskim więzieniu.

Niektóre fragmenty filmów, które nagrywał dyrektor Czergidu, wciąż można znaleźć w Internecie. Wystarczy wpisać w wyszukiwarce najpopularniejszego serwisu z filmami hasło „Anatoly Slivko” i przejrzeć pierwszą stronę

albo być bardziej precyzyjnym i wpisać „Los videos de Anatoly Slivko”, a następnie kliknąć, że rozumiesz, iż nagrania zostały uznane przez użytkowników za szokujące.

Takie bowiem są.

⁶⁴ Czyli Chruszczowa, pierwszego sekretarza KC KPZR i przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR.

⁶⁵ Pionier – członek Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej im. Lenina, komunistycznej organizacji dla dzieci w wieku 9–14 lat. Przynależność do niej była w ZSRR niemal obowiązkowa. Członkowie organizacji nosili czerwone pionierskie chusty oraz spinki z kształcie czerwonej gwiazdy, na której od 1962 r. pojawił się profil Lenina, hasło pionierów: „Zawsze gotów!” (tradycyjna odpowiedź na wymóg skierowany do nich przez dorosłych „Pionierze, za sprawę Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego bądź gotów!”), i języki płomienia. W pewnym stopniu organizację pionierską można porównać z organizacją harcerską, tylko że z ukierunkowaniem na politykę. Pionierzy posiadali własne sztandary, system stopni, dzielenie na grupy, organizowali polityczne spotkania bądź jakieś pożyteczne dla ojczyzny przedsięwzięcia, np. zbiór makulatury w mieście, kiedy odwiedzali domy i śmietniki, poszukując niepotrzebnych wyrobów papierniczych, itp.

⁶⁶ Tytuł honorowy nadawany od 11 stycznia 1940 roku nauczycielom oraz wykładowcom wszelkiego rodzaju placówek wykształcenia podstawowego oraz średniego „za zasługi w pracy pedagogicznej oraz wychowawczej zapewniające otrzymanie głębokiej wiedzy przez uczniów i wychowawców, rozwoju i doskonalenia ich potencjału twórczego”. Od 1975 roku posiadaczy tytułu, którzy przepracowali w systemie oświaty ponad 15 lat, dekorowano także srebrnym medalem.

⁶⁷ Z dziennika Anatolija Sliwki, wpis z dn. 1 maja 1963 roku.

STRZELANIE W KURSKU

Został skreślony z listy studentów. Tajemniczy. Brutalny. W komunikacji z kolektywem wykazuje nieopanowanie, wyobcowanie. Niejednokrotnie ujawniał myśli samobójcze.

Z charakterystyki szeregowego Wiktora Korszunowa

Nadwrażliwy, często płacze. Skłonny do fantazjowania. Leczył się w Kurskim Obwodowym Szpitalu Psychiatrycznym na infantyлизм.

Z charakterystyki starszego szeregowego Jurija Surowcewa

Człowiek, który naprawdę postanowił przestać żyć, po prostu to robi. Cicho i bez szumu wokół własnej osoby zabija się. Są także ludzie, którzy udają, że chcą się zabić. Wybierają ścieżkę pozerstwa. Wchodzą na dach i zwracają na siebie uwagę innych krzykiem: „Zaraz skoczę!”, a ludzie z dołu odpowiadają: „Nie skacz! Kochamy cię”. Przyjeżdżają strażacy, jest telewizja, policja, zbiera się tłum. Rodzice i była błagają o wybaczenie. I o to właśnie chodzi pseudosamobójcom – o uwagę.

Czasami zdarza się coś trudnego do wytłumaczenia. Ludzie zabijają siebie, ale pragną zabrać ze sobą jeszcze kilka osób. Ten rodzaj samobójców chce odejść z hukiem.

Są oni obrażeni na cały świat, który – jak im się wydaje – jest im coś winien, nie rozumie ich i nie docenia ich talentów. Chcą oni ukarać niesprawiedliwe otoczenie za swoje cierpienia.

W ten sposób w 1968 roku myślało dwóch żołnierzy radzieckich. Postanowili oni zemścić się na świecie, który jest tak podle zbudowany. Bładym światem zdezerterowali z bronią, dotarli w okolice Kurska, około którego stacjonowała ich jednostka. Zabarykadowali się w przypadkowym mieszkaniu, zabijając wcześniej wszystkich mieszkańców oprócz jednej kobiety. Zaczęli strzelać do ludzi na placu znajdującym się koło dworca. Sprawcy mieli po 19 lat.

KORSZUNOW I SUROWCEW

Służba w Siłach Zbrojnych ZSRR, podobnie jak we współczesnej Rosji, była obowiązkowa. Osiemnastoletnich chłopaków dwa razy w roku powoływano do wojska, chyba że należeli do kategorii osób niepodlegających poborowi lub mieli prawo odroczenia rozpoczęcia służby. Służyć w „niezwyciężalnej i legendarnej” Armii Radzieckiej w 1968 roku trzeba było – jak mówią słowa piosenki skierowanej do ukochanej poborowego – *tylko przez dwie zimy, tylko przez dwie wiosny* w wojskach lądowych i przez trzy lata, jeśli miało się „szczęście” trafić do marynarki wojennej.

Jedną z licznych uzbrojonych formacji były tzw. wojska wewnętrzne. Można je porównać z gwardią narodową krajów zachodnich. Główne ich zadanie stanowiła ochrona ważnych obiektów, obozów, skazanych, patrolowanie ulic w dużych miastach. No i jak to w państwie totalitarnym – tłumienie zamieszek i powstań. Wojska wewnętrzne (lub – jak je nazwała ludność radziecka – „wróg wewnętrzny”) w czasach pokoju były podporządkowane Ministerstwu Spraw Wewnętrznych ZSRR. W 1968 roku MSW nosiło inną nazwę – Ministerstwo Ochrony Porządku Społecznego.

Właśnie tam odbywało służbę dwóch chłopaków, bohaterów tej historii – szeregowy Wiktor Nikołajewicz Korszunow i starszy szeregowy (jefrejtór) Jurij Stiepanowicz Surowcew.

Wiktor Korszunow był synem „zdrajcy”. Jego ojciec podczas wojny radziecko-niemieckiej poszedł służyć do zorganizowanej przez okupantów policji. Kiedy do Mołdawii, gdzie mieszkali Korszunowie, ponownie wkroczyła Armia Czerwona, ojca wysłano do łagrów. Spotęgowało to jeszcze u małego Witii nienawiść do ustroju. Ale trzeba było żyć dalej. Po szkole Korszunow dostał się na studia. Długo jednak nie wytrwał. Miał poważne kłopoty z dyscypliną i obecnością na zajęciach. Często wdawał się w bójki. W końcu wykreślono go z listy studentów, czego naturalną konsekwencją był pobór do wojska. Trafił on do WW MOPS, gdzie został zwykłym strzelcem.

Mówiąc o Armii Radzieckiej lub wojskach wewnętrznych, należy wspomnieć o zjawisku o nazwie „diedowszczyna” (można to przetłumaczyć jako „rząd dziadków”). To system nieoficjalnych stosunków pomiędzy żołnierzami, czyli zwykła „fala”. Diedowszczyna polegała na tym, że żołnierze z najmłodszych roczników („zapachy”, „duchy”, „byki” lub „bobry”) byli nękani przez starszych. Musieli się im podporządkować, wykonywać każde ich polecenie, często niemające nic wspólnego z obowiązkami żołnierzy. Zadania polegały głównie na służeniu i na zabawianiu starszego roku. Nawet ci starsi stopniem, ale młodszy stażem musieli słuchać młodszych stopniem, doświadczonych żołnierzy. Prawie zawsze temu procesowi towarzyszyło poniżanie i stosowanie przemocy, nieraz graniczącej z sadyzmem. Codziennym zjawiskiem były wymuszenia. Młodzi mogli zostać obrabowani. Inaczej mówiąc, była to usystematyzowana przemoc starszych wobec młodszych. Ze względu na to wojsko często porównywano z więzieniem.

Wyżej od „duchów”, którzy dopiero co rozpoczęli służbę, byli żołnierze nazywani „łyżkami” lub „miarkami” (po pierwszym roku służby, po koniecznej procedurze inicjacji, która polegała na biciu delikwenta po tyłku przez całą starszyznę kampanii metalowymi kłamrami od pasów lub taboretami). Wyżej od nich byli „dziadkowie” (półtora roku służby, tu procedura inicjacji wyglądała łagodniej – kłamrą bito przez poduszki, a za „dziadka” krzyczał „z bólu” specjalnie przeznaczony do tego celu młody). Na

samej górze hierarchii byli „diembiela” (od słowa „demobilizacja”), „obywatele” lub „najemcy” (którzy otrzymali już od ministra obrony rozkaz o demobilizacji i mieli niedługo trafić do domu).

Po roku koszmaru, poniżeń, przemocy i gnębienia młodszy żołnierze byli bardziej wściekli niż rok wcześniej i po tym, jak stali się „miarkami”, sami zaczęli stosować przemoc wobec dopiero co powołanych do wojska młodych. W ten sposób system „dziadek był młody i pracował, teraz ty popracuj za dziadka” powtarzał się co roku, przy każdym poborze. W armiach niektórych byłych republik związkowych wygląda to tak do dziś.

Odnotowano liczne przypadki, kiedy ratując się przed tym zjawiskiem, młodzi dezercerowali, popełniali samobójstwo albo przy pierwszej okazji zabijali swoich dręczycieli, na przykład podczas ćwiczeń z użyciem ostrej amunicji⁶⁸.

Oficerowie nie śpieszyli się do walki z diedowszczyzną, ponieważ dla nich była ona jednym z narzędzi kontroli podwładnych. Stanowiło to dla nich także jedno ze źródeł wzbogacenia się poprzez pracę młodych żołnierzy w okolicznych zakładach lub gospodarstwach. Radzieckie Siły Zbrojne, marynarka wojenna, KGB, MOPS itp. co roku zabierały z gospodarki niecały milion młodych mężczyzn, więc rąk do pracy brakowało wszędzie, a szczególnie na wsi. Dyrektorzy zakładów i kierujący kołchozami też chcieli wykonać nałożony im plan gospodarczy, chętnie więc korzystali z pomocy pobliskiej jednostki wojskowej,

w zamian zaś dzielili się z dowódcami swoją produkcją. Były to: farby, gwoździe, części zamienne, deski, żywność itp., a czasami po prostu gotówka. Z tego korzystali dowódcy przedsiębiorcy. Starsi rangą oficerowie lub generałowie mogli wykorzystać żołnierzy do budowy własnych dacz lub stodół.

Początki tego zjawiska sięgają lat 60. XX wieku, kiedy okres służby skrócono z trzech do dwóch lat w wojskach lądowych i z czterech do trzech lat w marynarce. Żołnierzom, którzy już przebywali w armii, nie skracano okresu służby. Dzięki temu w wojsku pozostały dwie kategorie żołnierzy: ci, którzy służyli już rok, oraz ci, którzy dopiero co przyszli. Zarówno jedni, jak i drudzy musieli służyć jeszcze dwa lata. Z powodu takiej niesprawiedliwości ci, którzy służyli dłużej, mścili się na młodszych. Tak samo w marynarce wojennej. Innym źródłem takiego zjawiska w szeregach wojska była po prostu niska kultura poborowych oraz fakt, że w tym samym czasie zaczęto powoływać do wojska osoby z wyrokami karnymi. Tradycje i obyczaje więzienne powędrowały więc do sił zbrojnych.

Polska fala wymyśliła taką zabawę jak mierzenie przez koty dystansu zapalką i co pięć metrów wydawanie odgłosu: „miau!”, natomiast radziecka rezerwa bawiła się nieco inaczej. Najpopularniejsza była (i nadal jest) tam zabawa w „przebijanie losia”: kiedy młody kładzie dłonie na głowie, „dziadek” bije go po głowie z całej siły pięścią lub nogą. W wymienionych wyżej wojskach wewnętrznych grano w specyficzną grę: „zatrzymanie przestępcy na

dachu". Polegała ona na tym, że młody miał wbiec na ostatnie piętro budynku szybciej niż rezerwa jadąca windą. Jeśli „kot” nie zdążył, wszystko powtarzało się aż do skutku. Jeżeli „kot” w końcu padał ze zmęczenia, w najlepszym wypadku kończyło się mordobiciem. W najgorszym biedak prał rezerwie onuce i przez całą noc biegał po bimbier dla niej do pobliskiej wsi lub też wszystkich niższych stażem żołnierzy w plutonie czekała kara: najczęściej długi bieg i pompki lub trzymanie przed długi czas taboretów nad głowami. Następnego dnia wszystko zaczynało się od nowa.

Wśród mniej niebezpiecznych dla zdrowia zabaw był „pogrzeb peta”. Kot miał wykopać okop do strzelania na stojąco i tam pogrzebać peta po wypowiedzeniu przemowy pożegnalnej. Inni w tym samym czasie mieli grać krewnych i wsypywać troszkę ziemi do „grobu”. Inna zabawa: „pożar w budynku”, polegała na tym, że w środku nocy koty obudzone krzykiem „pożar!” miały wynieść z koszar na czas wszystkie meble, tak żeby zostały gołe ściany. Jeśli koty dawały radę, wносиły wszystko z powrotem i mogły wrócić do spania.

Gdy „dziadek” czegoś chciał, wołał kota okrzykiem „Jeden!” i wtedy z otaczających rezerwę żołnierzy miał się wyłonić kot. Oddział obrywał, jeśli przybiegała więcej niż jedna osoba lub jeśli ktoś dotarł niewystarczająco szybko.

Istniała również lista niepisanych zasad, np. wszystkie polecenia rezerwy miały być wykonywane wyłącznie biegiem, żołnierze pierwszego roku służby nie mogli jeść poza kantyną, odwiedzać żołnierskich sklepików, robić

podkołnierzy z prześcieradła, trzymać rąk w kieszeniach. Jeśli młodego zauważono z rękami w kieszeniach, do kieszeni sypano mu piasek, a kieszenie zaszywano. Zaszywano też mydło. Podczas ćwiczeń w deszczu lub jeśli żołnierz mocno się pocił, mydło dawało o sobie znać. Inna zasada brzmiała następująco: kot, który otrzymywał paczkę z domu, miał ją najpierw okazać rezerwie, bo może oni czegoś potrzebują.

Twardziele powiedzą, że ofermom i maminsynkom wszędzie jest trudno. W przedszkolu, w pracy, na obozie harcerskim. Wszędzie ich znieważają i gnębią. W kolektywach, a tym bardziej w męskich zamkniętych grupach wszystko zależy od tego, czy człowiek umie się postawić. Częściowo jest to prawda. Zanim dotkną kota bydlaka, który potrafi dać w mordę i nadziać garnek z kaszą na głowę napastnikowi, dwa razy się zastanowią. Jednak żołnierz i na to wymyślił sposoby. Zaczynając od tego, że za twardziela będą męczyć cały oddział, np. poprzez pompki albo bieg, dopóki kot twardziel nie wykona rozkazu rezerwy (a oddział będzie wiedział, za kogo cierpi, więc grupowe bicie twardziela w nocy przez własny rocznik gwarantowane), aż do wydania oficjalnego, formalnego rozkazu. Natomiast wyjściem z tej sytuacji było zbieranie własnej ekipy zwolenników i spuszczenie łomotu tym, którzy cię obrazili.

Szeregowy Korszunow już prawie skończył drugi rok służby. Czyli on i jego rocznik królowali w koszarach. Nikt nie mógł Korszunowowi rozkazywać, poniżać go i używać

wobec niego przemocy. Ponadto w swojej jednostce był on uważany przez dowództwo za jednego z najlepszych strzelców, posiadał odznakę Przodownika Armii Radzieckiej. Przyznawano ją za wzorowe wyniki w służbie. A służba dla niego już się prawie kończyła. Jednak niedaleki powrót do domu i wysoki status pod względem formalnym i nieformalnym nie powodował u szeregowego Korszunowa radości. Przeciwnie – coraz częściej wpadał na zmianę w szal i w depresję. Poziom napięcia, w jakim żył Korszunow, może pokazać opisana poniżej sytuacja. Podczas ćwiczeń dowódca zwrócił Korszunowowi uwagę na jakiś drobiazg. W odpowiedzi na to Korszunow skierował broń w stronę kolegów i powiedział, że zabije ich, dowódcę i siebie, jeśli nie dadzą mu spokoju. Sprawa, zamiast w trybunale, skończyła się odesłaniem go do szpitala, a incydent poszedł w niepamięć. W Armii Radzieckiej karę otrzymywano nie za faktycznie przewinienia, lecz za zarejestrowane i zauważone przez „góre”. Gdyby tę sprawę skierowano na drogę oficjalną, zgodnie z praktyką tamtych lat ucierpIELiby wszyscy: Korszunow, dowódca Korszunowa oraz dowódca dowódcy, a także pozostali zwierzchnicy, ze względu na bałagan w oddziale i nieumiejętność pracowania z żołnierzami.

Starszy szeregowy Surowcew, kolega Korszunowa, dopiero skończył pierwszy rok służby, czyli według hierarchii mógł już zmuszać nowicjuszy do prania sobie onuc. Jednak w tym samym czasie podlegał „dziadkom”. Surowcew miał dobrą posadę. Z powodu ładnego

charakteru pisma zabrali go do sztabu, gdzie służył na stanowisku kopisty. Nie musiał chodzić na warty zimną nocą, mógł spokojnie spać, nie musiał pracować w cuchnącej kuchni ani na podwórku gospodarczym jednostki, pełnym świńskiego łajna. Cały dzień mógł siedzieć w ciepłym gabinecie i przestawiać papierki z miejsca na miejsce. Ojciec Surowcewa, tak samo jak ojciec Korszunowa, był karany, ten jednak za chuligaństwo. Sam Surowcew urodził się w małej miejscowości w Uzbekistanie i był człowiekiem słabego charakteru, histerycznym, nieludzkim. Stale gapił się w podłogę, łatwo go było kontrolować. Był naiwny i infantylny. A co najważniejsze, Surowcew we wszystkim słuchał swojego brutalnego starszego towarzysza Korszunowa.

Łączyło ich to, że obaj odczuwali ogromną nienawiść do świata. Uważali, że jest głupi, niesprawiedliwy, że ich nie docenia i nie rozumie. Wszystkich ludzi uznawali za podłych i okrutnych. Mieli im za złe, że nie mogą liczyć na choćby odrobinę szczęścia. Nie interesowało ich to, co mogli dostać od życia. Obaj uznawali swoje przyjście na ten świat za nieudane oraz bezsensowne i wykazywali skłonności samobójcze: jeden z powodu agresji, drugi zaś przez histerię. Korszunow – niedoszły student bez znajomości, zawodu i talentu, syn zdrajcy ojczyzny. Jaką przyszłość zgotował mu los? Stanowisko woźnego na podwórku za 60 rubli miesięcznie i pokój socjalny w wilgotnej piwnicy? Bardzo go to gnębiło. Natomiast Surowcew z powodu swojego charakteru już wcześniej chciał umrzeć. Pisał on

w swoim dzienniku: *Złe życie jest gorsze od muzyki pogrzebowej*. Praca nad sobą, samodoskonalenie widocznie u tych nastolatków nie wchodziły w rachubę.

Takie mieli życie. Pełne nienawiści i myśli samobójczych. Dopóki nie nastąpiło coś, co stało się punktem zapalnym.

Nadszedł wrzesień 1968 roku. Wiktor Korszunow miał dziewczynę. Widocznie jej udało się utrzymywać w chorym umyśle żołnierza resztki rozsądku i podtrzymywać w nim nadzieję. Zanim Witia poszedł do wojska, obiecała, że będzie na niego czekać. Minęło wiele miesięcy, podczas których zakochani wymieniali się listami. Pewnego dnia do Korszunowa przyszedł kolejny tak oczekiwany od niej list – łączność ze światem poza wojskiem. W liście tym zamiast miłości do żołnierza, który lada chwilę zostanie odesłany do rezerwy, młoda kobieta wyznała, że... wychodzi za mąż. Przeprosiła i napisała, że chce zerwać wszelkie relacje.

Ktoś może powiedzieć, że setki tysięcy żołnierzy otrzymało podobne listy i nic. Żyli nadal i ułożyli sobie życie szczęśliwie. Jednak dla będącego na krawędzi wytrzymałości Wiktora była to kropla, która przelała czarę goryczy i zmusiła go do podjęcia kroków przeciwko temu niesprawiedliwemu światu, w którym nie ma już nawet głębszej miłości! Kobiety wybierają przecież tych, którzy są lepsi, zaradniejsi, bogatsi! On nie miał żadnych perspektyw... A skoro tak, to po co żyć w tym bagnie, wśród insektów, którzy myślą, że są ludźmi? Ale umrzeć należy

z przytupem! Żeby popamiętali! Żeby płakali krwawymi łzami!

Nie było trudno przekonać do tego pomysłu słabego Surowcewa, który wcześniej leczył się na infantylizm i także był przepełniony nienawiścią. Żołnierze postanowili zdezerterować, „pobawić się na pożegnanie”, a potem się zabić. Miejsce „zabawy na pożegnanie” zostało wybrane losowo. Soldaci wrzucili do furazerki kartki, na których były wypisane cele, gdzie planowali rozliczyć się ze światem: komitet partii, prokuratura, samochód jakiegoś ważniaka, ciężarówka z żołnierzami. Na wylosowanej kartce znalazł się komitet partii. Teraz trzeba było poczekać na odpowiedni moment, żeby uciec z jednostki z bronią.

Taki moment nadarzył się w nocy 26 września 1968 roku. Wiktor Korszunow miał wyjść z kolegą na nocną wartę. Według niepisanej zasady „dziadkowie” prawie nie chodzili na warty w nocy, ale tamtego dnia nastąpił wyjątek. Podczas warty, jak przystało na dobrego towarzysza, Wiktor zaproponował drugiemu wartownikowi, żeby poszedł pospać. Poborowemu Armii Radzieckiej takiej propozycji nie trzeba było dwa razy powtarzać. Jak mówiono: „żołnierz śpi, a służba trwa” oraz „nie ma takiego miejsca, gdzie by żołnierz nie zasnął”. Zostawszy sam, Korszunow ukradł z arsenału, do którego jako wartownik miał klucz, dwa karabinki AK, dwa pistolety PM, magazynki do nich oraz bagnety. Z Surowcewem, który czekał na sygnał, schowali broń do walizek. Kałasznikowy się do nich nie zmieściły, więc żołnierze odpiłowali kolby. Następnie opuścili

jednostkę, skacząc przez mur, i skierowali się w stronę pobliskiego trzystutysięcznego Kurska. Dojechali stopem na pace ciężarówki. Cywile zazwyczaj chętnie pomagali żołnierzom jadącym z walizkami na urlop, do domu albo do samowolki.

Dojechawszy do centrum miasta około siódmej rano, dezenterzy, zgodnie z planem, dotarli do rejonowego komitetu partii. Ale nie uwzględnili wcześniej jednej rzeczy. W tym samym budynku co komitet znajdował się komisariat milicji dzielnicy Leninowskiej, a żołnierze nie zamierzali brać udziału w strzelaninie z uzbrojonymi milicjantami. Perspektywa szybkiej śmierci nie wchodziła w grę. Wymyślili, by zaatakować następny budynek, w którym znajdowała się tak znienawidzona władza – prokuraturę. Zrezygnowali jednak i z tego pomysłu, ponieważ ten budynek też prawdopodobnie byłby pilnowany przez uzbrojonych ludzi. W ZSRR pracownicy prokuratury mieli prawo do posiadania broni służbowej. Ostatecznie postanowili włamać się do pierwszego lepszego mieszkania, a tam postanowić, co zrobią w dalszej kolejności. Decyzję tę podjęli na placu Priwokzalnym przy dworcu. Zobaczywszy patrol wojskowy, który mógł ich wylegitymować, dezenterzy skręcili w ulicę Wokzalną (Dworcową) i weszli do budynku numer 1. Był to trzypiętrowy ceglany budynek z wysokim parterem i bez balkonów. Żołnierze zatrzymali się na ostatnim, trzecim piętrze, przed drzwiami mieszkania numer 41. Zadzwonili.

UL. WOKZALNA 1 LOK. 41. DZIEŃ PIERWSZY

Od dzieciństwa uczą nas, by nie otwierać nieznajomym. Jednak gospodyni domu, 38-letnia Tamara Satarowa, otworzyła na głośne i histeryczne pukanie oraz dzwonek. Nie wiedziała, że właśnie wpuszcza ludzi, którzy za chwilę zabiją całą jej rodzinę. W dwupokojowym mieszkaniu, do którego wdarli się dezenterzy, przebywało osiem osób, ponieważ do Tamary akurat przyjechali krewni spoza miasta. Wszyscy spali. Zobaczywszy gości, żołnierze odepchnęli Tamarę i strzelając z karabinków przez poduszkę, zabili pięcioro z nich. Konających dobili znalezionym żeliwnym żelazkiem. Tak zginęli: matka Tamary, jej młodsza siostra, szwagier i dwóch małych siostrzeńców. Pół minuty po otwarciu drzwi przy życiu pozostała sama Tamara i dwójka jej dzieci: chłopczyk i dziewczynka, którzy spali w drugim pokoju. W trakcie dokonywania morderstw dezenterzy z uśmiechem włączyli radio: „Jak ginąć, to z muzyką!”.

Patrząc na żołnierzy i wciąż nie rozumiejąc, co się dzieje, kobieta instynktownie poprosiła, by oszczędzili jej dzieci. Korszunow się zaśmiał, że jeśli przyniesie im coś do picia i do jedzenia, dzieciom nic się nie stanie. Tamara ubrała się i wyszła do sklepu.

Na ulicy los dał jej szansę... albo odwrotnie – zadrwił z niej. W drodze do sklepu spotkała dzielnicowego milicjanta. Tamara przywitała go i... nic mu nie powiedziała. Widocznie nie chciała ryzykować życia dzieci. Nie wiedziała, że one już nie żyły. Korszunow i Surowcew

zabili je tak samo jak innych – strzałem z karabinków – a następnie zmiażdżyli im głowy ciężkim żelazkiem.

Gdy Satarowa wróciła do mieszkania z alkoholem i konserwami i zobaczyła ciała swoich dzieci, rzuciła się na morderców z pięściami. Natychmiast została pobita, związana i wrzucona do łazienki. Przez cały dzień Korszunow i Surowcew wśród trupów i kałuż krwi pili, słuchali radia i gwałcili Satarową. Kiedy zabrakło alkoholu, Surowcew sam wyszedł do sklepu. W końcu, pijani, zasnęli.

Oczywiście sąsiedzi słyszeli coś, co przypominało tłumione strzały, jednak niektórzy nie potraktowali tego poważnie: „Hałasują – no i co?”. Kolejni uznali to za jakiś inny rodzaj hałasu, nie strzały. No bo jak w centrum obwodowego miasta radzieckiego w czasie pokoju mogłoby dojść do strzelaniny? Tak samo stwierdził dyżurny milicjant, który odebrał zgłoszenie od pewnej czujnej obywatelki. Zostało ono zignorowane.

Nastał kolejny poranek.

UL. WOKZALNA 1 LOK. 41. DZIEŃ DRUGI

27 września, obudziwszy się na kacu około 7:00 rano i wypiwszy klina, żołnierze mordercy postanowili dokończyć to, co zaczęli. Mieszkanie okazało się dobrym wyborem. Z okien mieli idealny widok na plac przy dworcu, a o tej godzinie krążyło tam wielu ludzi. Osoby przyjeżdżające spoza miasta spieszyły się do pracy. Decyzja, co robić dalej,

zapadła natychmiast. Dezerterzy otworzyli okna, ustawili broń i zaczęli strzelać do ludzi.

Jak wspominali świadkowie, dźwięk strzałów przypominał pękającą deskę albo huk rury wydechowej. Na początku ludzie na placu nie zorientowali się, co się dzieje. Wszyscy przyzwyczaili się do życia w pokoju. Ludzie na środku placu niespodziewanie zaczęli krzyczeć i padać. Szczęśliwie, choć wojna skończyła się 23 lata temu, wielu obywateli miało jeszcze doświadczenia z frontu. Możliwe, że ten fakt uratował niejedno życie. Weterani wśród tłumu szybko domyślili się, z czym mają do czynienia. Zorganizowali ucieczkę z otwartego terenu placu do budynku dworca.

W tej samej chwili, o 7:15, na plac wyjechał wóz milicyjny transportujący trzech skazanych, którzy mieli wyjechać z Kurska do miejsca odbycia kary. Dezerterzy otworzyli ogień w jego stronę. Profesjonalizm milicjanta kierowcy zrobił swoje. Zrozumiawszy, że znajduje się pod ostrzałem, i myśląc, że kumple skazanych próbują uratować swoich kolegów, natychmiast nacisnął pedał gazu i ukrył wóz w podwórku. Od ognia Korszunowa i Surowcewa zginął jeden 19-letni przestępca.

W tym samym czasie lokalna milicja otrzymywała niepokojące telefony. W centrum miasta rzekomo trwała strzelanina z broni maszynowej, byli zabici i ranni. Do tego zgłoszenia został wysłany patrol, który natychmiast trafił pod ostrzał z karabinków. Zdawszy sobie w końcu sprawę z powagi sytuacji, kierownictwo milicyjne nie tylko

ściągnęło cały własny personel, ale zwróciło się też o pomoc do rozkwaterowanej obok jednostki wojsk wewnętrznych. Nie wiadomo było, co się dzieje i ilu jest strzelających. Należało otoczyć plac i okoliczne budynki. Pomoc żołnierzy byłaby przydatna. I wtedy wszystko stało się jasne: sprawcami mogło być dwóch dezertków, którzy wczoraj uciekli z bronią.

Ustalono, skąd padały strzały. Funkcjonariusze, chowając się wzdłuż ścian, weszli do budynku numer 1. Zorganizowano sztab w mieszkaniu sąsiadującym z lokalem numer 41. Rozpoczęto prace nad planem, zbieranie informacji o sprawcach, ustalanie, jakie mogą być ich motywy i żądania. Rozważano następujące podłoże działania przestępców: żołnierze padli ofiarą diewoszczyny i nie wytrzymali presji albo była to próba uwolnienia transportowanych skazanych lub też w grę wchodziła polityka. Za tą ostatnią wersją przemawiał fakt, że zachodnie stacje radiowe wyjątkowo szybko nadały wiadomość o strzelaninie w Kursku. Co prawda dziennikarze zachodni nierzetelnie podeszli do swoich obowiązków i poinformowali świat, że radzieccy żołnierze wszczęli bunt. Powodem było domniemane niezadowolenie żołnierzy z powodu warunków służby, polityki KPZR i inwazji na Czechosłowację, dokonanej przez ZSRR kilka miesięcy wcześniej. Wkrótce jednak odrzucono wszystkie te hipotezy podawane przez media. Żołnierze niczego nie żądali, na próby nawiązania kontaktu odpowiadali przekleństwami, ostrzałem drzwi i krzykami, że chcą się

zemścić i umrzeć. Nie mówili tylko, na kim i za co chcą się odegrać, oraz co im przeszkadzało po prostu powiesić się gdzieś na poddaszu.

W tych czasach w ZSRR nie istniały ani specjalnie w takim celu wyszkolone jednostki, ani plany działania. Walczyć z terrorystami trzeba było siłami zwykłej milicji kryminalnej. Aby prowadzić rozmowy z dezenterami, przyjechał szef milicji obwodu kurskiego, komisarz milicji trzeciej rangi (odpowiednik młodszego inspektora policji) Siergiej Szmargilow. Przez drzwi próbował przekonać żołnierzy, by się poddali.

Wyjście z tej sytuacji szefostwo widziało w szturmie na lokal, z którego strzelali dezenterzy. W planach było wpuszczenie do lokalu gazu łzawiącego Czeremcha - 1, a kiedy terroryści już nie będą nic widzieć - wybicie drzwi i zdobycie mieszkania. Cicho, ręczną wiertarką przewiercono dziurę w ścianie, żeby przez nią wpuścić gaz. Jednak bandyci usłyszeli przygotowanie do napadu i krzyknęli, że mają ośmioro zakładników, wśród nich dzieci. Z tego powodu milicja nie rozpoczęła ataku. Nie wiadomo, że spośród wspomnianych mieszkańców wszyscy oprócz jednej osoby byli już martwi.

Od pierwszych strzałów minęła ponad godzina. O 8.20 Surowcew i Korszunow zdali sobie sprawę, że już nie mają do kogo strzelać. Milicja zabrała wszystkich z ulic i placu. Przyjechał wóz opancerzony, pod osłoną którego z placu zabrano rannych. Dezenterzy wiedzieli, że milicja znajduje się za ścianą i czeka na rozpoczęcie ataku.

Patrząc na pusty plac i ulice, słysząc milicjantów, sami znajdując się wśród cuchnących trupów i gazów prochowych, dezenterzy wytrzeźwiali. Rozumiejąc powoli, że zbliża się koniec, że etap, na którym się „pobawią”, właśnie się kończy i nadchodzi kolejny, kiedy trzeba „umrzeć”, Surowcew wpadł w histerię. Prawdopodobnie zrozumiał swoje czyny oraz co mu za nie grozi. A on tak naprawdę najbardziej na świecie chciał żyć, pragnął wrócić do tego momentu, w którym zdezerterował. Pamiętał również, kto go do tego wszystkiego namówił. Żołnierze zaczęli się kłócić. Płacząc, Surowcew poprosił pobitą i zgwałconą Tamarę Satarową o wybaczenie. Korszunow natomiast poprosił ją, by wrzuciła jakąś kopertę z adresem i znaczkiem do skrzynki pocztowej.

Do akcji włączyło się dowództwo wojskowe. Za drzwiami mieszkania stanął pułkownik Kulikow, zastępca dowódcy dywizji, z której żołnierze uciekli. On też starał się namówić dezenterów do poddania się. Pułkownik już zapoznał się z tym, co reprezentowali sobą Surowcew i Korszunow. Uznał, że z Korszunowem nie ma sensu rozmawiać. Zresztą Korszunow sam już nie brał w niczym udziału, pozostawał pasywnym obserwatorem, siedząc na łóżku i gapiąc się przez okno. Kulikow zaczął więc rozmawiać przez drzwi z Surowcewem. Przekonywał go, że jako starszy stopniem on jest dowódcą i ma prawo, a nawet w tych okolicznościach musi rozkazać Korszunowowi, by się poddali. Surowcew z płaczem wyznał, że kolega go nie słucha.

Zapadło milczenie.

- To go zabij - odezwał się wreszcie pułkownik.

Rozhisteryzowany Surowcew podczas kłótni, jakby w akcie zemsty na Korszunowie, który namówił go do zbrodni, o 10:15 wystrzelił do kolegi cały magazynek - 30 naboí.

Po zabójstwie Korszunowa Surowcew otworzył drzwi. Wszystko się skończyło. Milicjanci, chodząc po zalanym krwią mieszkaniu, wśród łusek i pustych butelek zobaczyli osiem trupów, w tym cztery ciała dzieci, płaczącego w kącie Surowcewa i półżywą Tamarę Satarową, ciągle znajdującą się w łazience. Z ulicy zabrano 6 zabitych i 11 rannych. Taki był wynik „zabawy” na pożegnanie przed samobójstwem dwóch nastolatków.

W tym samym czasie pojawił się niespodziewany kłopot. Mieszkańcy Kurska szybko dowiedzieli się, że już po wszystkim, że bandyci zostali schwytani. W podwórku przed wejściem do klatki budynku numer 1 zgromadził się spory wściekły tłum, który żądał wydania sprawców. Zanosíło się na samosąd. Motłoch od potencjalnej ofiary, którą zostawiono w mieszkaniu, oddzielał dwuszereg milicjantów, trzymających się za łokcie. Przy próbie wyprowadzenia przestępcy z budynku dwuszereg zostałby rozerwany, a Surowcew rozszarpany na strzępy przez rozsierdzonych ludzi. Niebezpieczeństwo groziło również tym, którzy próbowaliby go bronić. Milicjanci postanowili więc zrobić tak: Surowcewowi kazano przebrać się za milicjanta, w nowiutki mundur. Żeby nie było widać

kajdanek, na ręce rzucono mu poplamioną krwią narzutę. Słaniającego się na nogach dezterera, z szalem w oczach, wyprowadzono, trzymając go pod ręce. Tłum, zobaczywszy „rannego funkcjonariusza”, przepuścił go ze współczuciem.

Później mundur, który nosił Surowcew, spalono.

WYROK

Starszego szeregowego Jurija Surowcewa sądzono w mieście Orzeł, 100 kilometrów od miejsca dokonania zbrodni, aby uniknąć zamieszek w Kursku. Z Moskwy do Orła udała się delegatura Sądu Wojennego Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Akurat w jego kompetencji znajdował się Kursk i sprawy dużej wagi.

Postępowanie było krótkie, trwało około miesiąca. Główny zarzut wobec Surowcewa postawiony został na podstawie art. 102 k.k. RFSRR z 1960 roku (zabójstwo z premedytacją przy okolicznościach obciążających), ust. „b” (z motywów chuligańskich), ust. „d” (powodujące zagrożenie dla wielu ludzi), ust. „i” (przez osobę, która już wcześniej dokonała zabójstwa), ust. „z” (zabójstwo dwóch i więcej osób). Wyrok brzmiał: rozstrzelanie.

W części cywilnej sąd nakazał Surowcewowi przekazać Tamarze Satarowej 522⁶⁹ ruble rekompensaty. Po zakończeniu leczenia Tamara otrzymała nowe mieszkanie w innej dzielnicy. Koperty, którą dał jej Korszunow, nigdy nie wysłała. Znajdowała się w niej złamana monетка

wartości 1 kopiejki. W ten sposób, zgodnie z żołnierską tradycją, żołnierze odpowiadali swoim niewiernym narzeczonym, które zmieniły zdanie i przestały oczekiwać na ich powrót. Taki gest miał mówić: „Twoja wartość – złamany grosz”.

Surowcew podczas rozprawy i oczekiwania na wykonanie wyroku zwariował w swojej celi. Mówił sam do siebie, bełkotał teksty modlitw, liczył cegły w ścianie i widział duchy. Jego męczarnie skończyły się w piwnicy przeznaczonej do wykonywania kary śmierci.

⁶⁸ Jednym z najsłynniejszych przypadków była sprawa Arturasa Sakalauskasa, poborowego z Litwy, szeregowego wojsk wewnętrznych, który podczas konwojowania w pociągu skazanych w lutym 1987 roku był przez kilka dni nękanym przez innych żołnierzy, za niemym przyzwoleniem dowódcy (wylewanie gorącej zupy na głowę, jeżdżenie na barana, pozbawianie snu i posiłków, dosypywanie piasku lub soli do jedzenia, wsadzanie głowy do muszli, dziesięciogodzinne warty, podpalanie skóry zapalnikami, zwykłe bicie). Skończyło się uśmierceniem gwałtu. Wszystko to odbywało się przy pełnych aprobaty okrzykach zadowolonych skazanych, którzy widzieli, co się dzieje. Szeregowy Sakalauskas po próbie gwałtu zabił swoich prześladowców z pistoletów, które ukradł z sejfu dowódcy, po czym opuścił pociąg. Po dwóch dniach go złapano. Sąd uznał szeregowego za niepoczytalnego. Po odzyskaniu przez Litwę niepodległości Sakalauskas został deportowany z Rosji do swojej ojczyzny, gdzie jeszcze przez pięć lat przebywał w zakładzie psychiatrycznym.

⁶⁹ Około dziesięciu niskich pensji miesięcznych. Porównując ze współczesną Polską, można powiedzieć, że sąd wojenny nakazał przekazać Satarowej nieco ponad 16 000 złotych (stan na 2019 r.).

BIBLIOGRAFIA

(źródła informacji o wydarzeniach i osobach)

Wszystkie tłumaczenia dokonane przez autora

MUZYCY TERRORYŚCI

Literatura zwarta:

Болтунов М., Спецназ против террора, Москва, Эксмо, 2004.

Artykuły:

Кожемякин В., Волки в облике Овечкиных. Как многодетная семья решилась на захват самолёта, aif.ru, 2008 (dostęp: 15.03.2018).

Надеждин И., Последний полет Симеонов, lenta.ru, 2018 (dostęp: 19.10.2019).

Filmy dokumentalne:

«Жили-были семь Симеонов», 1989. Реж.: Владимир Эйснер, Герц Франк.

«Овечкины: никто не хотел убивать. Криминальная Россия», НТВ, 1999. Реж: Аркадий Коган.

«Следствие вели... Воздушные пираты», НТВ, 2006.

TOŃKA CEKAEMISTKA

Literatura zwarta:

Демченко В., Главные преступления советской эпохи. От перевала Дятлова до Палача и Мосгаза, АСТ, 2015.

Artykuły:

«Из истории Отечественной войны: советская девушка Тоня расстреляла 1500 детей, женщин и стариков», 2005 г., briansk.ru (dostęp: 20.09.2018).

Filmy dokumentalne:

«Возмездие. Две жизни Тоньки-пулеметчицы», 2010. Реж.: Дмитрий Драбик, Олег Карнасюк.

«Следствие вели...Девушка-палач», НТВ, 2006.

KULTURALNA KRADZIEŻ

Artykuły:

Левит А., Бесценное полотно Франса Хальса «Евангелист Лука», которое вор полгода хранил свернутым трубочкой за обычной печкой, эксперты признали безвозвратно утерянным, но реставраторам удалось восстановить, его за два с половиной года, События и Люди, № 22, 2008 (dostęp: 20.05.2019).

Filmy dokumentalne:

«Следствие вели...Возвращение Святого Луки. Современная версия», НТВ, 2006.

«Лубянка. Похищение Святого Луки», ОРТ, 2004.

KOMNATA TORTUR W GARAŻU

Artykuły:

Комиссарова А., «Вы про Фишера слышали? Это я», lenta.ru, 2019 (data: 20.09.2019).

Strony internetowe:

Головкин, Сергей Александрович, <http://www.serial-killers.ru/karts/golovkin.htm> (dostęp: 10.08.2019).

Головкин, Сергей Александрович (80-90-е гг. 20-го столетия, Подмосковье), http://murders.ru/gnida_731.html (dostęp: 10.09.2019).

Фишер, <http://www.serial-killers.ru/materials/fisher/index.htm> (dostęp: 15.09.2019).

Filmy dokumentalne:

«Криминальная Россия. Дело Головкина «Удав»», НТВ, М&Е, 1995.

«Легенды советского сыска. Ученик Чикатило», 2012.

«Следствие вели...» Дело «Фишера»», 2011.

RADZIECKI KUBA ROZPRUWACZ

Literatura zwarta:

Китаев Н., *Неправосудные приговоры к смертной казни. Системный анализ допущенных ошибок*, 2004.

Кривич М., Ольгин О., Товарищ убийца. Ростовское дело: Андрей Чикатило и его жертвы, 1992.

Масалов А., Нелюди. Самые знаменитые маньяки, Ростов на Дону, Феникс, 2007.

Модестов Н., Серийные убийцы, 2003.

Artykuły:

«Как расстреляли Чикатило», Еженедельник «Аргументы и Факты», № 6, 2004.

Strony internetowe:

Проект Лесополоса, <http://www.serial-killers.ru/lesopolosa/glavnaya.htm> (dostęp: 1.05.2019).

Filmy dokumentalne:

«Криминальная Россия «По следу Сатаны», 1997, Реж. Александр Басов.

WŁAMANIE DO BANKU PAŃSTWOWEGO ARMENII

Literatura zwarta:

Демченко В., Главные преступления советской эпохи. От перевала Дятлова до Палача и Мосгаза, АСТ, 2015.

Artykuły:

Сидорчик А., «Дело братьев Калачян. Подлинная история советского «ограбления века», aif.ru, 2015 г. (dostęp: 3.04.2018).

Filmy dokumentalne:

«Следствие вели... Ограбление Века», НТВ, 2006.

KAZACHSKI KANIBAL

Literatura zwarta:

Демченко, В., Главные преступления советской эпохи. От перевала Дятлова до Палача и Мосгаза, АСТ, 2015.

Artykuły:

Джумагалиев, Николай Есполович, <http://www.serial-killers.ru/karts/jumagaliev.htm> (dostęp: 25.05.2019).

Filmy dokumentalne:

«Следствие вели...Сатана», НТВ, 2008.

«Легенды советского сыска. Каннибал», 2011.

PUK, PUK. Z GAZOWNI, PROSZĘ OTWORZYĆ

Literatura zwarta:

Демченко В., Главные преступления советской эпохи. От перевала Дятлова до Палача и Мосгаза, АСТ, 2015.

Artykuły:

Богомоллов А., Маньяка по кличке Мосгаз допрашивали министр МВД и Генеральный прокурор. kp.ru, 2012 (dostęp: 20.07.2018).

Ленский И., Преступника взяли на вокзале, Московский железнодорожник, № 02, 2015 г., kp.ru, 2012 (dostęp: 15.07.2018).

Сидорчик А., Убийца по прозвищу «Мосгаз». Настоящая история советского маньяка, aif.ru, 2015 (dostęp: 20.07.2018).

Filmy dokumentalne:

«Следствие вели...Откройте, Мосгаз», НТВ, 2006.

TEATR ŚMIERCI

Literatura zwarta:

Масалов А., Нелюди. Самые знаменитые маньяки, Ростов на Дону, Феникс, 2007.

Artykuły:

Комиссарова А., Эти убийства не смыть, не забыть, lenta.ru, 2019 г., (dostęp: 10.10.2019).

Хожан Т., В одной связке с маньяком – быль, proza.ru, 2004, (dostęp: 15.10.2019).

Strony internetowe:

Сливко, Анатолий Емельянович, <http://www.serial-killers.ru/karts/slivko.htm> (dostęp: 20.10.2019).

Filmy dokumentalne:

«Криминальная Россия. Дневник оборотня», Реж. Аркадий Коган, 2000.

«Следствие вели...Заслуженный мучитель», НТВ, 2010.

STRZELANIE W KURSKU

Artykuły:

Хромов М., Теракт на Привокзальной площади Курска: как это было, ddd.kursk.ru, 2006, (dostęp: 20.08.2018).

Filmy dokumentalne:

«Следствие вели... Курская аномалия», НТВ, 2008.

Słynne zbrodnie w ZSRR. 10 najgłośniejszych przestępstw w Związku Radzieckim

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8219-192-9

© Talgat Jaissanbayev i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paweł Pomianek

KOREKTA: MAQ PROJECTS

OKŁADKA: Grzegorz Araszewski

ZDJĘCIA: YokoDesign / depositphotos.com; ruskpp / depositphotos.com; wukasa / depositphotos.com

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.